

Lincoln Child

Znany pisarz amerykański, współautor (z Douglasem Prestonem) kilkunastu bestsellerowych thrillerów. Po ukończeniu studiów pracował w wydawnictwie St. Martin's Press jako redaktor, a od 1987 jako analityk w firmie ubezpieczeniowej MetLife. W 1988 nawiązał współpracę literacką z Prestonem. Jej owocem była wydana w 1994 powieść Relikt, niedługo później sfilmowana przez Petera Hyamsa. Wspólnie napisali kilkanaście książek, opublikowanych także w Polsce, m.in. Relikwiarz, Gabinet osobliwości, Zabójczą falę, Taniec śmierci, Krąg ciemności, Kult i Gideon's Sword. W 2002 ukazała się pierwsza samodzielna powieść Childa, Utopia, a wkrótce potem kolejne - Eden, Głębia i The Third Gate.

Tego autora

EDEN GŁĘBIA UTOPIA TERMINALNY MRÓZ

z Douglasem Prestonem KRAĞ CIEMNOŚCI

Wkrótce

KULT GROBOWIEC

LINCOLN CHILD

TERMINALNY MRÓZ

Z angielskiego przełożyła DANUTA GÓRSKA

Tytuł oryginału: TERMINAL FREEZE

Copyright © Lincoln Child 2009 All rights reserved

Published by arrangement with Doubleday, part of the Doubleday Publishing Group, a division of Random House Inc.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2011 Polish translation copyright © Danuta Górską 2011

Redakcja: Mirosław Grabowski Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-508-5

Dystrybutor

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp. k.-a. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz. t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009 www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe www.empik.com www.merlin.pl
www.gandalf.com.pl www.ksiazki.wp.pl www.amazonka.pl

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

G

2011. Wydanie I Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

Podziękowania

Podczas długiej podróży Terminalny mróz — od pomysłu do wydrukowanej książki — wiele osób wielkodusznie użyczyło mi swojego czasu i wiedzy. Doktor J. Bret Bennington z Wydziału Geologii Uniwersytetu Hofstra pomógł mi lepiej zrozumieć istotę paleologii i wykopalisk. Timothy Robbins zapoznał mnie z praktycznymi szczegółami realizacji filmów dokumentalnych. (Spieszę dodać, że konkretne grzeszki stacji telewizyjnej Terra Prime, Emilia Contiego i tak dalej są całkowicie moim wymysłem). Doktor William Cors pomagał przy kilku medycznych aspektach tej historii. Mój ojciec William Child, emerytowany profesor chemii i prodziekan Carleton College, dostarczył bezcennej wiedzy o strukturach krystalicznych i innych zagadnieniach chemicznych. Agent specjalny Douglas Margini raz jeszcze pomógł przy detalach broni palnej. A mój kuzyn Greg Tear słuchał cierpliwie i udzielał jak zwykle doskonałych rad.

Chciałbym również podziękować mojemu wydawcy i przyjacielowi Jasonowi Kaufmanowi, który jak zawsze był światłem przewodnim niezbędnym przy tworzeniu tej powieści, a także Robowi Bloomowi i wielu innym pracownikom wydawnictwa Doubleday za to, że tak się

0 mnie troszczyli. Dziękuję również moim agentom Eri-cowi Simonoffowi i Matthew Snyderowi za stoczenie dobrej walki. Dziękuję Claudii Riilke, Nadine Waddell

1 Dianę Matson za ich liczne starania. Lodowate martini Beefeater, ekstrawytrawne, ze skórką cytryny, dla mojego pisarskiego partnera Doug Prestona za wiele lat przyjaźni i za znaczący wkład w powstanie tej powieści. Jego córka Aletheia zaproponowała wielki zwrot akcji. I ostatnie, ale nie mniej ważne podziękowania i wyrazy wdzięczności — dla mojej rodziny za miłość i wsparcie.

Na początku XX wieku na Syberii, u ujścia rzeki Bieriezowka, znaleziono padlinę mamuta.

Prawie nietknięte zwierzę spoczywało zagrzebane w mulistym żwirze, w wyprostowanej pozycji. Miało złamaną przednią nogę, widocznie na skutek upadku z pobliskiej skały przed dziesięcioma tysiącami lat. Zawartość żołądka zachowała się nienaruszona, w zębach tkwiły żdźbła trawy i łodygi jaskrów. Mięso wciąż nadawało się do jedzenia, chociaż podobno nie było smaczne.

Nikt nigdy nie podał zadowalającego wyjaśnienia, dlaczego mamut znad Bieriezowki i inne zwierzęta odnalezione na terenach subarktycznych zdążyły zamarznąć, zanim zostały pożarte przez ówczesne drapieżniki.

J. Holland, „Alaska Science Forum”

Prolog

O zmierzchu, kiedy gwiazdy wzeszły jedna po drugiej na zamrażającym niebie, Usuguk podszedł do śniegowego domu cicho jak lis. Tego ranka spadł świeży śnieg. Starszy wioski spoglądał ponad ponurym, szarobiałym arktycznym pustkowiem, które rozciągało się dookoła aż po pusty horyzont. Tu i tam spod pokrywy śnieżnej wystawały zebra wiecznej zmarzliny niczym kości prehistorycznych bestii. Wiatr się wzmaczał, kryształki lodu kąsały policzki starca i zlepiały futro na kapturze jego parki. Nieliczne igloo stały nieoświetlone, ciemne jak grobowce.

Usuguk nie zwracał na to uwagi. Zdawał sobie sprawę jedynie z wszechogarniającej grozy, przyspieszonego bicia serca.

Wszedł do śniegowego domu, gdzie garstka kobiet zebrała się wokół ogniska z mchu.

Szybko podniosły na niego wzrok, z napięciem i troską.

— Moptok e inkarrtok — powiedział. — Już czas.

11

Kobiety bez słowa pozbierały drżącymi palcami skromne przybory. Kościane igły odłożono do igielników; drapaczki do skóry i ulu do skórowania schowano pod parkami. Jedna z kobiet, która żuła buty z foczej skóry, żeby je zmiękczyć, teraz starannie zawinęła je w wytartą szmatę. Potem wszystkie kolejno wstały i wysunęły się przez prymitywny otwór służący za drzwi. Ostatnia wyszła Nulathe, z głową spuszczoną ze strachu i wstydu. Usuguk patrzył, jak skóra karibu opada z powrotem na otwór i przesłania widok na zewnątrz: samotną grupkę śniegowych domów, lodowy pejzaż ciągnący się przez zamrażnięte jezioro w stronę dogasającego słońca. Stał chwilę bez ruchu i próbował odepchnąć od siebie niepokój, który przygniatał go jak ciężki płaszcz.

Potem się odwrócił. Miał wiele do zrobienia, i mało czasu.

Ostrożnie przesunął się w głąb igloo, zdjął koce z małej kupki futer i odsłonił skrzynkę z wypolerowanego czarnego drewna. Starannie ustawił ją przed ogniem. Następnie wydobyl spomiędzy futer ceremonialny amauti, złożony z rytualną skrupulatnością. Ściągnął przez głowę parkę z kapturem i nałożył amauti. Lekko brzęknęły sznury paciorków tworzące zawiły geometryczny wzór. Potem szaman ze skrzyżowanymi nogami usiadł przed skrzynką.

Siedział przez chwilę, gładząc drewno sękatymi palcami, zniekształconymi po latach walki z wrogim środowiskiem. Potem otworzył skrzynkę i wyjął jeden z przedmiotów

12

spoczywających w środku. Obracał go w rękach, wyczuwał jego moc, słuchał uważnie jego przesłania. Potem odłożył go do skrzynki. Powtórzył to ze wszystkimi przedmiotami po kolei. Strach nie opuszczał szamana ani na chwilę. Tkwił głęboko w jego wnętrzu niczym niestrawiony tłuszcz wieloryba. Usuguk wiedział aż za dobrze, co znaczy zjawisko, które widzieli, ten groźny omen. To się zdarzyło przedtem tylko raz za pamięci ludu, wiele pokoleń temu, chociaż ta historia, przekazywana z ojca na syna przy ognisku, pozostała równie złowieszczą, jakby zdarzyła się wczoraj.

Tym razem jednak zjawisko wydawało się tak przerażająco nieproporcjonalne w stosunku do wykroczenia, które je sprowokowało...

Odetchnął głęboko. Wszyscy liczyli na niego, że przywróci pokój i równowagę w naturalnym porządku rzeczy. Uciążliwe zadanie. Lud tak się skurczył, że została tylko garstka wtajemniczonych, żeby przekazać mu starą sekretną wiedzę. A teraz nawet oni odeszli, przenieśli się do świata ducha. Ze znających tajemnice natury pozostał tylko on. Sięgnął pod amauti i wydobyl pęczek suszonych ziół i roślin, starannie związany smukłą łodygą topoli balsamicznej. Podniósł go wysoko obiema rękami, po czym włożył do ognia. Wzbiły się kłęby szarego dymu, wypełniając igloo zapachem pradawnego lasu. Powoli, z szacunkiem szaman wyjął przedmioty ze skrzynki i ułożył w półkolu przed ogniem. Czubek kła rzadkiego białego morsa upo-

13

lowanego przez jego praprapradziadka. Kamień barwy letniego słońca, wyrzeźbiony w kształcie głowy rosomaka. Róg karibu, rytualnie pocięty na dwadzieścia jeden kawałków, ozdobiony zawiłym deseniem maleńkich dziurek wykonanych szydłem i wypełnionych

ochrą.

Na koniec wyjął maleńką figurkę człowieka, sporządzoną ze skóry renifera, koca i kości słoniowej. Położył figurkę pośrodku półokręgu. Potem oparł dłonie płasko na podłodze igloo, opuścił brodę na pierś i pokłonił się nisko.

— Potężny Kuuk'juagu — zaintonował. — Łowco Mroźnych Pustkowi, Obrońco Ludu. Odwróć od nas swój gniew. Odejdź cicho w blasku księżyca. Powróć na ścieżkę pokoju. Dźwignął się z powrotem do pozycji siedzącej. Potem wziął pierwszy przedmiot w półkolu — kiel morsa — i obrócił go w prawo, przodem do figurki. Z dłonią zaciśniętą na kle, na wpół wyśpiewał, na wpół wyrecytował modlitwę pokutną żeby zmiękczyć serce Kuuk'juaga, błagać go o wybaczenie.

Wykroczenie miało miejsce poprzedniego ranka. W nawale codziennych zajęć Nulathe niechcący dopuściła, żeby ścięgna karibu dotknęły foczego mięsa. Była chora i zmęczona — to tłumaczyło jej niedopatrzenie. Niemniej popełniła zakazany czyn, złamała starożytne prawo. Teraz dusze martwych zwierząt, stanowiące swoje duchowe przeciwieństwa, zostały skalane. A Kuuk'juag, Łowca, poczuł ich gniew. I dlatego stało się to, co widziała mała gromadka Usuguka poprzedniej nocy na lodowym pustkowiu.

14

Modlitwa trwała dziesięć minut. Potem — powoli, ostrożnie — Usuguk przesunął pomarszczoną dłoń na następny przedmiot i znowu zaczął śpiewać.

Upłynęły dwie godziny, zanim zakończył ceremonię. Potem, pokłoniwszy się po raz ostatni przed figurką, odmówił pożegnalne błogosławieństwo, rozprostował nogi i podniósł się z bólem. Jeśli wszystko poszło dobrze — jeśli odprawił pokutne modlitwy należycie, na sposób przodków — skaza ich opuści i Łowca uśmierzy swój gniew. Szaman obszedł ognisko, najpierw zgodnie z ruchem wskazówek zegara, potem w przeciwną stronę. Następnie ukląkł przed skrzynką i zaczął wkładać przedmioty do środka, poczynając od figurki.

Wtedy usłyszał głosy dochodzące zza ścian śniegowego domu: szlochy, jęki, krzyki rozpaczy i przerażenia.

Wstał szybko, z sercem ściśniętym grozą. Narzucił parkę, odsunął skórę karibu i wyszedł na zewnątrz. Kobiety przed igloo lamentowały, wrywały sobie włosy i wskazywały na niebo. Podniósł wzrok i jęknął. Strach i panika, przytłumione podczas uspokajającej ceremonii, ogarnęły go ze zdwojoną siłą. Oni wrócili — i gorzej niż zeszłej nocy. Znacznie gorzej.

Ceremonia się nie powiodła.

Teraz jednak z okropną, narastającą pewnością Usuguk uświadomił sobie coś jeszcze. To nie był rezultat żadnego postępu Nulathe czy innych. To nie był zwykły gniew Kuuk'juaga czy jakaś przypadkowa profanacja. Tylko zła-

15

manie najważniejszego tabu mogło wywołać taką duchową furję, jakiej teraz był świadkiem. A Usuguk został ostrzeżony — jak wiele pokoleń przed nim — na czym to tabu polega.

Nie tylko ostrzeżony — Usuguk wiedział. I widział...

Spojrzał na kobiety, które wpatrywały się w niego oczami rozszerzonymi z lęku.

— Spakujcie, co trzeba — rozkazał. — Jutro ruszamy na południe. Na górę.

1

— Hej, Evan. Lunch?

Evan Marshall odłożył plastikową torebkę z zapięciem strunowym i wyprostował się, masując krzyż. Ostatnie dziewięćdziesiąt minut spędził z twarzą parę centymetrów nad ziemią, zbierając próbki osadu lodowcowego, więc dopiero po chwili wzrok mu się przyzwyczył. Głos należał do Sully'ego i teraz Marshall go dostrzegł: krępą, nieco korpulentną sylwetkę w podbitej futrem parce, stojącą z założonymi rękami trzydzieści metrów wyżej na stromym zboczu. Za nim wznosił się ostatni jezior lodowca Fear, głęboki, tajemniczy błękit pocięty białymi liniami pęknięć. Wielkie lodowe głązy leżały rozrzucone wzdłuż podstawy niczym niezliczone ogromne diamenty wśród przypominających sztylety odprysków wiekowej lawy. Marshall otworzył usta, zamierzając ostrzec Sully'ego, żeby nie stał tak blisko — lodowiec był równie niebezpieczny jak piękny, ponieważ nadeszło ocieplenie i front lodu celił się groźnymi odłamkami w bezprecedensowym tempie — szybko

17

jednak się rozmyślił. Gerard Sully był dumny ze swojej pozycji nominalnego przywódcy i nie lubił, żeby mu zwracano uwagę. Marshall więc pokręcił tylko głową.

— Chyba zrezygnuję, dzięki.

— Jak sobie chcesz. — Sully odwrócił się w stronę Wrighta Faradaya, biologa ewolucjonisty w zespole, który trzymał się trochę niżej. — A ty, Wright?

Faraday podniósł wodniste niebieskie oczy, dziwnie powiększone za szklami okularów w

szylkretowych oprawkach. Cyfrowy aparat fotograficzny dyndał mu na szyi, zawieszony na grubym pasku.

— Ja nie — odparł, marszcząc brwi, jakby sam pomysł przerwy na posiłek w ciągu dnia pracy uważał poniekąd za herezję.

— Chcecie się głodzić, proszę bardzo. Tylko potem mnie nie proście, żebym coś przyniósł.

— Nawet lodą? — zapytał Marshall.

Sully uśmiechnął się kwaśno. Był równie niski jak Napoleon i emanował egotyzmem połączonym z niepewnością, którą to kombinację Marshall uważał za wyjątkowo irytującą. Jakoś to znosił na uniwersytecie, gdzie Sully był tylko jednym z wielu aroganckich naukowców, ale tutaj, na lodzie, skazany na jego towarzystwo, powoli dostawał szału. Chyba powinienem się cieszyć, pomyślał, że ekspedycja została zaplanowana tylko na parę tygodni.

— Wyglądasz na zmęczonego — zauważył Sully. — Znowu wychodziłeś wczoraj wieczorem?

Marshall przytaknął.

18

— Lepiej uważaj. Możesz wpaść do tunelu lawowego i zamarznąć na śmierć.

— Dobrze, mam. Będę uważał.

— Albo napotkać niedźwiedzia polarnego czy coś w tym rodzaju.

— Nie szkodzi. Marzę o inteligentnej konwersacji.

— To nie żart, nie chcesz nosić broni i w ogóle.

Rozmowa zmierzała w kierunku, który nie podobał się Marshallowi.

— Słuchaj, jeśli spotkasz Anga, powiedz mu że mam tu więcej próbek, które trzeba przewieźć do laboratorium.

— Dobrze. Będzie zachwycony.

Marshall patrzył, jak klimatolog ostrożnie ich omija i schodzi po rumowisku do stóp góry, gdzie stała ich baza. Nazywał to „ich bazą”, chociaż oczywiście należała do amerykańskiego rządu: oficjalnie znana jako Instalacja Zdalnego Nasłuchu Mount Fear, zamknięta przed pięćdziesięciu laty, niska, szara, rozłożysta, utylitarna budowla, najeżona czasami radarów i innymi pozostałościami z okresu zimnej wojny. Za nią rozciągał się

polarny krajobraz wiecznej zmarzliny i pokładów lawy wyplutych przed wiekami z wnętrza góry, popękany i poszarpany, jakby ziemia sama się rozerwała w geologicznej agonii. W wielu miejscach powierzchnia kryła się pod wielkimi polami śniegowymi. Nie było żadnych dróg, żadnych innych budynków, żadnego życia. Miejsce równie odległe, nieprzyjazne i obce jak Księżyc.

Marshall przeciągnął się, spoglądając na posepny pejzaż. Nawet po czterech tygodniach w terenie trudno było uwie-

19

rzyć, że gdzieś może istnieć takie pustkowię. No ale wszystko, co miało związek z tą ekspedycją, od początku wydawało się trochę nierealne. Nierealne, że taki gigant medialny jak Terra Prime rozpatrzył pozytywnie podania o granty złożone przez czterech naukowców z Uniwersytetu Northern Massachusetts, których nie łączyło nic oprócz zainteresowania globalnym ociepleniem. Nierealne, że rząd wydał im zezwolenie na korzystanie z bazy Fear, co prawda obwarowane ścisłymi ograniczeniami i za wygórowaną opłatą. I nierealne, że samo zjawisko ocieplenia przebiegało z taką niesamowitą, zatrważającą szybkością.

Odwrócił się z westchnieniem. Kolana go bolały od wielogodzinnego kucania nad moreną czołową i pobierania próbek. Prawie odmroził nos i czubki palców. Na domiar złego śnieg zmienił się w rzadką, marznącą mżawkę, która powoli przesiąkała przez trzy warstwy ubrania i docierała do najbardziej intymnych zakamarków jego ciała. Lecz o tej porze roku dzień był krótki i okno ekspedycji szybko się zamykało. Marshall dotkliwie uświadamiał sobie, jak mało zostało mu czasu. Zdaży się najeść po powrocie do Wobum, w Massachusetts.

Odwrócił się po torebki z próbkami i usłyszał, jak Faraday mówi:

- Pięć lat temu, nawet dwa, nigdy bym w to nie uwierzył. Deszcz!
- To nie deszcz, Wright. To deszcz ze śniegiem.
- Mała różnica. Deszcz w Strefie, na progu zimy? Niewiarygodne.

20

Strefą nazywano rozległy obszar północno-wschodniej Alaski, graniczący z Morzem Arktycznym, wciśnięty pomiędzy Arktyczny Narodowy Rezerwat Przyrody z jednej strony a Jukoński Park Narodowy Iwavik z drugiej. Była to kraina tak zimna i jałowa, że nikt nie chciał mieć z nią nic wspólnego; temperatura z trudem wznosiła się powyżej minus siedemnastu tylko przez parę miesięcy w roku. Przed laty rząd nadał tym terenom status

Federalnej Strefy Chronionej i szybko o nich zapomniał. Marshall obliczył, że na całych ośmiu tysiącach kilometrów kwadratowych Strefy znajdują się najwyżej dwa tuziny ludzi: ich własny pięcioosobowy zespół naukowców, szkieletowa czteroosobowa obsada bazy, mała grupka rdzennych Amerykanów na północy oraz garstka turystów i samotników, na tyle ekstremalnych czy ekscentrycznych, że nie zadowalało ich nic prócz całkowitej dziczy. Dziwnie pomyśleć, że dalej na północ nie było prawie nikogo.

Nagły, potężny huk, niczym wystrzał z armaty, wstrząsnął lodowcową doliną z siłą trzęsienia ziemi. Dźwięk przetoczył się echem przez tundrę w dole, pogwałcił uroczystą ciszę, odbijał się tam i z powrotem niczym piłka tenisowa, cichnąc powoli w bezkresnej dali. W górze oderwało się czoło lodowca i tony śniegu z lodem runęły na zamrożone rumowisko, spiętrzone pod frontową ścianą. Marshall poczuł nieprzyjemne szarpnięcie w piersi. Nieważne, ile razy słyszał ten dźwięk, jego gwałtowność zawsze szokowała.

Faraday wskazał w stronę obwału.

— Widzisz? Dokładnie o tym mówię. Lodowiec dolinny,

21

taki jak Fear, powinien zwęzać się w ładny, cienki front lodowy, z minimum wody z roztopionego śniegu i zdrową strefą perkolacyjną. Ale ten się cieli jak lodowiec pływowy. Mierzyłem średnie tempo topnienia...

— To działka Sully'ego, nie twoja.

— ...i wykracza poza skalę. — Faraday pokręcił głową. — Deszcz, bezprecedensowe topnienie... i dzieją się też inne rzeczy. Jak zorza polarna przez ostatnie kilka nocy.

Zauważyłeś ją?

— Oczywiście. Jeden kolor... spektakularne. I niezwykle.

— Niezwykle — powtórzył Faraday z namysłem.

Marshall nie odpowiedział. Przekonał się na własnej skórze, że każda ekspedycja naukowa, nawet taka mała jak ta, ma swoją Kasandrę. Wright Faraday — z rozległą wiedzą, pesymistycznym spojrzeniem na świat, mrocznymi teoriami i szokującymi przepowiedniami — po mistrzowsku odgrywał tę rolę. Marshall rzucił w stronę biologa ukradkowe spojrzenie. Chociaż znał go luźno z uniwersytetu, a teraz spędził miesiąc w jego towarzystwie, nadal nie potrafił odgadnąć jego motywów.

A jednak, rozmyślał, kiedy napełniał i zamykał nową torebkę, zapisywał lokalizację próbki w notesie, mierzył i fotografował miejsc wydobywania, Faraday miał trochę racji. Przecież

właśnie dlatego on sam zbierał próbki w niemal gorączkowym tempie. Lodowiec stanowił prawie idealne miejsce dla jego badań. W trakcie formowania się i gromadzenia śniegu uwieźił pozostałości organiczne: pyłki,

22

włókna roślinne, szczątki zwierząt. Później, kiedy lodowiec się cofał i powoli topniał, z wdziękiem odsłaniał ponownie te sekrety. Idealny prezent dla paleoekologa, skarbnica wiedzy o przeszłości.

Tylko że regresja tego lodowca nie miała w sobie ani odrobiny wdzięku. Rozpadał się na kawałki z alarmującą szybkością — i zabierał ze sobą swoje sekrety.

Jak na dany znak rozległa się następna ogłuszająca eksplozja i następna ogromna kaskada lodu spłynęła po czole lodowca. Marshall spojrzął w stronę źródła dźwięku z mieszaniną zniecierpliwienia i irytacji. Tym razem odpadł znacznie większy fragment czoła. Z westchnieniem ekolog pochylił się nad okazami, a potem nagle wyprostował się i znowu spojrzął w stronę lodowca. Wśród potrzaskanych brył lodowych przy podstawie dostrzegł kawałek górskiego zbocza, odsłonięty na skutek cielenia. Wpatrywał się w niego przez chwilę. Potem zawołał do Faradaya:

— Masz tam lornetkę polową?!

— Mam.

Marshall podszedł do niego. Biolog wyjął lornetkę z kieszeni i trzymał w grubej rękawicy. Marshall wziął lornetkę, chuchnął na soczewki, żeby je ogrzać, przetarł zaparowane szkła i skierował na lodowiec.

— Co tam jest? — zapytał Faraday z podnieceniem rodzącym się w głosie. — Co widzisz?

Marshall oblizał wargi i wbił wzrok w to, co odkrył spadający lód.

— To jaskinia — odpowiedział.

2

Godzinę później stali przed lodowym rumowiskiem u podnóża lodowca Fear. Marznący deszcz przestał padać i wątle promienie słońca usiłowały przebić spizową powłokę chmur. Marshall dla rozgrzewki energicznie roztarł ramiona. Spojrzął na małą grupkę ludzi. Sully wrócił i przyprowadził Anga Chena, doktoranta. Oprócz Penny Barbour, informatyczki, cały zespół zgromadził się przy morenie czołowej.

Jaskinia leżała prosto przed nimi, czarna dziura na tle czystego błękitnego lodu.

Przypominała Marshallowi wylot lufy monstrualnego działa. Sully zaglądał do środka, w roztargnieniu przygryzając dolną wargę.

— Prawie idealny walec — zauważył.

— To na pewno przewód boczny — oświadczył Faraday. — Mount Fear jest nimi podziurawiona.

— Podstawa tak — przyznał Marshall. — Ale na tej wysokości to bardzo niezwykle. Nagle kolejny fragment lodowego czoła oderwał się od

24

lodowca jakieś półtora kilometra dalej na południe. Błękitne bryły wielkości domów zwały się na rumowisko i wzbily chmurę ostrych odłamków. Chen wzdrygnął się gwałtownie, a Faraday zakrył uszy przed grzmotem. Marshall skrzywił się, czując pod nogami drżenie góry.

Upłynęło kilka minut, zanim echa ucichły. W końcu Sully chrząknął. Przeniósł wzrok z czoła lodowca na wylot jaskini, a potem na Chena.

— Masz kamerę wideo?

Chen kiwnął głową i poklepał torbę ze sprzętem zarzuconą na ramię.

— Włącz.

— Chyba nie zamierasz wejść do środka? — zapytał Faraday.

Zamiast odpowiedzieć, Sully wyprostował się na całe metr sześćdziesiąt siedem wzrostu, wciągnął brzuch i poprawił kaptur parki, przygotowując się do zdjęć.

— To nie jest dobry pomysł — ciągnął Faraday. — Wiesz, jakie kruche są pokłady lawy.

— To nie wszystko — dodał Marshall. — Widziałeś, co się stało przed chwilą? W każdej chwili może się oderwać więcej lodu i zasypać wejście.

Sully z wahaniem popatrzył na otwór.

— Oni by chcieli, żebyśmy tam weszli.

„Oni” oznaczało Terra Prime, kanał kablówki poświęcony nauce i przyrodzie, który pokrywał koszty ekspedycji.

Sully potarł policzek urękawiczoną dłonią.

— Evan, Wright, możecie tu zostać. Ang pójdzie za

25

mną z kamerą. Jeśli coś się stanie, ściągnijcie chłopców z armii, żeby nas odkopali.

— Do diabła z tym! — oświadczył natychmiast Marshall i wyszczerzył zęby. — Jeśli

znajdziecie ukryty skarb, chcę swoją dolę.

— Sam mówiłeś, że to niebezpieczne.

— Tym bardziej potrzebujecie pomocnika — odparł Marshall.

Sully buńczucznie wysunął dolną wargę. Marshall jednak się nie ugiął i klimatolog w końcu ustąpił.

— Okay. Wright, wrócimy jak najszybciej.

Faraday zamrugał wodnistymi niebieskimi oczami, ale nie odezwał się słowem.

Sully strzepnął z parki zabłąkane płatki śniegu i ponownie odchrząknął. Trochę niepewnie podniósł wzrok na ścianę lodu. Potem przybrał przed kamerą odpowiednią pozę.

— Stoimy przed czołem lodowca — oznajmił zniżonym, uroczystym tonem. —

Cofający się lód odsłonił jaskinię wtuloną w zbocze góry. Zamierzamy ją zbadać.

Zrobił dramatyczną przerwę, po czym dał znak Chenowi, żeby przerwał nagrywanie.

— Naprawdę powiedziałeś „wtuloną”? — zapytał Marshall.

Sully go zignorował.

— Chodźmy. — Z kieszeni parki wyciągnął dużą latarkę. — Ang, prowadź mnie kamerą, kiedy wejdziemy do środka.

Ruszył przodem, a tyczkowaty Chen posłusznie podreptał

26

za nim. Po chwili Marshall wyjął własną latarkę i pospieszył ich śladem.

Powoli, ostrożnie posuwali się przez zwałowisko. Niektóre bloki lodu miały wielkość pięści; inne wielkość hangaru. W słabym słońcu lśniły bladym błękitem październikowego nieba. Strumyczki wody ściekały z topniejących brył. Potem na trzech mężczyzn padł cień lodowca. Marshall z obawą spoglądał na wyniosłą ścianę lodu, ale nic nie mówił.

Z bliska wylot jaskini wydawał się jeszcze czarniejszy. Buchało z niego zimno, które szczypało na wpół odmrożony nos Marshalla. Jak zauważył Sully, otwór był całkiem okrągły: typowy boczny komin wygasłego wulkanu. Lodowiec wygładził zbocze dookoła niemal do lustrzanego połysku. Sully dźgnął ciemność promieniem latarki. Potem odwrócił się do Chena.

— Wyłącz to na chwilę.

— Okay. — Doktorant opuścił kamerę.

Sully przystanął, potem spojrzął na Marshalla.

— Faraday nie żartował. Ta cała góra to jedna wielka kupa popękanej lawy. Uważaj na

słabe miejsca. Jeśli kanał okaże się niestabilny, natychmiast zawracamy.

Obejrzał się na Chena, skinął głową, żeby znowu filmować.

— Wchodzimy do środka — zaintonował na użytek kamery.

Potem odwrócił się i wszedł do jaskini.

Sklepienie okazało się niezbyt niskie — co najmniej trzy

27

metry — jednak Marshall skulił się instynktownie, wchodząc do środka za Chenem.

Jaskinia wwiercała się prosto w górę, opadając pod łagodnym kątem. Przesuwali się ostrożnie, omiatając promieniami latarek ściany z lawy. Tutaj było jeszcze zimniej niż na lodowym polu i Marshall ciasno ściągnął wokół twarzy kaptur parki.

— Stójcie! — zawołał.

Promień wychwycił w zwojach lawy cienką jak włos szczelinę. Marshall przesunął światłem po całej jej długości, potem nacisnął ostrożnie jedną ręką.

— Wygląda solidnie — ocenił.

— Więc idziemy dalej — zarządził Sully. — Powoli.

— Zdziwiająco, że tunel się nie zawalił pod ciężarem lodowca — powiedział Chen.

Wchodzili dalej w głąb jaskini, stawiając ostrożne kroki. Odzywali się zniżonymi głosami, prawie szeptali.

— Tutaj pod śniegiem jest powłoka lodu — orzekł Sully po minucie. — Pokrywa całą podłogę. Zdziwiająco równa.

— I robi się coraz grubsza, im głębiej wchodzimy — dodał Marshall. — Widocznie kiedyś ten przewód boczny wypełniała woda.

— No, musiała zamarznąć niezwykle szybko — podjął Sully — bo...

Ale w tej samej chwili pośliznął się i upadł ciężko na lód, kwiknąwszy z zaskoczenia.

Marshall skulił się z sercem w gardle, spodziewając się, że sufit zaraz się na nich zawali.

Ale kiedy nic się nie stało

28

i zobaczył, że Sully jest cały i zdrowy, strach przerodził się w rozbawienie.

— Masz to na filmie, Ang?

Doktorant pomimo nagłej bladości wyszczerzył zęby.

— Jasne.

Sully mozolnie dźwignął się na nogi, marszcząc brwi i strzepując śnieg z kolan. Podobnie

jak kot, nienawidził tracić godności.

— To jest poważna chwila, Evan. Pamiętaj o tym.

Teraz posuwali się jeszcze wolniej. Panowała głęboka cisza, tylko śnieg chrzęścił pod nogami. Z obu stron otaczały ich ciemne ściany prastarej lawy. Sully prowadził ostrożnie, odgarniając śnieg butami i omiatając światłem latarki drogę przed sobą.

Chen zerknął w ciemność z przodu.

— Zdaje się, że jaskinia się rozszerza.

— To dobrze — odparł Sully — bo warstwa lodu robi się grubsza i...

Nagle znowu upadł. Ale nie wykonał niezgrabnej powtórki: Marshall natychmiast zrozumiał, że tym razem klimatolog przewrócił się ze zdumienia. Sully gorączkowo odgarniał śnieg pod nogami i świecił w głąb lodu. Chen padł na kolana obok niego, chwilowo zapomniawszy o kamerze. Marshall szybko podszedł bliżej i spojrzał na lód. Z dreszczem bynajmniej niewywołanym przez zimno zobaczył, co znalazł Sully. Uwięziona pod lodową podłogą para oczu wielkości pięści — żółtych, z czarnymi owalnymi źrenicami — nieustępliwie odwzajemniała jego spojrzenie.

3

Chociaż podczas wchodzenia usta im się nie zamykały, schodzili z góry w milczeniu. Marshall odgadywał, o czym wszyscy myślą. To odkrycie zmieni ich dotąd spokojną nieefektywną wręcz monotonną ekspedycję. W jaki sposób zmieni — tego żaden z naukowców nie wiedział. Ale od tej pory wszystko będzie inaczej.

Jednocześnie, w co nie wątpił, wszyscy zadawali sobie w duchu jedno pytanie: „Co to jest, do cholery?”.

Sully przerwał milczenie.

— Powinniśmy byli pobrać rdzeń lodowy do testów.

— Jak myślisz, długo to tam jest? — zapytał Chen.

— Fear to lodowiec MIS-2* — odparł Marshall. — Ta jaskinia była zagrzebana przynajmniej przez dwanaście tysięcy lat. Może znacznie dłużej.

* MIS {Marinę Isotope Stage) — występujące naprzemiennie ciepłe i zimne okresy w paleoklimacie Ziemi, określane na podstawie badań izotopu tlenu (odzwierciedlających krzywe temperatury), uzyskiwanych z próbek rdzenia z dna morskiego; każdy etap oznacza glacjał, interglacjał, stadia! lub interstadiał; MIS-2 oznacza zlodowacenie sprzed około 10

000 lat.

30

Znowu zapadło milczenie. Słońce wreszcie zdołało przepalić nisko wiszące chmury i opadając w stronę horyzontu, zapaliło w zbitym śniegu płomienne blaski. Marshall z roztargnieniem wyciągnął z kieszeni i założył przeciwsłoneczne gogle. Pomyślał o niezgłębionej czerni tamtych martwych źrenic pod lodem.

— Która jest godzina w Nowym Jorku? — zapytał w końcu Sully.

— Wpół do dziewiątej — odparł Faraday.

— Poszli do domu. Spróbujemy z samego rana. Ang, dopilnuj, żeby uruchomić telefon satelitarny przed śniadaniem.

— Jasne, ale muszę poprosić Gonzaleza o nowe baterie, bo...

Chen urwał w połowie zdania. Marshall podniósł wzrok i natychmiast zrozumiał przyczynę. Baza — długi, niski budynek pokryty zaciekami rdzy, ponury w dogasającym słońcu — leżała kilkaset metrów niżej. Minęli łagodne zakole doliny lodowcowej i teraz mieli przed sobą główne wejście zabezpieczone ogrodzeniem. Penny Barbour, informatyk zespołu, stała na betonowej płycie pomiędzy wartownią a głównymi drzwiami, ubrana w dżinsy i kraciatą flanelową koszulę. W nieruchomym powietrzu jej krótkie włosy opadły płasko na czoło. Za nią stał Paul Gonzalez, sierżant dowodzący miniaturowym oddziałem, który utrzymywał nominalną gotowość bojową bazy Fear.

Otaczały ich cztery postacie w ciężkich parkach, spod-

31

Iliach z futra polarnego niedźwiedzia i skórzanych muk-lukach. Jedna postać trzymała karabin; pozostałe miały włócznie albo łuki na plecach. Chociaż Marshall nie widział ich twarzy, miał pewność, że to rdzenni Amerykanie z małego obozowiska na północy.

Naukowcy przyspieszyli kroku. Marshall sam nie wiedział, czy powinien czuć ciekawość, czy strach. Chociaż przebywali tutaj od miesiąca, nie mieli żadnych kontaktów z tubylcami. Właściwie wiedzieli o ich istnieniu tylko dlatego, że żołnierze w bazie wspomnieli o nich przelotnie. Dlaczego miejscowi wybrali akurat ten dzień, żeby złożyć wizytę?

Kiedy badacze minęli pustą wartownię i podeszli do wejścia, wszyscy się na nich obejrzel.

— Ta grupka zapukała do drzwi dosłownie dwie minuty temu — oznajmiła Penny z silnym akcentem z północnego Londynu. Jej pospolita, sympatyczna twarz ściągnęła się z niepokoju. — Sierżant i ja wyszliśmy do nich.

Sully spojrział na Gonzaleza.

— Czy to się przedtem zdarzało?

Gonzalez miał około pięćdziesiątki, krzepką sylwetkę i jasne oczy wyrażające fatalizm typowy dla zawodowego żołnierza.

— Nie.

Wyjął radio, żeby zaalarmować resztę oddziału, ale Sully pokręcił głową.

— To nie będzie konieczne, prawda? — A potem zwrócił się do Barbour. — Lepiej nie stój na mrozie.

32

Odprowadził ją wzrokiem, kiedy ruszyła do głównego wejścia, po czym odchrząknął i odwrócił się do gości.

_ Wejdziecie do środka? — zapytał, powoli wymawiając każde słowo i wskazując w stronę drzwi.

Rdzenni Amerykanie nie odpowiedzieli. Marshall widział, że grupka składa się z trzech kobiet i mężczyzny, znacznie od nich starszego. Twarz miał pobrużdżoną, niemal wygarbowaną przez lata mrozu i słońca, oczy brązowe, czyste i głębokie. Nosił duże kolczyki z kości, wyrzeźbione w fantastyczne wzory; futrzany kołnierz jego parki zdobiły pióra, a na policzkach widniały ciemne tatuaże szamana. Gonzalez wspominał, że grupa żyje w bardzo prymitywnych warunkach, ale patrząc na włócznie i zwierzęce skóry, Marshall pomyślał, że nie miał pojęcia, w jak bardzo prymitywnych.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza, maćona tylko pomrukiem pobliskich generatorów. Potem znowu odezwał się Sully.

— Przyszliście z osady na północy? To długa podróż i na pewno jesteście zmęczeni. Czy możemy coś dla was zrobić? Chcecie coś do jedzenia albo picia?

Brak odpowiedzi.

Sully powtórzył powoli i z naciskiem, jakby zwracał się do półgłówków:

— Chcecie jeść? Pić?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, odwrócił się z westchnieniem.

Tak do niczego nie dojdziemy.

33

— Pewnie nie rozumiem ani słowa — stwierdził Gonzalez.

Sully kiwnął głową.

— A ja nie mówię po inuicku.

— Tunit — powiedział starzec.

Sully odwrócił się szybko.

— Słucham?

— Nie Inuit. Tunit.

— Bardzo przepraszam. Nigdy nie słyszałem o Tuni-tach. — Sully lekko klepnął się w pierś. — Nazywam się Sully. — Przedstawił Gonzaleza i naukowców. — Kobieta, którą poznałeś, to Penny Barbour.

Starzec dotknął własnej piersi.

— Usuguk. — Nie przedstawił kobiet.

— Miło mi was poznać — powiedział Sully, jak zwykle grając rolę przywódcy zespołu.
— Zechcecie wejść do środka?

— Pytałeś, czy możesz coś dla nas zrobić — powiedział Usuguk. Marshall zauważył ze zdumieniem, że starzec mówi bez żadnego obcego akcentu.

— Tak — potwierdził Sully, równie zdumiony.

— Możecie coś zrobić... coś bardzo ważnego. Możecie stąd odejść. Dzisiaj. I nigdy nie wracać.

Na te słowa Sully zaniemówił.

— Dlaczego? — zapytał Marshall po chwili.

Starzec wskazał w stronę Mount Fear.

— Tym miejscem rządzi zło. Wasza obecność tutaj jest zagrożeniem dla nas wszystkich.

34

— Zło? — powtórzył Sully, odzyskując rezon. — To znaczy wulkan? Jest wygasły, nieczynny.

Tunita spojrział na niego. Zachodzące słońce podkreśliło bruzdy na twarzy starca, tworząc surowy relief, maskę dojmującego strachu.

— Jakie zło? — zapytał Marshall.

Usuguk nie chciał wyjaśnić.

— Nie powinniście tu być — oświadczył. — Wtrącacie się w nie swoje sprawy. I rozniewialiście najstarszych. Bardzo rozniewialiście.

— Najstarszych? — podchwycił Sully.

— Zwykle są... — Usuguk przez chwilę szukał słowa — łaskawi. — Otwartą dłonią

zatoczył półokrąg. — W dawnych czasach wszyscy ludzie tutaj, ci z bronią i w mundurach, zostawali za metalowymi ścianami, które wybudowali. Nawet dzisiaj żołnierze nigdy się nie zapuszczają w zakazane miejsce.

— Nie wiem nic o żadnym zakazanym miejscu — burknął Gonzalez. — Ale wolę siedzieć w cieple, zamiast wystawiać tyłek na mróz.

Usuguk wciąż wpatrywał się w Sully'ego.

— Wy jesteście inni. Wkroczyliście na teren, gdzie żaden żywy człowiek nie ma prawa wejść. I teraz najstarsi się gniewają jak jeszcze nigdy za pamięci mojego ludu. Ich gniew maluje niebo krwią. Niebo krzyczy z bólu jak kobieta w połogu.

— Nie wiem, o co ci chodzi — powiedział Sully. — Ale dziwny kolor nocnego nieba to po prostu aurora bo-

35

realis. Zorza polarna. Wytwarza ją wiatr słoneczny, który przenika ziemskie pole magnetyczne. Przyznaję, że kolor jest dość niezwykły, ale z pewnością już to widziałeś. — Sully odgrywał teraz dobrotliwego ojca rodziny, uśmiechnięty, protekcyjny, jak dorosły wyjaśniający coś małemu dziecku. — Gazy w atmosferze oddają nadmiar energii w postaci światła. Różne gazy emitują fotony na różnych długościach fal.

Ten wykład najwyraźniej nie zrobił wrażenia na Usu-guku.

— Jak tylko zobaczyliśmy, że duchowy lud się rozgniewał, wyruszyliśmy w drogę.

Wędrowaliśmy bez odpoczynku, bez jedzenia, aż przyszlismy tutaj.

— Tym bardziej powinniście wejść do środka — powołał zaproszenie Sully. — Damy wam jedzenie, coś gorącego do picia.

— Dlaczego góra jest zakazana? — zapytał Marshall.

Szaman odwrócił się do niego.

— Czy nie rozumiecie? Słyszeliście moje ostrzeżenie. Teraz nie chcecie go rozważyć? Góra jest miejscem ciemności. Musicie odejść.

— Nie możemy odejść — odparł Sully. — Jeszcze nie teraz. Ale za parę tygodni, dwa czy trzy, i tak wyjedziemy. A do tego czasu damy wam słowo, że...

Ale szaman odwrócił się w stronę tunickich kobiet.

— Anyok lubyar tussarnek — powiedział.

Jedna z kobiet rozplakała się w głos. Usuguk znowu się odwrócił i popatrzył na każdego naukowca po kolei z takim

smutkiem i strachem, że Marshallowi zjeżyły się włosy na karku. Potem szaman wyciągnął spod parki mały woreczek, zanurzył w nim palec i namazał kilka znaków na zamrzniętej ziemi ciemnym płynem, tak lepkiem, że mógł być tylko krwią. Po czym — intonując coś we własnym języku cichym, modlitewnym tonem — odwrócił się i ruszył za kobietami, które odchodziły już po wiecznej zmarzlinie.

4

Przez następne dwa dni lodowaty wiatr dmuchał z północy, przynosząc słoneczną pogodę i ostry mróz. O jedenastej przed południem trzeciego dnia Marshall, Sully i Faraday wyszli z bazy i pomaszerowali przez zamrzniętą równinę, ciągnącą się bez końca na południe od Mount Fear. Ranek był piękny, niebo bez jednej chmurki wyglądało jak kopuła arktycznego błękitu. Zmarzlina pod nogami osiągnęła twardość betonu. Temperatura wahała się około minus siedemnastu stopni Celsjusza, a lodowiec przynajmniej na jakiś czas przestał tak okropnie trzeszczeć i jęczeć.

Rozmyślania Marshalla przerwał nagle niski warkot, dziwacznie rozrzedzony w arktycznej mroźnej ciszy. Nad południowym horyzontem pojawił się punkcik. Powoli urósł do rozmiarów helikoptera lecącego na niskim pułapie w ich kierunku.

Faraday prychnął niechętnie.

— Nadal uważam, że powinniśmy byli poczekać kilka dni. Dlaczego musieliśmy od razu to zgłaszać?

38

— Taka była umowa — odparł Sully, wpatrzony w coraz bliższy helikopter. —

Dowiedzieliby się, gdybyśmy zwlekali.

Faraday mruknął coś, wyraźnie nieprzekonany.

Sully spojrzał surowo na biologa.

— Przecież ostrzegałem. Kto zawiera pakt z diabłem, niech nie narzeka na skutki.

Nikt nie odpowiedział. Nikt nie musiał.

Uniwersytet Northern Massachusetts nie pretendował do miana pierwszorzędnej instytucji naukowej. Skoro brakowało pieniędzy na granty, uczelnia zastosowała stosunkowo nową taktykę: zdobywała fundusze na ekspedycje od konsorcjów medialnych w zamian za wyłączne prawa i dostęp. Temat globalnego ocieplenia, chociaż niezbyt frapujący, był aktualny. Terra Prime sfinansowała wyprawę, podobnie jak pół tuzina innych — grupę

badającą medycynę naturalną w dżungli amazońskiej, inną, odkopującą potencjalny grób króla Artura — licząc na przynajmniej jeden dokument naukowy wart rozpowszechniania. Od tygodni Marshall trzymał kciuki w nadziei, że dokończą badania i wyjadą, nie zwracając na siebie uwagi. Teraz ta nadzieja przysła.

Naukowcy przysunęli się do siebie, kiedy helikopter nadleciał, zatoczył krąg nad obozem i usiadł na stosunkowo równym kawałku terenu, mocno ubijając śmigłami powietrze. Drzwi po stronie pasażera otwały się i wyskoczyła kobieta. Miała na sobie skórzaną kurtkę i dzinsy. Długie czarne włosy rozsypały się na kołnierzu, tańcząc w po-

39

dmuchach wiatru. Kobieta była smukła, w wieku około trzydziestu lat, a kiedy się odwróciła, żeby sięgnąć po bagaż, Marshall dostrzegł zgrabny tyłeczek.

— Całkiem ładny diabeł — mruknął.

Kobieta taszczyła bagaże w ich stronę, schylona pod wirującymi śmigłami. Odwróciła się, żeby pomachać pilotowi na pożegnanie; ten pozdrowił ją podniesionym kciukiem, podgazował silnik, szybko poderwał maszynę i skręcił ostro na południe, tam, skąd przyleciał.

Naukowcy wyszli na spotkanie gościa. Sully zdjął rękawicę i spiesznie wyciągnął rękę.

— Jestem Gerard Sully — powiedział. — Klimatolog i kierownik zespołu. To są Evan Marshall i Wright Faraday.

Kobieta po kolei uściśnęła im dłonie, krótko i profesjonalnie.

— A ja jestem Kari Ekberg, producent terenowy Terra Prime. Gratulacje z okazji odkrycia.

Sully wziął jedną torbę, Marshall drugą.

— Producent? — powtórzył Sully. — Więc pani tym kieruje?

Ekberg zaśmiała się.

— Bynajmniej. Przekona się pan, że na takim planie jak tutaj każdy z podkładką to producent.

— Na planie? — powtórzył Marshall.

— Dla nas to plan. — Przystanąła i rozejrzała się uważnie, jakby oceniała dramatyczny potencjał krajobrazu.

— Trochę za lekko się pani ubrała jak na Federalną Strefę Chronioną — zauważył Marshall.

— Widzę. Prawie całe życie mieszkałam w Savannah. Najzimniejsze miejsce, w jakim dotąd byłam, to Nowy Jork w lutym. Poproszę, żeby załoga przywiozła mi coś z Mountain Hardwear.

— Za lekko ubrana czy nie jest pani najładniejszą istotą w tej bazie — oświadczył Sully. Ekberg przestała studiować widoki i zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głów. Nic nie powiedziała, tylko uśmiechnęła się lekko, jakby już zdążyła wyrobić sobie o nim opinię. Sully poczerwieniał i odchrząknął.

— No więc wracamy? Proszę uważać pod nogi... grunt jest podziurawiony starymi tunelami lawowymi.

Ruszył przodem, dyskutując z Faradayem o porannych badaniach. Ekberg niczym nie kierowała i nie reagowała na jego niezdarne zaloty; to wystarczyło, żeby przestał się nią interesować. Zostawił ją w towarzystwie Marshalla.

— Zaciekawilo mnie, co pani przed chwilą powiedziała — odezwał się Marshall. — Że teren naszej ekspedycji to plan.

— Nie chciałam popełnić nietaktu. Oczywiście dla was to miejsce pracy. Po prostu przy takich zdjęciach najważniejsze jest tempo. Nie mamy dużo czasu. Poza tym wasza grupa na pewno woli, żebyśmy się wynieśli jak najszybciej. To moja praca: zorganizować przedstawienie.

— Zorganizować przedstawienie?

— Zbadać lokalizację, ułożyć harmonogram. Głównie wyznaczyć trajektorię, żeby producent i aktor mieli przetartą ścieżkę, kiedy już wylądują.

Marshalla dziwiła ta rozmowa: producent, aktor. Podobnie jak pozostali naukowcy zakładał, że Terra Prime przyśle jedną osobę, najwyżej dwie: kogoś do trzymania kamery i kogoś, żeby stanął przed nią od czasu do czasu.

— Więc pani odwała całą czarną robotę, a potem przyjeżdżają grube ryby i zagarniają sławę dla siebie.

Ekberg roześmiała się: czysty, bogaty kontrakt zadzwięczał nad wieczną zmarzliną.

— Mniej więcej na to wychodzi.

Dotarli do punktu kontrolnego, od dawna nieużywanego. Ekberg wytrzeszczyła oczy w nieukrywanym zdumieniu.

— Mój Boże. Nie miałam pojęcia, że to jest takie duże.

— A czego się pani spodziewała? — zapytał Sully. — Igloo i namiotów?

— Właściwie większość bazy jest pod ziemią — podjął Marshall, kiedy minęli ogrodzenie i szli po betonie. — Zbudowali ją w naturalnym zagłębieniu, wstawili prefabrykowane sekcje, wypełnili puste miejsca zamrożoną ziemią i pumeksem. Widoczne struktury to w większości systemy mechaniczne albo techniczne: elektrownia, czasy radarów, takie rzeczy. Architekci pragnęli zminimalizować wizualną sygnaturę bazy. Dlatego zbudowano ją w cieniu jedynej góry w promieniu wielu kilometrów.

42

— Od jak dawna baza jest nieczynna?

— Długo — odparł Marshall. — Prawie od pięćdziesięciu lat.

— Mój Boże. Więc kto ją konserwuje? No wie pan, pilnuje, żeby toalety się nie zatkały i tak dalej.

— Rząd nazywa to minimalnym przydziałem konserwatorskim. Kilku żołnierzy pilnuje, żeby wszystko działało, trzech facetów z korpusu inżynierskiego armii pod dowództwem Gonzaleza. To znaczy sierżanta Gonzaleza. Konserwują generatory i przewody elektryczne, nastawiają systemy ogrzewania, wymieniają żarówki, monitorują poziom zbiorników wody. A teraz niańczą nas, naukowców.

— Pięćdziesiąt lat. — Ekberg pokręciła głową. — Pewnie dlatego chętnie wam to wynajęli.

Marshall przytaknął.

— Ale Wuj Sam nie jest tanim gospodarzem. Płacimy dodatkowo sto tysięcy, żeby zakwaterować na tydzień ekipę dokumentalistów.

— Koszty utrzymania są tutaj wysokie — zauważył Sully.

Ekberg znowu się rozejrzała.

— Ci żołnierze muszą tu mieszkać?

— Wymieniają się co sześć miesięcy. Przynajmniej tych trzech trepów. Sierżant Gonzalez... chyba mu się tu podoba.

Ekberg pokręciła głową.

— Oto człowiek, który naprawdę ceni sobie prywatność.

43

Weszli przez ciężkie zewnętrzne drzwi, przez przedsionek, przez długą szatnię — gdzie po

obu stronach stały szeregiem szafki na parki i ciepłą odzież — i przez następne drzwi do samej bazy. Chociaż baza Fear była nieczynna od pół wieku, zachowała silną wojskową atmosferę: amerykańskie flagi, stalowe ściany, utylitarne wyposażenie. Wyblakłe plakaty na ścianach przypominały o stałych rozporządzeniach i ostrzegały przed naruszeniem bezpieczeństwa. Szeroki korytarz prowadził w lewo i w prawo od holu wejściowego i szybko ginał w mroku: najbliższa część była dobrze oświetlona, ale w bardziej odległych rejonach jaśniały tylko odosobnione wysepki światła. Po drugiej stronie holu mężczyzna w wojskowym mundurze siedział za szybą, czytając książkę w miękkiej oprawie.

Marshall zauważył, że Ekberg marszczy nos.

— Przepraszam za to — powiedział ze śmiechem. — Mnie też zabrało tydzień, zanim się przyzwyczailem do tego zapaszku. Kto by pomyślał, że baza arktyczna będzie cuchnąć jak zęza okrętowa? Chodźmy, wpiszemy panią.

Przeszli przez hol do oszklonego okna.

— Tad — powiedział Marshall na powitanie.

Mężczyzna za szybą kiwnął głową. Był wysoki, młody, z marchewkowymi włosami ostrzyżonymi maszynką na krótkiego jeża. Nosił naszywki szeregowca korpusu inżynierskiego.

— Doktorze Marshall.

44

— To jest Kari Ekberg, pierwsza z ekipy dokumentalnej. — Marshall odwrócił się do gościa. — Tad Phillips.

Phillips obejrzał kobietę ze źle skrywanym zainteresowaniem.

— Właśnie rano dostaliśmy wiadomość. Pani Ekberg, zechce się pani wpisać?

Podsunał jej podkładkę przez szparę w podstawie szklanego panelu.

Ekberg podpisała się na wskazanej linii i zwróciła podkładkę. Phillips zanotował datę i godzinę.

— Oprowadzisz ją, pokażesz udostępnione strefy?

— Jasne — zapewnił Marshall.

Phillips kiwnął głową i jeszcze raz rzuciwszy okiem na kobietę, wrócił do książki, którą czytał. Sully ruszył przodem do najbliższej klatki schodowej i cała grupa zaczęła schodzić.

— Przynajmniej tu jest ciepło — zauważyła Ekberg.

— W każdym razie na górnych poziomach — odparł Sully. — Na pozostałych

utrzymują obniżoną temperaturę.

— Co on mówił o udostępnionych strefach? — zapytała.

— W tej centralnej, pięciopoziomowej sekcji bazy mieszkali żołnierze i tutaj w większości odbywał się nasłuch — wyjaśnił Marshall. — Mamy do niej pełny dostęp... chociaż nikt z nas nie miał czasu ani ochoty na dokładniejsze zwiedzanie. Mamy ograniczony dostęp do południowego skrzydła, gdzie przechowuje się większość komputerów i mnogo wyposażenia. Tam mieszkają wojskowi; nas do-

45

puszczają na górne poziomy. Nie możemy wchodzić do północnego skrzydła.

— Co tam jest?

Marshall wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia.

Zeszli na następny korytarz, dłuższy i lepiej oświetlony od tego na górze. Pod ścianami piętrzyły się najrozmaitsze przestarzałe urządzenia, jakby to miejsce zostało opuszczone w wielkim pośpiechu. Stały tutaj kolejne szafki, wszędzie wisiały urzędowo wyglądające tablice informacyjne ze strzałkami wskazującymi kierunek do różnych instalacji:

MAPOWANIE RADAROWE, STANOWISKO DOWODZENIA RASP*,

NAGRYWANIE/MONITORING. Po obu stronach ciągnęły się szeregi drzwi z małymi zakratowanymi okienkami, oznakowane nie nazwiskami, tylko zbitkami liter i cyfr.

— Tutaj, na poziomie B, urządziliśmy nasze tymczasowe laboratoria — oznajmił Sully, wystawiając kciuk w stronę drzwi. — Dalej jest kambuz, mesa oficerska i sala odpraw, którą przekształciliśmy w tymczasową świetlicę. Za tym zakretem są kwatery sypialne. Przygotowaliśmy kilka do waszego użytku.

Ekberg wymamrotała podziękowanie.

— Dalej nie rozumiem, po co w ogóle była potrzebna taka baza — oświadczyła. — To znaczy tak daleko na północy.

* RASP (Radar Airborne Signal Processor) — przetwarzanie sygnałów radarowych.

46

— Należała do pierwotnego systemu wczesnego ostrzegania — odparł Marshall. — Słyszała pani o Pinetree Line * albo DEW Line**?

Ekberg pokręciła głową.

— W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym Sowieci testowali działającą

bombę atomową. To nas doprowadziło do szału; myśleliśmy, że mamy jeszcze co najmniej pięć lat na przygotowania. Zamiast tego nasi jajogłowi nagle wyliczyli, że za kilka lat Rosjanie będą mieli dosyć bomb, żeby sparaliżować Stany Zjednoczone. No więc zaczęliśmy się dozbrajać na całego... z intensywnym programem rozwoju systemów obrony granic włącznie. Wybrzeża Pacyfiku i Atlantyku były dobrze chronione i stało się jasne, że główne zagrożenie nadejdzie pod postacią bombowców przelatujących nad biegunem. Ale radary były wtedy bardzo prymitywne: nie mogły wykryć nisko lecących samolotów, nie mogły wykryć niczego za horyzontem.

— Więc musieli umieścić wykrywacze jak najbliżej wroga.

* Pinetree Line — szereg stacji radarowych zlokalizowanych w północnej części Stanów Zjednoczonych i na południu Kanady na wysokości równoleżnika 50, a także na wybrzeżach Atlantyku i Pacyfiku; był to pierwszy skoordynowany system wczesnego ostrzegania przed sowieckim atakiem nuklearnym, ale technologia radarowa z lat pięćdziesiątych szybko stała się przestarzała i system działał tylko przez krótki czas.

** DEW Line (Distant Early Warning Line) — system stacji radarowych w północnych arktycznych regionach Kanady z dodatkowymi stacjami na Północnym Wybrzeżu, na Aleutach, na Alasce, Wyspach Owczych, Grenlandii i Islandii; w okresie zimnej wojny system miał wykrywać nadlatujące sowieckie bombowce, lecz stał się przestarzały, kiedy do przenoszenia głowic atomowych zastosowano międzykontynentalne pociski balistyczne.

47

— Dokładnie. Wojskowi wysilili mózgownice i wyliczyli najbardziej prawdopodobne trasy, którymi polecą ruskie bombowce w razie ataku. Zbudowali stacje wczesnego ostrzegania na końcu każdej trasy, jak najdalej na północ. To jest jedna z nich. — Marshall pokręcił głową. — Ironia losu polega na tym, że u schyłku lat pięćdziesiątych system, jeszcze nieukończony, był już przestarzały. Rakiety zastąpiły samoloty jako nośnik bomb. Potrzebowaliśmy scentralizowanej sieci, żeby uporać się z takim zagrożeniem. Więc stworzono nowy system SAGE*, a te stacje wsadzono w naftalinę.

Skręcili za róg i ruszyli następnym barakowym korytarzem. Sully zatrzymał się przed jednymi drzwiami i przekręcił gałkę. Ukazał się spartański pokój z koją biurkiem, szafą i lustrem. Tego ranka Chen stał z grubsza kurze.

— To pani kwatery — oznajmił Sully.

Ekberg szybko zajrzała do środka, a kiedy Sully i Marshall położyli jej bagaże na koi,

podziękowała kiwnięciem głowy.

— Ma pani za sobą długą podróż z Nowego Jorku — powiedział Sully — i na pewno niewiele pani spała w drodze. Jeśli chce się pani zdrzemnąć albo odświeżyć, proszę bardzo. Prysznic i toalety są dalej w korytarzu.

— Dzięki za propozycję, ale wolałabym zacząć od razu.

— Zacząć? — Sully popatrzył na nią zmieszany.

Marshall doznał olśnienia.

* SAGE (Semi-Automatic Ground Environment) — pierwsza w dziejach sieć komputerowa, służąca celom obrony powietrznej USA, oddana do eksploatacji w 1958 roku.

48

.— Pani chce to zobaczyć.

— Oczywiście! Po to tu jestem. — Rozejrzała się. — To znaczy, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

— Obawiam się, że istnieją przeciwwskazania — odparł Sully. — W ostatnich tygodniach kilkakrotnie widziano tu niedźwiedzie polarne. A tunele lawowe są wyjątkowo niebezpieczne. Ale chyba może pani popatrzeć z daleka.

Ekberg jakby się zastanawiała. Potem powoli kiwnęła głową.

— Dziękuję.

— Obecny tu Evan panią zaprowadzi... zgoda, Evan? A teraz przepraszam, muszę dokończyć kilka testów.

Co powiedziawszy, obdarzył kobietę nikłym uśmiechem, kiwnął głową Marshallowi, odwrócił się i pomaszerował w stronę tymczasowych laboratoriów.

5

— Zdumiewające — powiedziała Ekberg, buchając parą z ust. — Chyba nigdy nie widziałam nieba o tak czystym, intensywnym błękitcie.

Posuwali się doliną lodowcową w olśniewającym blasku słońca. Pomimo gderliwych aluzji do nawału pilnej pracy Faraday postanowił wybrać się z nimi i teraz sapał ciężko podczas wspinaczki. Pokonywał tę trasę przynajmniej raz dziennie od miesiąca i wciąż się męczył, co dobitnie świadczyło o latach siedzącej pracy w laboratorium. Ekberg natomiast maszerowała bez wysiłku, swobodnym krokiem sportsmenki. Jej oczy biegały na wszystkie strony, nie pomijały niczego. Co jakiś czas mamrotała coś do dyktafonu. Miała na sobie zapasową parkę Penny Barbour, nałożoną na skórzaną kurtkę.

— Wiem, o co pani chodzi — powiedział Marshall. — Żałuję tylko, że nie ma tego więcej.

— Słucham?

— Dni robią się krótsze, szybko. Zostały nam dwa, może

50

trzy tygodnie porządnego dziennego światła. Potem zaczną się białe noce, dwadzieścia godzin na dobę. A my wyjedziemy.

— Nic dziwnego, że się spieszcicie. W każdym razie Allan będzie miał używanie z tym niebem.

— Allan?

— Allan Fortnum, nasz operator. — Spojrzała przed siebie na lodowiec, ciemnobłękitny na tle ostrego lazuru nieba. — Skąd się wzięła nazwa Mount Fear?

— Od Wilberforce'a Feara, badacza, który ją odkrył.

— Czy to mu przyniosło sławę?

— Prawdę mówiąc, to go zabiło. Zginął z zimna u podnóża kaldery.

— Och. — Ekberg wymamrotała coś do dyktafonu. — Kaldera. Więc to wulkan?

— Nieczynny wulkan. Dość niesamowita rzecz... jedyne zjawisko geologiczne na obszarze półtora tysiąca kilometrów kwadratowych wiecznej zmarzliny. Ludzie ciągle się kłócą w jaki sposób powstał.

— Doktor Sully mówił, że to niebezpieczne. Co miał na myśli?

— Mount Fear to właściwie tylko martwy stożek prehistorycznej lawy. Na skutek niszczącego działania mrozu i lodowca zrobił się kruchy. — Marshall wskazał na ostre jak nóż krawędzie doliny, potem na jedną z wielkich jaskiń, które dziurawiły podstawę góry. — Takie tunele lawowe Powstają, kiedy na rozgrzanym strumieniu magmy tworzy się skorupa, pod którą lava płynie dalej. Przez lata stały

51

się bardzo kruche i łatwo się zapadają. W rezultacie góra przypomina ogromny domek z kart. Dokonaliśmy odkrycia w głębi jednego z tych tuneli.

— A niedźwiedzie polarne, o których wspomniał?

— Milusie z wyglądu, ale wyjątkowo agresywne wobec ludzi, zwłaszcza ostatnio, kiedy kurczy im się habitat. Po przyjeździe ekipy proszę dopilnować, żeby nie wychodzili poza ogrodzoną płytę bez uzbrojenia. W bazie jest zapas karabinów o dużym zasięgu.

Wspinali się przez minutę, zanim Ekberg znowu przerwała milczenie.

— Jest pan paleoekologiem, tak?

— Czwartorzędowym paleoekologiem, tak.

— A co dokładnie pan tutaj robi?

— Paleoekolodzy rekonstruują wymarłe ekosystemy ze skamielin i innych prehistorycznych śladów. Próbuje ustalić, jakie stworzenia zamieszkiwały ziemię, co jadły, jak żyły i umierały. Staram się określić, jaki rodzaj ekosystemu istniał tutaj przed nadejściem lodowca.

— A teraz, kiedy lodowiec się cofa, ślady... czyli próbki... znowu ujrzają światło dzienne.

— Dokładnie.

Ekberg spojrzała na Marshalla przenikliwymi, uważnymi oczami.

— Jakiego rodzaju próbki?

— Resztki roślin. Warstwy mułu. Trochę makroorganicznych szczątków, jak drewno.

— Błoto i śmiecie — stwierdziła Ekberg.

52

Marshall zaśmiał się.

— Za mało atrakcyjne dla Terra Prime, co?

Ona też się roześmiała.

— Co pan z nimi robi?

— No, drewno i inne substancje organiczne można datować radiowęglowo, żeby ustalić, od jak dawna tkwią w lodowcu. Próbkę mułu badamy na obecność pyłków kwiatowych, co z kolei wskazuje, jakie rośliny i drzewa dominowały przez zlodowacenie. Widzi pani, obecnie ekolodzy ograniczają się do analizowania współczesnego świata, który przez ostatnie sto lat ogromnie się zmienił na skutek działalności człowieka. Ale dzięki próbkom, odczytom, obserwacjom, które tu przeprowadzam, mogę zrekonstruować świat, jaki istniał przedtem, przed dominacją gatunku ludzkiego.

— Może pan odtworzyć przeszłość — podsumowała Ekberg.

— Tak, w pewnym sensie.

— Mnie to się wydaje całkiem atrakcyjne. Domyślam się, że lodowiec to idealne miejsce do takich badań, ponieważ zamroził wszystko i zachował jak w kapsule czasowej.

— Dokładnie tak — potwierdził Marshall. Zaimponowało mu, że tak szybko się

zorientowała w nieznanym dziedziny. — Nie mówiąc o tym, że kiedy lód topnieje, P° prostu uwalnia swoją zawartość. Bez bałaganu, bez zamieszania... i nie trzeba się napracować łopatą i młotkiem, żeby odsłonić skamieliny i szczątki subfosylne.

53

— Bardzo pragmatyczne podejście. Co to są szczątki subfosylne? Znalezione pod spodem?

Marshall musiał znowu się roześmiać.

— Tak paleontolodzy nazywają skamieliny młodsze niż dziesięć tysięcy lat.

— Rozumiem. — Odwróciła się do zadyszanego Faradaya. — A pan, doktorze, też jest biologiem ewolucyjnym?

Faraday przystanął, żeby złapać oddech, więc pozostała dwójka też się zatrzymała. Kiwnął głową, przesuając plecak z jednego ramienia na drugie.

— To znaczy...?

— W uproszczeniu: badam, jak gatunki zmieniają się z czasem — wysapał Faraday.

— A co pan robi tutaj, w takim nieprzyjaznym miejscu?

— Moje badania obejmują wpływ globalnego ocieplenia na rozwój gatunków.

Na twarzy kobiety pojawił się uśmiech.

— Więc pan naprawdę pracuje nad globalnym ociepleniem. Podczas gdy obecny tu doktor Marshall po prostu je wykorzystuje.

W głowie Marshalla zadzwonił cichutki brzęczyk alarmowy: Terra Prime sfinansowała ich ekspedycję, zakładając, że dotyczy globalnego ocieplenia. Ale Ekberg uśmiechała się przyjaźnie, więc tylko odpowiedział uśmiechem.

Zrobili krótki postój, żeby Ekberg mogła zarejestrować jeszcze kilka uwag. Marshall czekał, popatrując na horyzont. Potem znieruchomiał. Wyszarpnął lornetkę i podał ją kobiecie.

54

— Proszę spojrzeć. Tam, na zmarzlinie, na południowy zachód.

Spojrzała przez szkła.

— O wilku mowa. Dwa niedźwiedzie polarne. — Patrzyła przez chwilę, po czym oddała lornetkę. — Czy musimy zawrócić?

— Na górze raczej nic nam nie grozi. Normalnie jeden z nas powinien być uzbrojony.

— Więc czemu nie jest?

— Odmawiam noszenia broni. A obecny tu Wright jest roztargniony. Chodźmy, musimy się pospieszyć.

Kiedy zbliżali się do lodowca, Marshall trochę niespokojnie zerkał na lodową ścianę, ale niedawny spadek temperatury powstrzymał recesję i czoło lodowca wyglądało tak samo jak trzy dni temu, kiedy odsłoniła się jaskinia.

— To jest jaskinia — oznajmił, wskazując na czarną dziurę przy podstawie lodowca. Ekberg spojrzała w tamtą stronę. Chociaż zachowała obojętny wyraz twarzy, Marshall wyczuwał jej rozczarowanie, że nie mogła zajrzeć do środka. Skinął głową do Faradaya. Biolog sięgnął do kieszeni parki, wyjął dużą błyszczącą fotografię i podał kobiecie.

— To właśnie znaleźliśmy — powiedział Marshall. — Wydruk z naszego zapisu wideo. Ekberg skwapliwie wzięła fotografię. Spojrzała na nią i głośno wciągnęła powietrze.

— Umarło z otwartymi oczami — szepnęła.

Nikt nie odpowiedział; nikt nie musiał.

55

— Mój Boże. Co to jest?

— Nie mamy pewności — odparł Marshall. — Jak pani widzi na zdjęciu, lód jest nieprzezroczysty i widać tylko oczy, trochę futra dookoła. Ale uważamy, że to smilodon.

— Co takiego?

— Smilodon. Lepiej znany jako tygrys szablozębny.

— Co jest, technicznie biorąc, błędem — dodał Faraday. — Ponieważ smilodon pochodzi z całkiem innej linii niż tygrys.

Ale Ekberg chyba nie słyszała. Wpatrywała się zafascynowana w fotografię, chociaż raz zapomniawszy o dyktafonie.

— Uważamy tak ze względu na oczy — podjął Marshall. — Bardzo przypominają oczy wielkich kotów... zresztą wszystkich kotów. Proszę zwrócić uwagę, że to oczy drapieznika: duże, skierowane w przód. Szerokie tęczęwki, pionowe źrenice. Założę się, że autopsja wykryje warstwę błony odbłaskowej za siatkówką.

— Jak długo leży zamrożony? — zapytała.

— Smilodony wyginęły jakieś dziesięć tysięcy lat temu — wyjaśnił Marshall. — Nie wiemy, czy z powodu postępującego zlodowacenia, braku żywności, utraty habitatu czy wirusa, który przeskoczył bariery międzygatunkowe. Biorąc pod uwagę czas, kiedy lodowiec zakrył tę jaskinię, nasz okaz należał do ostatnich przedstawicieli swojego gatunku.

— Jeszcze nie wiemy, w jaki sposób został zamrożony — dodał Faraday, mrugając jak zwykle. Wytrzeszczone,

56

wodniste oczy nadawały mu wygląd wystraszonego dziecka. — Zwierzę prawdopodobnie schroniło się do jaskini przed burzą lodową i tam zmarzło. Może było ranne albo zagłodzone. A może po prostu zdechło ze starości. Dalsze analizy pewnie udzielą nam odpowiedzi.

Ekberg szybko odzyskała profesjonalne opanowanie.

— Co to jest? — zapytała, wskazując regularny pionowy otwór w pobliżu zwłok, szeroki na jakiś centymetr.

— Jak pani może się przekonać, niewiele tam widać — zaśmiał się Marshall. — Lód jest brudny, zokludowany, pełen prehistorycznego błota. Więc nasz stażysta Ang zainstalował zdalnie sterowane urządzenie obrazujące. Wysyła sygnały sonarowe i mierzy wytworzone echa.

— Jak echosonda do znajdowania ryb — zauważyła Ekberg.

— Do pewnego stopnia — przyznał ubawiony Marshall. — Bardzo zaawansowana technologicznie echosonda. W każdym razie ze względu na stan lodu niemożliwe są dokładne pomiary, ale ciało ma około dwóch i pół metra długości. Wagę oceniamy na jakieś czterysta pięćdziesiąt kilogramów.

— Bardziej odpowiada gatunkowi Smilodon populator niż Smilodon fatalis — dorzucił Faraday.

Ekberg powoli pokręciła głową, nie odrywając wzroku od fotografii.

— Niesamowite — szepnęła. — Zakopany pod lodowcem przez tysiące lat.

Zapadło krótkie milczenie. Stojąc bez ruchu, Marshall

57

poczuł chłód wpełzający pod ściągacz kaptura, szczypiący w palce u rąk i nóg.

— Zadała pani dużo pytań — powiedział cicho. — Zechce pani odpowiedzieć na jedno? Ekberg podniosła na niego wzrok.

— Proszę strzelać.

— Wiemy, że Terra Prime planuje nakręcenie programu dokumentalnego, ale żaden z nas nie ma pojęcia, co to za program. Zakładamy, że opowiecie o naszej pracy tutaj, może na koniec pokażecie nasze niezwykle odkrycie. Uwiecznicie je dla potomności. Czy może

nam pani podać więcej szczegółów?

Skrzywiła wargi w cierpkim uśmiechu.

— Właściwie sieci nie zależy na potomności.

— Proszę mówić dalej.

— Niestety, szczegóły może udostępnić tylko Emilio Conti, producent wykonawczy. Ale obiecuję panu jedno, doktorze Marshall: to jego oczko w głowie, ukoronowanie całej zawodowej kariery. — Uśmiech się pogłębił. — Wasza ekspedycja zdobędzie sławę, o jakiej nawet nie marzyliście.

6

Świt zapłonął nad Górami Błękitnymi gwałtowną eksplozją kolorów. Słońce, wstające nad Mount Marshall, przesycało jesienne niebo jaskrawymi barwami, zwykle występującymi tylko na palecie malarza: naftolem i kadmem, fuksją i cynobrem. Senne szczyty i zbocza okrywała głęboka zieleń dębów, choin, klonów i orzeszników. Góry zaś zdawały się wydychać zimne powietrze, ich oddech osiadał gęstymi kłębamii mgły, która zasnuwała ciemne doliny i wieńczyła każdy wierzchołek zwiewnym pierścieniem na podobieństwo mnisiej tonsury.

Jeremy Logan zatrzymał wynajęty samochód przy wjeździe do Front Royal, uiścił parkową opłatę i pojechał dalej, łagodnie przyspieszając. Mógł szybciej dotrzeć do celu — Skyline Drive wiała się jak wąż i obowiązywało tu ograniczenie prędkości do czterdziestu kilometrów na godzi-

— ale miał dużo czasu i nie jechał tędy od dzieciństwa, kiedy ojciec zabierał go na biwak. Przed nim droga krajob-

59

razowa rozmywała się w aksamitnej mgielce, obiecując podróż pełną odkryć i nostalgii.

Na samochodowym stereo leciała Cyganeria — nagranie z 1946 roku pod dyrekcją Toscaniniego, z Licią Albanese jako pierwszym sopranem — ale Logan wyłączył muzykę, żeby skupić się na krajobrazie. Punkt widokowy doliny Shenandoah; pamiętał, że zatrzymali się tu na kanapki z pikantną pastą szynkową i kilka fotek. Następnie przełęcz Low, Compton, Jenkins; jedna po drugiej pojawiały się za szybą, odsłaniając — jakby niechętnie — olśniewające widoki na rzekę Shenandoah wśród piegowatych wzgórz Wirginii. Logan dorastał w płaskiej jak stół Karolinie Południowej i pamiętał, jak widząc po raz pierwszy te góry chłopcymi oczami, nie mógł się nadziwić, ile dramatycznej scenerii

zmieściło się na stosunkowo niewielkiej przestrzeni.

Przy znaku milowym 27 minął początek szlaku na Knob Mountain. Tutaj również zatrzymali się z ojcem i odbyli trzykilometrową wspinaczkę. Logan pamiętał, że dzień był ciepły i schłodzona manierka zawieszona na szyi pociła się lodowatymi kroplami, przenikającymi do skóry. Ojciec był historykiem, nieprzyzwyczajonym do wysiłku fizycznego, i zadyszał się podczas wspinaczki. Dopiero na szczycie powiedział mu o raku. Na przełęczy Thornton Logan zjechał ze Skyline Drive na autostradę stanową, biegnącą wzdłuż rzeki poza teren parku narodowego. W Sperryville skręcił na południe na szosę 231 i kierując się znakami, pojechał do hotelu Old Rag Lodge.

60

Po dziesięciu minutach znalazł się w cieniu góry. Old p.ag miał niespełna tysiąc metrów wysokości i zaliczał się do stosunkowo niskich szczytów, ale kamienne osypiska wokół nagiego wierzchołka stanowiły nie lada wyzwanie. Jednak góra słynęła nie ze szlaków turystycznych, tylko z luksusowego hotelu wybudowanego w nieckowatej dolinie u jej podnóża. Old Rag Lodge przypominał średniowieczny zamek, rażąco nie na miejscu w dzikich ostępach Wirginii. Kiedy Logan wjechał na prywatny podjazd i dodał gazu na lekkim wzniesieniu, zobaczył hotel w całej okazałości — monolityczne wapienne mury i okna z licznymi barwnymi witrażowymi szybami. Potężną budowlę wieńczyły ekstrawaganckie miedziane kopuły i minarety.

Logan minął zielone pole golfowe na trzydzieści sześć dołków i po starannie zagrabionym podejździe z białego żwiru dotarł do portyku. Oddał kluczyki czekającemu parkingowemu i wszedł do środka.

— Wprowadza się pan? — zapytała kobieta za kontuarem.

Logan pokręcił głową.

— Przyjechałem na wycieczkę.

— Zwiedzanie bunkra zaczyna się o dziesiątej.

— Umówiłem się na prywatną wizytę. Nazywam się Logan.

Położył wizytówkę na marmurowym blacie i przesunął JĄ w stronę recepcjonistki.

Kobieta odwróciła się do monitora, szybko postukała w klawiaturę.

61

— Doskonale, panie Logan. Zechce pan usiąść w holu?

— Dziękuję.

Logan zabrał walizeczkę, przeszedł pod pełną ech kopułą rozległej sali i usiadł pomiędzy dwiema ogromnymi ko-rynckimi kolumnami, spowitymi czerwonym jedwabiem.

Od siedmiu dekad hotel cieszył się popularnością wśród polujących i grających w golfa arystokratów z Wirginii, jednak w ostatnich latach zdobył dość osobliwą reputację. Właśnie tutaj — poczynając od 1952 roku — czekał w pogotowiu duży, ściśle tajny podziemny bunkier dla przedstawicieli rządu Stanów Zjednoczonych. W razie wojny atomowej kongresmeni, senatorzy i inni wyżsi urzędnicy mogli schronić się w bunkrze pod Old Rag Lodge, żeby koordynować operacje wojskowe, uchylać nowe prawa i zapewnić ciągłość rządów w Ameryce — zakładając oczywiście, że pozostanie jeszcze jakaś Ameryka do rządzenia. Rozglądając się po ociekającym przepychem westybulu, Logan uśmiechnął się słabo. Przywódcy całkowicie słusznie postanowili się przyczaić w takim właśnie miejscu: dostatecznie odległym od Waszyngtonu, żeby uniknąć najgorszego uderzenia, a przy tym urządzonym idealnie, żeby przetrwać Armagedon w komforcie i luksusie. Chociaż bunkier stracił użyteczność w latach osiemdziesiątych, odtajniono go dopiero w 1992 roku. Teraz stanowił muzeum historyczne, magnes dla zwolenników teorii spiskowych — i nietuzinkową atrakcję turystyczną.

Logan podniósł wzrok i zobaczył niskiego, nieco korpulentnego mężczyznę w białym lnianym garniturze i pa-

62

namie, spiesznie idącego przez westybul. Przybysz nosił okrągłe czarne okulary, twarz miał całkiem różową. Wyciągnął rękę.

— Doktor Logan?

Logan wstał.

— Tak.

— Jestem Percy Hunt, oficjalny historyk hotelu. Dzisiaj będę pańskim asystentem zwiedzania.

Asystent zwiedzania, pomyślał Logan, ściskając wyciągniętą rękę. Pewnie w Old Rag Lodge tak nazywają przewodnika wycieczek.

— Cieszę się.

— Pan jest z Yale, zgadza się? — Hunt zerknął na złożoną karteczkę. — Profesor historii średniowiecznej?

— Tak. Chociaż obecnie jestem na urlopie akademickim.

Hunt wsunął kartkę do kieszeni.

— Doskonale. Pozwoli pan za mną.

Poprowadził gościa do łukowego przejścia na drugim końcu westybulu, za którym ciągnął się korytarz wyłożony puszystym dywanem i obwieszony rycinami o tematyce sportowej.

— Są dwa wejścia do bunkra — oznajmił. — Duże zewnętrzne wrota wbudowane w zbocze góry, z których korzystały ciężarówki i ciężkie pojazdy, oraz winda za główną salą konferencyjną hotelu. My zjedziemy windą.

Minęli kryty basen ozdobiony imitacjami greckich marmurowych rzeźb, salę bankietową i salę balową, zanim Weszli do obszernej, dobrze wyposażonej sali konferen-

63

cyjnej. Nie zatrzymując się, Hunt ruszył do podwójnych drzwi w głębi, pokrytych taką samą tapetą jak ściany.

— Kongres zamierzał urządzać tu zebrania, zakładając, że budynek się nie zawali — powiedział. — W przeciwnym razie używaliby mniejszej sali na dole. — Wskazał ścianę przed nimi. — Tutaj są drzwi wstrząsoodporne, które chronią windę.

Z pewnym wysiłkiem otworzył drzwi i ukazało się niewielkie pomieszczenie z drugimi drzwiami naprzeciwko. Hunt odemknął je kluczem, który nosił na breloczku, i wprowadził Logana do dużej windy pomalowanej na zielono, którą następnie, uruchomił tym samym kluczem. W kabinie nie było żadnych przycisków ani podświetlanych wskaźników. Zjeżdżali bardzo długo. Po jakichś trzydziestu sekundach Hunt odwrócił się w stronę gościa.

— A więc, doktorze Logan — zagaił — czym konkretnie się pan interesuje? Pionami technicznymi? Kwaterami osobistymi? Szpitalem? Pytam, bo zwykle badacze umawiający się na prywatne zwiedzanie zajmują się jakimś określonym miejscem. Im więcej pan mi powie, tym lepiej będę mógł panu pomóc.

Logan odwzajemnił spojrzenie.

— Prawdę mówiąc, panie Hunt, nie interesuje mnie bunkier jako taki.

Hunt zamrugał.

— Nie? Więc dlaczego...

— Przyjechałem obejrzeć Archiwum Omega.

64

Oczy Hunta się rozszerzyły.

— Archiwum? Przykro mi, ale to całkowicie wykluczone.

— Informacje zawarte w tym archiwum zostały odtajnione... — Logan zerknął na zegarek — dzisiaj o ósmej rano. Czyli kilka minut temu. Teraz to dane ogólnodostępne.

— Tak, tak, ale najpierw trzeba przeprowadzić odpowiednią procedurę dezaktywacji... sprawdzanie, ponowną weryfikację i tak dalej. Podania muszą przejść drogę urzędową.

— Interesuje mnie tylko jedna teczka. Mogę ją poczytać w pana obecności. Co do drogi urzędowej, myślę, że to wystarczy, żeby rozproszyć wszelkie obiekcje. — Logan otworzył teczkę, wyjął złożony arkusz papieru ostemplowany na górze pieczęcią Stanów Zjednoczonych i podał go Huntowi.

Mały człowieczek spojrział na list i jeszcze szerzej otworzył oczy. Obliznął wargi.

— Doskonale, doktorze Logan. Doskonale. Potrzebuję jeszcze ustnej autoryzacji... Logan wskazał podpis na dole kartki.

— Jeśli pan naprawdę chce mu zawracać głowę, proszę bardzo... kiedy wrócimy do hotelu. Zajmę panu tylko kilka minut, jeśli pozwoli mi pan prowadzić badania bez przeszkód.

Hunt zdjął okulary, wytarł je o marynarkę, włożył z powrotem, poprawił słomkowy kapelusz.

Czy mogę zapytać... — Głos mu się załamał; odchrząknął. — Czy mogę zapytać, dlaczego profesor historii średniowiecznej interesuje się Archiwum Omega?

65

Logan popatrzył na niego spokojnie.

— Jak już wspomniałem, panie Hunt, jestem na urlopie administracyjnym.

Drzwi windy ze skrzypieniem otwarły się na betonowy korytarz z półkolistym sklepieniem i podłogą poprzecinaną stalowymi kratownicami.

— Proszę za mną — powiedział Hunt i szybko ruszył tunelem.

Pod ziemią było bardzo zimno i wilgotno. Drogę oświetlały żarówki w okrągłych osłonach, zwisające rzędem z sufitu na cienkich prętach. Gangliony pomalowanych na zielono rur biegły wysoko po ścianach, wślizgując się w głębiny bunkra. Hunt narzucił szybkie tempo; najwyraźniej stracił nastrój do rozmowy. Minęli kilka odgałęzień tunelu, pomieszczenie wyglądające na salę sypialną oraz duży pokój z kamerami telewizyjnymi i tylną ścianą obwieszoną zdjęciami budynku Kapitolu, zrobionymi w porze kwitnienia wiśni. Potem Hunt skręcił z głównego korytarza. Przez pokój wypełniony elektrycznymi panelami

kontrolnymi przeszedł do małego przedpokoju. Przesunawszy fałszywą ścianę w głąbi, odsłonił ciężkie metalowe drzwi, zawieszane na masywnych zawiasach. Wyjął z kieszeni inny klucz i wsunął go do środkowego otworu.

— Archiwum jest za tymi drzwiami — oznajmił. — Proszę jak najszybciej znaleźć i przejrzeć teczkę. Muszę to autoryzować bez zwłoki.

— Będę się spieszył — obiecał Logan.

Hunt zmarszczył brwi i kiwnął głową. Potem przekręcił

66

klucz i otworzył drzwi. Z ciemnego wnętrza buchnęło powietrze — stęchłe, pełne kurzu. Sam ten zapach sprawił, że Loganowi mocniej zabiło serce.

Archiwum Omega było dokładnie takim miejscem, dla którego żył Jeremy Logan — używający tytułu profesora mediewistyki jako szacownej, chociaż zasadniczo prawdziwej zasłony dymnej. W latach po drugiej wojnie światowej rząd wykorzystał dobrze zabezpieczony bunkier Kongresu do przechowywania tajnych i ściśle tajnych danych wojskowych. Chociaż sam bunkier odtajniono dekadę wcześniej, trzeba było jeszcze wielu lat — i wielu politycznych nacisków ze strony historyków, dziennikarzy oraz orędowników wolności informacji — żeby zdjąć czerwoną taśmę odgradzającą Archiwum Omega. Wprawdzie, technicznie rzecz biorąc, tego ranka archiwum uległo odtajnieniu, jednak standardowa procedura wymagała, żeby przedstawiciele agencji bezpieczeństwa dokładnie przejrzyli akta i usunęli wiele nadal uważanych za poufne, zanim udostępnią ogółowi resztę. Logan wykorzystał kilka zaległych przysług, żeby uzyskać krótki dostęp przed rozpoczęciem ostatecznego procesu weryfikacji.

Wkroczył w całkowitą ciemność, ale jakiś szósty zmysł Podpowiadał mu, że pomieszczenie jest duże — bardzo duże. Pomacał po ścianie, znalazł rząd co najmniej dwudziestu przełączników i przekręcił kilka na chybił trafił.

Z niskim buczeniem rzędy jarzeniówek zamigotały tu 1 ram, budząc się do życia — małe kałuże żółtego blasku w morzu ciemności. Logan zapalił następne światła i wresz-

67

cie ukazało się całe archiwum: szereg za szeregiem oliw-kowozielonych szafek, wysokich na trzy metry, ustawionych w regularne kolumny maszerujące niemal w nieskończoność. Stał w drzwiach i mrugał, stopniowo oswajając się ze skalą pomieszczenia. Wydawało się szersze niż boisko futbolowe i co najmniej równie długie. Oczy Logana wędrowały po

rzędach segregatorów. Zmagazynowane tutaj potencjalnie fascynujące informacje — tajemnice państwowe, patenty naukowe, skonfiskowane kulturowe i narodowe dziedzictwo, zaprzysiężone zeznania, w których dałoby się wykryć wielce pouczające sprzeczności — dostarczyłyby mu zajęcia na wiele szczęśliwych lat.

Niecierpliwe poruszenie za plecami przypomniało Loga-nowi, że goni go czas. Z uśmiechem kiwnął głową, mocniej ścisnął teczkę w garści i ruszył do przodu. Akta, które go szczególnie interesowały, dotyczyły pewnego wydarzenia we Włoszech w roku 1944.

Walcząc z Niemcami o Monte Cassino, amerykańska Piąta Armia zajęła starożytną fortecę — Castello Diavilous. Dawno opuszczony zamek należał niegdyś do osławionego alchemika, który przeprowadzał wyjątkowo niepokojące eksperymenty. Po okupacji zamek spalono do szczytu, a tajne laboratorium w piwnicy splądrowano. Logan od dawna próbował poznać osiągnięcia alchemika oraz losy jego dziwacznych eksperymentów. Jedyna szansa na poszerzenie wiedzy znajdowała się tutaj, wśród zapleśniałych akt Archiwum Omega.

Żwawo posuwał się wzdłuż wysokich metalowych regałów, odczytując losowo nalepki.

Wkrótce się zorientował,

68

że materiały uporządkowano chronologicznie, z dalszym podziałem na poszczególne służby wojskowe. Wystarczyło mu dziesięć minut, żeby zlokalizować rok 1944; następne pięć, żeby odszukać akta dotyczące Piątej Armii; kolejne sześćdziesiąt sekund, żeby wyodrębnić dossier związane z włoskim teatrem działań. Wyciągnął do końca właściwą szufladę.

Wypełniały ją na głębokość metra tekturowe teczki, brązowe i khaki, dotyczące operacji pod Cassino. Teczki były zakurzone i wyblakłe, wydawały się jednak nietknięte. Szybko przejrzawszy tytuły, natrafił na grubą teczkę podpisaną: „Fort Diavilous — Taktyka i Strategia”.

Obejrzał się na Hunta, który stał obok i przyglądał mu się niczym pełna dezaprobaty przyzwoitka.

— Czy jest tu stół do czytania, z którego mógłbym skorzystać podczas badań?

Hunt zamrugał, prychnął.

— Kantyna jest w holu, obok podstacji elektrycznej — odparł. — Zaprowadzę pana.

Logan wyciągnął teczkę i chciał już zamknąć szufladę, gdy nagle zamarł. Wyjmując teczkę, odsłonił drugą pod spodem, znacznie cieńszą. Na nalepce z tytułem wybito jedno słowo:

„Fear”.

Logan instynktownie po nią sięgnął, przesunął ją do przodu. Za nią leżała druga, identyczna, oznakowana tym samym słowem.

Obie kopie tajnych akt przechowywane w tym samym miejscu? Coś tu nie pasowało.

Rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę Hunta. Niski

69

człowieczek szedł przejściem pomiędzy masywnymi szafkami, odwrócony tyłem. Logan znowu zajął do szuflady, uchylił okładkę pierwszej z dwóch identycznych teczek, zerknął na stronę tytułową.

ŚCIŚLE TAJNE Armia Stanów Zjednoczonych

Wewnętrzna Komisja Śledcza

- 1) Anomalia D-1, dalsza analiza
- 2) Okoliczności śmierci zespołu naukowego
- 3) Zalecenia (pilne) H. N. Rose

Oficer dowodzący, baza Fear

ODSYŁACZ B2837(a)

Wyostrzony instynkt badacza zjawisk nadprzyrodzonych odezwał się z całą mocą. Logan bez chwili wahania wykorzystał okazję. Jak najciszej otworzył teczkę, wsunął jeden z cienkich folderów pomiędzy inne papiery, zamknął teczkę, umieścił folder Castello Diavilous na czarnej skórze. Potem zamknął szufladę i przybrał maskę obojętności, poszedł za Huntem, asystentem zwiedzania, przez pełną ech kryptę i betonowy korytarz.

Raport do: Dotyczy:

Od:

7

W ciągu pięciu dni baza Fear zmieniła się nie do poznania. Wielka betonowa płyta pomiędzy wejściem do bazy a zewnętrznym ogrodzeniem wrzała gorączkową aktywnością. Helikoptery i małe samoloty transportowe przylatywały w dzień i w nocy, przywożąc robotników, zaopatrzenie, żywność, paliwo oraz wszelkiego rodzaju egzotyczny sprzęt. Ciche, tonące w półmroku korytarze centralnego skrzydła bazy przypominały teraz wielkowiejskie bulwary: gwar podniesionych głosów, stukanie klawiszy, szum maszynierii. Kable elektryczne wiły się wszędzie jak węże, zaczepiając zdradziecko o nogi nieostrożnych przechodniów. Elektrownia bazy, dotąd działająca na minimalnej wydajności,

zwiększyła obciążenie do pięćdziesięciu procent i napełniała warkotem arktyczną ciszę. Sierżant Gon-zalez i jego trzech inżynierowie wydawali się początkowo zdumieni, a potem zirytowani tą nagłą inwazją, która zmieniła ich niegdyś senną bazę w rojowisko wydelikaconych, wymagających mieszczuchów. Niewielka ekipa

71

pracowała dzień i noc, sztukowała przewody, naprawiała przecieki, udrażniała rury grzewcze, jednym słowem —przygotowywała do zamieszkania kilkadziesiąt pomieszczeń — nieużywanych od pięćdziesięciu lat.

Evan Marshall schodził górską doliną, niosąc na ramieniu chłodziarkę pełną próbek. W połowie drogi do bazy przystanął na chwilę, żeby odpocząć i popatrzeć na miasteczko w dole, skąpane w popołudniowym słońcu. Chociaż ekipa dokumentalistów dekowała się w ciepłym wnętrzu bazy — kwatery na poziomie B dla oświetleniowców, obsługi planu, scenografów i asystentów produkcji, bardziej eleganckie oficerskie apartamenty na poziomie C dla producenta, kierownika zdjęć i przedstawiciela sieci — na terenie wzniesiono również wiele dodatkowych budynków. Marshall widział rozmaite domki z prefabrykatów, baraki magazynowe i inne tymczasowe konstrukcje. Po jednej stronie potężny Śnieżny Kot — pojazd terenowy na masywnych jak w czołgu gąsienicach — strzegł składu paliwa, z którego byłaby dumna każda dywizja wojskowa. A ponad wszystkim górował metalowy sześcián stojący samotnie tuż pod ogrodzeniem: tajemniczy skarbiec, o którym naukowcy nie zdołali niczego się dowiedzieć.

Po porannym przylocie Emilia Contiego, producenta wykonawczego i inicjatora projektu, karkołomne tempo prac jeszcze się zwiększyło. Conti Wszystko robił w biegu. Na jego rozkaz wielkie maszyny skutecznie zablokowały wierzchołek doliny lodowcowej, utrudniając naukowcom dostęp do miejsca pracy. Z tego, co Marshall słyszał, przez

72

pierwsze godziny pobytu producent chodził z ekipą zdjęciową po wiecznej zmarzlinie dookoła bazy, sprawdzając, jak światło pada na śnieg, na lawę, na lodowiec i oglądając teren z różnych punktów obserwacyjnych przez szerokokątny obiektyw, który miał zawieszony na szyi. Kari Ekberg towarzyszyła mu bez przerwy, zapoznawała go ze swoimi dotychczasowymi dokonaniem, pomagała utrzymać tempo, notowała jego polecenia na najbliższe dni.

Te dni zapowiadały się całkiem interesująco.

Marshall znowu podniósł chłodziarkę, przesunął na drugie ramię i podjął schodzenie. Czuł się przemęczony; poprzedniej nocy jak zwykle miał kłopoty z zaśnięciem, a hałasy w bazie bynajmniej mu nie pomogły.

Trudno uwierzyć, że od odkrycia minął dopiero tydzień. Prywatnie Marshall niemal żałował, że znaleźli tego stwora. Nie podobała mu się gorączkowa aktywność filmowców, tak różna od ostrożnego, skrupulatnego podejścia stosowanego przez badaczy. Nie podobała mu się przesadna dyskrecja ekipy dokumentalnej, trzymającej w tajemnicy szczegóły projektu. A najbardziej nie podobało mu się, że ci wszyscy ludzie płaczący się pod nogami przeszkadzają mu w pracy. Ich własne okno pobytu na lodowcu szybko się zamykało. Pomyślał, że ten pośpiech ma tylko jedną dobrą stronę: im szybciej pracują filmowcy, tym szybciej się stąd wyniosą.

Ominął Śnieżnego Kota i wszedł do obozu. Wyprzedził go członek ekipy filmowej, niosąc długi metalowy wysięg-i Marshall musiał zrobić unik, żeby ocalić głowę.

73

Wejście do bazy zasłaniała grupka pracowników Terra Prime, odwróconych do niego plecami. Postawił chłodziarkę na ziemi i zdjawszy wieko, zaczął sprawdzać próbki, jednym uchem słuchając narzekań zebranych.

— To najgorszy plan, na jakim pracowałem, bez dwóch zdań — stwierdził jakiś głos. — A pracowałem w różnych gównianych miejscach.

— Odmroziłem sobie tyłek — jęczał inny głos. — Dosłownie. Jest odmrożony.

— Co ten Conti sobie myśli? Ciągnie nas na to zadupie z powodu jakiegoś zdechłego futrzaka.

— A te wszystkie wykształciuchy ciągle się kręcą po naszym planie i włączają nam w drogę.

Po „naszym” planie, pomyślał Marshall z ironicznym uśmiechem.

— Skoro mowa o łażeniu, słyszeliście o niedźwiedziach polarnych? Jeśli nie zamarzniemy na śmierć, one nas pożrą.

— Powinniśmy dostawać dodatek za ryzyko.

— Tutaj śmierdzi. Ciśnienie wody jest niedostateczne. A obsługa planu do kitu.

Przywykłem do świeżego jedzenia: plastry ananasa, kanapki, sushi. Tutaj dostajemy więzienne racje: fasolę, hot dogi, mrożony szpinak.

Nagle po drugiej stronie budynku wybuchnął radosny gwar. Po chwili znowu rozległy się

wiwaty. Marshall ponownie zapieczętował chłodziarkę i pobiegł sprawdzić, co się dzieje. Około tuzina osób zebrało się przed małym skarbcom o stalowych ścianach. Gratulowali sobie nawzajem, obejmowali się i ściskali ręce. Trochę dalej stał Conti, niski

74

i ciemnowłosy, z krótko przyciętą kocią bródką. Patrzył na świętującą grupkę z założonymi rękami. Obok niego stał „łącznik” albo przedstawiciel sieci: mężczyzna nazwiskiem Wolff. A obok Wolffa — dwóch fotografów, jeden z dużą kamerą na ramieniu, drugi z małą w rękę. Jeszcze jeden człowiek — ten, który parę minut wcześniej o mało nie rozbił Marshallowi głowy — stał w pobliżu, trzymając mikrofon przymocowany do tyczki. Przewody z kamer prowadziły do urządzenia przy jego pasie.

Marshall spojrzał z ciekawością na Contiego. Facet miał nie lada reputację; jego film dokumentalny *Z zabójczych mórz*, o łodziach podwodnych badających największe głębie oceanu, zdobył pół tuzina nagród i wciąż go wyświetlano w muzeach i kinach trójwymiarowych. Nakręcił jeszcze kilka dokumentów, głównie przyrodniczych i traktujących o zagrożeniu środowiska; wszystkie zdobyły uznanie krytyków i publiczności. Ze swoją kocią bródką i wybrednym zachowaniem, z szerokokątnym obiektywem wiszącym na szyi niczym ogromny czarny klejnot, wyglądał jak archetyp błyskotliwego i ekscentrycznego reżysera. Brakuje mu tylko megafonu i białego ascota zamiast krawata, pomyślał Marshall. Musiał sobie przypomnieć, że wygląd bywa mylący; ten człowiek nie tylko cieszył się szacunkiem, lecz także posiadał spore wpływy.

— Jeszcze raz — zarządził Conti z lekko urywanym włoskim akcentem. — Tym razem więcej podniecenia. Pamiętajcie: dokonaliście tego. Misja wypełniona. Chcę to Widzieć w waszych twarzach, słyszeć w waszych głosach.

75

— Kręcimy — powiedział człowiek z ręczną kamerą.

— I... akcja! — rzucił Conti.

Jeszcze raz okrzyki radości wybuchły wśród zebranej grupy. Ludzie podskakiwali, klepali się nawzajem po plecach, wiatowali i pokrzykiwali. Marshall rozglądał się ze zdumieniem, boleśnie świadom swojej całkowitej ignorancji.

Ekberg stała w pobliżu i patrzyła. Przez ostatnie kilka dni była bardzo zajęta, ale zawsze uśmiechała się uprzejmie, kiedy go spotykała — w przeciwieństwie do większości filmowców, którzy wyraźnie uważali naukowców za utrapienie i ledwie ich tolerowali.

Przysunął się do niej.

— Co się stało?

— Skończone — powiedziała. — Wielki sukces.

— Skończone?

— No, w każdym razie filmujemy zakończenie.

— Ale... — zaczął.

Potem nagle zrozumiał. Conti filmował reakcję grupy na końcowy sukces... kiedykolwiek miałyby nastąpić. Najwyraźniej producent kręcił wszystko, co się dało, najszybciej, jak się dało, czy to rzeczywiste, czy zainscenizowane. Koncepcja czasu linearnego widocznie tutaj nie obowiązywała i Marshall uświadomił sobie, że jeszcze dużo musi się nauczyć o filmach dokumentalnych.

Conti kiwał głową, wyraźnie zadowolony z ostatniej sceny. Odwrócił się do operatora z mniejszą kamerą.

— Masz rolki B?

76

Mężczyzna uśmiechnął się i podniósł kciuk. Conti przeniósł spojrzenie na Ekberg, dostrzegł Marshalla.

— Pan jest Marshall, tak? Ekolog?

— Paleoekolog, tak.

Conti spojrział na swoją podkładkę, odkreślił coś ołówkiem trzymanym w grubej rękawicy.

— Dobrze. To następne na liście. — Znowu popatrzył na Marshalla, tym razem uważniej, mierząc go wzrokiem od stóp do głów, jakby oceniał polec wołowiny. — Czy może pan zebrać resztę swojego zespołu na planie, w ubraniach polowych? Piętnaście minut, jeśli można. Wasza obecność zwiększy realizm ujęcia.

— Jakiego ujęcia?

— Idziemy na górę.

Marshall zawahał się.

— Chętnie zbiorę pozostałych. Ale najpierw powinien pan chyba wyjaśnić, co tu właściwie filmujecie. Nie powiedział pan niczego konkretnego. Nie chcę utrudniać wam pracy, ale już dostatecznie długo trzymacie nas w niewiedzy.

Conti wciągnął w nozdrza zimne powietrze.

— Kręcimy jak najwięcej materiału, zanim przyleci Ashleigh.

— Tego też nie rozumiem. Dlaczego prowadząca musi Przylecieć aż tutaj? Dlaczego nie można dodać jej narracji w Nowym Jorku, po zmontowaniu filmu?

— Ponieważ nie chodzi o zwykłą narrację — odparł Conti. — Chodzi o dokument fabularyzowany. Bardzo dramatyczny dokument.

77

Marshall zmarszczył brwi.

— Co to ma wspólnego z naszą pracą tutaj? Albo z kotem, którego znaleźliśmy?

Conti uśmiechnął się lekko.

— Ma bardzo wiele wspólnego z kotem, profesorze Marshall. Widzi pan, wejdziemy na górę, żeby go wyciąć z lodu.

Marshall poczuł dreszcz niedowierzania.

— Wyciąć go?

— W jednym bloku. Żeby go przetransportować do naszego specjalnie przygotowanego skarbcza. Skarbiec zostanie hermetycznie zamknięty, blok lodu roztopiony w kontrolowanych warunkach. — Conti zrobił przerwę dla efektu. — A kiedy znowu otworzymy skarbiec, zrobimy to na żywo, właśnie tutaj... na oczach dziesięciu milionów widzów.

8

Na chwilę Marshallowi odebrało głos. A potem niedowierzanie znikło równie szybko, jak się pojawiło, zastąpione przez gniew o sile, jakiej się nawet nie spodziewał.

— Przykro mi — powiedział zdumiony spokojem w swoim głosie — ale to niemożliwe. Uśmiech nie zniknął z twarzy Contiego.

— Nie?

— Nie.

— A to dlaczego?

Kiedy producent zadał to pytanie, Marshall zobaczył, że od strony bazy nadchodzi Sully. Z pewnością usłyszał hałas na planie i przyszedł sprawdzić, co się dzieje. Klimatolog łąsił się do Contiego przy każdej okazji, nadszakiwał mu i pewnie liczył na odegranie jakiejś pomocniczej roli w produkcji.

— Pan Conti właśnie mi wyjawiał prawdziwy powód ich obecności — zwrócił się do Sully'ego, kiedy ten dołączył do grupy.

79

— O? — zapytał Sully. — Co to takiego?

— Chcą wyciąć smilodona z lodowej jaskini i rozmrozić go przed kamerami telewizyjnymi na żywo.

Sully zamruął ze zdziwienia, ale nic nie powiedział.

Marshall znowu odwrócił się do producenta.

— Zajęliście naszą bazę, przeszkadzacie nam w badaniach, traktujecie nas jak intruzów — to jedna sprawa. Ale nie pozwolę, żebyście narażali naszą pracę.

Conti skrzyżował ramiona na piersi. Marshall uświadomił sobie, że Ekberg wpatruje się w niego z napięciem.

— Ta padlina stanowi ważne, nawet bardzo ważne odkrycie naukowe — ciągnął. — To nie jakaś tania sztuczka reklamowa, którą możecie wykorzystywać dla własnych celów. Jeśli przylecieliście tutaj z tego powodu, przykro mi, że straciliście czas i pieniądze. Ale możecie już się pakować i zabierać z powrotem.

Sully zdążył się otrząsnąć ze zdziwienia i próbował wtrącić:

— Ach, Evan, naprawdę nie ma potrzeby...

— I jeszcze jedno — nie dał sobie przerwać Marshall. — Mówiłem już pani Ekberg: ta jaskinia jest niebezpieczna. Wibracje ciężkiego sprzętu mogą zwalić wam wszystko na głowę. Więc nawet gdybyśmy się zgodzili na wasz zwariowany pomysł, w żadnym razie nie wpuścimy was do środka.

Conti zasznurował usta.

— Rozumiem. Coś jeszcze?

Marshall utkwiał w nim wzrok.

80

___ To mało? Nie dostaniecie tego kota. To proste.

Czekał na odpowiedź Contiego. Ale reżyser tylko spojrzął znacząco na Wolffa.

Wolff odchrząknął i odezwał się po raz pierwszy.

— W zasadzie ma pan rację, doktorze Marshall. To rzeczywiście proste: zrobimy, co zechcemy.

Marshall odwrócił się do Wolffa, zaciskając szczęki.

— O czym pan mówi?

— Jeśli zechcemy wyciąć kota z lodu, to wytniemy. Jeśli zechcemy poćwiartować go i upiec na grillu, to upieczemy.

Przedstawiciel sieci sięgnął za pazuchę, wyjął plik papierów i podał Marshallowi.

— Co to jest? — zapytał naukowiec, nie wyciągając ręki.

— To jest kontrakt, który wasz doktor Sully i dziekan wydziału badawczego UNM podpisali z Terra Prime.

Marshall milczał, więc Wolff mówił dalej:

— W zamian za sfinansowanie waszej sześciotygod-niowej ekspedycji Terra Prime... a co za tym idzie, jej korporacyjny rodzic Blackpool Entertainment Group... ma wyłączny i nieograniczony dostęp nie tylko do terenu waszych prac, lecz także do wszelkich odkryć, jakich dokonacie.

Marshall niechętnie wziął dokument

— Klauzula sześć — podpowiedział Wolff. — Kluczowym słowem jest „nieograniczony”.

Marshall pobieżnie przejrzał kontrakt. Wolff mówił prawdę: Terra Prime mogła przejąć wszelkie dobra fizyczne czy

81

intelektualne wytworzone przez ekspedycję. Nie zdawał sobie sprawy, że jest filią Blackpoola, i wcale mu się to nie spodobało: Blackpool zasłynął z dziennikarstwa opartego na wyzysku i pogoni za sensacją. Wolff najwyraźniej przewidział, że nadejdzie taka chwila; dlatego właśnie nosił ze sobą kontrakt. Marshall uważniej przyjrzał się temu człowiekowi. Nawet w parce Wolff wydawał się chudy, wręcz szkieletowaty; krótko ścięte brązowe włosy, twarz bez wyrazu. Odwzajemnił spojrzenie, blade oczy niczego nie zdradzały. Marshall odwrócił się do Sully'ego.

— Podpisałeś to?

Sully wzruszył ramionami.

— Albo to, albo nici z ekspedycji. Skąd mogliśmy wiedzieć, że coś takiego się zdarzy? Marshall nie odpowiedział. Nagle poczuł się jeszcze bardziej zmęczony. Bez słowa złożył kontrakt i oddał go Wolffowi.

9

Piętnaście minut później duża grupa wyruszyła przez dolinę lodowcową w stronę jaskini. W wyprawie oprócz naukowców, Contiego i jego skromnej świty asystentów uczestniczyła Ekberg, dwaj kamerzyści i dźwiękowiec. Pochód zamykało z dziesięciu robotników wyglądających na twardzieli. Ubrani w skórzane kurtki, szli pieszo i jechali Śnieżnym

Kotem, na którego pace piętrzyły się drewniane palety. Ci ludzie oficjalnie nie należeli do ekipy filmowej; byli miejscowi, przylecieli z Anchorage na kilka dni, zatrudnieni do ciężkich robót. Ekberg już wyjaśniła, że sieci zależało na pośpiechu przy kręceniu głównych zdjęć na żywo — z producentem na miejscu i gwiazdą w drodze pieniądze rozchodziły się w błyskawicznym tempie, należało więc jak najszybciej zbudować dekoracje i rekwizyty. Normalnie droga do czoła lodowca Fear zajmowała dwadzieścia minut, dzisiaj jednak trwała kilkakrotnie dłużej; Conti ciągle przystawał, żeby kamerzyści sfilmowali

83

górze, dolinę, samą wyprawę. Raz zatrzymał wszystkich na dziesięć minut, żeby w zamyśleniu popatrzeć na lodowiec. Co najdziwniejsze, później kazał filmować Ekberg — z każdej możliwej strony, tylko nie z przodu.

— Po co to? — zapytał Marshall po piątym zdjęciu.

Ekberg ściągnęła kaptur.

— Dubluję Ashleigh.

Marshall kiwnął głową. Ashleigh Davis, prowadząca, miała się zjawić dopiero za dwa dni — ale to nie przeszkadzało Contiemu jej filmować.

— No tak, mówiłaś. Przy takich zdjęciach czas liczy się najbardziej.

— Właśnie. — Popatrzyła na niego. — Słuchaj, przykro mi z powodu tego, co się stało. Szkoda, że nie mogłam cię ostrzec, ale dostałam ścisłe rozkazy. To musiało wyjść od Wolffa,

— Więc on tu rządzi. A ja myślałem, że Conti.

— Emilio kieruje kreatywną stroną przedsięwzięcia: zdjęciami, oświetleniem, reżyserią, montażem. Ale sieć wykłada pieniądze. Więc sieć ma ostatnie słowo. A tutaj, na końcu świata, sieć to Wolff.

Marshall obejrzał się przez ramię. Wolff nie poszedł z nimi, tylko ciągle stał na dole, poza zewnętrznym ogrodzeniem: mała figurka, wychudzona jak kościotrup, obserwująca ich bez ruchu.

Marshall odwrócił się z westchnieniem.

— Czy to normalne? To zatrzymywanie się, rozglądanie, filmowanie wszystkiego dookoła?

84

— Nie całkiem. Conti zużywa trzy razy więcej taśmy niż zwykle.

— Dlaczego?

— Bo chce z tego zrobić swoją Monę Lizę. Swoje arcydzieło. Wiele ryzykował, żeby to zrealizować.

— A czemuż to Wielki Reżyser włązi na górę piechotą razem z resztą pospólstwa? Myślałem, że pojedzie Śnieżnym Kotem.

— Chce, żeby go filmowano „w terenie”, jak mówimy. To wygląda lepiej w reportażach z planu, które później znajdują się jako dodatek na płycie DVD.

Marshall z niedowierzaniem pokręcił głową. Istny cyrk.

Podjęli wspinaczkę i jak na zawołanie Conti się do nich zbliżył.

— Czy jest coś, co powinienem wiedzieć? — zapytał Marshalla z urywanym włoskim akcentem.

— O czym?

Producent zatoczył ręką szeroki łuk.

— O czymkolwiek. O tym miejscu, o pogodzie, o miejscowej faunie... żeby dodać kolorytu do projektu.

— Jest wiele rzeczy, które powinien pan wiedzieć. To fascynujący region geologiczny. Producent przytaknął z lekkim powątpiewaniem.

— Zaplanuję wywiad, kiedy wrócimy.

Sully, który słyszał tę wymianę zdań, podszedł spieszenie.

— Jako kierownik zespołu z radością udzielię panu wszelkiej pomocy.

85

Conti ponownie z roztargnieniem kiwnął głową znowu wpatrzony w lodowiec.

Marshall zastanowił się, czy powinien powiedzieć producentowi o plemieniu mieszkającym w okolicy — chyba właśnie takiego „kolorytu” szukał Conti — szybko jednak odstąpił od tego pomysłu. Ostatnie, czego Tunicci potrzebowali — albo na co zasługiwali — to hałaśliwa ekipa ignorantów zwalająca się do wioski. Nie musiał się domyślać, jak zareagują, gdy zobaczą jak się zmieniła Mount Fear w ciągu ostatnich paru dni.

Ukradkiem zerknął na Contiego. Nie potrafił rozgryźć tego człowieka. Chociaż reżyser pozował na afektowanego artystę, jednocześnie prezentował twardą bezkompromisową postawę. Taka kombinacja, w połowie Truman Ca-pote, w połowie David Lean, wydawała się nieprawdopodobna. Wytrącała z równowagi.

Lodowa jaskinia leżała przed nimi, ciemna paszcza przesłonięta sylwetami ciężkiego

sprzętu: dźwigu z platformą na balonowych oponach i jeszcze jednego pojazdu, którego Marshall nie rozpoznał. Jaskrawożółte maszyny rysowały się ostro na tle śniegu i bladego błękitu lodowca. Podczas gdy kamerzyści wymieniali soczewki, a inżynier dźwięku przygotowywał przenośny mikser przy pasie, oddział mężczyzn w skórzanych kurtkach rozsypał się wokół maszyn. Dwaj wspięli się do kabin, a pozostali zaczęli ściągać drewniane palety ze Śnieżnego Kota i ładować ich zawartość na platformę samojezdnego dźwigu. Z bliska Marshall zobaczył, że to brezentowe worki wypełnione ciężkimi

86
stalowymi rozporami z hydraulicznie regulowaną wysokością.

Barbour zmrużonymi oczami obserwowała robotników przy pracy. W jednej grubej rękawicy trzymała palmtopa, w drugiej dyktafon. Do ekipy filmowej odnosiła się jeszcze bardziej podejrzliwie niż Marshall.

— Domyślam się, po co ten dźwig — mruknęła. — Ale to drugie?

Marshall zerknął na pojazd najeżony wyposażeniem, które wyglądało jakoś średniowiecznie.

— Nie mam pojęcia.

— Zanutuj — mówił Conti do Ekberg. — Chcę czterokolorową paletę: biel śniegu, błękit nieba, lazur lodowca, czerń jaskini. Powinien wyjść niebieski nokturn. Musimy zastosować ten specjalny proces, kiedy to pójdzie do laboratorium. — Spojrzał na kamerzystów. — Gotowi?

— Gotowi — powiedział Fortnum, główny operator.

— Tutaj gotowi, panie C. — dorzucił Toussaint, jego asystent.

— Musicie działać bardzo, bardzo ostrożnie — ostrzegł Marshall. — Podłoga to czarny lód, bardzo śliski. I jak mówiłem, tunele lawowe są niezwykle kruche. Ta cała sprawa to wariackie ryzyko. Jeden fałszywy ruch i dach się zawali.

— Dziękuję, panie Marshall. — Conti odwrócił się do kamerzystów. — Fortnum? Toussaint? Jeśli usłyszycie jakieś trzaski, kiedy będziemy w środku, szybko zróbcie Panoramę twarzy. Wybierzcie najbardziej przestraszone 1 zróbcie zbliżenia.

87

Kamerzyści wymienili niepewne spojrzenia i kiwnęli głowami.

Conti rozejrzał się po raz ostatni, po czym skinął na Toussainta.

— Cisza na planie! — ryknął kamerzysta.

Wszelkie rozmowy z miejsca ucichły.

Conti podniósł wzrok na jaskinię.

— Akcja!

Trzasnął cyfrowy klaps i kamery zaczęły pracować. Jednocześnie ciężki sprzęt ruszył z przeraźliwym hałasem. Zgrzytając biegami, pojazdy potoczyły się w stronę czoła lodowca. Conti i grupka jego asystentów poszli za nimi. Kamerzyści trzymali się z tyłu, starannie kręcąc panoramiczne ujęcia. Marshall niechętnie podążył za procesją zmierzającą do jaskini. Miał okropne, mdlące przeczucie, że pycha Contiego sprowadzi zgubę na nich wszystkich.

Przy wejściu do jaskini pojazdy przystanęły i robotnicy ściągnęli z platformy kilka brezentowych worków. Potem na wierzchołkach żółtych kabin zapaliły się silne reflektory, sprzęgła zgrzytnęły i pojazdy znowu potoczyły się do przodu, tym razem wolniej. Zniknęły pod niskim stropem jaskini. Marshall i pozostali poszli za nimi gęsiego. Suche, mroźne powietrze w tunelu lawowym zrobiło się gęste od dieslowskich spalin. Ściany wibrowały szaleńczo, silniki ryczały ogłuszająco. Obejrząwszy się przez ramię, Marshall zobaczył, że robotnicy — pod kierunkiem krzepkiego brygadzysty nazwiskiem Creel — wyciągają z worków podpory i mocują je pomiędzy podłogą a sufitem. To

88

prowizoryczne stemplowanie tylko marginalnie poprawiło mu nastrój.

Ruszył dalej tunelem. Nie potrzebował latarki: reflektory pojazdów i światła kamer zmieniły jaskinię w walec roziskrzonego błękitu. Z przodu rozległo się zgrzytliwe szuranie i skrobanie, kiedy jeden z pojazdów przeciskał się pod niskim sklepieniem. Marshall zauważył, że na ten dźwięk nawet Sully'emu zrzęda mina.

Potem jaskinia się poszerzyła, sufit odjechał do góry i mała grupka szybko utworzyła krąg wokół oczyszczonego fragmentu lodowej podłogi. Diesle zgasły jeden po drugim i przez chwilę cisza aż dzwoniła w uszach. Słabe staccato trzasków zbudziło echo w komorze, kiedy lodowa podłoga osiadała pod ciężarem potężnych maszyn. Robotnicy skończyli wzmacniać jaskinię podporami i stanęli z tyłu.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Wszyscy patrzyli w dół, na martwe żółte oczy, które spoglądały na nich z lodu. Marshall rozejrzał się po twarzach zebranych ludzi. Ekberg marszczyła brwi, jakby zaniepokojona. Barbour notowała coś szybko w palmtopie. Conti, wyraźnie wstrząśnięty, wpatrywał się w mętny lód. Faraday, mrugając za zbyt dużymi

szkłami okularów, wyciągał z kieszeni mstrumenty pomiarowe. Sully promieniał niemal ojcowską dumą.

Wreszcie Conti się ocknął.

'— Fortnum, Toussaint, macie to?

Potwierdzam — odparł główny operator.

Zrobiliście panoramę naukowców?

89

— Dwa razy.

— Doskonale. — Producent odwrócił się do Sully'ego. — Proszę wytyczyć wymiary zwierzęcia.

Sully odchrząknął.

— Wytyczyć?

— Blok lodu, który wytniemy z podłogi jaskini. Niech pan nie oszczędza; nie chcemy przypadkiem odciąć udka.

Sully skrzywił się, ale niezręcznie postąpił do przodu i — po szeptanych konsultacjach z Faradayem — dokonał kilku obliczeń, po czym scyzorykiem wydrapał w lodzie krzywy prostokąt.

— Głębokość? — zapytał Creel.

Sully spojrzał na Barbour, która sprawdziła w palmtopie.

— Dwa koma siedem metra — oznajmiła.

Creel odwrócił się do człowieka za deską rozdzielczą pojazdu.

— Zrób dwa koma osiem.

Ponownie jaskinię wypełnił ryk diesla i gęste kłęby spalin. Kamery kręciły, jak kolejny robotnik za pomocą pilota ustawia nad lodem ciężkie mechaniczne ramię dziwacznej maszyny. Powoli opuścił je nad rysunek Sully'ego.

— Cofnąć się — ostrzegł Creel.

Wiązka intensywnie czerwonego światła pojawiła się na czubku instrumentu. Lód pod spodem natychmiast zaczął się topić i wrzeć.

— Laser klasy wojskowej — wyjaśnił Conti. — Niezwykle mocny, a jednak bardziej precyzyjny niż jubilerski pilnik.

90

Wszyscy patrzyli, jak laser powoli rozcina mętny brązowy lód. Jeden z robotników włączył

przenośny kompresor, zamontowany z boku platformy. Przytykając ryjo-watą nasadkę do topniejącego lodu, odsysał wodę przez ciężką gumową rurę i odprowadzał w głąb lodowej jaskini. Ten widok skojarzył się Marshallowi z jakimś monstrualnym zabiegiem dentystycznym. Chociaż jako naukowiec buntował się przeciwko samej koncepcji tego przedsięwzięcia — wycinania unikatowego okazu ze skały macierzystej z takim brutalnym pośpiechem — poczuł ulgę, że zachowano pewne środki ostrożności.

Po dwudziestu minutach zadanie zostało wykonane. Prostokąt nakreślony przez Sully'ego na lodzie zmienił się teraz w głęboki kanał, którego dwa boki miały szerokość dwóch centymetrów, a pozostałe dwa — prawie piętnastu centymetrów. Nastąpiła krótka przerwa, kiedy Chen wystąpił do przodu i za pomocą zdalnego czujnika optycznego sprawdził, czy cięcie jest wystarczająco głębokie. Potem wciągnięto laser i z maszyny wysunęło się teleskopowo następne dziwaczne ramię. Na końcu miało przymocowaną jakby sztuczną dłoń, płaską i cienką, lecz dość szeroką. Dłoń ożyła z owadziim brzękiem.

— Co to jest? — zapytał Marshall brygadzystę.

— Świder boczny — odparł Creel, przekrzykując hałas. — z końcówką diamentowo-silikonowo-karbidową.

Powoli opuszczono urządzenie do jednego z szerszych kanałów. Brzęczenie przybrało na sile, kiedy prawie trzy metry niżej świder wgryzł się w prastary lód. Do wy-

91

drażenia wetknięto rurę i znowu woda z roztopionego lodu zaczęła spływać po podłodze jaskini. Jeszcze jedno mechaniczne ramię unosiło się w pobliżu, gotowe wsunąć podpórki pod blok lodu.

Boczne cięcie zabrało mniej czasu i po dziesięciu minutach świder wyjęto. Na znak Creela robotnicy wysunęli dwa bosaki, opuścili je do wydrążenia i zamocowali na końcach lodowego bloku. Potem dodatkowo je przywiązali grubymi brezentowymi pasami.

Conti ponownie spojrzął na Fortnuma i Toussainta.

— Chcę czystego ujęcia. Mamy tylko jedną szansę.

Fortnum wyregulował ostrość, sprawdził przekaźnik, kiwnął głową.

Wszystko wstrzymano, kiedy Conti uparł się, żeby na czworakach obejrzeć blok, z nosem centymetry od lodu. Fortnum filmował każdy ruch reżysera.

— Zaczynamy — powiedział wreszcie Conti i wstał. Obiektyw na jego szyi zakołysał

się złowieszczo.

Creel dał sygnał ekipie. Z nowym rykiem silników uruchomiono wciągarkę na platformie. Rozległo się metaliczne szczęknięcie, kiedy napięły się ciężkie łańcuchy przymocowane do haków. Przez chwilę silnik wył rozpaczliwie i haki ciągnęły oporny lód. Potem z niskim zgrzytaniem, od którego cała góra wydawała się drżeć, ogromny blok zaczął się unosić.

— Spokojnie — powiedział Creel.

Conti spojrział na Fortnuma.

— Nakieruj kamerę na sprzęt. Twoje ujęcie ma być jak

92

pieszczota. Pokazujesz, co wydobywa nasz skarb z lodowego więzienia.

powoli, bardzo powoli zamrożony kot podniósł się z legowiska, na którym spoczywał od tysięcy lat. Naukowcy cisnęli się do przodu, dokonując obserwacji i sporządzając pospieszne notatki. Marshall też się przepychał i wytrzeszczał oczy. Blok lodu był nieznośnie mętny, zwały błota i śmieci zamrożone w czasie, barwy gęstego dymu w bezlitosnym blasku reflektorów. Powierzchnię znaczyły drobne, regularne prążki wyżłobione przez promień lasera. Chryste, pomyślał Marshall, wbrew sobie porwany nastrojem chwili. Ten blok waży co najmniej cztery tony.

Wznosił się wyżej i wyżej, aż głowica dźwigu uderzyła

0 strop jaskini. Dopiero wtedy blok wysunął się całkowicie na zewnątrz, zachybotał gwałtownie i przeszorował po lodowym podłożu, o włos mijając Faradaya, który w skupieniu badał go sonarowym spektrometrem. Ludzie rozbiegli się, wpadając jeden na drugiego.

— Stabilizuj! — krzyknął Creel.

Wciągarka zapiszczała w proteście, kiedy operator zwiększył gaz do maksimum. Blok przechylił się, zakołysał dziko

1 powoli osiadł z powrotem na podłodze jaskini. Operator dźwigu na chwilę zmniejszył moc. Potem — powoli i ostrożnie — znowu podniósł blok, obrócił go i wmanewrował na platformę. Rozległ się ostry syk hydrauliki. Pod okiem kamery kilku innych robotników przymocowało blok do Pojazdu i narzuciło na niego ciężką płachtę izolującą. Po kilku minutach wszystko się skończyło, maszyny potoczyły

93

się z powrotem tunelem, niezliczone podpory składano i chowano do brezentowych

worków. A kot — zamknięty w bloku lodu —jechał do klimatyzowanego skarbcza, gdzie miał czekać bezpiecznie zamknięty, dopóki go nie rozmrożą i nie zademonstrują na żywo wielomilionowej publiczności.

Conti obejrzał tunel z wyraźną satysfakcją.

— Wykorzystamy odjeżdżające maszyny jako obraz kluczowy — zwrócił się do Fortnuma. — Zrobimy serię przebitek wyjazdu z tunelu, potem cięcie z powrotem na bazę. Kręć dużo ujęć. I na tym kończymy.

Odwrócił się do Marshalla.

— To jak? Gotowy do wywiadu?

10

Kiedy zanurzyli się z powrotem w obezwładniające ciepło holu wejściowego bazy, Conti kiwnął na dźwiękowca i Toussainta, po czym zwrócił się do Marshalla.

— Równie dobrze możemy to nakręcić w pańskim laboratorium.

— Tędy. — Marshall poprowadził grupkę centralnymi schodami, potem szerokim korytarzem, na skrzyżowaniu skręcił w prawo i zatrzymał się przed uchylonymi drzwiami.

— Jesteśmy na miejscu.

Conti wsunął głowę do środka, rozejrzał się szybko.

— To jest pańskie laboratorium?

— Tak. A co?

— Za bardzo uporządkowane. Gdzie jest aparatura? Okazy? Probówki?

— Okazy trzymam w zamkniętej lodówce w holu. Wydzieliliśmy osobne pokoje na aparaturę naukową, chociaż większość ciężkiego sprzętu zostawiliśmy w Woburn.

Zadaniem tej ekspedycji jest głównie obserwacja i zbieranie próbek... analizą zajmiemy się później.

95

— A probówki?

Marshall uśmiechnął się blado.

— Paleoeokolodzy raczej nie używają probówek.

Conti namyślał się przez chwilę.

— Zauważyłem, że wcześniej minęliśmy bardziej odpowiednie laboratorium.

— Odpowiednie? — powtórzył Marshall jak echo.

Ale Conti już wracał korytarzem, razem z dźwiękowcem

i aparatem. Po chwili Marshall wzruszył ramionami i poszedł za nimi.

— Tutaj.

Conti zatrzymał się przed pokojem, w którym każdą poziomą powierzchnię zajmowały czasopisma, wydruki, instrumenty i plastikowe pojemniki na próbki.

— Ale to laboratorium Wrighta — zaprotestował Marshall. — Nie możemy z niego korzystać.

Conti podniósł do oka dyndający na szyi obiektyw i przez soczewkę przyglądał się Marshallowi.

— Dlaczego?

Marshall zawahał się. Uświadomił sobie, że właściwie nie istnieje żaden istotny powód, żeby nie skorzystać z laboratorium Faradaya.

— Więc czemu z nim pan nie zrobi wywiadu?

— Ponieważ, doktorze Marshall... jakby to delikatnie ująć?... kamera nie potraktuje łaskawie doktora Faradaya. Pan natomiast jest atrakcyjny na swój surowy akademicki sposób. A więc możemy kontynuować?

Marshall znowu wzruszył ramionami. Trudno mu się

96

rozmawiało z facetem, który oglądał go przez obiektyw wielkości pięści.

Conti wszedł do środka i — wciąż z obiektywem przy oku — pokazał Toussaintowi, gdzie chce umieścić kamerę. Operator przeszedł w głąb pomieszczenia razem z dźwiękowcem.

— Doktorze Marshall — podjął Conti — sfilmujemy pana, jak pan wchodzi i siada za biurkiem. Gotowy?

— Chyba tak.

Conti wypuścił z ręki obiektyw.

— Akcja.

Kamera ruszyła i Marshall wszedł do laboratorium. Zatrzymał się, kiedy zobaczył stos papierów na obrotowym krześle Faradaya.

— Cięcie. — Conti zrzucił papiery na podłogę i wygonił Marshalla z powrotem na korytarz. — Spróbujmy jeszcze raz.

Marshall ponownie wszedł przez drzwi.

— Cięcie! — szczechnął Conti. Spojrzał pochmurnie na Marshalla. — Niech pan nie wchodzi tak zwyczajnie. Chcę widzieć podniecenie w pana ruchach. Właśnie dokonał pan

wielkiego odkrycia.

— Jakiego odkrycia?

— Oczywiście tygrysa szabłożębnego. Niech widzowie zobaczą pański entuzjazm.

Niech przeżywają razem z panem ten cudowny dreszczyk.

— Nie rozumiem. Myślałem, że w tym całym cyrku chodzi o rozmrożenie padliny na żywo.

97

Conti przewrócił oczami.

— Nie można tym wypełnić siedemdziesięciu czterech i pół minuty czasu najwyższej oglądalności. Proszę realizować program, doktorze Marshall. Musimy wprowadzić widza w temat, zbudować napięcie. Żeby to kupił na sto procent. Otworzymy skarbiec dopiero w ostatnim segmencie.

Marshall powoli skinął głową. Bardzo się starał robić to, czego zażądał Conti: realizować program. Przełknął irytację, którą w nim budziła cała ta sztuczność; powściągnął oburzenie, wywołane poświęcaniem nauki na ołtarzu teatralności. Przypomniawszy sobie, że Conti jest nagradzonym producentem; że *Z* zabójczych mórz stanowiło kamień milowy wśród współczesnych filmów dokumentalnych; że milionowa widownia tylko korzystnie wpłynie na przyszłe badania.

Jeszcze raz wyszedł na korytarz.

— Akcja! — krzyknął Conti.

Marshall wszedł energicznie, usiadł za biurkiem i udawał, że coś sprawdza na laptopie Faradaya.

— Cięcie i skopiować — polecił Conti. — Znacznie lepiej. — Obszedł biurko dookoła.

— Teraz zadam panu kilka pytań, spoza kamery. Pan odpowie do kamery. Proszę pamiętać, że w wersji ostatecznej to Ashleigh będzie zadawać pytania, nie ja. — Spuścił wzrok na podkładkę. — Może zacznie pan od wyjaśnienia, dlaczego w ogóle tutaj jesteście?

— Jasne. Jesteśmy tutaj właściwie z trzech powodów.

98

Po pierwsze, chcieliśmy zbadać wpływ globalnego ocieplenia na środowisko subarktyczne, zwłaszcza lodowce. Po drugie, potrzebowaliśmy spokojnego miejsca, żeby przeprowadzić analizy. Po trzecie, zależało nam na stosunkowo tanim rozwiązaniu. Baza Fear spełniała wszystkie trzy wymogi.

— Ale dlaczego akurat ta góra?

— Z powodu lodowca. Badanie regresji lodowca to doskonały sposób na zmierzenie globalnego ocieplenia. Pozwólcie, że wyjaśnię. Górna część lodowca, ta część, na którą spada śnieg, nazywa się strefą akumulacyjną. Dolna część, podstawa lodowca, to strefa ablacyjna. Tam lodu ubywa na skutek topnienia. Zdrowy lodowiec ma dużą strefę akumulacyjną. A ten lodowiec, Fear, nie jest zdrowy. Strefa akumulacyjna jest mała. Doktor Sully rejestrował prędkość cofania się lodowca. Dziesięć tysięcy lat minęło, zanim lodowiec się uformował, zanim dotarł tak daleko. Ale, co niepokojące, cofnął się o trzydzieści metrów w ciągu zaledwie ostatnich dwunastu miesięcy...

Przerwał. Toussaint opuścił kamerę, a Conti znowu studiował podkładkę. Czas to pieniądz, przypomniał sobie Marshall.

Conti podniósł wzrok.

— Jak brzmi naukowa nazwa tego kota, doktorze Marshall?

— Smilodon.

— A czym się żywił ten smilodon?

99

— To jedna z rzeczy, które mamy nadzieję ustalić z większą dokładnością. Zawartość żołądka powinna...

— Dziękuję, doktorze, rozumiem, do czego pan zmierza. Może lepiej nie wchodzić w szczegóły. Czy ten kot był mięsożerny?

— Wszystkie koty są mięsożerne.

— Czy pożerał ludzi?

— Pewnie tak. Kiedy jakiegoś schwytał.

Wyraz zniecierpliwienia przemknął przez twarz Contiego.

— Zechce pan to powiedzieć do kamery?

Marshall spojrzał w kamerę i czując się trochę głupio, oznajmił:

— Smilodony pożerały istoty ludzkie.

— Doskonale. A teraz jak pan się czuł, doktorze Marshall, kiedy pan znalazł tego kota?

Marshall zmarszczył brwi.

— Jak się czułem? Zdumiony. Zaszokowany.

Conti pokręcił głową.

— Tego nie może pan powiedzieć.

— Dlaczego? Byłem bardzo zdumiony.

— Spodziewa się pan, że nasi sponsorzy zapłacą pięćset tysięcy za minutę, żeby usłyszeć, że pan był „zdumiony”?

Conti myślał przez chwilę. Potem odwrócił podkładkę, wyjął z kieszeni zmywalny pisak i nagryzmołił coś na spodzie podkładki.

— Spróbujmy czegoś innego. Chciałbym usłyszeć, jak pan to czyta na głos. Tylko test dźwiękowy.

100

Podniósł podkładkę. Marshall spojrział na odręczne pismo.

— To było tak, jakbym spoglądał w serce ciemności.

— Jeszcze raz proszę. Powoli i z większym dramatyzmem. Niech pan patrzy w kamerę, nie na podkładkę.

Marshall powtórzył zdanie. Conti z zadowoleniem kiwnął głową.

— Masz to? — spytał operatora.

Toussaint przytaknął. Conti zwrócił się z kolei do dźwiękowca.

— Nagrałeś to?

— Tak jest, szefie.

— Chwileczkę — zaprotestował Marshall. — Ja tego nie powiedziałem. To pańskie słowa.

Conti rozłożył ręce.

— To dobre słowa.

Marshall stracił cierpliwość.

— Pana nie interesuje rzetelność naukowa. Pana w ogóle nie interesuje rzetelność. Panu zależy tylko na widowisku.

— Za to mi płacą doktorze. A teraz porozmawiajmy o panu. — Conti znowu zerknął na podkładkę. — Kazałem moim researcherom pogrzebać w przeszłości członków ekspedycji. Pana historia jest szczególnie interesująca, doktorze Marshall. Był pan odznaczonym oficerem. Otrzymał pan Srebrną Gwiazdę. A jednak został pan karnie zwolniony z wojska. Czy to prawda?

— Jeśli tak, chyba nie spodziewa się pan, że zechcę o tym mówić.

101

— Spróbujmy jeszcze raz. — Conti splótł dłonie. —

Northern Massachusetts University nie wyróżnia się... jak by to określić?... poziomem swoich pracowników. Dlaczego ktoś taki jak pan został naukowcem... na dodatek w takim miejscu?

Marshall nie odpowiedział.

— Ma pan kwalifikacje snajpera. Więc dlaczego jest pan jedynym członkiem ekspedycji, który odmawia noszenia karabinu dla obrony?

Marshall nagle wstał.

— Wie pan co? Niech pan sobie poszuka innej gwiazdy. Nie zamierzam odpowiadać na więcej pytań.

Zanim Conti zdążył, żeby odpowiedzieć, Marshall podszedł bliżej.

— A jeśli spróbuje pan dalej pytać, wykopię pański upierdliwy tyłek za drzwi.

Zapadło napięte milczenie. Conti przyglądał się Marshallowi — takim samym taksującym spojrzeniem jak wtedy, kiedy Wolff wyciągnął kontrakt.

— Coś panu wyjaśnię, doktorze Marshall — odezwał się po długiej chwili. — Jestem wpływowym człowiekiem... nie tylko w Nowym Jorku i Hollywood. Jeśli chce pan zrobić sobie ze mnie wroga, popełnia pan poważny błąd.

Wnętrzem dłoni starł napis z podkładki i zwrócił się do Toussainta.

— Spróbuj znaleźć doktora Sully'ego. Coś mi mówi, że on będzie bardziej skłonny do współpracy.

11

Tego wieczoru Marshall wędrował przez zawałone sprzętem korytarze poziomu B. Nie mógł sobie znaleźć miejsca ani w swojej kwaterze, ani w laboratorium, a głośnie rozmowy i hałasy przesuwanych przyrządów tylko potęgowały jego rozdrażnienie. Wiedząc, że jak zwykle będzie miał problemy z zaśnięciem, skierował się na powierzchnię, żeby zażyć wieczornego spaceru, co stało się jego zwyczajem.

Wszedł po schodach do holu wejściowego. Jego kroki zadźwięczały na metalowej podłodze pokrytej linoleum. Posterunek żandarmerii wojskowej, zgodnie z jego przewidywaniem, był obsadzony: odkąd przybył kontyngent filmowców, sierżant Gonzalez trzymał tam wartownika w dzień i w nocy, chociaż brakowało mu ludzi. Lecz ku zdumieniu Marshalla w wartowni pełnił dyżur sam Gonzalez.

Sierżant kiwnął na powitanie głową. Chociaż sporo po Pięćdziesiątce, emanował niemal

niewyczerpaną energią.

103

— Doktorze — powiedział. — Codzienna wieczorna przechadzka dla zdrowia?

— Owszem — potwierdził Marshall, nieco zdziwiony; nie wiedział, że Gonzalez śledzi jego poczynania. — Jakoś nie mogę spać.

— Nic dziwnego... skoro na dole urządzają sobie balangę.

Gonzalez zmarszczył brwi i potępiająco pokręcił głową która przypominała kulę wyrastającą prosto z ramion. Przy tym ruchu na karku wystąpiły mu grube zwały mięśni.

Marshall zaśmiał się.

— Rzeczywiście trochę hałasują.

Gonzalez prychnął.

— Proszę wybaczyć, doktorze, ale hałas to najmniejsze zmartwienie. Ich po prostu jest za dużo. Nie spodziewaliśmy się nawet połowy i moja baza tego nie wytrzyma.

Elektrownia jest stara, przystosowana do pracy tylko na pół gwizdka. A teraz przekraczamy limit jak cholera. Jest nas tylko czterech, nie możemy niańczyć ich wszystkich. Dzisiaj po południu Marcelin przyłapał jednego, jak się szwendał poza terenem, w sektorze operacji militarnych. — Mars na twarzy sierżanta się pogłębił. — Mam ochotę złożyć formalną skargę.

— Niedługo powinno się uspokoić. Jutro chyba z dziesięciu wyjedzie. — Słyszałem, że po wykonaniu głównych dekoracji robotnicy wrócą na południe.

— Oby jak najszybciej — burknął Gonzalez.

Marshall przyjrzał mu się z namysłem. „Moja baza”,

104

powiedział Gonzalez. Miał podstawy, żeby tak mówić. Spędził chyba ze trzydzieści lat w bazie Fear, całkowicie izolowanej, położonej sześćset pięćdziesiąt kilometrów na północ za kołem podbiegunowym. Niewiarygodne, pomyślał Marshall — nic dziwnego, że trzej pozostali żołnierze nie mogli się już doczekać końca służby. Teraz sierżant zbliżał się do emerytury. Przebywał tutaj od tak dawna, że pewnie nie wyobrażał sobie innego miejsca zamieszkania. A może — jak napomknęła Ekberg — sierżant po prostu cenił sobie prywatność.

Pomachawszy do Gonzalez, Marshall ruszył w stronę głównego wyjścia. Duży zewnętrzny termometr w szatni wskazywał minus dwadzieścia stopni. Otworzywszy szafkę, Marshall

nałożył parkę, kominiarkę, buty śniegowe i rękawice. Potem wszedł do przedsionka i pchnął zewnętrzne drzwi prowadzące w noc.

Betonowa płyta przed bazą spoczywała cicho pod wielką kopułą gwiazd. Marshall przystanął na chwilę, aklimatyzując się do mroźnego powietrza. Potem ruszył w noc z rękami w kieszeniach, uważając, żeby nie nadepnąć na kable elektryczne wijące się pod nogami. Wiatr ucichł całkowicie, niepełna tarcza księżyca zalewała krajobraz widmowym błękitnym blaskiem. Cały personel filmowy przebywał we wnętrzu bazy, toteż prefabrykowane baraki i szopy magazynowe wydawały się nadnaturalnie ciche. Wszystko spało. Jedyne hałas dochodził z elektrowni, która stękała z wysiłku, dostarczając energii żarłocznym nowym mieszkańcom.

105

Marshall zatrzymał się przy zewnętrznym ogrodzeniu i rozejrzał się uważnie w obie strony. Odkąd tu przyjechali, kilkakrotnie widzieli niedźwiedzie polarne. Dzisiaj jednak żadne ciemne kształty nie czaiły się wśród lodów wiecznej zmarzliny czy brzydkich zwałowisk prehistorycznej lawy. Marshall mocniej ściągnął troczki kaptura, minął pusty posterunek kontrolny, a dalej nogi same go poniosły.

Wkrótce wspinał się stromą doliną w kierunku lodowca. Kłęby pary buchały mu z ust i płynęły za nim w mroźnym powietrzu. Kiedy się rozgrzał, wydłużył krok i swobodnie wymachiwał rękami. Porządna porcja ćwiczeń i może uda mu się zasnąć nawet w hałasie, jaki robiła ekipa filmowa.

Po piętnastu minutach marszu poczuł, że nachylenie stoku lekko złagodniało. Potężne maszyny przesunięto i miał teraz otwarty widok na jezioro lodowca, ciemnoniebieską ścianę lodu, która w blasku księżyca zdawała się płonąć wewnętrznym ogniem. A niżej, w cieniu, czerniał mały, okrągły wylot lodowej jaskini...

Marshall zatrzymał się. Przed jaskinią stały jakieś postacie. Trzy cienie wśród cieni. Podszedł powoli. Trzy postacie rozmawiały: słyszał stłumione głosy. Odwróciły się na chrzęst jego kroków i ku swemu zdumieniu rozpoznał pozostałych naukowców: Sul-ly'ego, Faradaya, Penny Barbour. Do pełnego składu zespołu brakowało tylko doktoranta Anga. Zupełnie jakby się umówili na spotkanie tutaj, w miejscu odkrycia.

Sully kiwnął głową, kiedy Marshall do nich dołączył.

106

— Ładna noc na spacer — powiedział. Przez ramię miał przewieszony jeden z

karabinów ekspedycji.

; — Musiałem się wyrwać z tego domu wariatów — odparł Marshall.

Jeśli się spodziewał, że zawsze dyplomatyczny Sully zaprotestuje, nie miał racji.

Klimatolog skrzywił się paskudnie.

— Kręcili jakąś sekwencję w Centrum Operacyjnym, obok mojego laboratorium. Nie uwierzysz, ale udawali nas. Powtarzali ujęcie z dziesięć razy. Nie słyszałem własnych myśli.

— Skoro o filmie mowa, jak tam wywiad? — zagadnął Marshall.

Niechętny grymas się pogłębił.

— Conti przerwał w połowie. Dźwiękowiec narzekał, twierdził, wyobrażasz sobie, że połykam słowa.

Marshall kiwnął głową.

Sully odwrócił się do Barbour.

— Przecież nie połykam słów, prawda?

— Serwer padł dziś wieczorem przez tych cholernych głabów — oznajmiła, zamiast odpowiedzieć. — Jakby przywieźli za mało własnych laptopów, musieli jeszcze podkraść nasze cykle przetwarzania. Wciskali mi jakiś kit o „specjalnych wymaganiach renderingu”. Tylko że ja nie robię z tego afery.

— Jak poszedłem na obiad, było tylko jedno wolne miejsce — poskarżył się Marshall.

"— Przynajmniej miałeś miejsce — zgasiła go Bar-

107

bour. — Ja czekałam na stojąco dziesięć minut i w końcu machnęłam ręką. Zabrałam jabłko i torbę chrupek do laboratorium.

Marshall spojrział na Faradaya. Biolog nie włączył się do rozmowy, tylko wpatrywał się w otwór jaskini głęboko zamyślony.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi Marshall zwrócił się do Faradaya:

— No więc, Wright, co powiesz na to wszystko?

Faraday nie odpowiedział, tylko dalej spoglądał w ciemną paszczę ziejącą u stóp lodowca.

Marshall szturchnął go lekko.

— Hej, Faraday. Wracaj do świata żywych.

W końcu Faraday się obejrzał. Soczewki jego okularów zalśniły upiornie w blasku księżyca.

Wyglądał jak wylupias-tooki kosmita i jak zwykle wydawał się wiecznie zdziwiony.

— Och. Przepraszam. Myślałem.

Sully westchnął.

— No dobra, wal. Jaka jest złowieszcza teoria na dzisiaj'?

— Nie teoria. Tylko obserwacja. — Nie doczekawszy się odpowiedzi, Faraday kontynuował: — Wczoraj, kiedy wycinali z lodu smilodona.

— Byliśmy przy tym — przypomniał mu Sully. — O co chodzi?

— Zrobiłem kilka odczytów spektrometrem sonarowym. Wiecie, skoro wcześniejsze odczyty zdalnego obrazowania z góry na dół były mało precyzyjne i miałem dostęp do przekroju poprzecznego...

108

_Rozumiemy — przerwał mu Sully, machając urękawiczoną dłonią.

_No więc prawie przez całe popołudnie analizowałem odczyty. I nie pasują.

— Nie pasują do czego? — zdziwił się Marshall.

— Nie pasują do smilodona.

— Nie gadaj głupot! — ofuknęła go Barbour. — Widziałeś to, prawda? Jak my wszyscy.

— Widziałem bardzo mało, w wyjątkowo mętym środowisku. Sonarowy analizator dostarczył mi znacznie więcej danych do zbadania.

— Więc w końcu o co ci chodzi? — zapytał Marshall.

— Twierdzę, że to coś w środku tego bloku lodu jest znacznie większe od tygrysa szablozębnego.

Mała grupka zamilkła, przetrawiając tę informację. Po kilku chwilach Sully odchrząknął.

— To na pewno złudzenie. Widziałeś jakiś zgęstek śmieci, może soczewkę piasku albo żwiru, ustawioną pod takim kątem, że przypominała ciało.

Faraday tylko pokręcił głową.

— Właściwie o ile większe? — zapytała Barbour.

— Nie potrafię dokładnie określić. Jakieś dwa razy.

Naukowcy wymienili spojrzenia.

— Dwa razy?! — wykrzyknął Marshall. — Więc co to Jest? Mastodont?

Faraday znowu pokręcił głową.

— Mamut?

Biolog wzruszył ramionami.

109

— Odczyty całkiem wyraźnie pokazują rozmiar. Nie są tak wyraźne pod względem... eee... kształtu.

Następna chwila milczenia.

— To były kocie oczy — powiedziała Barbour zniżonym głosem. — Założę się o wszystko.

— Mnie też się tak wydawało — przyznał Marshall. Znowu spojrzął na Faradaya. — Na pewno te nowe odczyty są dokładne?

— Zrobiłem analizę dwukrotnie. Wszystko sprawdzałem.

— To nie ma sensu — oświadczyła Barbour. — Jeśli to nie smilodon... ani mastodont... ani mamut... to co to jest, do cholery?

— Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć — odparł Marshall. — Mam dość tego, że mnie przeganiają z mojego własnego terenu badań.

I ruszył energicznie na dół, w kierunku bazy.

12

Conti zajął na swój prywatny apartament nie tylko kwaterę komendanta bazy, ale również zastępcy komendanta — trzy piętra w dół, na poziomie C. Wydawał się zirytowany przybyciem delegacji naukowców. Kiedy mu wyjaśnili cel wizyty, jego irytacja wyraźnie wzrosła.

— Absolutnie wykluczone — oświadczył, stojąc w drzwiach. — Skarbiec jest klimatyzowany, utrzymywany w bardzo dokładnie wyliczonej temperaturze.

— Nie roztopimy lodu — zapewnił Sully.

— Poza tym na zewnątrz jest sporo poniżej zera — dodał Marshall. — Czyżby pan nie zauważył?

— Nikt nie może zobaczyć zwierzaka — upierał się Conti. — Takie są zasady.

— My już go widzieliśmy — przypomniała mu Barbour.

— To bez znaczenia. Nie zrobicie tego i kropka.

Marshall zastanawiał się, dlaczego producent wykazuje taki silny instynkt terytorialny.

111

— Przecież nie ukradniemy tego cholerstwa. Chcemy tylko się lepiej przyjrzeć.

Conti przewrócił oczami.

— Skarbiec musi być zamknięty na klucz. Blackpool wydał ściśle pisemne instrukcje w tej kwestii. To ma decydujące znaczenie dla kampanii reklamowej, żeby go otworzyć dopiero podczas transmisji na żywo.

— Kampania reklamowa — powtórzył Marshall. — Nazwiecie to Przebudzenie tygrysa, tak? Pan i pańscy sponsorzy będziecie trochę głupio wyglądać, kiedy otworzycie skarbiec w czasie największej oglądalności i znajdziecie na podłodze zdechłego niedźwiedzia.

Conti nie odpowiedział od razu. Przesuwał spojrzenie z jednego naukowca na drugiego, coraz bardziej zachmurzony. W końcu westchnął.

— No dobrze. Ale tylko wasza czwórka. I bez kamer, bez żadnego sprzętu... zostaniecie zrewidowani, zanim tam wejdziecie, i będziecie bacznie obserwowani przez cały czas. I nie wolno wam nikomu powiedzieć, co widzieliście; pamiętajcie, że podpisaliście zobowiązanie do zachowania dyskrecji pod groźbą surowej kary.

— Pamiętamy — zapewnił Sully.

Conti kiwnął głową.

— Pięć minut.

Na zewnątrz jeszcze bardziej się oziębilo — ponad dwadzieścia pięć stopni poniżej zera na skali Celsjusza

112

i gwiazdy płonęły jaskrawo na czarnym niebie. Skarbiec stał samotnie w pobliżu zewnętrznego ogrodzenia, otoczony kręgiem wysokich lamp sodowych: masywna konstrukcja, ustawiona jakiś metr nad ziemią na ciężkich blokach żużlu. Grube pęki kabli elektrycznych biegły od niej prosto do elektrowni, a z tyłu podłączono zapasowy generator, gotów natychmiast przejąć funkcje zamrażania w razie, gdyby główne diesle zawiodły. Nie żeby istniała taka potrzeba, pomyślał Marshall, kuląc się w arktycznym mrozie.

Mała grupka zatrzymała się przed schodami prowadzącymi do skarbcza. Marshall zauważył, że przednia ściana ma po lewej stronie zawiasy — mogła się otwierać cała, jak drzwi bankowego skarbcza. Po prawej stronie wisiały trzy ciężkie kłódki — niewątpliwie bardziej dla efektu niż z rzeczywistej potrzeby — a pośrodku zamocowano ogromny zamek cyfrowy. Obok znajdował się rząd liczników i przełączników do monitorowania i kontrolowania temperatury we wnętrzu, osłonięty grubą metalową kratą i zabezpieczony dodatkową

kłódką.

Jeden z techników Contiego, młodzik nazwiskiem Hulce, wyszedł pomiędzy prowizorycznych zabudowań, chrząszcząc ciężkimi butami na wiecznej zmarzlinie. Po kolei zrewidował kieszenie naukowców i znalazł u Faradaya cyfrowy aparat fotograficzny.

— On zawsze to nosi — wyjaśnił Sully. — Chyba wszczepili mu to chirurgicznie przy narodzinach.

Hulce skonfiskował aparat, potem kiwnął głową do Contiego.

113

— Proszę się odwrócić — polecił producent.

Marshall zrobił, co kazano. Usłyszał przekręcanie tarczy na drzwiach skarbcza; usłyszał „bong”, kiedy otworzył się ciężki zamek. Potem trzy wyraźne szczęknięcia, kiedy zdejmowano kłódkę.

— Możecie się odwrócić — powiedział Conti.

Marshall odwrócił się i zobaczył, że Hulce otwiera przednią ścianę skarbcza. Z wnętrza wystrzelił gruby snop jaskrawożółtego światła. Conti gestem zaprosił do środka.

Marshall wszedł po schodach do skarbcza za Sullym, Faradayem i Barbour. Conti z technikiem weszli ostatni i zamknęli drzwi. Zrobiło się ciasno: blok lodu zajmował prawie całą przestrzeń. Oprócz niego znajdował się tu tylko rząd oślepiająco jasnych świateł na suficie i przenośny grzejnik osadzony w tylnej ścianie, który — jak wiedział Marshall — zostanie włączony, kiedy nadejdzie czas, żeby rozmrozić zewłok i pokazać go światu. Podłoga ugiwała się pod nogami zbyt miękko jak na stal. Marshall spuścił wzrok i zobaczył ze zdumieniem, że z wyjątkiem dwóch stalowych dwuteowników, rozmieszczonych w odstępach ponad metra, podłoga jest drewniana — z drewna pomalowanego na srebrno, żeby przypominało metal. Wywiercono w niej mnóstwo małych otworków, niewątpliwie do odprowadzania wody ze stopionego lodu. Pokręcił głową: kolejna hollywoodzka sztuczka, całkiem jak niepotrzebne kłódkę. Kamery nie obejmą podłogi, więc nie warto płacić dodatkowo za stal poza wspierającymi dwuteownikami.

114

Conti skinął na technika, żeby zdjął brezent. Potem zwrócił się do naukowców.

_ pamiętajcie. Pięć minut.

Hulce z pewnym wysiłkiem ściągnął z wierzchołka lodowej bryły ciężką plandekę i zrzucił

ją do tyłu. Marshall wstrzymał oddech i niemal zatoczył się ze zdumienia.

— Jezu — wymamrotał Sully zdławionym głosem.

Chociaż boki prostopadłościanu pozostały nierówne i oszronione, górna powierzchnia widocznie tarła o płachtę izolującą podczas transportu z góry, wskutek czego została wypolerowana na wysoki połysk. Właśnie ta powierzchnia była zwrócona w stronę drzwi skarbcu. Ogromne czarno--żółte ślepie spoglądały na Marshalla nieustępliwie spod lodu. Ale nie te oczy wstrząsnęły nim tak mocno.

W dzieciństwie prześladował go powracający senny koszmar. Budził się w domu, we własnym łóżku. Sam: rodzice i starsza siostra gdzieś znikli. Było późno; elektryczność wysiadła; otwarte okna wpuszczały do środka noc. Dom wypełniała mgła. Chłopiec odrzucał kołdrę i wstawał, za każdym razem wstawał, chociaż powinien już być mądrzejszy. Wszystko w tym śnie wydawało się boleśnie, dotkliwie namacalne: chłód mgły na twarzy, twarda, gładka drewniana podłoga pod stopami. Wymykał się z sypialni i zaczynał schodzić po schodach. Podest poniżej zasnuwały gęste jak zupa, szare opary. W połowie drogi przystawał. Ponieważ z dołu skradała się w jego stronę przerażająca bestia: ogromny kot z płonącymi ślepiami, ostrymi kłami i masywnymi przednimi łapami,

115

uzbrojonymi w okrutne pazury. Chłopiec stał i patrzył skamieniały ze zgrozy. Powoli, bardzo powoli stwór wyłaniał się z mgły: sztywna, przetłuszczona grzywa, mięśnie falujące na łopatkach. Wpatrywał się w niego bez mrugnięcia, sunąc do przodu, i z głębin jego piersi wydobywał się dźwięk, bardziej wyczuwalny niż dosłyszalny: pierwotny, nieopisany pomruk nienawiści, głodu, pożądania... i wtedy paraliż ustępował, chłopiec odwracał się i uciekał z wrzaskiem do swojego pokoju, schody drżały pod ciężarem bestii, łomot potężnych łap zbliżał się coraz bardziej, cuchnący oddech ogrzewał mu kark...

Marshall pokręcił głową, przetarł oczy. Pomimo ark-tycznego zimna, które panowało w skarbcu, zalała go fala obezwładniającego gorąca.

Martwy stwór w lodzie wyglądał dokładnie jak potwór ze snu. Nawet mętny lód przypominał mgłę występującą w koszmarze. Marshall przełknął ślinę. Tylko górna połowa łba i przednia część cielska wyłaniały się z kłębowiska zamrożonego błota, ale to wystarczyło, żeby natychmiast się przekonać, że nie ma do czynienia z tygrysem szablozębym.

Obejrzał się na pozostałych. Wszyscy wpatrywali się w lód, ich twarze odzwierciedlały

szok, niedowierzanie i, w przypadku technika Hulce'a, niemal nagi strach. Nawet Conti kręcił głową wyraźnie zbity z tropu.

— Potrzebujemy szerszego obiektywu — mamrotał.

— Wyjątkowo paskudny bydlak, bez dwóch zdań — stwierdziła Barbour.

116

, — Co to jest? — zapytał Sully.

— Mogą ci powiedzieć, co to nie jest — odparł Faraday. — To nie jest smilodon. Ani mamut.

Marshall usiłował otrząsnąć się z lęków dzieciństwa

1 spojrzeć na ścierwo możliwie klinicznym wzrokiem.

— Na przednich nogach widzę włosy — oznajmił. — Sierść. I nogi są zbyt umięśnione... szpony są o wiele za długie.

— Za długie na co? — chciał wiedzieć Conti.

— Na wszystko.

Marshall wzruszył ramionami, nie udając już akademickiej obojętności. Wymienił spojrzenia z pozostałymi naukowcami. Zastanawiał się, czy myśleli to samo. Wprawdzie stwór był widoczny tylko w niewielkiej części, jednak nie przypominał żadnego ziemskiego zwierzęcia, z czasów obecnych czy z przeszłości.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał. W końcu Sully przerwał ciszę.

— Więc co powiecie? — zagadnął. — Że patrzymy na formę życia nieznaną w rejestrach skamielin?

— Możliwe. Ale cokolwiek to jest, uważam, że ma ogromne znaczenie dla rejestrów skamielin — odezwał się Faraday.

Marshall zmarszczył brwi.

— O co ci chodzi?

— O teorię zaburzeń ewolucyjnych. — Faraday odchrząknął. — Co jakiś czas to wpływa w biologii. Zgodnie

2 tą teorią, kiedy populacja zwierząt staje się zbyt liczna,

117

żeby ekosfera mogła je wyżywić, albo kiedy dany gatunek adaptuje się zbyt idealnie i traci ewolucyjny wigor, pojawia się nowe stworzenie, żeby zredukować liczebność, wymusić nowe zmiany.

— Maszyna do zabijania — mruknęła Barbour, spoglądając na blok lodu.
— Dokładnie. Tylko że jeśli maszyna do zabijania jest zanadto skuteczna, wyeksploatuje swoje środowisko, straci źródło pożywienia i w końcu zwróci się przeciwko przedstawicielom własnego gatunku.

— Mówisz o efekcie Kallisto — skojarzył Marshall. — Alternatywnej teorii wyjaśniającej, co zabiło dinozaury.

Faraday przytaknął, okulary błysnęły w jaskrawym świetle.

— Tę teorię głosił Frock z nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej — powiedział Marshall. — Ale odkąd zniknął, chyba nikt inny jej nie popierał.

— Może nasz Wright jest nowym głosicielem — rzuciła Barbour z przekąsem.

— Mnie się wydaje bardzo wątpliwa — orzekł Sully. — W każdym razie nawet jeśli macie rację, ten trup już nikomu nie zagraża, nie mówiąc o całym gatunku.

Conti przestąpił z nogi na nogę. Szok zniknął z jego twarzy, która znowu przybrała wyniosły, lekko pogardliwy wyraz.

— Nie rozumiem, czym się tak podniecacie — powiedział. — Przecież widać tylko głowę i barki... i łapę.

— Ecce signum — odparł Marshall, wskazując kciukiem na lód.

118

— No, wkrótce się dowiemy — stwierdził Conti. — Na razie zostaje tygrysem. Tymczasem upłynęło wasze pięć minut. — Odwrócił się do technika. — Panie Hulce, proszę oddać doktorowi Faradayowi aparat fotograficzny. Potem niech pan to nakryje i dokładnie sprawdzi zamki. Ja odprowadzę naszych przyjaciół do bazy.

13

Marshalla obudziło pukanie do drzwi małej klitki — dawniej kwatery podoficerskiej — która służyła mu za sypialnię. Przekręcił się, zdezorientowany, obrócił się jeszcze raz i spadł z wąskiego łóżka.

— Co? — wychrypiał.

— Ubierz się, skarbie — rozbrzmiał głos Penny Barbour. — Szybko. Nie chciałbyś tego przegapić.

Marshall usiadł, przetarł zaspane oczy i spojrzął na zegarek. Prawie szósta. Jak zwykle spędził niespokojną noc i zasnął dopiero przed dwiema godzinami. Wstał, ubrał się szybko w suchym, ciepłym powietrzu bazy i wyszedł na korytarz. Barbour czekała na niego

niecierpliwie.

— No, chodź — ponagliła go.

— Co jest?

— Sam zobaczysz.

Poprowadziła go przez pełne echa korytarze i główną klatkę schodową do wyjścia z bazy.

Ubrali się w szatni Marshall zauważył, że temperatura znacznie wzrosła, odkąd

120

poszedł spać — przeszli przedsionek i znaleźli się na zewnątrz.

Marshall przystanął, mrugając ze znużeniem w ciemnościach przedświt. Pomimo wczesnej pory praca trwała w najlepsze: słyszał okrzyki, stukanie młotków, jazgot wiertarki bezprzewodowej. W tle rozbrzmiewał inny dźwięk, niejasno znajomy. Barbour szła przodem przez słoczone przybudówki. Zatrzymała się niedaleko skarbca, gdzie zebrała się grupka gapiów. Z nikłym uśmiechem wskazała poza zewnętrzne ogrodzenie.

Marshall spojrzał w mrok. Początkowo nic nie zobaczył. Potem w oddali pojawiły się dwie świecące kropki. Stopniowo urosły: żółte, gniewne plamy, nieprzyjemnie podobne do tamtych oczu, które patrzyły na niego z lodu. W miarę jak się zbliżały, zaczynał dostrzegać inne, mniejsze światła. Odgłos w tle również narastał. Teraz Marshall go rozpoznał: diesel, i to duży.

— Co, do cholery...? — zaczął.

Ogromny osiemnastokółowiec zbliżał się do nich po śniegu. Robił się coraz większy i większy, aż wreszcie zatrzymał się w kałuży światła za ogrodzeniem, z silnikiem na jałowym biegu. Na kołach miał ciężkie łańcuchy, kabinę obrastały filigrany lodu. Na przedniej szybie zebrała się gęsta para wodna; gruba warstwa śniegu i szronu niemal całkowicie pokrywała przednie światła i przykrytą brezentem kratę chłodnicy.

Barbour szturchnęła Marshalla łokciem w żebra, zachichotała.

121

— Ciężarówka z naczepą. Coś takiego nieczęsto się widuje w Strefie.

Marshall patrzył na maszynę osłupiały.

— Jak tu dojechała? Jesteśmy ponad dwieście kilometrów od najbliższej drogi.

— On sam sobie wytycza drogę — odparła Barbour.

Marshall spojrzał na nią

— Zadałam to samo pytanie. Tamci mnie oświecili... ci, którzy mnie zawiadomili o jego

przyjeździe. — Wskazała grupkę gapiów. — Podobno to jest tak zwany zimowy kierowca. Ludzie tacy jak oni jeżdżą po „zimowych drogach”... drogach, które istnieją tylko w najzimniejszych miesiącach, w linii prostej przez zamrożone jeziora, po taflach lodu, żeby dostarczyć towary i sprzęt do odległych obozów i osiedli, gdzie nie ma regularnej komunikacji.

— Przez zamrożone jeziora?!

— To nie jest robota dla mięczaków.

— A niech mnie — mruknął Marshall. Tutaj, w Federalnej Strefie Chronionej, wielka ciężarówka wydawała się takim anachronizmem, że ledwie mógł w to uwierzyć.

— Normalnie kursują pomiędzy Yellowknife a Port Radium — ciągnęła Barbour. — To jest specjalny kurs.

— Dlaczego? Co jest takie ważne, że nie może przylecieć samolotem dostawczym?

— To. — Barbour wskazała naczepę za kabiną ciężarówki.

Dotąd Marshall skupiał uwagę na kabinie. Teraz jednak,

122

kiedy spojrzał na ładunek, zobaczył nie zwykły prosto-padłocienny kontener, tylko coś przypominającego przyczepę kempingową Airstream — chociaż kilkakrotnie większego. Słońce właśnie wyjrzało zza horyzontu i przyczepa zabłysła w świetle nowego dnia. W jakiś perwersyjny sposób skojarzyła mu się z łodziami podwodnymi, które czasami widywał zacumowane na Tamizie, kiedy przejeżdżał przez nowy Londyn w drodze do domu rodziców w Danbury. Metalowe boki wznosiły się gładko do łagodnie zaokrąglonego dachu, który z kolei pysznił się małym lasem anten i czasz satelitarnych. W dużych oknach wisiały kosztowne zasłony, wszystkie starannie zaciągnięte. Wysoko na tylnej ścianie znajdował się mały balkonik z leżakami — dziwaczny element, zważywszy na surowe warunki pogodowe.

Odgłos silnika znowu spotężniał do ryku i ciągnik ruszył do przodu, szczękając łańcuchami na oponach. Dwaj krzepcy robotnicy w skórzanych kurtkach oderwali się od gromadki gapiów, potruchtali w stronę bramy i rozwarli ją szeroko. Ciężarówka przeszła na wsteczny bieg i przy akompaniamencie piskliwych sygnałów ostrzegawczych zaczęła wmanewrowywać swój ładunek na teren bazy. Kierowana przez robotników pełzła do tyłu, dopóki przyczepa nie znalazła się daleko za ogrodzeniem. Potem diesel zwolnił obroty; kierowca wrzucił luz i zgasił silnik; i z sykiem hamulców powietrznych pojazd zamarł.

Drzwi kabiny otwały się i zimowy kierowca — chuderlawy młodzik °Palony na brązowo, w krzykliwej hawajskiej koszuli —

123

wyskoczył i zaczął odłączać przyczepę. Potem otwały się drzwi po stronie pasażera i pojawiła się następna postać. Ten przybysz wysiadł z kabiny znacznie ostrożniej. Był wysoki i jasnowłosy, w wieku około czterdziestu pięciu lat, z krótko przyciętą brodą. Z widoczną ulgą zsunął się na wieczną zmarzlinę. Wyciągnął z kabiny duży brezentowy worek i torbę z laptopem, zarzucił je na ramię i ruszył sztywno w stronę bazy. Mijając Marshalla i Barbour, skinął im głową.

— Facet trochę zzieleniał — zachichotała Barbour.

Pojawił się następny robotnik, rozwinął z dużej szpuli ciężkie pomarańczowe kable elektryczne i zaczął je podłączać do panelu na boku przyczepy.

— Jak myślisz, po co to? — Marshall wskazał przyczepę ruchem głowy.

— Dla jej wysokości — odparła Barbour.

— Dla kogo?

Ale zanim jeszcze wymówił te słowa, usłyszał nowy dźwięk: świst nadlatującego helikoptera. Narastający hałas nie przypominał cienkiego, jękliwego warkotu roboczych helikopterów dowożących zaopatrzenie przez ostatnie dni. Był gładki, niski, potężny. Potem zobaczył pojazd lecący nisko na tle rozjaśnionego horyzontu i zrozumiał przyczynę. To nie był żaden konik polny, tylko sikorski S-76C++, szczyt luksusu wśród helikopterów. I od razu się domyślił, kim jest, jej wysokość"

Sikorski nadleciał szybko, przez chwilę unosił się nad bazą, po czym usiadł na zmarzlinie, alarmująco blisko

124

bramy w zewnętrznym ogrodzeniu, wzbijając chmurę kłujących drobin lodu i śniegu. Gapie szybko się rozproszyli, zakrywając twarze rękami i chowając się za najbliższymi budynkami. Kiedy wycie turbosilników przycichło i lodowa chmura opadła, w brzuchu helikoptera otworzył się właz i po schodkach zeszła chuda jak patyk kobieta w trenczu burberry. Przystanąła, spoglądając z nieodgadnionym wyrazem twarzy na rozrzucone bezładnie budynki. Potem otworzyła parasolkę i walcząc z podmuchem śmigieł, weszła z powrotem na schody. Pokazała się druga postać — ubrana w futro chyba z gronostajów, jak się wydawało Marshallowi — i obie kobiety zeszły razem na ziemię. Naukowiec wyciągnął

szuję, żeby zobaczyć twarz tej w futrze, ale kobieta w trenczu tak zręcznie osłaniała ją od podmuchów, że dostrzegł tylko skraj futra, mignięcie zgrabnych nóg i błysk czarnych szpilek stąpających po wiecznej zmarzlinie.

Schody złożyły się do wewnątrz, właz się zamknął, wycie turbin spotężniało i sikorski wystartował, mieląc łopatom powietrze. Szybko nabrał wysokości i przyspieszył. Barbour prychnęła głośno.

Dopiero w tej chwili Marshall zauważył, że Ekberg stała w pobliżu i obserwowała lądowanie. Teraz wysunęła się do przodu, żeby przejąć nowo przybyłe.

— Panno Davis — powiedziała — jestem Kari Ekberg, Producent terenowy.

Rozmawialiśmy w Nowym Jorku i chciałam tylko powiedzieć, że z przyjemnością zrobię Wszystko, żeby pani...

125

Ale jeśli któraś z dwóch kobiet usłyszała — ta w trenczu czy ta w futrze — nie dały niczego po sobie poznać. Przeszły obok bez słowa, wspięły się po metalowych schodkach lśniących przyczepy, wśliznęły się do środka i zatrzasnęły za sobą ciężkie drzwi.

14

Przez cały dzień temperatura powoli pełzła w górę, minus dwanaście stopni, potem minus osiem, toteż Conti zagonił swoją ekipę do kręcenia serii zaśnieżonych krajobrazów, tak na wszelki wypadek. W jaskrawym słońcu nastrój filmowców znacznie się poprawił, odkąd wymienili wojskowe parki na wełniane swetry i puchowe kurtki. Od strony Mount Fear dochodziły ostre trzaski i huki, kiedy czoło lodowca znowu zaczęło się cieleć. Gonzalez zatrudnił swój zespół inżynierów wojskowych przy wymianie zużytych panewek, przez które jeden z generatorów odmawiał posłuszeństwa. Po lunchu większość miejscowych robotników — zakończywszy wstępne prace konstrukcyjne — odleciała dwoma ciężarowymi helikopterami na południe do An-chorage, żeby wrócić dopiero po zakończeniu zdjęć. Na miejscu został tylko Creel, krzepki brygadzysta, który wyglądał tak, jakby jadał stalowe gwoździe na

127

śniadanie. Około trzeciej po południu Ashleigh Davis wyłoniła się ze swojej uber-przyczepy, rozejrzała się z niesmakiem po terenie robót i wyruszyła do bazy — w towarzystwie osobistej asystentki w trenczu — widocznie po instrukcje Contiego.

Po obiedzie Marshall wrócił do laboratorium, gdzie pracował ciężko przez cały dzień, z

nikim nie rozmawiając. Ponieważ filmowcy przebywali na zewnątrz, przygotowując się do zaplanowanej na następny dzień transmisji, w bazie było względnie spokojnie i nikt mu nie przeszkadzał. Teraz Marshall pochylał się nad stołem laboratoryjnym, tak pochłonięty pracą że nie słyszał, jak drzwi laboratorium otwarły się powoli. Nie zdawał sobie sprawy, że ma towarzystwo, dopóki kobiecy głos nad jego ramieniem nie zaczął recytować:

Lekko tańczyły w polarnym niebie i rozwijały złocisty opar,

Szybko płąsały srebrnymi stopami, oślepiającym paliły wzrokiem.

Tańczyły w niebie kotyliona, obute w srebro i róż;

To nie był widok dla ludzkich oczu — tam patrzeć mógł tylko Bóg.

Wyprostował się i odwrócił. Kari Ekberg stała obok niego, oparta o stół, w dzinsach i białym golfie. W kącikach jej ust igrał uśmiech.

Odpowiedział cytatem:

128

Wiły się jak rozgniewane żmije, syczały siarkowo blade, Potem zmieniły się w smoka i pluły parzącym jadem*.

— A więc — zagadnął — znowu się pokazała?

— I to jaka!

— Wiesz, odkąd tu przyjechałem i po raz pierwszy zobaczyłem te światła, czekałem, żeby ktoś zacytował Roberta Service'a. Nie przypuszczałem, że to będziesz ty.

— Uwielbiałam go, odkąd mój starszy brat nastraszył mnie śmiertelnie, czytając mi na głos Kremację Sama McGee w namiocie przy świetle latarki.

— Ja miałem dość podobne przeżycia. — Popatrzył na zegarek. — Mój Boże. Dziesiąta.

— Przeciągnął się i znowu spojrzał na nią. — Myślałem, że biegasz i dopinasz wszystko na ostatni guzik.

Pokręciła głową.

— Jestem producentem terenowym, pamiętasz? Wykonuję wstępną pracę, pilnuję, żeby każdy znał kroki tańca. Jak już gwiazda wkracza na plan, mogę usiąść z założonymi rękami i tylko się przyglądać.

Gwiazda, pomyślał Marshall, wspominając poranne prawie spotkanie pomiędzy Ekberg i Ashleigh Davis.

— A ty? — zagadnęła. — Nie widziałam cię przez cały dzień. Jakich wielkich odkryć dokonałeś?

— My, paleoekolodzy, nie gonimy za wielkimi odkryciami. Próbuje po prostu znaleźć odpowiedzi, wypełnić luki.

* Robert Service, *Ballad of the Northern Lights*.

129

— Więc czemu pracujesz do późna? Przecież to nie zniknie. — Machnęła ręką w stronę lodowca.

— Prawdę mówiąc, znika znacznie szybciej, niż myślisz. — Odwrócił się do stołu, podniósł mały żółty kwiatek. — Znalazłem go dziś rano tuż za ogrodzeniem, w śniegu. Dziesięć lat temu północna granica występowania tych kwiatów przebiegała sto pięćdziesiąt kilometrów dalej na południe. Widzisz, jakich zmian dokonało globalne ocieplenie w ciągu zaledwie dekady.

— Ale ja myślałam, że globalne ocieplenie pomaga ci w pracy.

— Topnienie lodowca pozwala mi zebrać więcej próbek w krótszym czasie. Z czoła topniejącego lodowca mogę pozyskać wszystko: pyłki, owady, nasiona sosny, nawet bańki powietrza, żeby zbadać zawartość CO₂ w prehistorycznej atmosferze. Wiercenie w lodzie nawet się do tego nie umywa. Ale to nie znaczy, że przyjmuję globalne ocieplenie z entuzjazmem. Naukowiec powinien być obiektywny.

Popatrzyła na niego z wyraźnie kpiarskim uśmiechem.

— I taki, jesteś? Obiektywny?

Zawahał się, po czym westchnął.

— Jeśli chcesz znać prawdę... nie. Globalne ocieplenie przeraża mnie jak cholera. Ale nie jestem aktywistą. Po prostu rozumiem konsekwencje lepiej niż większość ludzi. My już tracimy kontrolę nad sytuacją. Ziemia jest niezwykle odporna, mnóstwo rzeczy potrafi sama naprawić—Ale ten ociepleniowy trend rozwija się zbyt szybko, wy-

130

wołuje setki reakcji łańcuchowych... — Przerwał i zaśmiał się cicho. — Powinienem zachować neutralność w tej kwestii. Gdyby Sully mnie usłyszał, urwałby mi głowę.

— Nie naskarzę. Doceniam, że mówisz z głębi serca.

Wzruszył ramionami.

— Właściwie to ironia losu. Na krótką metę korzystam z topnienia lodowca. Ale kiedy lodowiec zniknie, zabierze ze sobą wszystkie dowody, których potrzebuję do badań.

Wszystko spłynie do oceanu. To moja jedyna szansa, żeby badać lodowiec, zbierać okazy.

— I dlatego siedzisz po nocach. Przepraszam, że się tutaj wpakowałam.

— Żartujesz? Miło, że mnie odwiedziłaś. Zresztą nie tylko ja pracuję. Poparz na siebie: zadajesz pytania, odwalasz czarną robotę, pilnujesz, żeby gwiazda dobrze wyglądała.

Gwiazda, która, nawiasem mówiąc, chyba nie jest ci specjalnie wdzięczna za twoją ciężką pracę.

Ekberg skrzywiła się, ale nie podjęła wątku.

— My, producenci terenowi, też musimy dźwigać swój krzyż. — Rozejrzała się. —

Grasz? — Wskazała keyboard MIDI oparty o ścianę.

Marshall przytaknął.

— Głównie jazz i blues.

— Dobry jesteś?

Zaśmiał się.

— Wystarczająco dobry. Nie zarobię tym na życie, ale gram w amatorskim zespole klubowym w Woburn. Najbardziej lubię podkręcać syntezatory. Oczywiście w na-
131

szych czasach już nie trzeba tego robić... wszystkie dźwięki są przygotowane i tylko wybierasz pożądany kształt fali z komputerowego menu... ale kiedy dorastałem, uwielbiałem manipulować oscylatorami i filtrami. Mój zbudowałem od zera.

— Musisz kiedyś dla nas zagrać. — Ruszyła w kierunku drzwi. — Lepiej już pójde.

Niedawno przygotowałam segment z zorzą polarną i Emilio już go pewnie filmuje.

Marshall wstał.

— Pójde z tobą jeśli można.

•••

W szatni Marshall zauważył, że termometr wskazuje tylko dwa stopnie poniżej zera.

Narzucił lekką parkę i wyszedł za Ekberg w sam środek kontrolowanego pandemonium.

Pomimo późnej pory betonowa płyta tętniła życiem, światłem i dźwiękiem. Obsługa planu ustawiała kamery i przesuwiała wielkie kratownice na wyznaczone miejsca wokół skarbcza, przygotowując się do zdjęć, które zamierzano kręcić następnego dnia. Niedaleko przyczepy panny Davis główny oświetleniowiec ustawiał reflektor sungun, żeby dodatkowo oświetlić jutrzejszy segment. Dźwiękowiec prowadził ożywioną naradę z Fortnumem. Wolff, przedstawiciel sieci, stał bez ruchu w cieniu Śnieżnego Kota i w milczeniu, z rękami w kieszeniach obserwował całą scenę. A tuzin innych osób, skupionych w małe grupka

wpatrywało się w nocne niebo.

132

Za ich przykładem Marshall również podniósł wzrok. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersi. Zakładał, że otaczająca go jaskrawa iluminacja została wytworzona sztucznie, podczas gdy w rzeczywistości pochodziła z najbardziej niezwyklej i spektakularnej zorzy polarnej, jaką widział w życiu. Całe niebo płonęło warstwami falującego światła, które wydawało się niemal materialne, kleisty, ręciovowy blask pełznący powoli po nieboskłonie. Wisiało tak nisko, że Marshall w irracjonalnym odruchu wciągnął głowę w ramiona. Miało kolor trudny do opisania: ciemny, niewiarygodnie głęboki szkarłat z upiornym, jakby radioaktywnym połyskiem.

— Jezu — mruknął.

Ekberg spojrzała na niego.

— Myślałam, że już od dawna jesteś zblazowany.

— To nie jest zwyczajna zorza polarna. Zwykle widać przesuwające się pasma kolorów. Ale dzisiaj jest tylko jeden. Zobacz, jaki intensywny.

— Tak. Trochę jak wino. Albo może krew. Aż ciarki przechodzą. — Spojrzała na niego, jej twarz wyglądała widmowo w tym świetle. — Nigdy przedtem nie widziałeś takiej zorzy?

— Tylko raz: tej nocy, zanim znaleźliśmy tygrysa. — Zrobił przerwę. — Ale dzisiaj efekt jest co najmniej dwukrotnie silniejszy. I zorza wisi tak nisko na niebie, że prawie można jej dotknąć.

— Czy mi się zdaje, czy to wydaje dźwięki? I Ekberg przechyliła głowę na bok, jakby nadśluchiwała.

133

Marshall też wyczuł słuch. Wiedział, że to niemożliwe. A jednak ponad trzaskaniem sprzętu i buczeniem generatorów słyszał coś jeszcze. W jednej chwili dudniło jak odległy grzmot; w następnej jęczało jak cierpiąca kobieta — ale zawsze zgodnie z przyływem i odpływem światła. Przypomniawszy sobie słowa starego szamana: „Najstarsi się gniewają... Ich gniew maluje niebo krwią. Niebo krzyczy z bólu jak kobieta w położu”.

Marshall pokręcił głową. Słyszał opowieści o jęczącej, płaczącej zorzy polarnej, ale zawsze wkładał je między bajki. Może dlatego, że dzisiaj światła znalazły się znacznie bliżej ziemi, rzeczywiście wystąpił jakiś związany z nimi fenomen słuchowy. Chciał już wrócić do środka, żeby zaalarmować kolegów, kiedy dostrzegł Faradaya. Biolog stał pomiędzy

dwiema prowizorycznymi szopami, trzymając magnetometr i cyfrowy aparat fotograficzny, jedno i drugie wycelowane w niebo. Najwyraźniej też się zorientował, co się dzieje.

Marshall kątem oka dojrzał jakiś ruch, odwrócił się i zobaczył zimowego kierowcę oraz jego pasażera. Pomimo zimna kierowca wciąż miał na sobie krzykliwą kwiecistą koszulę.

— Niezły widok, co? — zagadnął.

Marshall tylko pokręcił głową.

— Widziałem zorzę polarną ładnych parę razy — ciągnął przybysz — ale czegoś takiego nigdy.

— Inuici wierzą, że to duchy zmarłych — odparł Marshall.

134

— To prawda — odezwał się pasażer z przystryżoną brodą. — I niezbyt przyjazne duchy: grają na niebie w piłkę nożną ludzkimi czaszkami. Legenda mówi, że jeśli zagwizdziesz, kiedy świeci zorza polarna, duchy zejdą na dół i zabiorą też twoją głowę. Ekberg wzdrygnęła się.

— Więc proszę, niech nikt nie gwizdże.

Marshall przyjrzał się z ciekawością nowemu przybyszowi.

— Nie słyszałem o tym.

— Ja też nie, dopóki nie zrobiłem postoju w Yellow-knife. — Brodacz ruchem głowy wskazał kierowcę. — Wtedy ten gość uprzejmie zgodził się mnie podwieźć.

Marshall zaśmiał się.

— Nie wyglądał pan na zadowolonego, kiedy wysiadał z ciężarówki.

Brodacz uśmiechnął się blade. Odzyskał już równowagę po wyraźnie koszarnej podróży.

— Wtedy myślałem, że to dobry pomysł. — Wyciągnął rękę. — Nazywam się Logan. Kierowca zrobił to samo.

— A ja jestem Carradine.

Marshall przedstawił siebie i Ekberg.

— Coś mi się wydaje, że nie jesteś stąd — zwrócił się do kierowcy.

— Dobrze ci się wydaje. Cape Coral, Floryda. Płacą tu nieźle, ale poza tym Alaska ma mnóstwo tego, czego nie Potrzebuję.

135

— A czego takiego nie potrzebujesz? — zagadnęła Ekberg.

— Śniegu. Lodu. I facetów. Zwłaszcza facetów w czerwonych flanelowych koszulach.

— Facetów — powtórzyła Ekberg.

— Aha. Za dużo facetów. Tutaj na dziesięciu mężczyzn przypada jedna kobieta. Lubię konkurencję, ale bez przesady.

Zaśmiali się.

— Muszę wracać do bazy — powiedział Logan. — Zdaje się, że listy polecające nie dotarły tu na czas i poczciwy sierżant Gonzalez zażąda wyjaśnienia mojej obecności. Miło było was poznać.

Kiwnął im głową i ruszył do głównego wejścia. Pozostała trójka odprowadzała go wzrokiem.

— Nie rozpoznaję go — powiedziała Ekberg do kierowcy. — On należy do świty Ashleigh?

— On jest sam — odparł Carradine.

— Więc co on tu robi?

Carradine wzruszył ramionami.

— Powiedział mi, że jest profesorem... nazwał się enig-mologiem.

— Czym? — zdziwił się Marshall.

— Enigmologiem.

— Więc on jest z tobą? — zwróciła się Ekberg do Marshalla.

— Skąd! — zaprzeczył Marshall. — Nic o nim nie wiem.

136

Znowu się rozejrzał. W powietrzu wyczuwało się podniecenie, którego nie tłumaczył nawet niesamowity spektakl świetlny na niebie. Pomimo gorączkowej aktywności wszystko zdawało się przebiegać zgodnie z harmonogramem. Zaczęło się już starannie obliczone topienie bloku lodu; co jakiś czas kropla wody skapywała z podłogi skarbcza. Jutro o szesnastej — w czasie największej oglądalności na Wschodnim Wybrzeżu — włączą się kamery i rozpocznie się dokumentalna transmisja na żywo. W końcu skarbiec zostanie otwarty. A potem — jak nagle uświadomił sobie Marshall — ekipa się spakuje, spokój znowu spłynie na Mount Fear i przez pozostałe dwa tygodnie pobytu będą się zajmować zwykłymi sprawami.

Marshall nie mógł się już doczekać, kiedy wreszcie powróci spokój. A jednak musiał przyznać, że ta noc miała w sobie coś wyjątkowego, coś niezwykłego i podniecającego, i uczestnictwo w tym sprawiało mu absurdalną przyjemność.

Teraz Davis wyszła z przyczepy w towarzystwie Contiego, osobistej asystentki i rzecznika prasowego. Ruszyli w stronę wydzielonego kawałka wolnej przestrzeni obok dawnego punktu kontrolnego, gdzie czekali Fortnum, Toussaint, brygadzysta i główny oświetleniowiec. Kiedy przechodzili obok, Marshall usłyszał, jak Conti pyta przymilnie:

— Na pewno nie zmarzniesz?

— Nic mi nie będzie, kochanie — odpowiedziała Davis

137

męczeńskim tonem heroicznej rezygnacji. Zmieniła kosztowne futro na stylową puchową kurtkę Marmota.

— Zdjęcia powinny potrwać najwyżej dziesięć minut — zapewniał Conti. — Mamy już ujęcia reprojekcyjne i tło.

Nawet nie spojrzeli na Marshalla i Ekberg.

— No, lepiej pójdę się do czegoś przydać — powiedziała Ekberg. — Zobaczymy się później.

Dołączyła do rzecznika w ogonie małej procesji.

Carradine wyszczerzył zęby i pokręcił głową. Policzek miał wypchany jak chomik wielką kulą gumy do żucia.

— I co powiesz? Zostaniemy i popatrzymy, jak leci kabarecik?

— Jeśli wytrzymasz na mrozie — odparł Marshall, wskazując cienką koszulę kierowcy.

— Ii, taki tam mróz. Chodź, zajmiemy miejsca w pierwszym rzędzie.

Złapał dwie drewniane skrzynki, ustawił je w śniegu, usiadł na jednej i teatralnym gestem zaprosił Marshalla, żeby zajął drugą.

Przy punkcie kontrolnym trwała końcowa krzątanina; potem zapaliły się światła, Ekberg na próbę uruchomiła teleprompter; zakończono sprawdzanie dźwięku; po raz ostatni przypudrowano noski Davis, zanim z przekleństwem odpędziła charakteryzatorkę. Potem trzasnęła klaps, Conti krzyknął: „Akcja!” — i kamery poszły. Irytacja natychmiast zniknęła z twarzy Davis, zastąpiona przez olśniewający uśmiech, jednocześnie uwodzicielski i pełen przejęcia.

138

i — Już prawie czas — powiedziała bez tchu do kamer, zupełnie jakby od tygodnia siedziała z całą grupą w okopach. — Za niecałe dwadzieścia cztery godziny skarbiec zostanie otwarty, pierwotna tajemnica rozwiązana. I jakby sama natura rozumiała znaczenie tej

chwili, mieliśmy okazję obejrzeć najbardziej niezwykłą zorzę polarną, zjawisko o niezrównanym uroku i wspaniałości...

15

Chociaż w bazie Fear zrobiło się stosunkowo cicho — wszyscy poszli spać w oczekiwaniu na pracowity jutrzejszy dzień — Marshall jak zwykle spędził bezsenną noc, przewracając się na spartańskiej koi. Za nic nie mógł się ułożyć wygodnie. Kiedy naciągał przykrycie, robiło mu się gorąco; kiedy je zrzucał, robiło się zimno. Co jakiś czas mięśnie rąk i nóg drgały mu spazmatycznie, jakby nie mogły się odprężyć, i wciąż dręczyło go wrażenie, że — wbrew wszelkim pozorom — coś jest nie tak.

Wreszcie zapadł w półsen i przed jego wewnętrznym wzrokiem zaczęły powoli się przesuwać niepokojące obrazy. Szedł po wiecznej zmarzlinie, samotny, pod przedziwną, jakby gniewną zorzą polarną. Wisiała na niebie niżej niż kiedykolwiek, tak nisko, że zdawała się przygniatać mu ramiona. Patrzył na nią z podziwem i lękiem. A potem się zatrzymał zaskoczony. Przed nim zorza naprawdę dotykała poszarpanej, zamarzniętej ziemi, lepkie krople kolorów spływały na śnieg jak wosk z przechylonej

140

świecy. Na jego oczach krople się powiększyły, zestaliły, nabrały kształtów. Pojawiły się ręce i nogi. Nastąpiła chwila złowrogiego bezruchu. Potem kształty zaczęły się do niego zbliżać — najpierw powoli, potem coraz szybciej. W ich ruchach kryło się coś przerażającego, ciała na zmianę kurczyły się i pęczniały, rozczapierzone ręce wyciągały się w jego stronę z wyraźnym głodem. Odwrócił się do ucieczki, ale z tym paralizującym lękiem typowym dla koszmarów odkrył, że jego ołowiane stopy przesuwiają się tak okropnie powoli...

Marshall usiadł gwałtownie. Spocił się i prześcieradła okręciły się wokół niego ciasno jak całun. Spojrzał w prawo i w lewo, wytrzeszczając oczy w ciemnościach, czekając, aż oddech mu się uspokoi, aż rozwieją się ostatnie opary snu.

Po chwili spojrzął na zegarek: za kwadrans piąta.

— Cholera — mruknął i opadł z powrotem na wilgotną poduszkę.

Już nie zaśnie, nie tej nocy. Znowu usiadł, potem wstał, ubrał się szybko w ciemnej kabinie i wymknął na korytarz.

W bazie panowała cisza, która przypomniała mu pierwsze spędzone tu noce, kiedy labirynt korytarzy i dawno opuszczonych pomieszczeń wydawał się przytłaczać grupkę naukowców.

Jego kroki dźwięczały na stalowej podłodze tak głośno, że miał absurdalną ochotę iść na palcach. Wyszedł z sekcji sypialnej, minął laboratoria, mesę, kuch-potem skręcił w korytarz prowadzący do części bazy, 2 której nigdy nie korzystali: labiryntu pomieszczeń ze
141

sprzętem i stacji monitoringu. Przystanął. Z daleka dochodziły słabe dźwięki muzyki: pewnie ktoś włączył odtwarzacz kompaktowy. W promieniu ośmiuset kilometrów znajdowało się bardzo niewiele stacji radiowych, które zresztą na ogół ograniczały się do podawania cen ropy i stanu dorocznych rykowisk łośi.

Z rękami w kieszeniach zapuścił się głębiej w labirynt stacji nasłuchowych. Pomimo wysiłków nie mógł się otrząsnąć ze złych przeczuć. Przeciwnie, niepokój narastał; perwersyjne przekonanie — zważywszy na ekscytujący program następnego dnia — że stanie się coś strasznego.

Znowu przystanął. Klaustrofobiczna baza, pogrążona w czujnej ciszy, tylko potęgowała jego przygnębienie. Pod wpływem impulsu zawrócił i wspiał się po schodach na najwyższy poziom. Dotarł do głównego holu, minął wartownię, wkładając po drodze parkę. Upłynęło zaledwie osiem godzin, odkąd ostatnio wychodził na zewnątrz, ale w obecnym stanie umysłu nic nie mogło go zatrzymać ani minuty dłużej w tej nawiedzonej bazie. Chwycił latarkę, zasunął zamek błyskawiczny kurtki, otworzył zewnętrzne drzwi i wyszedł na dwór. Zobaczył ze zdziwieniem, że zorza polarna nabrała jeszcze większej intensywności: głęboka, krwista czerwień, falująca i pulsująca. W tym świetle cała płyta — z prowizorycznymi szopami i prefabrykowanymi barakami, namiotami i składami zaopatrzenia — wyglądała jak monochromatyczny pejzaż nie z tego świata. Marshall włożył* latarkę do kieszeni. Zerwał się ostry wiatr, tarosił luźne

142

płachty brezentu i niedbale przywiązane liny, ale nawet wiatr nie tłumaczył tych upiornych trzasków i jęków, które — Marshall mógłby przysiąc — dochodziły z samej zorzy.

Coś jeszcze wydawało się nie pasować, ale dopiero po chwili Marshall zorientował się, w czym rzecz. Wiatr dmuchał mu w twarz niemal ciepłym. Zupełnie jakby fałszywa wiosna nagle zawitała do Strefy. Powoli rozpiął parkę, żałując, że przed wyjściem nie spojrział na termometr.

Szedł wśród niskich budynków, w połowie skąpanych w krwawym blasku, w połowie okrytych cieniem, kiedy za niewielką grupą baraków coś zaskrzypiało.

Przystanął w szkarłatnym półmroku. Czy ktoś tam był?

Wszyscy — naukowcy, ekipa filmowa i tajemniczy nowy przybysz Logan — spali w bazie. Wyjątek stanowiła Davis w swojej megaprzyczepie i kierowca Carradine. Marshall zerknął na przyczepę aktorki: ciemno, wszystkie światła zgaszone.

— Carradine? — zawołał cicho.

Skrzypienie się powtórzyło.

Marshall zrobił krok do przodu, wychodząc spomiędzy dwóch namiotów z zaopatrzeniem.

Teraz widział wyraźnie masywny zarys ciężarówki Carradine'a. Spojrzał na tył kabiny, gdzie znajdował się „przedział sypialny”. Okna również były ciemne.

Stanął bez ruchu i wyteżył słuch. Słyszał żalosne zawożenie wiatru, niski pomruk diesli w elektrowni, mruczenie zapasowego generatora podłączonego do przyczepy Davis

143

i — chwilami — niesamowite, jęśliwe odgłosy, które zdawały się dochodzić z samej zorzy. Ale nic więcej.

Pokręcił głową, uśmiechając się mimo woli. Cały on: jutro zapowiada się najbardziej pamiętny dzień jego życia... a on wpada w histerię z powodu złego snu. Podejdzie do zewnętrznego ogrodzenia, zrobi kółko po obwodzie i wróci do laboratorium. Przynajmniej spróbuje pożytecznie wykorzystać ten czas. Wyprostował ramiona, zrobił następny krok do przodu.

Znowu rozległo się skrzypienie. Marshall stał teraz w miejscu, skąd łatwo określił kierunek. Dochodziło od strony skarbcza.

Powoli ruszył w tamtą stronę. Skarbiec stał oddzielnie — jedna ściana opromieniona nienaturalnym światłem, reszta ukryta w cieniu. Nawet bez latarki Marshall dostrzegł kałużę wody pod podłogą; widocznie automatyczny proces rozmrażania postępował zgodnie z planem. Jutro ten stalowy pojemnik — i jego zawartość — stanie się gwoździem programu. Marshall wyciągnął latarkę z kieszeni i oświetlił srebrzystą konstrukcję. Potem znowu usłyszał skrzypienie, tym razem głośniejsze. Uzbrojony w latarkę, zidentyfikował źródło: kawałek deski, zwisający luźno w metrowym prześwicie pod skarbcem.

Zmarszczył brwi. Partacka robota, pomyślał. Trzeba to naprawić, zanim Conti i jego rewia na lodzie znajdą się na wizji. A może po prostu coś się oderwało od konstrukcji. Kołysało się na wietrze, tuż nad brudną kałużą wody z roztopionego lodu...

Ale coś jeszcze się nie zgadzało. Patrzył nie tyle na kałużę, ile na jezioro. Jezioro pełne odłamków brudnego lodu.

Podszedł bliżej, przykucnął, zaświecił latarką. Luźna deska z brzydko rozłupanym dolnym końcem znowu zaskrzypiała, kołysząc się na wietrze. Powoli przesunął snop światła w górę. W drewnianej podłodze skarbca została wyrwana dziura — duża, okrągła, nierówna. I nawet w drżącym świetle latarki Marshall wyraźnie widział, że skarbiec jest pusty.

Po trzydziestu minutach uszpiąta baza Fear całkowicie się rozbudziła. Teraz Marshall — razem z jej wszystkimi pozostałymi mieszkańcami — siedział na staroświeckim składanym krześle w Centrum Operacyjnym na poziomie B. Tylko ten pokój mógł pomieścić tylu ludzi. Marshall rozejrzał się po twarzach zgromadzonych. Niektórzy, jak Sully i Ekberg, wydawali się oszołomieni. Inni nie ukrywali rozpaczy. Fortnum, główny operator, siedział ze spuszczoną głową, na zmianę zaciskając i rozwierając pięści.

Zebrawali się na prośbę Wolffa, przedstawiciela sieci. Chociaż dla Marshalla to nie brzmiało jak prośba. Bardziej jak rozkaz.

W pierwszych chwilach po usłyszeniu nowiny Emilio Conti wydawał się wstrząśnięty, wręcz sparaliżowany nagłą odmianą fortuny. Teraz jednak, kiedy spacerował tam i z powrotem przed nierównym półkolem krzeseł, Marshall dostrzegł w jego twarzy inną emocję — desperacką wściekłość.

, — Po pierwsze, fakty — warknął Conti, nie zwalniając kroku. — Gdzieś pomiędzy północą a piątą rano włamano się do skarbca i zabrano obiekt. Skradziono. Odkrycia dokonał obecny tu doktor Marshall. — Przelotnie spojrzał na paleoekologa, w jego czarnych oczach błysnęła nieufność. — Rozmawiałem z zarządem Terra Prime i Blackpoola. W tych okolicznościach nie mają wyboru: dzisiejsza transmisja na żywo została odwołana. Zamiast tego puszczą powtórkę Z zabójczych mórz. — Niemal wypluł te słowa. — Muszą zwrócić sponsorom dwanaście milionów na reklamę. Oprócz ośmiu milionów, które wyłożyli, żeby umożliwić całe przedsięwzięcie.

Przystanął na chwilę, spiorunował wzrokiem obecnych i podjął wędrówkę.

— To są fakty. Następnie: przypuszczenia. Wśród nas jest kret. Ktoś opłacany przez konkurencyjną sieć. Albo ktoś pracujący dla pasera, handlarza egzotycznym towarem,

mającego powiązania z muzeami albo bogatymi zagranicznymi kolekcjonerami.

Penny Barbour prychnęła.

— Cholerne bzdury — mruknęła pod nosem.

— Bzdury? — Conti odwrócił się do niej. — Takie rzeczy się zdarzały. To nie tylko artefakt, ale również towar.

— Towar? — powtórzyła Barbour. — O czym my w ogóle mówimy?

— Mówimy o towarze — zabrał głos Wolff. Przedstawiciel sieci stał w głębi pomieszczenia, obok sierżanta Gonzaleza, ze skrzyżowanymi ramionami i plastikową
147

pałeczką do koktajli w zębach. — To więcej niż tylko wieczorna rozrywka. To materiał, który można eksploatować praktycznie bez końca. Wykorzystywać na wiele sposobów: wystawy w muzeach, wypożyczanie uniwersytetom i instytutom badawczym, programy telewizyjne. Może nawet jako przyszłą ikonę sieci. Albo maskotkę.

Maskotkę, powtórzył w myślach Marshall. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak ambitne plany miał Blackpool wobec zamrożonego kota.

Kiedy Wolff wysunął się do przodu, Conti stanął obok niego.

— Jako sieć Terra Prime należy do bardzo niewielkiej społeczności — ciągnął Wolff. — Chociaż staraliśmy się zachować ten projekt w sekrecie, wiemy, że mogło dojść do przecieku. Ale mieliśmy pewność, że w procesie sprawdzania wyeliminujemy każdego, kto nie jest stuprocentowo godny zaufania. — Podniósł rękę do ust, wyciągnął pałeczkę. — Najwyraźniej się pomyliliśmy.

Marshall zauważył, że większość personelu sieci słucha ze spuszczoneymi głowami. Tylko jeden z kolegów naukowców wydawał się zdumiony tymi aluzjami w stylu płaszcza i szpady.

— Właściwie o co panu chodzi? — zapytał Sully.

— Chwileczkę. — Wolff zwrócił się do sierżanta: — Wszyscy policzeni?

Gonzalez kiwnął głową.

— Kogoś brakuje?

148

— Tylko jednej osoby. Tego nowego, doktora Logana. Moi ludzie właśnie go szukają.

— Pozostali? Sieć i zespół naukowy?

— Wszyscy obecni.

Dopiero wtedy Wolff spojrział znowu na Sully'ego.

— Chodzi o to, że mamy powody podejrzewać, że ktoś z tej bazy został opłacony, żeby wykraść okaz dla trzeciej strony. Albo zorganizowano akcję jeszcze przed naszym przyjazdem, albo kontakt został nawiązany później. Sprawdzimy połączenia wychodzące i przychodzące z ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin, żeby dowiedzieć się więcej.

— Myślałem, że objęliście wszystko ścisłą kontrolą — odezwał się Marshall. — Proces rozmrażania, ochronę, wszystko. Jak mogło do tego dojść?

— Jeszcze nie wiemy — odparł Wolff. — Zdaje się, że rozmrażanie zostało przyspieszone... oczywiście przez tego, kto przywłaszczył sobie padlinę. Proces był w pełni zautomatyzowany, mieliśmy zapasowy generator... nic nie mogło się zepsuć bez ingerencji z zewnątrz. Sprawdzaliśmy za ogrodzeniem. Żadne ślady nie wskazują, żeby w nocy lądował albo startował jakiś samolot. Co znaczy, że obiekt wciąż tu jest.

— A ślady stóp? — wtrącił ktoś. — Nie możecie ich wytropić?

— Wokół skarbca, gdzie lód się stopił, ziemia została tak zdeptana, że to niemożliwe — wyjaśnił Wolff. — Dalej wieczna zmarzlina jest za twarda, żeby odcisnęły się na niej jakieś ślady.

149

— Jeśli ktoś go ukradł, czemu nie zabrał Śnieżnego Kota? — zapytał Marshall. — Trzymacie kluczyki w szatni, każdy może je zabrać.

— Zbyt zwracający uwagę. I za powolny. Złodziej użyłby samolotu. — Conti rozejrzał się dookoła. — Zrewidujemy wszystkie kwatery. Wszystkie rzeczy osobiste. Wszystko. Wolff zatrzymał dziwnie pozbawione wyrazu spojrzenie na Gonzalezie.

— Sierżancie, ma pan plany bazy Fear?

— Tak, centralnego i południowego skrzydła.

— A trzecie skrzydło, północne?

— Zamknięte, wstęp wzbroniony.

— Nikt nie może się tam dostać?

— Absolutnie wykluczone.

Wolff milczał przez chwilę, patrząc na sierżanta, jakby właśnie przyszła mu do głowy nowa myśl.

— Proszę mi przynieść, co tylko pan może. — Rozejrzał się po pokoju. — Po zakończeniu tego spotkania niech wszyscy wrócą do swoich kwater. Postaramy się

przeprowadzić rewizję jak najszybciej. Tymczasem zachowajcie ostrożność. Jeśli zauważycie coś podejrzanego... przekaz, rozmowę, zachowanie, cokolwiek... zgłóście się do mnie.

Marshall przeniósł wzrok z Wolffa na Contiego i z powrotem. Sam nie wiedział, co go bardziej zdumiewało: niekwestionowane podejrzenie o zdradę czy szybkość, z jaką Wolff się tym zajął.

150

Ashleigh Davis siedziała niepokieszona w pierwszym rzędzie, z nogą założoną na nogę. Pod futrem miała na sobie kosztowną jedwabną koszulę nocną. Długie blond włosy rozsypały się beładnie na ramionach.

— Miłej zabawy w policjantów — powiedziała. — Emilio, możesz mi załatwić lot powrotny do Nowego Jorku? Zaraz. Skoro tygrys przepadł, mam jeszcze szansę wystąpić w tym specjalnym programie o zanikaniu kolorów na Wielkiej Rafie Koralowej.

— Koralowej — poprawił Marshall.

Davis popatrzyła na niego.

— Na Wielkiej Rafie Koralowej.

b — Ktoś się zajmie transportem — obiecał Wolff, rzuciwszy Marshallowi ostrzegawcze spojrzenie. — Nawiasem mówiąc, panno Davis, pani i pan... ee, Carradine staliście najbliżej skarbcza wczoraj wieczorem. Czy widzieliście albo słyszeliście coś niezwykłego?

— Nic — odparła Davis, wyraźnie zirytowana, że została wymieniona jednym tchem z kierowcą ciężarówki.

— A pan?

Wolff spojrział na Carradine'a. Kierowca, siedząc na krześle przechylonym do tyłu pod niebezpiecznym kątem, tylko wzruszył ramionami.

— Chciałbym porozmawiać z wami obojgiem po zakończeniu zebrania. — Wolff spojrział na Marshalla. — I z panem.

— Dlaczego ze mną? — zapytał Marshall.

— To pan zgłosił kradzież — odparł Wolff, jakby

151

ten fakt automatycznie czynił z badacza głównego podejrzanego.

— Chwileczkę — wtrącił Sully. — A ten nowy przybysz, doktor Logan? Czemu go tu nie ma?

— Zajmiemy się tym.

— Rozkazywać wszystkim dookoła, zamykać ludzi w kwaterach to jedno. Ale przesłuchiwać mój personel bez mojej autoryzacji to całkiem inna sprawa.

— Pański personel — odgryzł się Wolff — zostanie przesłuchany w pierwszej kolejności. Tylko wasi ludzie nie zostali prześwietleni przez sieć pod kątem tej operacji.

— Logan też nie został prześwietlony, prawda? Poza tym co ma jedno do drugiego? — Widocznie nagła utrata szans na telewizyjną nieśmiertelność i ten biurokrata, który wtargnął na jego teren, ponownie zbudziły w Sullym zawodowy instynkt terytorialny.

— Bardzo dużo — odparł Wolff. — To łakomy kąsek... nie tylko w kategoriach nauki, ale także w kategoriach naukowej kariery.

Sully otworzył usta, lecz nie odezwał się słowem. Zrobił się czerwony jak burak.

— To chyba wszystko. — Wolff spojrzał na Contiego. — Chcesz coś dodać?

— Tylko jedno — powiedział producent. — Dwadzieścia minut temu rozmawiałem przez telefon z prezesem Blackpool Entertainment Group. Ta rozmowa należała do najbardziej nieprzyjemnych w moim życiu. — Zmierzył wzrokiem zebranych. — Mówię teraz do osoby albo osób,

152

które to zrobiły. Wiecie, co to znaczy. Blackpool uważa to za znalezisko o nieocenionej wartości, dlatego jego przywłaszczenie traktuje jak poważne przestępstwo.

Zrobił następną przerwę.

— Oświadczam, że ta kradzież nie stanie się czarną plamą w mojej karierze. Obiekt znajduje się tutaj i nie macie szans go wywieźć. Znajdziemy go, nakręcimy od nowa nasz dokument i stworzymy jeszcze większe dzieło sztuki.

17

Marshall bardzo powoli wchodził po okutych stopniach. Klatka schodowa była wąska i ciemna, oświetlona tylko przez pojedynczą lampę fluorescencyjną. Żarówki stanowiły towar deficytowy; nawet podczas pobytu ekipy filmowej większość bazy tonęła w mroku. Nigdy w życiu nie czuł się taki zmęczony. Nie fizycznie — był całkowicie wyczerpany emocjonalnie. Takie samo wyczerpanie widział w napiętych twarzach innych. Po takim wysiłku, tylu przygotowaniach nagłe, niewytłumaczalne zniknięcie wprawiało wszystkich w osłupienie. Nad całą bazą wisiało jedno pytanie: kto to zrobił?

Na szczycie schodów przystanął przed zamkniętymi drzwiami. Spojrzał na zegarek: pięć po

ósmej. Minęło piętnaście godzin, odkąd odkrył zniknięcie kota. Piętnaście koszmarnych godzin, wlokących się bez końca, wypełnionych niepewnością, nieufnością i podejrzeniami. A teraz, tuż po obiedzie, wezwanie e-mailem od Faradaya: „Pokój RASP, zaraz”.

154

Marshall nacisnął klamkę, otworzył drzwi. Za nimi znajdowało się długie, niskie pomieszczenie, przypominające wieżę kontrolną lotniska. Rzędy okien na wszystkich czterech ścianach pokazywały nieskończony lodowy krajobraz Strefy. W pokoju było równie ciemno jak na schodach, nikłe światło odbijało się od tuzinów przestarzałych stacji radarowych ustawionych w równych szeregach. Antyczne ekrany, każdy wysoki na blisko dwa metry, rozmieszczono ukośnie w rogach pokoju. Przed każdym stał projektor, zakurzony i nieużywany prawie od pół wieku.

To było stanowisko dowodzenia mapowania radarowego i kontroli powietrznej, znane jako pokój RASP, główny ośrodek nerwowy bazy Fear i najwyższa konstrukcja w obrębie ogrodzenia. Rozglądając się dookoła, Marshall dostrzegł trzy niewyraźne sylwetki siedzące przy stole konferencyjnym: Sully, Barbour i Chen. Chen pomachał apatycznie. Sully, z łokciami opartymi na kolanach i brodą w dłoniach, podniósł wzrok na dźwięk otwieranych drzwi i znowu spuścił oczy na podłogę.

Trzy razy na tydzień, regularnie jak w zegarku, zespół spotykał się tutaj na zebraniu roboczym. Nie pamiętali już, kto wybrał pokój RASP, ale już w parę dni po przyjeździe spotkania w dziwacznym otoczeniu stały się uświęconym rytuałem. Tylko że to nie było rutynowe spotkanie: Faraday pilnie chciał z nimi porozmawiać.

Drzwi ponownie się otworzyły i wszedł Faraday z cienką teczką pod pachą. Zwykły wyraz roztargnienia znikł z jego

155

twarzy. Biolog szybko ominął stacje radarowe i usiadł pomiędzy Sullym a Chenem.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Potem Barbour odchrząknęła.

— A więc. Musimy pakować manatki?

Brak odpowiedzi.

— Tak mi powiedział, wiecie. Ten pedał Conti. On i jego najemnik.

— Do końca projektu zostały tylko dwa tygodnie — przypomniał Marshall. — Nawet jeśli postanowią nas wyrzucić, biurokracja działa powoli. Zdążymy dokończyć prace.

Barbour jakby go nie słyszała.

— Grzebał we wszystkich moich szufladach. Powiedział, że to my. Powiedział, że zaplanowaliśmy to razem. Że chcieliśmy ten okaz dla siebie, dla muzeum.

— Penny, nie przejmuj się — pocieszył ją Sully. — On tylko strzela na oślep.

— Nie dawał mi spokoju... nie chciał przestać... o Boże! — Barbour ukryła twarz w dłoniach, wstrząsana nagłym szlochem.

Marshall nachylił się szybko i objął ją ramieniem.

— Drań — mruknął Sully.

— Może spróbujemy go znaleźć — podsunął Chen. — Albo osobę, która go ukradła. Nie mogli odejść daleko. Na pewno jeszcze tu są. Wtedy uwolnimy się od podejrzenia i uratujemy program.

Barbour prychnęła i łagodnie wyzwoliła się z objęć Marshalla.

156

— Nie możemy zrobić nic, czego Wolff już nie robi — odparł Sully. — Poza tym on nam nie zaufa. Dał to wyraźnie do zrozumienia. Nie wiem, dlaczego się uparł akurat na nas... ten doktor Logan wydaje się winny jak cholera. Myślicie, że zjawił się wczoraj tylko przez przypadek? I dlaczego nie był na zebraniu?

— Właśnie, dlaczego? — podchwycił Marshall. Prywatnie zadawał sobie to samo pytanie.

— Kiedy siedziałem w kwaterze, zajrzałem do sieci i sprawdziłem tego Jeremy'ego Logana. Podobno jest profesorem historii średniowiecznej w Yale. W zeszłym roku opublikował monografię o jakichś genetycznych zaburzeniach, które dotknęły rodzinę królewską w starożytnym Egipcie. Rok wcześniej wydał monografię o zjawiskach nadnaturalnych w Salem w Massachusetts. „Zjawiska nadnaturalne” — wypluł Sully. — Czy to się kojarzy z profesorem historii?

Kiedy nikt nie odpowiedział, Sully westchnął i rozejrzał się dookoła.

— No, te spekulacje do niczego nas nie doprowadzą. Wright, dlaczego chciałeś się z nami widzieć? Twoja najnowsza teoria du jour!

Faraday spojrzał na niego.

— Nie teoria — odparł. — Tylko parę zdjęć.

Sully jęknął.

— Znowu fotografie? Dlatego tu jesteśmy? Minałeś się z powołaniem, wiesz?

Faraday nie zwrócił na niego uwagi.

— Kiedy Evan nas zawiadomił o kradzieży... kiedy ucichło początkowe zamieszanie... poszedłem do skarbcza. Drzwi były szeroko otwarte, nikt już nie pilnował. Więc zrobiłem trochę zdjęć.

Sully zmarszczył brwi.

— Po co?

— Po co w ogóle robię zdjęcia? Dokumentacja. — Przerwał. — Conti od razu zwał winę na nas. Myślałem, że może... no, znajdę jakieś dowody, żeby nas oczyścić. Wcześniej nie miałem okazji ich wydrukować, dopiero godzinę temu.

Otworzył teczkę, wyjął kilka odbitek dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów i podał Sully'emu. Klimatolog przetasował je pobieżnie i przekazał Marshallowi. Najwyraźniej nie zrobiły na nim wrażenia.

Pierwsze zdjęcie pokazywało rozmazane wnętrze skarbcza. Odłamki i okruchy lodu zaśmiewały podłogę, poza tym jednak skarbiec był pusty, jeśli nie liczyć grzejnika z tyłu i wielkiej dziury pomiędzy dwuteownikami. Marshall spojrzął na drugie zdjęcie, wyraźniejsze: zbliżenie samej dziury.

— No i? — ponaglił go Sully.

— Ludzie mówili, że złodziej wczołgał się pod skarbiec. — Faraday zdjął okulary, zaczął je polerować o mankiet koszuli. — Wyciął blok lodu piłą do metalu.

— Tak, wszyscy słyszeliśmy. No więc?

— Widziałeś zdjęcie dziury? Spójrz na rzaz.

— Na co?

— Rzaz. Ślady piły. Jeśli ktoś włamywał się do skarbcza od spodu, ślady powinny iść z dołu do góry. Ale kiedy obejrzałem krawędzie dziury na zbliżeniu, ślady wskazują odwrotnie. Z góry w dół.

— Daj mi zobaczyć. — Sully wyjął zdjęcia z ręki Marshalla, przyjrzał im się dokładnie.

— Nic nie widzę.

— Mogę? — Marshall odebrał zdjęcia, znowu popatrzył na zbliżenie. Chociaż srebrna farba z podłogi odbijała jasne światło w skarbcu, natychmiast zobaczył, że Faraday ma rację: drzazgi drewna nie wyginały się w górę. Zamiast tego wyraźnie kierowały się w dół.

— Ktokolwiek to zrobił, nie włamał się od spodu — stwierdził. — Wypiłowali sobie

wyście od środka.

Sully ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

— Macie przywidzenia. Wolff załatwił wam skórę.

— Nie. Całkiem dobrze widać. — Marshall spojrzał na Faradaya. — Wiesz, co to znaczy?

Faraday przytaknął.

— To znaczy, że ktokolwiek ukradł kota, znał szyfr do skarbca.

18

Dotąd Marshall nie dotarł dalej niż na próg przestronnego apartamentu Contiego. Lecz kiedy został zaproszony do środka, natychmiast zrozumiał, dlaczego reżyser zaanektował aż dwie kwatery — dowódcy i jego zastępcy. Obszerny, choć spartański ciąg pomieszczeń na poziomie C przekształcono w rozległy, wykwintny salon. Skórzane kanapy, aksamitne sofy i pluszowe otomany ustawiono w dopasowanych zestawach na kosztownych perskich dywanach. Draperie i postmodernistyczne obrazy w dyskretnych ramach maskowały surowość metalowych ścian. W głębi królował ogromny, stucalowy ekran LCD, którego podstawę przesłaniały rzędy krzeseł: prywatne kino do oglądania kopii roboczych, filmów fabularnych oraz — bez wątpienia — Największych Hitów Emilia Contiego.

Reżyser był uprzejmy, wręcz pogodny, i tylko czamosine cienie pod oczami zdradzały, że od trzydziestu sześciu godzin nie zmrużył oka.

160

— Dzień dobry, doktorze Marshall — powiedział z uśmiechem. — Dzień dobry. Proszę wejść, proszę wejść. Siódma trzydzieści; doskonale. Doceniam punktualność. — Na wielkim ekranie leciało coś czarno-białego, trochę ziarnistego, lecz wyłączył to pstryknięciem pilota. — Proszę, niech pan siada.

Poprowadził gościa w głąb pokoju. Przez otwarte drzwi Marshall widział mały stół konferencyjny, otoczony przez ergonomiczne robocze krzesła. W kącie stał projektor Moviola*, z którego szpul spływały wstążki taśmy. Marshall przyjrzał mu się, zaciekawiony, czy ten anachronizm należy do stylu pracy Contiego, czy świadczy jedynie o reżyserskiej afektacji.

Conti zajął miejsce przed ekranem i gestem polecił Marshallowi zrobić to samo.

— Co pan myśli o mojej salce projekcyjnej? — zagadnął wciąż uśmiechnięty.

— Widziałem jak to przywieźli — powiedział Marshall, wskazując ekran LCD. —

Zakładałem, że to jakiś ważny element technologii dokumentalnej.

— Bardzo ważny — zapewnił Conti. — Nie tylko pomaga montować film, ale utrzymuje mnie przy zdrowych zmysłach. — Machnął ręką w stronę dwóch regałów wypełnionych płytami DVD, ustawionych po obu stronach

* Moviola — pierwszy projektor filmowy wynaleziony w 1924 roku, pozwalający na oglądanie filmu podczas montażu; powszechnie stosowany w amerykańskim przemyśle filmowych do lat siedemdziesiątych XX wieku, obecnie używany tylko przez nielicznych, najbardziej wyrafinowanych twórców.

161

ekranu. — Widział pan? To moja biblioteka źródłowa Najwspanialsze filmy świata: najpiękniejsze, najbardziej przełomowe, najbardziej prowokujące do myślenia. Pancernik Potiomkin, Nietolerancja, Rashomon, Podwójne ubezpieczenie, Przygoda, Siódma pieczęć... są tu wszystkie Nigdzie bez nich nie wyjeżdżam. Ale są nie tylko moją pociechą, doktorze Marshall; również moją wyrocznią, moją delficką świątynią. Niektórzy szukają wskazówek w Biblii; inni zwracają się do I Ching. Ja mam filmy. Nigdy mnie nie zawiodły. Weźmy ten na przykład.

Kolejnym pstryknięciem pilota Conti uruchomił film. Ekran wypełniło wiecznie zmartwione oblicze Victora Mature'a.

— Pocałunek śmierci. Zna pan to?

Marshall pokręcił głową.

Conti ściszył dźwięk do szeptu.

— Zapomniane arcydzieło z tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku.

Przełomowy film Henry'ego Hathawaya... ale musi pan znać dokonania Hathawaya, Dom przy 92 Ulicy, 13 Rue Madeleine. W każdym razie w tym filmie bohater, Nick Bianco — wskazał przesadnie wyrazistą twarz Mature'a, obramowaną teraz przez więzienne kraty — trafia do Sing-Sing za drobne wykroczenie. Tam zostaje oszukany przez swojego adwokata krętacza. Żeby otrzymać zwolnienie warunkowe, wchodzi w układ z prokuratorem: zgadza się zakablować psychopatycznego mordercę nazwiskiem Tommy Udo.

— Intrygujące.

162

— Eufemistycznie mówiąc. To nie tylko genialny film, ale również rozwiązanie moich problemów.

Marshall zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem.

— Kiedy odkryliśmy zniknięcie kota, mało nie wpadłem w panikę. Bałem się, że mój dokument, nawet moja kariera stanęły pod znakiem zapytania. Wyobraża pan sobie, jak się czułem. To miało być moje ne plus ultra. Postawić mnie w jednym rzędzie z Eisensteinem. Program dokumentalny w godzinach największej oglądalności? — pomyślał Marshall. Postanowił jednak trzymać język za zębami.

— Przez pół nocy nie spałem i zamartwiałem się, co robić. Potem zwróciłem się do nich — wskazał filmy na regałach — i jak zawsze udzieliły mi rady, której potrzebowałem. Conti ponownie wskazał na ekran.

— Widzi pan, Pocałunek śmierci to tak zwany dokunoir: hybryda dokumentu i filmu noir. Bardzo interesująca koncepcja. Bardzo rewolucyjna.

Odwrócił się do Marshalla, odbłask z ekranu malował światłocieniem rysy jego twarzy.

— Wczoraj w pierwszej chwili pomyślałem, że to kradzież. Potem miałem czas się zastanowić. I zmieniłem zdanie. Uważam, że to sabotaż.

— Sabotaż?

Conti przytaknął.

— Bez względu na wartość tego kota nie da się go

163

wywieźć z bazy. To po prostu niemożliwe. — Zaczął odliczać na palcach. — Złodzieje... co najmniej dwóch, obiekt jest za ciężki, żeby jedna osoba mogła go poruszyć... potrzebowali środka transportu. Nie mogliby go ukryć przed nami. I wiedzielibyśmy, gdyby ktoś wyjechał wcześniej.

— A co z Carradine'em, kierowcą ciężarówki? Nie dość, że dysponuje transportem, to jeszcze zjawił się najpóźniej.

— Dokładnie przeszukano jego kabinę i sprawdzono alibi. Jak mówiłem, kradzież kota nastęrczałaby zbyt duże trudności. Ale gdyby ktoś chciał tylko zniweczyć projekt, nie dopuścić do powstania dokumentu... — wzruszył ramionami. — Wtedy wystarczyłoby wrzucić ścierwo do jakiejś rozpadliny. Nikt by się nie zorientował.

— Kto chciałby zrobić coś takiego? — zapytał Marshall.

Conti spojrzał na niego.

— Pan.

Marshall, zdumiony, odwzajemnił spojrzenie.

— Ja?

— No... wy, naukowcy. Nawet konkretnie pan. Ale po dokładnym przemyśleniu uważam, że bardziej pasuje doktor Sully. Wydawał się bardzo urażony, że nie zrobiłem go gwiazdą Przebudzenia tygrysa.

Marshall pokręcił głową.

— To wariactwo. Dokument mieliście nadać wczoraj na żywo... dzisiaj już by was nie było. Po co się wysilać na sabotaż?

— To prawda: dzisiaj już by mnie nie było. Ale post-produkcja udanych zdjęć zajmuje jeszcze kilka dni. Nie

164

mówiąc o rozmontowaniu dekoracji, spakowaniu sprzętu. Kiedy podałem Sully'emu szacowany termin, nie wydawał się specjalnie zadowolony. — Conti badawczo przyjrzał się Marshallowi. Uśmiech zniknął. — Sully sprawia wrażenie impulsywnego osobnika. Pan nie. Dlatego zwróciłem się do pana. Pomimo naszej małej przedwczorajszej utarczki uważam pana za rozsądnego człowieka. Może bardziej rozsądnego od kolegów, bo pan zdaje sobie sprawę z wysokości stawki. Więc pytam: GDZIE, DO CHOLERY, JEST TEN KOT?

Marshall wytrzymał wzrok reżysera. Widział, że pomimo starannie symulowanego opanowania Conti jest w desperacji, że miota się na oślepie, szukając sposobu na uratowanie sytuacji.

— A co z Loganem? — zapytał Marshall, przypominając sobie wieczorną rozmowę w pokoju RASP. — Przyjechał nie wiadomo skąd. Nie wiadomo, czego chce. Podobno jest profesorem w Yale... profesorem historii. Nie uważa pan, że to dziwne... i bardzo podejrzane?

— Rzeczywiście dziwne. Tak dziwne, że musiałem go skreślić z listy podejrzanych. Jest zbyt oczywistym kandydatem. Poza tym już panu mówiłem: stawiam na sabotaż, nie kradzież. A doktor Logan nie miał powodu, żeby sabotować mój dokument. Więc... gdzie jest kot? Sully by panu powiedział. Czy da się go odzyskać?

— Sully nic mi nie mówił. Pomylił pan adres. Powinien pan szukać we własnej ekipie.

165

Conti przyjrzał mu się uważnie i na jego twarzy powoli odmalował się wyraz żalu.

— To zadanie Wolffa. — Westchnął. — Proszę posłuchać. Długo myślałem i mogę zrobić dwie rzeczy. Jeśli znajdziemy kota, mogę nakręcić taki film, jaki pierwotnie zamierzałem. Z moimi umiejętnościami mogę nawet obrócić tę zwłokę na korzyść: zbudować napięcie, zwiększyć widownię. Wszyscy wygrywają. Albo... mogę z tego zrobić kryminał.

Wycelował kciukiem w ekran.

— Zawsze chciałem zrobić film noir. Teraz mam okazję... tyle że film oparty na prawdziwej historii. Fascynującej historii, filmowanej w czasie rzeczywistym: sabotaż, dochodzenie, ostateczny triumf sprawiedliwości. Taka historia nigdy nie przeminie, doktorze Marshall. Proszę sobie wyobrazić sławę, dobrą czy złą, jaka przypadnie w udziale portretowanemu. Potrzebuję tylko obsadzić role. Znaleźć bohatera... i łajdaka.

Na wielkim ekranie Victor Mature przechodził przez ruchliwą ulicę. Za nim na tle nieba rysowała się linia dachów.

— Niech pan na niego spojrzy — powiedział Conti. — Przeciętny facet zamieszany w coś, co go przerasta. Kogoś panu przypomina?

Marshall nie odpowiedział.

Conti znowu zmienił ton.

— Więc co pan woli, doktorze Marshall: postąpić słusznie, trzymać z glinami, zakablować przestępcę? Czy zrobić coś innego., coś bardzo głupiego?

166

Kiedy Mature wyszedł z kadru, kamera zrobiła najazd na drugą postać, ukrytą w ciemnym zaułku: bladą, chudą, o dziwnie pustych oczach, całą w czerni z wyjątkiem białego krawata. Tommy Udo. Wychylił się z kryjówki, rozejrzał się uważnie, po czym zniknął w bramie.

— Zawsze uwielbiałem Richarda Widmarka w tej roli — wyznał Conti. — Wspaniale zagrał psychopatę. Te maniery -zmy, ten nerwowy śmiech hieny... czysty geniusz.

Teraz zabójca skradał się po wąskich schodach.

— Zamierzałem obsadzić pana jako Mature'a — podjął Conti. — Ale teraz nie jestem taki pewien. Coraz bardziej przypomina pan Widmarka.

Zabójca wszedł do mieszkania i zaczął się zbliżać do przerażonej staruszki w wózku inwalidzkim.

— To matka Nicka Bianco — wyjaśnił Conti.

Kamera rejestrowała z monochromatyczną obojętnością

jak kobietę poddano brutalnemu przesłuchaniu. Widmark uśmiechał się teraz dziwacznym, krzywym uśmiechem, kiedy chwycił poręczę wózka i wytoczył go z obskurnego mieszkania na podest schodów.

— Niech pan patrzy — polecił Conti. — Nieśmiertelna chwila kinematografii.

Widmark — wciąż uśmiechnięty, blada, wyszczerzona trupia czaszka w czarnym garniturze — ustawił wózek na szczycie schodów. Nastąpiła króciutka pauza. Potem nagłym, gwałtownym pchnięciem morderca posłał wózek razem z bezradną pasażerką w dół, na pewną zgubę.

167

Conti zatrzymał film na ujęciu wykrzywionej twarzy Widmarka.

— Sieć zadzwoni do mnie za sześć godzin. Daję panu cztery na dokonanie wyboru. Marshall wstał bez słowa.

— I niech pan pamięta, doktorze Marshall: obsadzę pana tak czy owak, w tej czy innej roli.

19

W poprzednich dniach mesa oficerska pełna była gwaru i krzątaniny, energii i żywiołowej radości, kojarzącej się raczej ze studencką imprezą niż bazą wojskową na końcu świata. Tego ranka przypominała raczej kostnicę. Ludzie siedzieli dwójkami i trójkami, dłubiąc apatycznie w talerzach, prawie nie rozmawiając. Wymieniano ukradkowe, podejrzliwe spojrzenia, jakby zebrani obwiniali jeden drugiego. Stojąc w drzwiach, Marshall uświadomił sobie, że to prawda: każdy w mesie mógł być sprawcą.

Zatrzymał wzrok na stoliku w głębi, przy którym siedział samotny mężczyzna, czytając książkę. Chudy i jasnowłosy, ze starannie przyciętą bródką. Logan, profesor historii.

Marshall wziął kromkę pełnoziarnistego żytniego chleba i filiżankę herbaty, po czym — pod wpływem impulsu — zajął miejsce naprzeciwko Logana.

— Dzień dobry — powiedział.

Logan odłożył książkę — *Iluminacje Waltera Benjamina* — i spojrzał ponad stołem.

169

— To się jeszcze okaże.

— Święta prawda. — Marshall otworzył pojemniczek marmolady i rozsmarował zawartość na chlebie.

— Dla nich to jeszcze gorsze niż dla nas. — Logan ruchem głowy wskazał sąsiedni stół,

gdzie dwaj kamerzyści, Fortnum i Toussaint, siedzieli sztywno, z minami zdradzającymi oszołomienie, grzebiąc w jajecznicy na talerzach. Większość ekipy filmowej zagoniono do szukania kota w bazie i okolicy.

— Zgadza się. Nikt nie zwinął mi sprzed nosa środków utrzymania. — Marshall starannie zachował lekki ton. — A pan?

Logan zamieszał kawę.

— Niespecjalnie się przejąłem.

— Miło mi to słyszeć. Profesor, tak? Historii średniowiecza?

Łyżeczka mieszająca kawę zwolniła.

— Zgadza się.

— Fascynuje mnie ta dziedzina. Ostatnio czytałem o kontrreformacji.

Mówił prawdę tylko w połowie: rzeczywiście czytał po nocach książkę o kontrreformacji, ale w desperackiej nadziei, że nieprzeciętnie nudny tekst pomoże mu zasnąć.

Logan uniósł brwi. Miał błękitne oczy, które w pierwszej chwili wydawały się niemal senne, podczas gdy w rzeczywistości spoglądały uważnie i przenikliwie.

— Właśnie skończyłem rozdział o soborze trydenckim. Zdumiewające, jaki wywarł wpływ na liturgię katolicką.

170

Logan kiwnął głową.

— A odkąd zebrał się po raz czwarty w... tysiąc pięćset siedemdziesiątym drugim roku, zgadza się?... żaden inny sobór nie miał takiego znaczenia.

Łyżeczka znieruchomiała. Logan łyknął kawy, skrzywił się.

— Okropna.

— Niech pan się przeczuci na herbatę. Jak ja.

— Może tak zrobię. — Logan odstawił kubek. — W Trydencie odbyły się trzy sobory, nie cztery.

Marshall milczał.

— A ostatni odbył się w tysiąc pięćset sześćdziesiątym trzecim. Nie w tysiąc pięćset siedemdziesiątym drugim.

Marshall pokręcił głową.

— Widocznie byłem zmęczony i coś mi się poplątało.

Logan uśmiechnął się lekko.

— Mam wrażenie, że nic się panu nie poplątało.

Zapadło krótkie, niezręczne milczenie. Potem Marshall roześmiał się ze skruchą.

— Ma pan rację. Przepraszam. Zachowałem się nietaktownie.

— Trudno się panu dziwić. Przyjechałem znikąd, z dziwacznym wytłumaczeniem i bez żadnego konkretnego powodu... i natychmiast rozpętało się piekło.

— Nawet w tej sytuacji nie miałem prawa, żeby tak z panem pogrywać. — Marshall zawahał się. — Nie żeby to mnie usprawiedliwiało, ale właśnie wracam z bardzo nieprzyjemnego spotkania z Contim.

171

— Tym reżyserem? On i ten pitbull z sieci, Wolff, nieźle mnie wymaglowali wczoraj wieczorem. W życiu nie widziałem takich paranoików.

— Taak. A najgorsze, że to się udziela. Ja też się zaraziłem.

Słowa Contiego wciąż dźwięczały mu w uszach; nie chciał przyznać, że niektóre, zwłaszcza dotyczące Sul-ly'ego, brzmiały całkiem przekonująco. Spojrzał na zegarek: miał trzy i pół godziny, żeby podjąć decyzję.

Odgryzł kawałek grzanki.

— Więc po co pan tu przyjechał, jeśli wolno spytać?

Logan odsunął kubek.

— Zalecenie lekarza. Klimat, pan rozumie.

Marshall pokręcił głową.

— Zasłużyłem sobie.

Znowu przy stole zapadło milczenie, ale już mniej niezręczne, pozbawione napięcia.

Marshall dokończył grzankę. Przestał podejrzewać Logana. Oczywiście nie miał po temu żadnych logicznych podstaw oprócz przekonania, że profesor prawie na pewno jest tym, za kogo się podaje. Raczej coś w tym człowieku — poziom szczerości — sprawiło, że podejrzenia Marshalla zbladły.

Logan westchnął.

— Okay, zacznijmy od początku. Jeremy Logan. — Wyciągnął rękę nad stołem.

Marshall uścisnął mu dłoń.

— Evan Marshall.

Logan odchylił się na oparcie krzesła i powiedział cicho:

— Jeśli chodzi o moje badania, zwykle trzymam karty przy orderach. Dzięki temu robię większe postępy. Ale nie widzę przeszkód, żeby pana wtajemniczyć. Nawet pan może mi pomóc... pod warunkiem, że pan to zachowa dla siebie.

— Zgoda.

— Zresztą sam pan zobaczy, że lepiej trzymać język za zębami.

— Ktoś mi powiedział, że jest pan enigmologiem. Nie słyszałem o tej konkretnej, hm, dyscyplinie.

— Nikt nie słyszał. Żona tak mnie raz nazwała, dla żartu. — Logan wzruszył ramionami. — To mi pomaga o niej pamiętać.

— Co to ma wspólnego z historią średniowiecza?

— Niezbyt wiele. Ale tytuł profesora historii bardzo się przydaje. Otwiera drzwi, ucina pytania... przynajmniej w większości przypadków. — Zawahał się. — Rozwiązuję tajemnice. Wyjaśniam niewyjaśnione: im bardziej dziwaczne i niesamowite, tym lepiej. Czasami robię to zawodowo, za honorarium. Kiedy indziej, jak teraz, pracuję na własną rękę.

Marshall łyknął herbaty.

— Czy nauczanie historii nie zapewnia bardziej regularnych zarobków?

— Nie chodzi o pieniądze. Zresztą zadania, które wykonuję dla innych, zwykle bardzo się opłacają... zwłaszcza te, o których nie wolno mi pisać w czasopiśmie branżowych. — Wstał. — Przepraszam, chyba spróbuję herbaty.

Marshall patrzył, jak Logan nalewa sobie filiżanką i wraca do stołu. Poruszał się z gracją i swobodą pasującą bardziej do atlety niż do profesora.

— Ile pan wie o bazie Fear? — zapytał, kiedy ponownie usiadł.

— Pewnie tyle co wszyscy. Stacja wczesnego ostrzegania, przeznaczona do wykrywania uprzedzających ataków Rosjan. Wycofana z użycia pod koniec lat pięćdziesiątych po wprowadzeniu system SAGE.

— Czy pan wiedział, że kiedy jeszcze baza działała, przez krótki czas przebywał tu zespół naukowców?

Marshall zmarszczył brwi.

— Nie.

Logan popił herbaty.

— W zeszłym tygodniu uzyskałem dostęp do świeżo odtajnionego archiwum dokumentów rządowych. Badałem co innego... średniowieczną historię, tak się składa... i szukałem związanych z nią akt wojskowych z czasów drugiej wojny światowej. Owszem, znalazłem. Ale znalazłem także coś innego.

Pociągnął następny łyk.

— Znalazłem raport niejakiego pułkownika Rose'a, przeznaczony dla wojskowej komisji dochodzeniowej. Rose dowodził wówczas bazą Fear. Raport był krótki... właściwie streszczenie. Kilka tygodni później Rose miał lecieć do Waszyngtonu, żeby osobiście złożyć bardziej szczegółowy raport.

— Proszę mówić dalej.

174

— Raport został błędnie skatalogowany. Leżał wepchnięty pod teczkę, której szukałem, nieczytany i zapomniany od pół wieku. Jak mówiłem, był bardzo krótki. Ale wspominał, że naukowcy z zespołu przydzielonego do bazy Fear zmarli nagle w ciągu dwóch dni w kwietniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku.

— Cały zespół?!

Logan podniósł rękę, przypominając o konieczności dyskrecji.

— Nie, nie cały. Zespół składał się z ośmiu osób. Siedem zmarło.

— A ósma? — zapytał już ciszej Marshall.

— Raport Rose'a nie wyjaśnia, co się z nim stało... lub z nią.

— Co oni tu robili?

— Nie znam szczegółów. Rose podaje tylko, że analizowali jakiegoś rodzaju anomalie.

— Anomalie?

— Tak to nazywał. A w zaleceniach napisał, żeby natychmiast przerwać badania i nie wysyłać następnego zespołu.

Marshall w zamyśleniu spojrzął na swój pusty kubek.

— Dowiedział się pan czegoś jeszcze? Na przykład nazwiska naukowca, który przeżył?

— Niczego. Nie znalazłem żadnego innego raportu, oficjalnego czy nieoficjalnego, o żadnym zespole naukowym w bazie Fear. Szukałem dokładnie... i wierz mi, Evan, mam sporo wprawy w wyszukiwaniu zagubionych lub

175

ukrytych informacji. Ale kilka rzeczy szczególnie mnie zaintrygowało. — Nachylił się bliżej. — Po pierwsze, pod tą teczką leżały dwa egzemplarze raportu... zakładam, że jeden był przeznaczony do archiwum, a drugi dla Pentagonu. Po drugie, uderzył mnie ton raportu pułkownika Rose'a. Chociaż to był tylko suchy dokument rządowy, niemal czuło się histerię. Kiedy usilnie zalecał, żeby nie wysyłano więcej naukowców, chyba naprawdę mu na tym zależało.

— A co z tym szczegółowym raportem, który złożył później w Waszyngtonie? Na pewno to udokumentowano.

— Nigdy nie złożył żadnego raportu. Zginął dziesięć dni później w katastrofie samolotu, w drodze do Fort Richardson.

— Ta druga kopia raportu... — zaczął Marshall. Potem urwał. — Więc o całej sprawie zapomniano.

— Tajemnica zginęła razem z naukowcami. I pułkownikiem Rose'em.

— Ale czy na pewno? Nikt inny o tym nie wiedział?

— Jeśli wiedzieli, nie puścili pary z gęby, a teraz od dawna nie żyją. Sądziś, że inaczej armia pozwoliłaby waszemu zespołowi korzystać z bazy Fear?

Marshall pokręcił głową.

— O tym nie pomyślałem.

Logan uśmiechnął się blado.

— Teraz rozumiesz, dlaczego lepiej trzymać język za zębami.

Marshall milczał przez chwilę. Potem spojrzał na Logana.

176

— Więc dlaczego tutaj przyjechałeś, Jeremy?

— Zrobić to, co potrafię najlepiej. Rozwiązać tajemnicę. Dowiedzieć się, co spotkało tamtych naukowców. — Opróżnił swój kubek. — Masz rację, ta herbata jest niezła. Chcesz jeszcze?

Ale Marshall nie odpowiedział. Myślał.

20

Huk zatrzaszanych drzwi, potrząśnięcie materaca, brutalne szarpnięcie za ramię. Josh Peters przeciągnął się i wyjął z uszu słuchawki. Sen i fortepianowe impresje McCoya Tynera odpłynęły w niepamięć, zastąpione przez odgłosy rzeczywistości — i bazy Fear: odległe szczęknięcie metalu, nieustanne stukanie przewodów grzewczych i niecierpliwy głos

współlokatora Blaine'a.

— Josh. Hej, Josh. Wstawaj, do cholery.

Peters wyłączył odtwarzacz i zamrugał. Czerwona, wysmagana wiatrem twarz Blaine'a wpłynęła w pole widzenia.

— Co? — wymamrotał Peters.

— Co „co”? Twoja kolej, człowieku. Siedziałem w tym gównie przez godzinę.

Peters usiadł z trudem i znowu zwałił się na koję.

— Lepiej się pospiesz. Już po dziewiątej. Chyba nie chcesz, żeby Wolff cię przyłapał jeszcze w betach.

To wystarczyło. Peters wstał z łóżka i energicznie przetarł twarz rękami.

178

— Całkiem im odbiło — narzekał Blaine. — Szukamy przez cały dzień. Nikt niczego nie znajdzie w tej burzy. Rób to co ja: chodź w kółko, udawaj zajętego i staraj się nie odmrozić tyłka.

Peters nie odpowiedział. Naciągnął koszulę i wdepnął w buty. Może uda mu się to odbębnić jak przez sen, potem wrócić do koi i podjąć przerwany wątek: rozkoszne marzenie, w którym Ashleigh Davis nacierała olejkiem do masażu o smaku orzechowym — jadalnym olejkiem — całe jego...

— Kiedy wrócimy, związek się o tym dowie. Ja mam obsługiwać bibliotekę cyfrową i bieżące wpisy, a nie tropić odrażającego człowieka śniegu. I jeszcze jedno. Dlaczego to nam każą szukać na zewnątrz? Dlaczego nie możemy sprawdzać szafek jak Fortnum i Toussaint?

— Bo jesteśmy od czarnej roboty. Nie trzeba konstruktora raket, żeby to wykombinować.

I Peters, szurając nogami, z rozwiązanymi sznurowadłami, wyszedł, zostawiwszy drzwi szeroko otwarte.

W somnambulicznym otępieniu człapał przez korytarze i pełną ech klatkę schodową do wejściowego holu. Nikogo tam nie było oprócz wojskowego inżyniera w dyżurce. Peters pomachał mu niedbale, powlókł się do szatni, otworzył swoją szafkę i wyjął parkę. Blaine miał rację: oni powariowali. Przede wszystkim nie mieli wstępu do połowy bazy. Gdyby on chciał ukryć padlinę, znalazłby sposób, żeby ją przemycić tam, gdzie inni nie mogli szukać. Albo może w kwaterach wojskowych — oni by nie pozwolili

179

bandzie pedalskich filmowców grzebać w swoich rzeczach. Ale trzeba zacząć od tego, że tylko idiota trzymałby stwora w bazie. Tutaj nie dość, że roilo się od ciekawskich oczu, to jeszcze było dostatecznie ciepło i wilgotno, żeby hodować orchidee. Ukryta padlina — zwłaszcza padlina sprzed dziesięciu tysięcy lat — zaczęłaby śmierdzieć w ciągu paru godzin. Nie, każdy z odrobiną rozumu schowałby ścierwo na zewnątrz.

I właśnie tam Peters zmierzał.

Przystanął, żeby wpisać swoje nazwisko i godzinę do rejestru, który Wolff umieścił w szatni. Potem otworzył główne drzwi i wyszedł na zewnątrz. Pierwsze ostre uderzenie wiatru brutalnie rozpedziło resztki senności. Nadzieja na powrót do łóżka po jednogodzinnej zmianie rozwiąła się w mgnieniu oka. Peters słyszał, że nadeszła zła pogoda, uwięziła ich w bazie, nie pozwalała na start czy lądowanie samolotów. Ale słyszeć to jedno — doświadczyć na własnej skórze to całkiem co innego. Zatoczył się do tyłu na zewnętrzne drzwi, spuścił głowę, pochylił się pod wiatr. Ostre igły lodu żądliły go w policzki, więc mocniej ściągnął futrzane obramowanie kaptura. Przez wirujące tumany śniegu i lodu widział rozmazane kontury zewnętrznych zabudowań. Ostrożnie zrobił krok naprzód, potem następny. Było tak ciemno, jakby zapadła już noc. Kable i rusztowania oświetleniowców kołysały się jak maszty podczas sztormu, skrzypiąc na znak protestu. Poszukiwania w systemie zmianowym: jedna godzina pracy, jedenaście wolnych. Sześciu szukających w środku,

180

sześciu na zewnątrz — ta ostatnia liczba zredukowana do trzech ze względu na sztormową pogodę. Mimo wszystko ledwie mógł uwierzyć, że jeszcze dwóch nieszczęsnych kretyńców razem z nim szuka wiatru w polu. Kompletna paranoja. Czym się upalił ten Conti razem z Wolffem?

Odwracając twarz od wiatru, Peters przebrnął tuzin kroków do szopy, której drzwi klekotały niespokojnie we framudze. Przystanął na chwilę, potem odbił w lewo, do baraku służącego za tymczasowy skład rekwizytów. Zajrzał przez okno: oczywiście pusto. Czy naprawdę ledwie dwa dni temu rozwalał się tutaj, żuł kawałek suszonej wołowiny o smaku kielbasy i wyśmiewał się z trepów oraz upierdliwych naukowców, którzy utknęli na tym zadupiu? Teraz ci sami żołnierze i naukowcy siedzieli w ciepełku — a on tutaj marznął.

Z przekleństwem znowu ruszył do przodu, licząc kroki — dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści — aż dotarł do kabiny ciężarówki. Skulił się za ogromnym kołem, częściowo osłonięty od

wiatru i śniegu. Przebywał na zewnątrz niecałe pięć minut i już cały zdrętwiał.

Znowu pomyślał o tych dwóch, którzy mieli szukać razem z nim. Zrugał się w duchu za to, że nie sprawdził rejestru, kiedy się wpisywał. W towarzystwie czas szybciej mija. Otworzył usta, żeby ich zawołać, ale się rozmyślił, kiedy wiatr wyrwał mu oddech z płuc. Po co marnować energię, skoro i tak nikt go nie usłyszy?

Znowu poczłapał przed siebie, aż w szarej zupie nagle zmateriałizowała się gruba siatka ogrodzenia. Przystanął

181

i chcąc jej dotknąć, wyciągnął rękę. Ostrzegano go, żeby w taką pogodę nie zapuszczał się daleko od bazy, a skoro w tundrze grasowały polarne niedźwiedzie, zamierzał się zastosować do tej rady, jak najbardziej. Przeszedł jeszcze kilka kroków do opuszczonego punktu kontrolnego i zatrzymał się za ścianą z blachy falistej. Zrobi jedno okrążenie bazy, trzymając się na długość ramienia od siatki. Nie można wymagać więcej. Potem schowa się w którymś baraku na resztę zmiany i spróbuje się rozgrzać.

Okrażając posterunek kontrolny, zszedł z betonowej płyty na wieczną zmarzlinę. Wichura jakby zdwoiła furję. Teraz posuwał się szybciej, jeden krok, drugi, trzeci... Brnął przed siebie jak ślepiec, jedną ręką przesuwając po ogrodzeniu, z oczami prawie zamkniętymi w obawie przed kulkami lodu. Wycie wiatru wypełniało uszy, w głowie dziwnie dzwoniło. Zdawało mu się, że idzie tak przez wieczność. Jezu, co za koszmar! Blaine miał rację: postanowił złożyć zażalenie nie tylko w związku, ale i w sieci. Zrobi to, od razu gdy wejdzie online; nawet nie zaczeka na powrót do Nowego Jorku. Nieważne, że jest tylko asystentem producenta; w umowie o pracę nie miał niczego takiego, a cała gadanina Wolffa o „środkach nadzwyczajnych” to stek...

Przystanął. Cofnął rękę od ogrodzenia i rozejrzał się, chwilowo zapominając o kłującym wietrze i przenikliwym zimnie.

Dlaczego przystanął? Nic nie widział. A jednak nagle zmysły przeszły w stan pogotowia, serce waliło młotem. Mieszkał sporo na wschód od Tomkins Square Parku, co

182

wyostrzyło jego instynkt samozachowawczy — ale teraz nie znajdował się w Nowym Jorku, tylko w samym środku lodowego pustkowie.

Pokręcił głową, ruszył do przodu — i znowu się zatrzymał. Co to za hałas, który zdawał się dochodzić zewsząd i znikąd, jakby w głowie brzęczał rój pszczół? I co to za kształt, ciemny

i niewyraźny, który majaczył przed nim w skłębionych chmurach śnieżycy?

— Kto tam?! — zawołał, ale wiatr porwał jego słowa.

Zamrugał, wyteżył wzrok — a potem z przeraźliwym wrzaskiem zatoczył się do tyłu, odwrócił i chwiejnie, niemal się przewracając, zaczął biec w stronę posterunku kontrolnego. Wrzeszcząc i bełkocząc w nagłym, bezrozumnym strachu, zdążył zrobić jeszcze dwa kroki, zanim miażdżący cios z tyłu powalił go na kolana. Zarzęził, wybałuszając oczy — i nagle między jego łopatkami rozkwitł straszliwy, niewyobrażalny ból. Pochłonęła go żarłoczna ciemność.

21

Laboratorium fizyczne i nauk przyrodniczych urządzono w dawnym warsztacie blacharskim na poziomie B. Właściwie to żadne laboratorium, pomyślał Marshall, stojąc w drzwiach i spoglądając na laptopy, mikroskopy i inny sprzęt rozstawiony na kilku stołach warsztatowych; zwykle ledwie wystarczało do najbardziej podstawowych bieżących analiz i obserwacji, zanim dane i próbki zostaną przekazane do Massachusetts.

W głębi laboratorium Faraday i Chen garbili się nad czymś odwróceniem do niego tyłem, niemal stykając się głowami. Marshall ruszył w ich stronę, lawirując wśród stołów. Zbliżywszy się, zobaczył, co tak pilnie studiują: stojak zawierający z dziesięć małych probówek.

— Więc tu się chowacie — powiedział.

Dwaj naukowcy wyprostowali się szybko i odwrócili do niego z minami winowajców, jak dzieci przyłapanie na psoceniu. Marshall zmarszczył brwi.

— Co tam kombinujecie? — zapytał.

184

Faraday i Chen wymienili spojrzenia.

— Analizujemy coś — odpowiedział Faraday po chwili.

— Widzę. — Marshall zerknął na probówki, wypełnione różnobarwnymi płynami: czerwonym, niebieskim, blado-żółtym. — Chyba to was bardzo wciągnęło.

Faraday milczał. Chen wzruszył ramionami.

— Co to jest? — zapytał bezceremonialnie Marshall.

Czekając na odpowiedź, rozejrzał się po sąsiednich stołach, tym razem uważniej. Na jednym leżały rozrzucone odbitki Faradaya dwadzieścia na dwadzieścia pięć, przedstawiające wnętrze skarbcza, teraz zabazgrane zmywalnym pisakiem, pokryte kółkami,

strzałkami i notatkami. Na drugim stole obok stereomikroskopu stał plastikowy kubetek, wypełniony czymś, co wyglądało jak wióry drewna.

Faraday odchrząknął.

— Badamy lód.

Marshall przeniósł wzrok z powrotem na biologa.

— Jaki lód?

— Lód, w którym był uwięziony kot... ten stwór.

— Jak? Ten lód stopniał dawno temu. A woda z niego jest zanieczyszczona, bezużyteczna jako próbka.

— Wiem. Dlatego pobrałem próbki ze źródła.

— Ze źródła? — Marshall znowu zmarszczył brwi. — To znaczy... z lodowej jaskini?

Faraday podsunął okulary do nasady nosa, kiwnął głową.

— Wróciłeś do jaskini... w tej burzy? To szaleństwo.

— Nie, poszedłem wczoraj w nocy. Po naszym spotkaniu w pokoju RASP.

185

Marshall skrzyżował ramiona na piersi.

— Dalej uważam, że to szaleństwo. W środku nocy? Ta jaskinia jest niebezpieczna nawet przy najlepszej pogodzie.

— Gderasz całkiem jak Sully — odparł Faraday.

— Mogliście napotkać niedźwiedzie polarne.

— Poszedłem z nim — odezwał się Chen. — Zabrałem karabin.

Marshall westchnął, oparł się o stół.

— Okay. Powiecie mi dlaczego?

Faraday zamrugął.

— Mówiliśmy o tym na zebraniu. Coś tu śmierdzi.

— Nie gadaj. Mamy wśród nas złodzieja.

— Nie o to mi chodzi. Różne rzeczy się nie zgadzają. Nagłe rozmrożenie, zniknięcie stwora, ślady nacięć... — Wskazał plastikowy pojemnik obok mikroskopu. — Zebrałem trochę próbek z krawędzi dziury w skarbcu i obejrzałem w czterdziestokrotnym powiększeniu. Nie ma wątpliwości: te ślady zrobiono od środka, a nie wypłowano od spodu.

Marshall kiwnął głową.

— Przed chwilą powiedziałeś, że gderam jak Sully. Dlaczego?

— Kiedy Sully się dowiedział, że poszedłem do jaskini, dostał szału. Oświadczył, że to strata czasu, że równie dobrze mogę wyrzucić próbki.

Marshall nie odpowiedział od razu. Przypomniawszy sobie, jak lekceważąco odniósł się Sully do tej teorii — i do zdjęć

186

w ogóle. Wprawdzie Faraday ryzykował, wyprawiając się po próbki, jednak skoro je zdobył, naukowe podejście wymagało, żeby je przeanalizować. Znowu powrócił w myślach do tego, co Conti mówił o Sullym.

Chen zerknął na Faradaya, potem kiwnął głową w stronę próbek drewna.

— Powiedz mi to drugie.

Faraday wygładził przód laboratoryjnego kitla.

— Kiedy zbadaliśmy drzazgi pod mikroskopem, znaleźliśmy również kłaczki zmierzwiionych włosów oraz sporo, ciemnej substancji, która zakrzepła na ostrych krawędziach.

— Zakrzepła? — powtórzył Marshall. — Czy to krew?

— Jeszcze jej nie analizowałem — odparł Faraday. Otworzył usta, potem zamknął, jakby się rozmyślił.

— Śmiało — zachęcił Marshall. — Powiedz mi resztę.

Faraday przełknął ślinę.

— Te rzazy... — zaczął. — Sam nie wiem. Pod mikroskopem nie wyglądają jak ślady piły.

— Więc jak co?

— Jak coś bardziej... naturalnego pochodzenia.

Marshall przeniósł wzrok z Faradaya na Chena i z powrotem.

— Naturalnego? Nie rozumiem.

Tym razem Chen zabrał głos.

— Nie przepiłowane. Raczej przegryzione.

Milczenie, które zapadło, trwało znacznie dłużej.

— Spodziewasz się, że w to uwierzę, Wright? — zapytał w końcu Marshall, starając się ukryć sceptycyzm w głosie.

187

Faraday ponownie odchrząknął.

— Posłuchaj — zaczął zniżonym głosem. — Kiedy będę znał fakty... jeśli cokolwiek odkryję... zawiadomię cię. Nie zamierzam niczego ukrywać. Po prostu nie chcę, żeby Sully się mnie czepiał.

— Sully — powtórzy Marshall z namysłem. — Nie wiesz, gdzie on jest?

— Nie widziałem go od paru godzin.

— Okay. — Marshall odepchnął się od stołu. — Jeśli dowiesz się czegoś, dasz mi znać?

Faraday kiwnął głową.

Obrzuciwszy obu mężczyzn pożegnalnym badawczym spojrzeniem, Marshall odwrócił się i powoli wyszedł z laboratorium.

22

Jeremy Logan ostrożnie wędrował przez wąskie korytarze poziomu E. Stracił prawie pięćdziesiąt minut, zanim dotarł tutaj, do najniższego poziomu centralnej sekcji bazy Fear. Zapuszczając się coraz dalej w głąb, natrafiał na przejścia zawałone różnymi śmieciami i niepotrzebnymi gratami: biurka spiętrzone jedno na drugim, narzędzia, części przestarzałych urządzeń elektrycznych, gnijące pudła pełne lamp próżniowych. Zupełnie jakby przez lata wszystkie nieużywane rupiecie w bazie dosłownie opadały na dno.

Poziom C pierwotnie mieścił obsługę techniczną dawnego personelu bazy: kuchnie, pralnie, szwalnię. Na poziomie D znajdowało się biuro kwatermistrza i niezliczone magazyny oraz kilka warsztatów naprawczych. W przeciwieństwie do męcząco przegrzanych górnych poziomów tutaj panował wyraźny chłód. Nieprzyjemny zapach bazy — od którego nie dało się uciec nawet na wyższych poziomach — znacznie bardziej dawał się we znaki. Logan marszczył nos w gęstym smrodzie.

189

Poziom E stanowił chaotyczną zbieraninę zapasowych pomieszczeń i pionów technicznych. Sufity wisiały jeszcze niżej, pożyłowane grubymi pękami rur i kabli. Prawie wszystkie żarówki wykręcono z oprawek, a te, które pozostały, dawno się przepaliły. Logan powoli przechodził z pokoju do pokoju, błyskając latarką w prawo i w lewo, w prawo i w lewo. Wiele przedmiotów nakryto starymi brezentowymi płachtami, dobrze zachowanymi w suchym, zimnym powietrzu. Zastanawiał się, kiedy ostatnio ktoś schodził tak głęboko. Przypominało to podróż w kapsule czasu.

Zatrzymał się w pomieszczeniu, które wyglądało na awaryjną stację kontrolną,

zabezpieczenie na wypadek, gdyby główne systemy na górze zawiodły. Czarne ekrany monitorów i oscyloskopów mrugały do niego odbitym światłem latarki. Panowała całkowita cisza. Pod wpływem impulsu Logan zgasił latarkę. Natychmiast pochłonęła go nieprzenikniona ciemność. Czym prędzej znowu zapalił latarkę. Wyszedł ze stacji kontrolnej i ruszył korytarzem, żałując, że nie zabrał ze sobą zapasowych baterii, a zwłaszcza zapasowej latarki: marnie by wyglądał, gdyby ta się zepsuła.

Minął jeszcze kilka ciasnych pomieszczeń, odwracając wzrok od ziejących czernią prostokątów drzwi, zanim dotarł do poprzecznego rozgałęzienia. Przystanął i próbował się zorientować w tym zagmatwanym wojskowym labiryncie. Jeśli się nie mylił, lewa odnoga prowadziła mniej więcej na południe. Skręcił w prawo i szedł dalej.

190

Po około dwudziestu metrach korytarz kończył się ciężkimi metalowymi drzwiami — właściwie wjazdem — szczelnie zamkniętymi i zabezpieczonymi grubymi sztabami. Nad drzwiami wisiała czerwona żarówka w wąskiej drucianej osłonie — przepalona jak wszystkie na poziomie E — a do ściany obok przytwierdzono tabliczkę z napisem: UWAGA. WSTĘP TYLKO DLA OSÓB UPOWAŻNIONYCH. WYMAGANE ZEZWOLENIE F-29.

Logan przeczytał napis raz i drugi. Potem oświetlił metalowy wjazd. Zrobił krok do przodu, położył rękę na najbliższej sztabie i pociągnął na próbę. Ani drgnęła. Z bliska zobaczył, że nawet gdyby oderwał sztaby, nic by nie wskórał: po jednej stronie wjazd zamykała ciężka kłódka wisząca na skoblu.

Nagle Logan się odwrócił. Stojąc plecami do wjazdu, wycelował snop światła w głąb korytarza. Baza wydawała się wymarła. Nie widział nikogo od prawie półtorej godziny. A jednak był pewien — całkowicie pewien — że właśnie coś usłyszał.

— Kto tam?! — zawołał.

Brak odpowiedzi.

Stał bez ruchu, tylko dłoń z latarką zataczała krótkie łuki. Czyżby to ktoś z ekipy filmowej szukał zaginionego kota? Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie taszczyłby padliny aż tutaj ani nie szukałby tak daleko.

— Kto tam jest?! — zawołał.

Znowu cisza.

Właściwie powinien już wracać. Znalazł, czego szukał,

ale nie mógł iść dalej. Właz był zamknięty. Odetchnął głęboko i zrobił krok, ale znowu się zatrzymał z niemiłą świadomością że znalazł się w ślepych zaułku. Na powierzchnię prowadziła tylko jedna droga: przez korytarz, skąd dochodził ten dźwięk.

Potem usłyszał go znowu: stąpięcie, odgłos kroków. Jeden krok, drugi. Wreszcie na skrzyżowaniu pojawił się jakiś kształt. Latarka skoczyła do niego jak przyciągana magnesem. To był Gonzalez, sierżant dowodzący obsadą bazy.

Logan przełknął ślinę i poczuł, że napięte mięśnie nieco się rozluźniły. Przybrał neutralny wyraz twarzy.

Gonzalez podszedł do niego powoli, trzymając swoją maglite luźno w krzepkiej ręce.

— Poranny spacer dla zdrowia? — zagadnął.

Logan uśmiechnął się.

Gonzalez powiódł promieniem latarki po twarzy Logana.

— Doktor Logan, zgadza się?

— Zgadza się.

— Co pan tu robi na dole, doktorze? Też pan szuka tego stwora?

— Nie. Pan mnie śledził?

— Powiedzmy, że byłem ciekawy, kto tu chodzi i po co.

Logan miał ochotę zapytać, skąd sierżant o tym wiedział, ale doszedł do wniosku, że Gonzalez pewnie mu nie powie.

— Więc czego pan szukał? — zapytał Gonzalez.

Logan wskazał kciukiem do tyłu, na właz.

Gonzalez zmarszczył brwi.

— Dlaczego?

— To północne skrzydło, prawda? Sekcja naukowa?

Na twarzy Gonzaleza pojawiła się czujność.

— Co pan o tym wie?

— Niewiele. Dlatego tu zszedłem. — Logan postąpił krok do przodu. — Przypadkiem nie ma pan przy sobie klucza?

— Gdybym miał i tak bym nie otworzył. Zakaz wstępu. Nawet dla mnie.

— Ale tam pracowali naukowcy, tak?

— Niestety, nie mogę panu odpowiedzieć.

— Niech pan posłucha, sierżancie, przyjechałem aż tutaj, żeby się dowiedzieć, co się działo za tymi drzwiami. Natrafiłem na tę sprawę, kiedy grzebałem w niedawno odtajnionych dokumentach. Zaciekała mnie. Nie jestem szpiegiem i nie jestem dziennikarzem. Czy może mi pan powiedzieć cokolwiek?

Gonzalez milczał.

Logan westchnął.

— Okay. A gdybym panu powiedział, co wiem? W latach pięćdziesiątych ta baza służyła nie tylko jako system wczesnego ostrzegania. Prowadzono tutaj również prace naukowe. Badania czy eksperymenty, nie wiem dokładnie. Ale coś poszło źle... dlatego przedwcześnie zawieszono projekt. Czy to pasuje do informacji, które panu przekazano?

Gonzalez popatrzył na niego spoza latarki — długie, badawcze spojrzenie.

193

— Słyszałem tylko plotki — odparł. — Od chłopaków, którzy tu stacjonowali przede mną.

Logan kiwnął głową.

— Północne skrzydło zbudowano głęboko w naturalnej rozpadlinie, miało służyć głównie jako konstrukcja wspierająca dla reszty bazy. Ta kłapa prowadzi na górny poziom.

— Górny poziom?!

— Właśnie. Północne skrzydło znajduje się całkowicie pod ziemią. Nie wiem, co tam się mieściło, tyle że to było ściśle tajne. — Gonzalez zawahał się, potem zniżył głos, chociaż w pobliżu nie było nikogo. — Ale gadali, że tam się działo coś dziwnego.

— Co takiego?

— Nie mam pojęcia. Chłopaki przede mną też nie wiedzieli. Jeden słyszał, że niedźwiedź polarny rozszarpał grupę naukowców.

— Rozszarpał? — powtórzył Logan. — W północnym skrzydle?

— Tak mówił.

— Skąd się tam wziął niedźwiedź?

— Właśnie.

Logan ściągnął usta.

— Nie wie pan, czy ktoś rozmawiał z tymi naukowcami?

— Nie mam pojęcia.

— Gdzie oni kwaterowali?

Gonzalez wzruszył ramionami.

— Pewnie na poziomie C. W każdym razie tam są dodatkowe koje, których wojsko nigdy nie używało.

194

Zapadło krótkie milczenie, po czym Logan znowu się odezwał.

— Z moich badań wstępnych wynikało, że żadna z pozostałych dwóch baz systemu wczesnego ostrzeżenia nie miała personelu naukowego.

Zamiast odpowiedzieć, Gonzalez wskazał tabliczkę przyśrubowaną do ściany.

— Co to jest zezwolenie F-29? — zapytał Logan.

— Pierwsze słyszę. Więc jak, doktorze, wracamy na górę?

— Ostatnie pytanie. Jak często pan schodzi tu na dół?

— Jak najrzadziej. Zimno, ciemno i śmierdzi.

— W takim razie przepraszam, że sprawiłem panu kłopot.

— A ja przepraszam, że pan się fatygował na próżno.

— To się jeszcze okaże — odparł Logan. — Pan pierwszy, sierżancie.

23

Marshall szedł korytarzem w stronę kwatery Contiego, z Penny Barbour u boku. Zamierzał przyprowadzić więcej kolegów naukowców, choćby tylko jako demonstrację liczebności — pokaz solidarności, która właściwie nie istniała — ale to się okazało niemożliwe. Nadal nie wiedział, gdzie się podziewa Sully. I nie chciał odrywać Faradaya i Chena od analizy. Tak więc skończyło się na nim i specjalistce od komputerów.

Kiedy zatrzymali się przed drzwiami, Marshall usłyszał dobiegający z pokoju gwar rozmów. Spojrzał na Barbour.

— Jesteś przygotowana?

Odwzajemniła spojrzenie.

— To ty będziesz mówić, skarbie. Nie ja.

— Ale mnie poprzysz?

Kiwnęła głową.

— Oczywiście.

— Okay. — Marshall podniósł rękę, żeby zapukać.

196

W tej samej chwili jeden z głosów po drugiej stronie nagle wznosił się prawie do krzyku.

— To przekracza granice przyzwoitości! — mówił Wolff. — Absolutnie zabraniam!
Marshall zapukał do metalowych drzwi.

Natychmiast zapadła cisza. Upłynęło dziesięć sekund, zanim ponownie odezwał się głos Wolffa, tym razem spokojny.

— Proszę wejść.

Marshall otworzył drzwi przed Barbour i wszedł za nią. Pośrodku eleganckiego salonu stały trzy osoby: Conti, Wolff i Ekberg. Marshall zatrzymał się i spojrzał na nich. Conti był bardzo blady, Ekberg miała czerwone, zapuchnięte oczy. Oboje patrzyli w ziemię. Tylko Wolff, z wąską, jak zwykle nieprzeniknioną twarzą, odwzajemnił spojrzenie Marshalla. Naukowiec głęboko zaczerpnął powietrza.

— Panie Conti, do wyznaczonego przez pana ostatecznego terminu pozostała jeszcze godzina. Ale nie potrzebuję więcej czasu.

Conti zerknął na niego przelotnie i odwrócił wzrok.

— Rozmawiałem z moimi kolegami. I jestem przekonany, że żaden z nich nie miał nic wspólnego ze zniknięciem kota.

W istocie Barbour mało nie urwała mu głowy, kiedy ją zapytał, czy wie coś o kocie, a gdyby Faraday popełnił ten czyn, nie ślęczałby teraz w laboratorium, badając okoliczności zniknięcia stwora. Co prawda Marshall nie znalazł

197

Sully'ego i klimatolog rzeczywiście zachowywał się trochę dziwnie, ale z pewnością nie mógł działać sam.

Conti nie odpowiedział, więc Marshall kontynuował:

— Co więcej, uważam pańską taktykę zastraszania i pańskie insynuacje za uwłaczające. A twierdzenie, że ktoś sabotuje pański program... że istnieje konspiracja, która próbuje pana stąd usunąć... takie twierdzenie graniczy z paranoją. Proszę bardzo, niech pan kręci swój zmieniony dokument, skoro to ukozi pańską zranioną próżność. Ale jeśli pan przekaze czy zasugeruje cokolwiek o mnie i moich kolegach, co choć w najmniejszym stopniu odbiegałoby od faktów, pan i Terra Prime możecie się spodziewać natychmiastowej reakcji ze strony dużej grupy bardzo rozgniewanych prawników.

— W porządku — odezwał się Wolff. — Powiedział pan swoje.

Marshall przeniósł wzrok z Contiego na Wolffa i z powrotem. Oddychał ciężko, serce mu

waliło.

Wolff dalej na niego patrzył.

— Jeśli to wszystko, zechce pan wyjść?

Marshall znowu spojrzął na reżysera. Wreszcie Conti podniósł na niego oczy i niemal niedostrzegalnie kiwnął głową. Sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał ani słowa z wcześniejszej tyrady naukowca.

Wyglądało na to, że rozmowa jest skończona. Marshall spojrzął na Barbour, wskazał gestem drzwi.

— Nie zamierzacie im powiedzieć? — zapytała bardzo cicho Ekberg.

198

Marshall spojrzął na nią. Producentka terenowa wpatrywała się w Contiego i Wolffa z udreżonym wyrazem twarzy.

— O co chodzi? — zapytał Marshall.

Wolff zmarszczył brwi, wykonał drobny gest, jakby chciał uciszyć producentkę.

— Nie możecie tego ukrywać — podjęła Ekberg głośniejszym głosem, z większą pewnością siebie.

— Jeśli im nie powiecie, ja to zrobię.

— O co chodzi? — powtórzył Marshall.

Zapadło krótkie milczenie. Potem Ekberg odwróciła się do niego.

— Josh Peters. Jeden z naszych pracowników. Asystent głównego montażysty. Dziesięć minut temu znaleziono go za ogrodzeniem. Nie żyje.

Szok przeszył Marshalla jak wstrząs elektryczny.

— Zamarzł?

Wtedy Conti wreszcie się poruszył.

— Rozszarpany na strzępy — powiedział.

24

Szpital bazy Fear, klaustrofobiczny, zagmatwany labirynt małych szarych pokoików, znajdował się głęboko w wojskowej części południowego skrzydła. Marshall był tam tylko raz, po ściągający plaster opatrunkowy i zastrzyk przeciwężcowy, kiedy rozciął sobie rękę o zardzewiałą owiewkę. Podobnie jak większość bazy, szpital wyglądał jak ze starego filmu. Na ścianach wisiały wiekowe terminarze szczepień oraz plakaty ostrzegające przed wszawicą i grzybicą stóp. Kilka świeżych buteleczek betadyny i wody utlenionej wstawiono pospiesznie do oszklonych szafek obok prastarych pojemników z na wpół

skamieniała jodyną zwietrzałym spirytusem chirurgicznym. Wszędzie unosiła się atmosfera zaniedbania, która osiadała na sprzętach i wyposażeniu niemal jak kurz.

Marshall rozejrzył się. W pomieszczeniu, które niegdyś służyło za rejestrację i poczekalnię, tłoczyli się ludzie — Wolff, Conti, Ekberg, Gonzalez, starszy szeregowy o marchewkowych włosach nazwiskiem Phillips — jeszcze bardziej potęgując wrażenie ciasnoty. Wreszcie pojawił się Sully — mówił, że badał wykresy pogody w odległym

200

laboratorium — z ponurą wieścią, że zamieć nie ustanie przez najbliższe czterdzieści osiem godzin. Stał w najdalszym kącie, wstrząśnięty, z czerwoną twarzą. Najwyraźniej nikt nie chciał zajrzeć przez otwarte drzwi od strony południowej. Za tymi drzwiami niegdyś znajdowała się sala zabiegowa. Teraz zmieniono ją w kostnicę.

Sierżant Gonzalez przesłuchiwał nieszczęsnego asystenta produkcji, który znalazł ciało: tykowanego chłopaka po dwudziestce, z rzadką kozią bródką. Marshall wiedział

0 nim jedynie tyle, że nazywa się Neiman.

— Czy widział pan kogoś jeszcze w pobliżu? — pytał Gonzalez.

Neiman pokręcił głową. Miał oszołomiony wyraz twarzy

1 szkliste spojrzenie, jakby właśnie oberwał kijem baseballowym.

— Co pan tam robił? Długie milczenie.

— To była moja kolej.

— Kolej na co?

— Na szukanie kota.

Gonzalez przewrócił oczami, spojrzął z gniewem na Wolffa.

— Ktoś jeszcze szuka? Wolff pokręcił głową.

— To dobrze, bo inaczej kazałbym panu to odwołać. Gdyby pan nie wysłał swoich ludzi, żeby szukali wiatru w polu, Peters by żył.

— Tego pan nie wie — odparł Wolff.

201

— Oczywiście, że wiem. Peters nie wyszedłby z bazy. Nie napotkałby niedźwiedzia.

— To pańskie założenie — stwierdził Wolff.

Gonzalez spiorunował go wzrokiem.

— Zakłada pan, że to niedźwiedź. Ten człowiek mógł zostać zamordowany.

Gonzalez westchnął z niesmakiem i nie zniżywszy się do odpowiedzi, przeniósł uwagę na

Neimana.

— Czy pan coś słyszał? Albo widział?

Neiman pokręcił głową.

— Nic. Tylko krew. Wszędzie krew. — Miał taką minę, jakby zbierało mu się na wymioty.

— No dobrze. Na razie wystarczy.

— Kto przyniósł tu ciało? — zapytał Marshall.

— Ja. Razem z szeregowcem Flukiem.

— Gdzie jest Fluke?

— W swojej kwaterze. W tej chwili nie czuje się najlepiej. — Sierżant kiwnął na Phillipsa. — Możesz odprowadzić Neimana do jego kwatery?

— Pójdę z wami — zaofiarowała się Ekberg.

— Nie mówcie o tym ludziom — odezwał się Wolff. — Jeszcze nie.

Ekberg popatrzyła na niego.

— Muszę.

— To tylko wywoła niepotrzebną panikę — ostrzegł ją Wolff.

— Panikę wywołają plotki i pogłoski — odparła. — Które już się rozchodzą.

202

— Ona ma rację — wtrącił Gonzalez. — Lepiej, jeśli ludzie się dowiedzą.

Wolff przyjrzał im się po kolei.

— No dobrze. Ale spróbujcie złagodzić opis obrażeń.

— I uprzedźcie, żeby nikt nie wychodził na zewnątrz — dodał Gonzalez.

Ekberg wyszła za Neimanem i szeregowym Phillipsem. Odprowadzając ją wzrokiem, Marshall zauważył w niej zmianę. Dotąd zawsze odnosiła się z szacunkiem do Contiego i Wolffa. Ale w obliczu śmierci Petersa wydawała się inna. Nie tylko bez zezwolenia szefów poinformowała naukowców o zabójstwie, ale teraz jawnie sprzeciwiała się ich rozkazom. Zorientował się, że Wolff się w niego wpatruje.

— O co chodzi? — zapytał.

— Skoro pan tu jest, nie przeprowadzi pan oględzin?

— Oględzin? — powtórzył Marshall.

— Przecież jest pan biologiem.

Marshall zawahał się.

— Paleoekologiem.

— Niewielka różnica. Dopóki burza nie ucichnie i nie ściągniemy tu samolotu, musimy trzymać ciało w chłodni. Ale najpierw niech pan je obejrzy i przedstawi nam wnioski.

— Nie jestem patologiem. Ani doktorem medycyny. Powinien pan sprowadzić Faradaya... on przynajmniej jest biologiem.

Wolff przestąpił z nogi na nogę.

203

— Nie proszę o przeprowadzenie autopsji. Chcę tylko, żeby pan obejrzał rany i wyraził swoją opinię.

— Opinię o czym? — wtrącił Sully, odzywając się po raz pierwszy.

— Czy mógł je zadać człowiek.

Gonzalez z irytacją zmarszczył brwi.

— To strata czasu. Wiemy, że to zrobił niedźwiedź polarny.

— Niczego takiego nie wiemy. Zresztą Peters był pracownikiem Terra Prime... to nasza sprawa. — Wolff badawczo popatrzył na Marshalla. — Zostaliśmy tutaj uwięzieni... przynajmniej na kilka dni. Jeśli wśród nas grasuje socjopata, chyba powinniśmy o tym wiedzieć... dla własnego bezpieczeństwa.

Marshall zerknął w stronę otwartych drzwi. Bardzo nie chciał wejść do sali i stanąć przed tym, co tam czekało. Ale zdawał sobie również sprawę, że wpatrują się w niego cztery pary oczu.

— Zgoda — rzucił krótko.

Wolff wszedł pierwszy do sali zabiegowej. Znajdowało się tam zwykle drewniane krzesło, zlew, ławka z ręcznikami i dwiema przenośnymi wojskowymi apteczkami oraz kilka szafek wypełnionych starymi i nowymi artykułami medycznymi. W pomieszczeniu dominował stół zabiegowy, całkowicie opuszczony, na którym spoczywała postać okryta zakrwawionym prześcieradłem. Wokół ułożono zrolowane ręczniki, niczym worki z piaskiem na wale przeciwpowodziowym, żeby powstrzymać dalszy wypływ krwi.

204

Marshall przełknął ślinę. Przeprowadzał sekcje na podyplomowych kursach anatomii. Ale tamte ciała były sterylne: odsączone, umyte, anonimowe, na pozór bardziej syntetyczne niż ludzkie. Josh Peters był zupełnie inny.

Naukowiec spojrział na pozostałych, którzy w milczeniu ustawili się wokół stołu. Wolff z

wystudiowaną, neutralną miną. Gonzalez wpatrzony w krwawe prześcieradło, zaciskający szczęki. Sully, skrępowany jak nigdy w życiu. I Conti, którego oczy biegały to w kierunku ciała, to w drugą stronę, a twarz wyrażała przedziwną mieszaninę wzburzenia, zniecierpliwienia i głodu.

— Potrzebuję wiadra i gąbki — oznajmił Marshall.

Gonzalez znikł w schowku i wrócił z dwiema białym plastikowymi wanienkami. Marshall postawił jedną na podłodze obok stołu, drugą napełnił do połowy wodą z kranu. Na wieszaku na drzwiach wisiał zakurzony fartuch laboratoryjny. Marshall założył go, potem otworzył jedną z apteczek, wyjął lateksowe rękawiczki i naciągnął je z trzaskiem. Odwrócił się do Sully'ego.

— Gerry? — zapytał.

Sully nie odpowiedział. Patrzył na zrolowany ręcznik, przyciśnięty do nakrytej prześcieradłem głowy Petersa. Ręcznik tak przesiąknął, że krew kapłała z niego na podłogę.

— Gerry — powtórzył Marshall, tym razem głośniej.

Sully drgnął, spojrzał na niego.

— Możesz robić notatki?

— He? Och. Jasne. — Sully poszukał w kieszeniach kartki i długopisu.

205

Marshall odetchnął głęboko. Zebrał zrolowane ręczniki po jednej stronie zwłok i wrzucił je do wanienki. Spadły z wilgotnym plaśnięciem na biały plastik. Następny, głębszy oddech. Potem chwycił krawędź prześcieradła i powoli je ściągnął.

Chóralny, mimowolny jęk wyrwał się z ust obserwatorów. Marshall poczuł, jak skowyt wzbiera mu w gardle. Tylko Gonzalez zachował milczenie, chociaż zaczął szybciej poruszać szczęką.

To okazało się jeszcze gorsze, niż się obawiał. Peters wyglądał jak przepuszczony przez młockarnię. Ubranie miał w strzępach, wszędzie na obnażonej skórze widniały cięcia — cienkie, proste czerwone linie wykrojone w bladym ciele. W piersi ziała ogromna pionowa rana, klatka piersiowa została rozerwana, dolne żebra sterczały wygięte, końce miały gołe i czyste, jakby rzeźnik obrał je z mięsa. Rana rozszerzała się na brzuchu, odsłaniając szaroczerwone sznury jelit. Bardziej przerażająco przedstawiała się głowa, niemal nie do poznania po brutalnym ataku: rozbita, zapadnięta czaszka zwisała bezwładnie z pnia mózgu, szara materia ściekała na potrzaskane resztki jamy nosowej.

Marshall odwrócił się, zamrugał kilkakrotnie. Potem wziął z ławki parę czystych ręczników, zwinął je ciasno i przyłożył do zwłok, żeby zatamować krew, która wciąż płynęła z rozcięć. Sięgnął do apteczki i wyjął metalowy zgłębnik. Potem znowu odwrócił się do Petersa.

— Ciało wydaje się całkowicie wykrwawione — zaczął. — Prawie na całej powierzchni skóry widnieją otarcia

206

oraz liczne wąskie rany, może kilkaset, o brzegach równych, niepostrzępionych. Nie umiem wyjaśnić genezy powstania tych ran. Co najmniej dwie z pozostałych większych ran mogły, każda z osobna, spowodować śmierć. Pierwsza zgruchotała i obnażyła żebra... zobaczmy... od ósmego do dwunastego po lewej stronie, przebiła opłucną i wywołała silny krwotok, dalej sięgnęła do jamy brzusznej, gdzie przebiła również otrzewną. W kanale rany pewne oznaki wskazują na uszkodzenie komór sercowych. Druga duża rana nie wymaga szczegółowego opisu. Poważne uszkodzenie całej okolicy szyi i głowy, od prawej żyły szyjnej przez mózg, płat ciemieniowy i czołowy, a także obie strony szczeliny podłużnej mózgu. Ponadto rzepka i inne kości lewego kolana zmiażdżone, arteria udowa rozerwana. — Przerwa. — Zniszczenia odzieży odpowiadają opisanym ranom. Z dalszą analizą należy poczekać na badanie toksykologiczne i profesjonalne badanie sądowe.

Odstąpił od zwłok.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Potem Gonzalez odchrząknął.

— Tak, jak mówiłem. Niedźwiedź polarny. Możemy zawinąć zwłoki i wsadzić do chłodni?

— To mógł zrobić człowiek — odparł Wolff cicho, lecz stanowczym tonem.

— Zwariował pan? — zawołał Gonzalez. — Niech pan spojrzy na rany!

— Wiadomo, że po zażyciu pewnych nielegalnych narkotyków ludzie czasami wpadają w morderczy szał. Z po-

207

mocą odpowiednich narzędzi... broni... można zadać takie obrażenia. — Obejrzał się na Marshalla. — Zgadza się?

Marshall jeszcze raz zerknął na ciało.

— Rana w piersi ma jakieś dziesięć centymetrów szerokości i całkowitą głębokość około ośmiu centymetrów. Cios, który spowodował powstanie takiej rany, wymagał ogromnej siły.

— Jak u niedźwiedzia polarnego — zakonkludował Gonzalez.

— Szczerze mówiąc, jestem zdziwiony, że nawet niedźwiedź polarny zdołał zadać takie rany — odparł Marshall.

— Zabójca mógł tego dokonać — upierał się Wolff. — Jeśli miał czas, żeby uderzyć kilka razy.

— No a to? — Marshall sondą uniósł lewą nogę trupa w kolanie. Zakołysała się luźno, zbyt luźno, i zwisała pod dziwacznym kątem. — Prawie całkiem odgryziona, wisi na kilku ścięgnach.

— Symulowane ślady ugryzień — odparł Wolff. — Miały wywołać strach i niepewność.

— W jakim celu? — zapytał Sully.

— Żeby odstraszyć ciekawskich od miejsca, gdzie ukryto kota.

Marshall westchnął.

— Więc pan chce nam wmówić, że ktokolwiek ukradł kota, gotów jest zabijać... zabijać w sposób niewyobrażalnie brutalny i szokujący... żeby chronić swoją zdobycz?

— On lub ona gotowi byli przyjechać aż tutaj i udawać

208

jednego z nas — skontrolował Wolff. — Poświęcić czas i pieniądze, podjąć straszliwe ryzyko. Czemu nie zabić?

Marshall przyjrzał mu się z namysłem.

— Nie rozumiem, dlaczego broni się pan przed znacznie prostszym, bardziej racjonalnym wyjaśnieniem: ten człowiek napotkał na swojej drodze niedźwiedzia i dlatego zginął. Wiadomo, że niedźwiedzie polarne to okrutni ludobójcy. Dlaczego nie chce pan w to uwierzyć?

Oczy Wolffa zabłyśły w ostrym sztucznym świetle.

— Doktorze Marshall, mówi pan o prostych, racjonalnych wyjaśnieniach. Nie mogę przyjąć, że to zrobił niedźwiedź polarny, z prostego, racjonalnego powodu: jeśli nie ma żadnego złodzieja... jeśli to zrobił niedźwiedź polarny... to gdzie się podział kot?

25

Podczas całego spotkania w szpitalu Conti milczał i zachował dla siebie swoje obserwacje. Kiedy grupa się rozeszła, zwlekał jeszcze przez chwilę i patrzył, jak Gonzalez i szeregowy Phillips, który już wrócił, starannie owijają ciało przed umieszczeniem go w chłodni. Z rozmowy żołnierzy dowiedział się, że wykorzystają zapasową chłodnię na mięso w

południowym skrzydle, żeby nikt nie miał dostępu do ciała. Teraz powoli, w zamyśleniu wracał do centralnej części bazy.

W głównym holu spotkał Fortnuma i Toussainta.

— Emilio — powiedział Fortnum. — Słyszeliśmy, że chciałeś nas zobaczyć?

Conti rozejrzał się szybko. Hol był pusty, budka dyżurnego chwilowo nieobsadzona.

Niemniej reżyser zniżył głos.

— Mam dla was zadanie — oznajmił. — Potrzebuję kilku specjalnych ujęć.

Dwaj kamerzyści kiwnęli głowami.

— Potraktujcie to jak tajną misję. Segmenty niespo-

210

dzianki, które wmontuję dla dodatkowego efektu. Nie zabierajcie ze sobą nikogo. I nikomu ani słowa... ani Kari, ani Wolffowi.

Operatorzy wymienili spojrzenia i znowu kiwnęli głowami, tym razem trochę wolniej.

— Słyszeliście nowinę?

— Jaką nowinę? — zapytał Fortnum.

— Josh Peters nie żyje.

— Josh?! — powtórzyli unisono dwaj mężczyźni.

— Jak umarł? — zapytał Toussaint.

— Naukowcy uważają że dopadł go niedźwiedź polarny... to się stało na zewnątrz.

Wolff myśli, że to zrobił ten, kto zabrał kota.

— Chryste — powiedział Fortnum, biały jak ściana.

— Właśnie. I musimy obrócić to na własną korzyść, dopóki mamy szansę.

Obaj mężczyźni popatrzyli na niego pustym wzrokiem.

— Kari właśnie poszła zawiadomić ludzi o śmierci Josha. — Odwrócił się do Fortnuma.

— Allan, musisz ją znaleźć. Sfilmuj reakcje ekipy. Im bardziej ekstremalne, tym lepiej. Ale

działaj subtelnie, żeby Kari się nie domyśliła, o co ci chodzi. Jeśli nie uzyskasz

odpowiednich reakcji, zaczekaj, aż Kari wyjdzie, a potem dodaj barwne szczegóły przy

włączonej kamerze. Chcę widzieć nagi strach. Histeryczne łzy będą nawet lepsze.

Błada twarz Fortnuma przybrała wyraz oszołomienia.

— Mówisz o filmowaniu własnej ekipy... zgadza się?

— Oczywiście. Tylko oni jeszcze nie wiedzą o Peter-

211

sie. — Conti niecierpliwie machnął ręką — Musicie się pospieszyć, Kari już zaczęła rozgłaszać hiobowe wieści o zabójstwie.

Fortnum otworzył usta, jakby chciał zgłosić kolejne obiekcje. Ale zrezygnował i, rzuciwszy ostatnie dziwne spojrzenie na Contiego, odszedł w stronę kwater filmowców.

Conti odprowadzał go wzrokiem. Kiedy główny operator zniknął, reżyser odwrócił się do Toussainta.

— Dla ciebie mam jeszcze ważniejsze zadanie. Ciało trzymają na razie w szpitalu. To w południowym skrzydle, narysuję ci plan. Zamierzają je zamknąć w chłodni, ale słyszałem, jak mówili, że najpierw trzeba coś tam naprawić; nie zamrożą go do jutra. To nasza szansa.

— Szansa? — powtórzył Toussaint trochę niepewnym tonem.

— Nie rozumiesz?! Jak wsadzą ciało do zamrażarki, zamkną je na trzy spusty. — Conti próbował opanować gorączkowe zniecierpliwienie i frustrację narastające w nim, odkąd się dowiedział o zniknięciu kota. — Posłuchaj, Wolff nie chce, żebyśmy filmowali zwłoki Petersa.

— Naturalnie. — Głos Toussainta wydawał się odległy, przytłumiony.

— Ale my musimy! Sytuacja jest płynna, zmienia się przez cały czas. Dokument też się musi zmieniać, dostosowywać. — Conti chwycił kamerzystę za ramię. — Tutaj chodzi o nasz byt, naszą reputację. Dostaliśmy do ręki nędzne karty. Ten kot był duszą i sercem naszego programu... a teraz zniknął. Ale dzieje się coś nowego. To,

212

co dziś rano było zaledwie zagadką, stało się zagadką morderstwa. Rozumiesz? Przy odpowiednim podejściu otrzymamy coś jeszcze lepszego niż Przebudzenie tygrysa.

Reklamy, które już poszły, zapewniły nam widownię. A teraz damy jej coś, czego jeszcze nikt nie próbował: „zamknięty” film dokumentalny, który nagle morfuje w coś zupełnie innego. Dramat kryminalny rozgrywający się w czasie rzeczywistym, wśród autentycznej ekipy filmowej.

Toussaint zamrugnął w odpowiedzi.

— Ale nie można nakręcić kryminału bez obrazu trupa. I tutaj wchodzisz ty. Zaczekaj do obiadu. Wtedy wszystko trochę się uspokoi. Znajdę jakieś zajęcie dla żołnierzy, żeby nikt się nie kręcił w pobliżu. Załatwisz to szybko. Potraktuj to jak rekonesans: wchodzisz, kręcisz, wychodzisz. Nie przejmuj się oświetleniem, kadrowaniem ani niczym takim. Liczy się materiał. Zrób to w jednym długim ujęciu; mogę je zmontować na DataCine w Nowym

Jorku.

Toussaint powoli kiwnął głową.

— Grzeczny chłopiec. I pamiętaj: nikomu ani słowa. Nawet Fortnumowi. To będzie nasz sekret... aż do ostatecznego montażu i oklasków dyrektorów sieci. Zrozumiano?

— Zrozumiano — odpowiedział Toussaint bardzo cicho.

Conti szybko, ptasim ruchem kiwnął głową.

— No więc przygotuj sprzęt. Narysuję ci mapkę.

26

Pokoiki były małe i puste jak mnisie cele. Pozostały tylko szkieletowe ramy łóżek i kilka posepnych metalowych szafek. A jednak, rozglądając się, Logan miał pewność, że dawniej mieściły się tu kwatery naukowców.

Zlokalizowanie ich okazało się nie lada wyzwaniem: poziom C tonął w zwałach rupieci i ledwie dało się odróżnić przestrzeń mieszkalną od składu zapasowych łóżek. Ale tutaj znajdowało się dokładnie osiem łóżek, ustawionych w sposób sugerujący raczej sypialnię niż zwykły magazyn. W centralnym pomieszczeniu stały dwa piętrowe łóżka, razem cztery. Pojedyncza koja w sporym pokoju obok — niewątpliwie kwatery szefa. Dwa łóżka w pokoju po drugiej stronie. I jedno, ostatnie, w ciasnej klitce obok łazienki, niewiele większej od szafy.

Logan zapalił wszystkie działające światła. Potem, z rękami splecionymi za plecami, przeszedł powoli przez ciąg pomieszczeń. Rozglądał się, otwierał puste szafki, bezgłośnie zaklinał nieobecne duchy, żeby wyszeptały mu swoje sekrety. Miał nadzieję, że znajdzie cokolwiek: sprzęt

214

albo narzędzia, wydruki, fotografie. Ale nie ulegało wątpliwości, że kwatery dawno temu zostały starannie przeszukane, wszystkie interesujące przedmioty usunięte i — jeśli zastosowano procedurę standardową w takich tajnych operacjach — natychmiast spalone. Dwa wieszaki wisiały smętnie w szafie; na podłodze leżał guzik, za którym ciągnęła się nitka jak ogon latawca. W łazience na metalowej półce nad umywalką leżała tubka pasty do zębów, wyschnięta i skręcona. To miejsce najwyraźniej niewiele miało do powiedzenia.

Logan wrócił do środkowego pokoju. Sam przed laty mieszkał w takich kwaterach podczas wykopalisk archeologicznych w pobliżu Masady. Armia izraelska udostępniła naukowcom i historykom kilka zapyziałych baraków. Pokręcił głową, wspominając tamtą suchą, jałową,

odległą okolicę. Pamiętał, że wydawała się oddalona o miliony kilometrów wszystkiego. Podobnie jak to miejsce.

Powoli usiadł na gołych sprężynach najbliższego łóżka. Nawet w pustych pokojach naukowcy zostawiają ślady. Prowadzą dzienniki. Ich umysły nieustannie pracują, kolekcjonując idee i obserwacje, szczególnie z daleka od cywilizacji, telefonów i asystentów. Więc badacze sporządzają notatki, zapisują rzeczy, do których zamierzają wrócić później w komfortowych prywatnych laboratoriach: pomysły eksperymentów, teorie do publikacji. Żona niejedną raz dokuczała mu z tego powodu, nazywała go konceptualnym chomikiem. „Inni zbierają kartki pocztowe, makatki, zapasowe tostery — mówiła. — Ty zbierasz teorie”. Tutejsi naukowcy z pewnością zachowywali się tak samo.

215

Z jednym wyjątkiem. Ani ich teorie, ani oni nigdy się stąd nie wydostali.

Wstał z łóżka, znowu popatrzył na cztery koje. W tym pokoju sypiali najbardziej towarzyscy, rozrywkowi faceci, grali w brydża albo w pokera. Niespiesznym krokiem przemierzył pozostałe pokoje i wreszcie zatrzymał się w ciasnej klitce. Ta obskurna nora pewnie stanowiła najmniej atrakcyjną sypialnię. A jednak sam wybrałby właśnie ją: cicha, prywatna, idealne miejsce, żeby się skupić.

Albo żeby pisać dziennik.

Kiedy tam stał — w czujnym, wyteżonym milczeniu — przeszedł go nagły, dziwnie rozkoszny dreszcz. Niespodziewanie zalała go radość życia. Nawet jeśli mi się nie uda, pomyślał, nawet jeśli ten cały pościg za mrzonkami okaże się klęską, dla samej tej chwili było warto. Te poszukiwania miały w sobie jakiś nieokreślony urok: tutaj, w tym pokoju, trzy piętra pod lodem, próbował odtworzyć zmagania tamtych ludzi sprzed pięćdziesięciu lat; próbował wejść w ich skórę, żeby — kto wie — znaleźć złoty pył.

Logan uklęknął szybko i zajrzał pod gołą ramę łóżka. Nic. Odsunął od ściany samotną, pustą szafkę, zajrzał za nią, zajrzał pod nią, przysunął na miejsce. Tylną ścianę zajmowała szafa, dość wysoka, żeby w niej stanąć. Wyjął pojedynczy metalowy pręt biegnący przez całą szerokość, zerknął do pustego rdzenia, wsunął pręt z powrotem. Szczyt szafy, tuż pod sufitem, wieńczyła wąska listwa; sięgnął w górę i przeciągnął po niej palcem, ale nie znalazł nic oprócz kurzu. Cofnął się i znowu rozejrzał: gołe ściany i sufit, pojedyncza żarówka.

216

Gdybym tu mieszkał, pomyślał, gdybym prowadził nieregularne notatki z moich

odkryć — bo na pewno bym prowadził — gdzie bym je schował?

Odsunął ramę łóżka od ściany. Metalowa powierzchnia za nim była równie gładka jak wszędzie, z wyjątkiem gniazdka elektrycznego nad podłogą. Z cichym westchnieniem dosunął łóżko z powrotem.

Potem zamarł. Ponownie odsunął łóżko, uklęknął pod ścianą, wyjął z kieszeni śrubokręt połączony z latarką, odkręcił zewnętrzną płytkę i poświecił do środka. Zdziwiło go to, co zobaczył. Puszka gniazdka była odłączona i wysunęła się razem z pokrywą. Za nią znajdował się tylko ciemny, prostokątny otwór. Przyglądając się z bliska, Logan zauważył grubą gumkę owiniętą wokół staroświeckiej kostki elektrycznej. Jeden koniec gumki ginał w czarnej czeluści. Logan delikatnie pociągnął za gumkę i odkrył, że została przewleczona przez dziurkę zrobioną w grzbiecie notesika: pożółkłego, wystrzępionego, pokrytego pleśnią.

Ostrożnie, jakby miał do czynienia z jajkiem Faberge, rozwiązał gumowy supełek, starł kurz z okładki i otworzył notesik. Wyblakłe, pajęczce pismo pokrywało pierwszą stronę.

Logan uśmiechnął się lekko do siebie.

— Karen, kochanie — mruknął — szkoda, że tego nie widzisz.

Ale zza grobu nie nadeszła żadna odpowiedź — tak jak się spodziewał.

27

Korytarze południowego skrzydła były słabo oświetlone, smugi cieni kładły się na szarych metalowych ścianach. Minęła osiemnasta i w bazie Fear panowała całkowita cisza. Ken Toussaint szedł głównym korytarzem poziomu A, trzymając w jednej ręce przenośną kamerę cyfrową, a w drugiej pospiesznie naszkicowaną mapkę Contiego. Nie zobaczył ani jednego żołnierza — Conti obiecał, że znajdzie im zajęcie w porze obiadu — niemniej szedł prawie na palcach. Ta przytłaczająca cisza działała mu na nerwy.

Nigdy w życiu nie uczestniczył w równie dziwacznej i nieprzyjemnej sesji zdjęciowej.

Wysyłano go już do rozmaitych odległych miejsc; opędzał się przed krwiożerczymi komarami w Kambodży, wytrząsał piasek ze wszystkich zakamarków ciała w Czadzie, wypłaszał skorpiony z ekwipunku w Paragwaju. Ale to był szczyt wszystkiego. Rzucony na koniec świata, setki kilometrów od jakiegokolwiek cywilizacji, narażony na burze lodowe i ataki nie-

218

dźwiedzi polarnych, uwięziony w starej, cuchnącej bazie wojskowej. I w dodatku te

wszystkie trudy poszły na marne.

Dotarł do skrzyżowania, przystanął, spojrział na mapę i skręcił w prawo. I to jeszcze nie było najgorsze. Zwyczajne niewygody nagle zmieniły się w śmiertelne zagrożenie.

W ogóle co on tu robił, dokąd się skradał? Kiedy Conti wyznaczył mu to zadanie, Toussaint był jeszcze oszołomiony wiadomością o śmierci Petersa, jeszcze próbował się z tym oswoić. Nie dotarli do niego wszystkie implikacje żądania reżysera. Dopiero teraz, w tym cichym korytarzu, zrozumiał, na co się zgodził. Zrozumiał w całej rozciągłości. Teraz, kiedy było za późno na sprzeciw.

Przedtem tylko raz był w tym skrzydle bazy, wczoraj, kiedy bez zapalu szukał zaginionego ścierwa. Mieściło się tu sporo sprzętu i aparatury technicznej, przynajmniej sądząc po wyblakłych napisach namalowanych szablonem na drzwiach, które mijał. Pod wpływem impulsu zatrzymał się przed drzwiami oznaczonymi: PANELE PRZETWORNIKÓW — REZERWA 1. Sięgnął do klamki, szarpnął parę razy. Zamknięte na klucz. Ruszył dalej. To, czego chciał Conti, graniczyło z kanibalizmem: niepotrzebne, nastawione na sensację filmowanie członka własnej ekipy, który już nie żył i nie mógł protestować. Obrzydliwe pogwałcenie prywatności. Co by powiedziała rodzina Josha?

Z drugiej strony przekonywał sam siebie, maszerując dalej, sięc nie jest głupia, dopilnują, żeby to pokazać ze smakiem, żadnych krwawych scen. A Conti wiedział, co

219

robi — powinien o tym pamiętać. Conti był błyskotliwym reżyserem, lecz również realistą. Jeśli istniał sposób, żeby zmienić tę katastrofę w sukces, zrobić coś naprawdę niezapomnianego, on tego dokona. Toussaint przypomniał sobie, że powinien się martwić również o własną reputację.

Fluorescencyjne żarówki rozmieszczono tu rzadziej i następne skrzyżowanie spowijała plątanina cieni. Pomyślał

O czymś jeszcze: przynajmniej otrzymał naprawdę unikatowe zadanie. Nikt o tym nie wiedział, tylko on i Conti. Z tego mógł wyjść wielki sukces, ważna pozycja w jego portfolio. Podczas całej fazy produkcji wykonywał prace pomocnicze, kręcił wstawki, ujęcia dodatkowe. Zawsze pozostawał w cieniu Fortnuma. Teraz miał szansę to zmienić. Postanowił dodać komentarz audio do zdjęć: jeśli w sieci się spodoba, to jeszcze bardziej podniesie jego status.

Na przecięciu korytarzy zdjął osłonę obiektywu, włączył kamerę, ustawił szybkość

przesuwu klitek, zapalił dodatkowe oświetlenie, nastawił ostrość, sprawdził ekspozycję i równowagę bieli, podłączył kabel pistoletowego mikrofonu do zestawu przy pasie. Nakręci to w jednym długim ujęciu: najazd na szpital, wejście do sali zabiegowej, trzysta sześćdziesiąt stopni wokół zwłok, kilka zbliżeń; może na chwilę odkryje prześcieradło, pod którym leży Peters. I wystarczy. Wejdzie i wyjdzie w ciągu dziewięćdziesięciu sekund, materiał znajdzie się bezpieczny na twardym dysku kamery. Jak mówił Conti: wchodzisz, filmujesz, wychodzisz.

220

Skręcił za róg. To tu: drugie drzwi po lewej. Wepchnął mapkę do kieszeni, przysunął wizjer do oka, ustawił kadr. Promień reflektora kamery podskakiwał zgodnie z ruchem ramienia. Wycelował światło w drzwi szpitala. Zamknięte.

Nagle zaświtała mu niepokojąca myśl. A jeśli drzwi są zamknięte na klucz? Conti nie przyjmie żadnych wymówek.

Spiesznie podszedł do drzwi, spoglądając przez obiektyw kamery. Szybkie naciśnięcie klamki uspokoiło jego rozedrgane nerwy: drzwi się otworzyły. Sięgnął do środka, wymacał przełącznik, zapalił światło, cofnął rękę.

Odsunął kamerę od oka i jeszcze raz rozejrzał się ukradkowo w obie strony, z miną winowajcy. Ale nikogo nie zobaczył; nie miał powodu do obaw. Tyle że włosy mu się zjeżyły na karku, a w uszach rozbrzmiewało słabe, odległe zawodzenie, wskazujące, że za długo zwlekał z zażyciem lekarstwa na nadciśnienie.

Pora wziąć się do roboty. Odchrząknął cicho, znowu przysunął oko do obiektywu, włączył funkcję nagrywania i pchnął drzwi, które rozwarły się szeroko.

— Teraz wchodzę — powiedział do mikrofonu.

Szybko wszedł do środka, uważając, żeby trzymać kamerę poziomo, kiedy robił panoramę ciasnego pomieszczenia. Serce mu biło zbyt szybko, ruchy miał gwałtowne i urywane. Sklął się w duchu, że nie wziął statywu stea-dicam, ale potem zmienił zdanie: amatorskie podejście lepiej pasowało do tej eskapady. Później w laboratorium mogli przepuścić film przez filtry cyfrowe, nadać mu

221

ziarnisty wygląd jak z taniego sprzętu, imitować zdjęcia zrobione ukradkiem...

Drzwi do następnego pomieszczenia wyostrzyły się w obiektywie. Conti mówił, że tam jest ciało.

— Ciało jest w drugim pokoju — wymamrotał Toussaint do mikrofonu. — Za gabinetem. Oddech mu przyspieszył, podobnie jak puls. Dziewięćdziesiąt sekund. To wszystko. Tam i z powrotem.

Ruszył przed siebie, przesuując kamerą w prawo i w lewo, uważając, żeby się o nic nie potknąć. Drzwi wyglądały jak prostokąt czerni, przebitej żółtym stożkiem światła kamery. Znowu pomacał ręką po ścianie; znowu przekręcił masywny, staroświecki przełącznik. Zapaliły się światła i natychmiast obiektyw wypełniła jednolita biel. Głupi błąd, powinien zapalić światło przed wejściem, żeby kamera zdążyła skompensować zmianę. Kiedy nasycona biel nieco zbladła i wyłoniły się zarysy pokoju, zobaczył na środku stół zabiegowy. Leżały na nim zwłoki, szczelnie zawinięte w plastikowe płachty. Cienkie smużki krwi znaczyły spodnią stronę plastiku, niczym paski na cukrowej laseczce. Oddychając jeszcze szybciej, zrobił porządny plan ogólny pokoju, a następnie powoli obszedł stół, panoramując nakryte ciało. To było dobre. Contiego nie zawiódł instynkt. Zmontują materiał, dorzucą kilka ostrych cięć, pozwolą żeby wyobraźnia widzów zappełniła luki. Zaśmiał się zdyszany, w podnieceniu zapominając o komentarzu audio. Zaczekaj, aż Fortnum to zobaczy...

222

Wtedy to usłyszał. Chociaż „usłyszał” nie całkiem odpowiadało rzeczywistości, przypominało to raczej nagłą zmianę ciśnienia atmosferycznego, bolesne wrażenie pełności, odczuwane w jamie płucnej, a zwłaszcza w najgłębszych kanałach ucha i zatok nosowych. Coś w pobliżu, coś, co instynktownie określił jako zagrożenie, natychmiast przykuło jego uwagę. Oderwał głowę od kamery i — z pradawną atawistyczną świadomością ofiary — wbił wzrok w ciemny otwór drzwi po drugiej stronie sali zabiegowej.

Coś tam się czaiło. Coś głodnego.

Zaczął dyszeć jeszcze szybciej. Chwytał nierówne hausty powietrza, które nie wystarczały do napełnienia płuc. Kamera wciąż nagrywała, ale nie zwracał na to uwagi. Gorączkowo usiłował sam siebie przekonać, że to tylko nerwy, nic więcej, całkowicie zrozumiałe w tych okolicznościach...

Dlaczego nagle tak się zdenerwował? Niczego nie widział, niczego nie słyszał... właściwie niczego. A jednak idealna czerń tamtych drzwi uruchomiła w nim wszystkie dzwonki alarmowe.

Zrobił krok do tyłu, mrużąc kamera zakołysała się gwałtownie, snop światła przemknął

po ścianach i suficie. Tylną częścią ciała mocno uderzył o trupa, który odepchnął go z ohydą sztywną nieustępliwością.

Po prostu się odwróć, powiedział sobie. Masz materiał. Odwróć się i wyjdź stąd w cholerę. Okręcił się na pięcie, gotów do ucieczki.

223

A jednak nie mógł uciec. W głębi duszy wiedział, że jeśli teraz nie spojrzy, już nigdy nie znajdzie w sobie dość odwagi. I coś ukrytego jeszcze głębiej mówiło mu, że jeśli instynkt go nie myli, ucieczka na nic się nie zda.

Dysząc głośno, Toussaint podniósł kamerę, przysunął oko do wizjera, odwrócił się i — bardzo powoli — skierował wiązkę światła w ciemność za drzwiami.

Prosto w paszczę koszmaru.

28

— Dostałem twoją wiadomość — powiedział Marshall, kiedy wszedł do laboratorium Faradaya i zamknął za sobą drzwi. — Znalazłeś coś?

Faraday podniósł wzrok na Marshalla, zerknął na Chena i znowu na Marshalla. Oczy biologa za okrągłymi okularami w szylkretowej oprawie wydawały się rozszerzone z niepokoju. Ale Marshall nie zwrócił na to uwagi — Faraday nawet w najlepszych chwilach wyglądał jak kłębek nerwów.

— To raczej interesująca seria faktów niż konkretna teoria — oznajmił teraz. Stał prawie całkiem ukryty za szaleńczym galimatiasem probówek i sprzętu laboratoryjnego.

— Nie szkodzi.

— Nie mogę niczego potwierdzić. Przynajmniej nie tutaj.

Marshall skrzyżował ramiona na piersi.

— Nie powiem zarządowi uniwersytetu, jeśli ty nie powiesz.

225

— I ostrzegam cię, że Sully zamierza...

Marshall westchnął z irytacją.

— No, powiedz wreszcie.

Ostatnia chwila wahania.

— Okay. — Faraday odchrząknął i poprawił poplamiony zupą krawat, który z uporem nosił pod laboratoryjnym kitlem. — Myślę, że rozumiem. To znaczy topnienie w skarbcu. Marshall czekał.

— Mówiłem ci, że wróciliśmy pobrać więcej próbek lodu z jaskini. No więc zrobiliśmy rentgenografię dyfrakcyjną. I okazały się bardzo niezwykle.

— Niezwykle pod jakim względem?

— Struktura krystaliczna jest niewłaściwa. To znaczy dla normalnie wytrącającego się lodu.

Marshall oparł się o stół.

— Mów dalej.

— Wiesz, że istnieją różne rodzaje lodu, prawda? To znaczy oprócz tego, który dodajemy do lemoniady albo zeskrobujemy z okien samochodu. — Zaczął odliczać na palcach. — Istnieje lód-dwa, lód-trzy, pięć, sześć, siedem i tak dalej, aż do lodu-czternaście... każdy z odrębną strukturą krystaliczną i odmiennymi właściwościami fizycznymi.

— Pamiętam coś na ten temat z podyplomowego kursu fizyki. Potrzeba olbrzymiego ciśnienia albo ekstremalnej temperatury, żeby doszło do przemiany w ciało stałe.

— Zgadza się. Ale najbardziej niezwykle w niektórych

226

typach lodu jest to, że kiedy już się utworzą, zachowują swoje właściwości w temperaturze znacznie przewyższającej punkt krzepnięcia! — Przez gąszcz probówek wyciągnął w stronę Marshalla kartkę. — Popatrz. To jest diagram struktury lodu-siedem. Spójrz na pojedynczą komórkę. Przy wystarczającym ciśnieniu ten rodzaj lodu pozostaje stały aż do dwustu stopni Celsjusza.

Marshall zagwizdał.

— W takim zarze? Mogliśmy użyć tego lodu wczoraj w skarbcu.

— Ale słuchaj — ciągnął Faraday. — W zeszłym miesiącu czytałem artykuł w „Nature” opisujący inny rodzaj lodu, który teoretycznie może istnieć: lód-piętnaście. Lód posiadający dokładnie odwrotne właściwości.

— To znaczy... — Marshall urwał. — To znaczy lód, który topi się poniżej zera stopni Celsjusza?

Faraday przytaknął.

— Kluczowe słowo to „teoretycznie” — wtrącił Chen.

— A ta niezwykła struktura krystaliczna roztopionego lodu z jaskini... pasuje do lodu-piętnaście?

— Pewności nie mamy — odparł Farady. — Ale może pasować.

Marshall odepchnął się od stołu, przespacerował tam i z powrotem.

— Więc możliwe... całkiem możliwe... że lód sam się roztopił.

— W nocy powoli podnosili temperaturę — przypomniał Faraday. — A w całym tym zamieszaniu po znik-

227

nięciu trofeum nikt się nie pofatygował sprawdzić temperatury w skarbcu. Potwierdzić, że rzeczywiście przekraczała punkt topnienia.

— Właśnie. — Marshall przystanął. — Nikt nie widział takiej potrzeby. Po prostu zostawili drzwi szeroko otwarte i ruszyli na poszukiwania.

— I pozwolili, żeby temperatura w skarbcu szybko się zrównała z temperaturą otoczenia — dodał Chen.

— Więc może nie było żadnego sabotażu — stwierdził Marshall. — Proces topnienia odbywał się prawidłowo. Zawinił sam lód.

Farady kiwnął głową.

— Jak powstaje ten niezwykły lód? — zapytał Marshall.

— W tym sęk — odparł Chen.

Krótkie milczenie zapadło w laboratorium.

— To bardzo interesująca spekulacja — podjął Marshall. — Ale nawet jeśli masz rację i nie było żadnego złodzieja, żadnego sabotażysty, pozostaje pytanie: co się stało z kotem? Po tych słowach na twarzy Faradaya odbiło się jeszcze większe zdenerwowanie.

— Nie, nie odpowiadaj — ciągnął Marshall. — Sam zgadnę. Kot wydostał się na wolność.

— Widziałeś moje zdjęcia podłogi skarbcza. Te ślady wskazywały, że coś się wydostało na zewnątrz, nie weszło do środka. I nie wyglądały na ślady piły.

— To prawda. Nie wyglądały na ślady piły. Ale nie wyglądały też na ślady kocich pazurów. O wiele za duże

228

na... — Marshall urwał nagle. — Chwileczkę. To bar-dz[^] sprytna teoria, lód topniejący poniżej punktu zamarzani[^] i tak dalej. Ale pozostaje jeden poważny problem. Ż kot się uwolnił z resztek lodu i wydostał się ze skarać musiałby żyć. A nie żył od tysięcy lat. <

— Właśnie ten problem omawialiśmy podczas tw oj*[^] ostatniej wizyty — oświadczył

Faraday. — Na to równik mam odpowiedź... i znowu tylko teoretyczną.

Marshall spojrział na niego. / &

— Kiedy zwierzę zamarzło, w komórkach musiały- s: utworzyć kryształki lodu. Ze skutkiem śmiertelnym. ^

— Możliwe. Ale niekoniecznie. W zeszłym roku w Eie 4 keley na konferencji biologii ewolucyjnej wysłuchaTei referatu o mamucie znad Bieriezowki.

— Nie słyszałem o nim.

— To był mamut włochaty znaleziony na Syberii w po' czątkach dwudziestego wieku. Zamarznięty na kość, z ks/ wałkami jaskra pomiędzy zębami.

— I?

— No, pytanie brzmi: jak mamut mógł zamarznąć szybko w miejscu dostatecznie ciepłym, żeby kwitły tazW jaskry?

Nagle Marshall zrozumiał.

— Zstępujący prąd zimnego powietrza. Wywołany prze^ inwersję atmosferyczną. Faraday kiwnął głową.

— Superzimne arktyczne powietrze.

— Rozumiem do czego zmierzasz. Ponieważ kiedy m v ^
2S*

mut zamarzł, było lato, o czym świadczą jaskry. Ale tutaj, w środku zimy... — umilkł.

Na chwilę zapadła cisza. Potem Chen powiedział:

— Błyskawiczne zamrożenie.

— Terminalny mróz — dodał Faraday.

— A im szybciej zamarzał... jeśli, powiedzmy, pomagały w tym silne wiatry... tym mniejsze kryształki lodu tworzyły się w komórkach. Jeśli to się stało dostatecznie szybko, nie można wykluczyć, że zwierzę zostało zamrożone żywcem. — Marshall popatrzył na kolegów. — Myślicie, że taki terminalny mróz można odwrócić?

Faraday zamrugął.

— Odwrócić w jaki sposób?

— Jeżeli w lecie występuje nagły prąd zstępujący bardzo zimnego powietrza... czy w zimie równie łatwo nie może wystąpić prąd zstępujący superciepłego powietrza?

Faraday powoli skinął głową.

— Teoretycznie.

— A jeśli to zjawisko rzeczywiście zostało odwrócone? Jeśli na dół spłynęło wyjątkowo ciepłe powietrze? Pamiętacie, jak tropikalnie się zrobiło w nocy przed transmisją na żywo? Faraday ponownie skinął głową.

— Temperatura pewnie zbliżała się do zera. — Marshall znowu zaczął spacerować. — Zamrażarka w skarbcu musiała się włączyć... ale jeśli w grę wchodził twój lód--piętnaście, to nie miało znaczenia. Wystarczyło parę stopni poniżej zera, żeby spowodować intensywne topnienie. —

230

Zawahał się. — Kiedy wróciłeś do jaskini po próbki, czy zauważyłeś wokół wykopu jakieś ślady topnienia lodu?

— Nie.

— Ale tam na górze przy lodowcu jest zimniej... — Marshall pokręcił głową. — Sam nie wiem, Wright. To błyskotliwe wyjaśnienie... ale wydaje się trochę naciągane.

Faraday podniósł diagram.

— Struktura krystaliczna nie kłamie. Przeprowadziliśmy rentgenografię samego lodu. W laboratorium zapadło krótkie milczenie. Marshall popatrzył na diagram, potem bez słowa odłożył go na stół.

— Jeśli masz rację z tym odwróceniem — powiedział powoli Faraday — z tym nagrzanym powietrzem, to wyjaśnia coś jeszcze.

— Co? — zapytał Marshall.

— To, co widzieliśmy tamtej nocy na niebie.

— Chodzi ci o tę niezwykłą zorzę polarną? Uważasz, że to efekt uboczny?

— Efekt uboczny — powtórzył Faraday. — Albo czynnik sprawczy. Albo może zwiastun.

Kolejne milczenie. Marshall przypomniał sobie ostrzeżenie starego szamana: „Ich gniew maluje niebo krwią. Niebo krzyczy z bólu”.

— A co z krwią? — zapytał. — Zakrzepłą krwią, którą znalazłeś na drzazgach w skarbcu?

— Zajęliśmy się lodem i jeszcze nie zdążyliśmy jej przeanalizować.

I znowu w laboratorium zapadła cisza.

231

— No, nie chcę przeszkadzać, skoro jesteście zajęci — powiedział po chwili Marshall.

— Ale nasuwają się jeszcze dwa pytania. Jeśli te niezwykle formy lodu wymagają ogromnego ciśnienia albo ekstremalnej temperatury, jakim sposobem mogły powstać tutaj? Faraday zdjął okulary, przetarł je o krawat, założył z powrotem.

— Nie wiem.

Trójka naukowców wymieniła spojrzenia.

— Mówiłeś, że masz dwa pytania — podsunął Chen.

— Tak. Jeśli wasze spekulacje są słuszne i zwierzę żyje... i wydostało się na wolność... gdzie jest teraz?

Pytanie zawisło w powietrzu. Tym razem nikt nie przerwał milczenia.

29

Kiedy wiadomość o śmierci Petersa rozeszła się po bazie, ludzie, niemal nieświadomie, zaczęli wychodzić z kwater i gromadzić się w większych pomieszczeniach na poziomie B, szukając pociechy u innych. Siedzieli przy stolikach w mesie oficerskiej, rozmawiali zniżonymi głosami, wymieniali sentymentalne anegdoty: oburzające rzeczy, które zmarły zrobił lub powiedział, głupie techniczne błędy, które popełnił. Inni kręcili się w centrum operacyjnym, popijali letnią kawę, spekulowali, kiedy ucichnie zamieć, obiecywali mściwie, że zbiorą drużynę myśliwską i wytropią niedźwiedzia, który rozszarpał asystenta produkcji. Ponury nastrój tylko potęgował wrażenie, że utknęli na lodowym pustkowiu, odcięci od wszelkich dobrodziejstw cywilizacji. Wieczór przeciągnął się do późna i rozmowy zamierały, ale ludzie się nie rozchodzili. Nikt nie miał ochoty wracać do kwatery i własnych, prywatnych, niepokojących myśli.

Ashleigh Davis nie podzielała tych uczuć. Siedziała

233

smętnie przy stoliku w mesie oficerskiej, oparłszy na rękach elegancko uczesaną głowę, wpatrzona w zegar ścienny za metalową kratką. To piekło, rozmyślała. Gorzej niż piekło. To miejsce śmierdziało. Jedzenie było paskudne. Milion kilometrów do najbliższego ośrodka odnowy biologicznej. Nie dostaniesz filiżanki przyzwoitego espresso aromatyzowanego bergamotką, choćby od tego zależało twoje życie. A co najgorsze, to było więzienie. Dopóki burza nie ucichnie, musiała tutaj siedzieć i kręcić młynka palcami, a jej wspaniała kariera utknęła w martwym punkcie. Nie można się stąd wydostać, myślała posepnie, chyba że na piechotę. I jeśli zostanie tu dłużej, pewnie tak właśnie zrobi: wyjdzie w ciemność i śnieg jak ten facet w antarktycznej ekspedycji Scotta... była narratorką filmu dokumentalnego na ten

temat, ale nie mogła się zmobilizować, żeby sobie przypomnieć nazwisko tego biednego frajera.

A czas włókł się tak powoli! Popołudnie trwało wieczność. Zmusiła charakteryzatorów, żeby zrobili jej zaimprovizowany zabieg kosmetyczny twarzy, manikiur i pe-dikiur; kazała się uczesać; zagoniła niemal na śmierć dziewczynę od kostiumów, przymierzając najpierw jeden strój, potem następny i następny, bo nie mogła się zdecydować, jak się ubrać na obiad. Obiad. Zbyt uprzejme określenie. Raczej „pomyje” albo „świńska karma”. A towarzystwo przy obiedzie, od początku mało zabawne, dziś wieczorem zrobiło się absolutnie cmentarne. Tylko dlatego, że ten idiota Peters wlaźł prosto na niedźwiedzia, wszyscy zachowywali się tak, jakby nadszedł koniec świata. Zapom-

234

nieli, że mają obok siebie gwiazdę. Żałosne, naprawdę żałosne; całkowicie się marnowała wśród tej hołoty.

Westchnęła z irytacją, wyjęła papierosa z torebki od Hermesa, zapaliła go z trzaskiem platynowej zapalniczki.

— W bazie nie palimy, Ashleigh — rozległ się głos Contiego. — Przepisy wojskowe. Davis prychnęła wściekle, wyjęła papierosa z ust, spojrzała na niego, włożyła z powrotem do ust, zaciągnęła się głęboko i zgasiła go w talerzu zakrzepłej tapioki. Wydmuchując dym nosem, spojrzała przez stół na producenta. Prawie całą ostatnią godzinę prośbą, groźbą i szantażem próbowała wymusić awaryjny transport lotniczy z tego okropnego miejsca do Nowego Jorku — bez skutku. Niemożliwe, powiedział; wszystkie loty, publiczne czy prywatne, zostały zawieszane na czas nieokreślony. Nie wzruszyły go żadne jej argumenty. Właściwie niemal nie zwracał na nią uwagi; wydawał się zaprzątnięty czymś innym. Nadaśana osunęła się na oparcie krzesła. Nawet Emilio traktował ją jak byle kogo. Nie do wiary. Odepchnęła krzesło i wstała.

— Wracam do mojej przyczepy — oznajmiła. — Dziękuję za uroczy wieczór. Conti podniósł wzrok znad notatek, które gryzmolił.

— Jeśli wpadniesz na Kena Toussainta — powiedział — przyslij go do mnie. Będę albo tutaj, albo w mojej kwaterze.

Davis narzuciła płaszcz na ramiona, nie zniżając się do odpowiedzi. Brianna, jej osobista asystentka, sięgnęła po swój płaszcz i wstała od stołu. Przez cały obiad milczała.

235

Wiedziała, że lepiej siedzieć cicho, kiedy Davis jest w czarnym nastroju.

— Na pewno chcesz wracać do przyczepy? — zapytał Conti. — Mogę ci tu zorganizować nocleg.

— Nocleg? Czyli wspólna łazienka i bivoac na wojskowej przyczepie? Emilio, kochanie, chyba żartujesz. — I odwróciła się, pogardliwie zamiatając gronostajowym futrem.

— Ale... — zaczął protestować reżyser.

— Zobaczymy się rano. Spodziewam się, że helikopter będzie już czekał.

Idąc szybko do drzwi, zauważyła, że ktoś się zbliża. Facet, który przyprowadził tu ciężarówkę. Zerknęła na niego przelotnie. Całkiem przystojny, opalony, o smukłej sylwetce surfera. Ale jego krzykliwa hawajska koszula wołała o pomstę do nieba. Poruszał szczękami jak krowa, żując ogromną gulę gumy.

— Pszepani. — Uśmiechnął się do niej, kiwnął głową Briannie. — Nie zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni.

Mojemu szoferowi też nie zostałam formalnie przedstawiona, pomyślała, marszcząc brwi.

— Nazywam się Carradine, w razie gdyby pani nie słyszała. Też wracam do szoferki, więc przejdę się z paniami... jeśli nie macie nic przeciwko.

Davis wymownie spojrzała na asystentkę: Czy nic nie zostanie mi oszczędzone?

— Wie pani — zaczął kierowca, kiedy ruszyli w stronę głównej klatki schodowej — miałem nadzieję, że z panią

236

porozmawiam, panno Davis. Kiedy się dowiedziałem, że to pani przyczepę holuję, że trafiła mi się okazja, żeby porozmawiać z kimś z pani pozycją... no, całkiem jak taki szczęśliwy przypadek, o jakich czasami się czyta. Jakby Orson Welles spotkał Williama Randolpha Hearsta.

Davis spojrzała na niego.

— Williama Randolpha Hearsta?

— Coś pomyliłem? W każdym razie mam nadzieję, że pani się nie pogniewa, jeśli zabiorę pani minutę czy dwie.

Już zabrałeś, pomyślała Davis.

— Widzi pani, jestem nie tylko kierowcą. Sezon jest bardzo krótki, pani rozumie... cztery miesiące, zwykle nie przyjeżdżam tak wcześnie, lód na jeziorach nie jest jeszcze wystarczająco gruby... więc mam mnóstwo czasu na inne rzeczy. Och, to nie znaczy, że

jestem ciągle zajęty... w Cape Coral życie płynie raczej powoli. Ale mam jedno stałe zajęcie. Wyraźnie czekał, żeby zapytała, co to takiego. Ona jednak wspinała się po schodach w nieugiętym milczeniu.

— Jestem scenarzystą — oznajmił w końcu.

Davis obejrzała się na niego, niezdolna ukryć zdziwienia.

— To znaczy napisałem scenariusz. Widzi pani, kiedy prowadzę, słucham kaset z książkami... to pomaga zapomnieć o lodzie... i jakoś wciągnęły mnie sztuki Williama Szekspira. W każdym razie tragedie, gdzie jest tyle walk i krwi. Moja ulubiona to Makbet. I to jest scenariusz: moja wersja Makbeta. Tylko że nie o królu, ale o zimowym kierowcy.

237

Davis szybko przeszła przez główny hol, próbując się uwolnić od Carradine'a. Mężczyzna przyspieszył kroku.

— Król zimowych kierowców, rozumie pani. Ale inny kierowca jest o niego zazdrosny, o jego sławę. I chce mu odebrać dziewczynę. Więc sabotuje trasę króla, dziurawi ją, rozbija lód, rozumie pani?

Opuścili przedsionek i wyszli na zewnątrz. Natychmiast wiatr trzepnął ich wielką niewidzialną łapą. Zewnętrzne światła ledwie przebijały się przez tumany wirującego śniegu, widoczność wynosiła najwyżej metr lub dwa. Davis zawahała się, pamiętając, że niedźwiedź polarny zabił Petersa tuż za ogrodzeniem.

Na widok jej wahania Carradine się uśmiechnął.

— Niech się pani nie martwi — powiedział, podciągnął koszulę i zademonstrował wielki rewolwer zatknięty za pasek. — Nigdy nie jadę w trasę bez tego.

Davis skrzywiła się, otuliła ciaśniej futrem i puściła przodem Brianę, żeby ją osłaniała od wiatru.

Powoli brnęli przez betonową płytę, pomiędzy szopami i barakami, które w skłębionym śniegu wyglądały jak zjawy. Davis trzymała głowę spuszczoną i markotnie omijała pęki elektrycznych oraz komputerowych kabli, leżące zdradliwie pod białą powłoką. Carradine szedł obok, niewrażliwy na zimno. Nawet się nie pofatygował, żeby zabrać parkę z którejsz szafki w szatni.

— Jak mówiłem, pojazd króla wpada pod lód. A ten drugi kierowca zostaje nowym królem.

238

— Dobrze, dobrze — mruknęła Davis. Boże, jeszcze tylko parę kroków do przyczepy.

— W każdym razie to wspaniała historia, pełna przemocy. Zimowy kierowca jest zabójcą. Mam egzemplarz w kabinie. I zastanawiałem się... z pani koneksjami i w ogóle... czy nie chciałaby pani rzucić okiem i może zarekomendować...

Zamilkł tak nagle, że Davis obejrzała się na niego. Wtedy też to usłyszała: stłumione łomotanie, jakby ciężkie, miarowe stukanie, dochodzące z ciemności przed nimi.

— Co to jest? — szepnęła. Popatrzyła na Brianę, która nerwowo odwzajemniła spojrzenie.

— Nie wiem — odparł Carradine. — Pewnie jakaś obłuzowana część wyposażenia. Stuk.

— Całkiem jak scena z odźwiernym w Makbeciel — wykrzyknął Carradine. — Stukanie do bramy, kiedy wykończyli Dunkana! Ja też to mam w scenariuszu, kiedy nowy król kierowców wrócił do Yellowknife i słyszy, jak syn starego króla puka do drzwi...

Stuk.

Carradine wybuchnął śmiechem.

— „Zbudź tym kołatanie Dunkana! — zacytował. — Obyś mógł tego dokazać!”*

Stuk.

* William Szekspir, Makbet, przekład Józef Paszkowski.

239

Davis zrobiła następny krok do przodu, potem znowu się zawahała.

— To mi się nie podoba.

— To nic. Chodźmy zobaczyć.

Ruszyli przed siebie, tym razem wolniej, przez gęstą zasłonę śniegu. Wiatr świstał żalobnie wśród baraków, kąsał gołe nogi Davis i szarpał za poły jej futra. Potknęła się o kabel, zatoczyła, lecz złapała równowagę.

Stuk.

— To gdzieś za pani przyczepą — stwierdził Carradine.

— No więc niech pan to przywiąże, cokolwiek to jest. Nie zasnę przy tym hałasie.

Teraz w śnieżnym półmroku zamajaczył przed nimi kadłub przyczepy, szary monolit, z którego dochodziło mruczenie generatora. Carradine poprowadził dookoła na tyły, jego koszula trzepotała na wietrze. Tutaj, w cieniu pomiędzy przyczepą a ogrodzeniem, było ciemniej. Davis zadrżała, oblizwała wargi.

Stuk.

I wtedy to zobaczyli, tuż obok: ciało zwisające do góry nogami z podpórek okiennej markizy. Bez kurtki, w podartym ubraniu. Ramiona dyndały bezwładnie nad ziemią. Głowa, zwisająca na jednym poziomie z ich głowami — oblepiona śniegiem nie do rozpoznania — obijała się powoli o metalową ścianę przyczepy, poddając się kaprysom wiatru.

Stuk.

Brianna wrzasnęła, cofnęła się o krok.

240

— Nie żyje! — zapiszczała Davis.

Kierowca szybko postąpił krok do przodu, zgarnął śnieg z twarzy kołyszącej się przed jego twarzą.

— O Boże! — krzyknęła Davis. — Toussaint!

Carradine sięgnął w górę, żeby odczepić ciało od podpórki. Wtedy Toussaint nagle otworzył oczy. Popatrzył na nich bezmyślnie. Potem niespodziewanie otworzył usta i wrzasnął.

Brianna osunęła się na ziemię zemdlona, jej głowa z brzydkim hukiem uderzyła o ścianę przyczepy.

Toussaint znowu wrzasnął — przeciągle, ochryple.

— On się z wami bawi! — zakrzyczał. — Bawi się z wami! A kiedy skończy się bawić, zabije. Zabije nas wszystkich!

30

Tłum w centrum operacyjnym jeszcze się zwiększył. Marshall pomyślał ponuro, że ostatnio widział tu tylu ludzi, kiedy Wolff zarządził zebranie kryzysowe po odkryciu pustego skarbcza. Podczas tamtego spotkania panowały konsternacja, szok, niedowierzanie. Tym razem królował strach. Strach tak silny, że Marshall niemal wyczuwał jego metaliczny posmak w powietrzu.

Wszedł do pomieszczenia i natychmiast podeszli do niego Wolff i Kari Ekberg.

— Jak Toussaint? — zapytał Wolff.

— Na wpół zamarznięty, ma złamaną kostkę i liczne paskudne rany szarpane rąk i nóg. Ale przeżyje. Majaczy... musieliśmy mu podać silne środki uspokajające z wojskowych zapasów. Gonzalez wprowadził tymczasowe obostrzenia... skąpi nawet lekarstw.

— Toussaint majaczy? — powtórzył Wolff. — O czym?

— Dosyć nieskładnie. Mówił, że został napadnięty w szpitalu, pobity i wywleczony na

zewnątrz.

242

— Kto by zrobił coś takiego? — szepnęła Ekberg.

— Według Toussainta nie kto, tylko co — odparł Marshall.

Wolff zmarszczył brwi.

— To wariactwo.

— Coś powiesiło go jak poleć wołowiny. Ten hak znajdował się dobre trzy metry nad ziemią.

— Niedźwiedź polarny nie zrobiłby czegoś takiego — oświadczył Wolff. — I nie mógł bezkarnie wchodzić i wychodzić z bazy. Ten człowiek wyraźnie ma przywidzenia. A w ogóle co robił w szpitalu?

— Podobno próbował ukradkiem sfotografować ciało Petersa.

Wolff wzdrygnął się i twarz mu pociemniała.

— Udało mu się?

— Trudno powiedzieć. W szpitalu była kamera... Gonzalez właśnie kazał swoim ludziom sprawdzić. Ale została fatalnie uszkodzona, nie ma przekazu wideo. Jest tylko audio, Toussaint mamrocze w kółko: „Nie, nie, nie”.

— Czy opisał, co go zaatakowało? — zapytała Ekberg.

— Nie w szczegółach. — Marshall zamilkł i próbował odtworzyć z pamięci gorączkowy bełkot rannego, kiedy go opatrywano. — Mówił, że było wielkie... ogromne jak ciężarówka. Wolff zrobił sceptyczną minę.

— Mówił, że miało więcej zębów, niż potrafił zliczyć. Niezbyt wielkich, ale ostrych jak brzytwa. Mówił, że się obracały.

243

Sceptycyzm na twarzy Wolffa się pogłębił.

— Mało prawdopodobne, no nie?

— Sam nie wiem. Brzytwa pasuje do śladów na ciele Petersa. — Marshall przerwał. — I oczy. Ciągłe gadał o oczach.

Ekberg zadrżała.

— Mówił, że do niego śpiewały — dodał Marshall.

— Chyba już dość usłyszałem. — Wolff odwrócił się plecami.

— Jest coś jeszcze! — zawołał za nim Marshall.

Przedstawiciel sieci przystanął, ale się nie obejrzał.

— Zginęło ciało Petersa.

Marshall i Ekberg patrzyli, jak Wolff wychodzi z pokoju. Przez chwilę stali w milczeniu. Ludzie zebrali się w małe grupki, głowa przy głowie. Rozmawiali ściszymi głosami, prawie szeptali. Wyraźnie kontrastowała z nimi Davis, której piskliwe skargi i narzekania walnie przyczyniły się do rozpowszechnienia nowiny. Stała w głębi sali i głośno domagała się osobistej ochrony wojskowej.

Ekberg kiwnęła głową w stronę Carradine'a, który siedział sam w kącie i popijał kakao ze styropianowego kubka.

— On zaproponował, że wszystkich stąd zabierze — powiedziała.

— To znaczy z powrotem do Yellowknife?

— Gdziekolwiek. Byle dalej od bazy. Powiedział, że może prawie wszystkich upchnąć do przyczepy Ashleigh.

— Nie najgorszy pomysł... jeśli będzie się trzymał sprawdzonej drogi i nie zacznie się popisywać.

244

— Wolff go zakrzyczał. Powiedział, że to zbyt niebezpieczne.

— No, pobyt tutaj też robi się coraz bardziej niebezpieczny. — Marshall spojrzał na nią.

— Wyjechałabyś? Gdyby Carradine dostał zielone światło.

— To zależy od Emilia.

— Nie masz wobec niego żadnych zobowiązań. Poza tym teraz wiem, co naprawdę o nim myślisz.

— Co ja o nim myślę?

— Dzisiaj rano nie robiłaś z tego tajemnicy. Ekberg uśmiechnęła się smutno.

— Nie zaprzeczam, że on jest trochę upierdliwy. Ale taka jest większość reżyserów, z którymi pracowałam. Musisz mieć rozdęte ego, jeśli chcesz odcisnąć swoje osobiste piętno na czymś tak wielkim i skomplikowanym jak film dokumentalny dla szerokiej publiczności. Poza tym nie zatrudniłam się u Contiego, tylko w filmie. Tak się robi w tym zawodzie. Jestem producentem terenowym. Zostaję do końcowego montażu.

Marshall odwzajemnił uśmiech.

— Dzielna z ciebie kobieta.

— Nie całkiem. Po prostu bardzo ambitna. Marshall uświadomił sobie, że ktoś stoi obok

niego.

Odwrócił się i zobaczył, że Jeremy Logan ich obserwuje. Może to akademik, pomyślał, pozdrawiając go skinieniem głowy, ale nie przypomina żadnego profesora, jakiego znałem.

— Przepraszam, że przeszkadzam — powiedział Lo-

245

gan. — Chciałem zamienić kilka słów z doktorem Marshalllem.

— Oczywiście. I tak muszę uspokoić ekipę. Pogadamy później, Evan — powiedziała Ekberg i odeszła.

Marshall odwrócił się do Logana.

— Co się stało?

— Całkiem sporo. Poszukajmy jakiegoś bardziej ustronnego miejsca, żeby porozmawiać.

I Logan wskazał drzwi.

31

Laboratorium Marshalla znajdowało się w odległości zaledwie kilku pomieszczeń od centrum operacyjnego, ale szli chyba całą wieczność. Naukowiec ciągle myślał o zmasakrowanym, porozrywanych ciele Petersa, o szaleńczym bełkocie Toussainta. Z trudem się powstrzymywał, żeby nie oglądać się przez ramię.

W laboratorium Marshall zdjął keyboard MIDI z zapasowego krzesła, wskazał je Loganowi i starannie zamknął drzwi. Potem usiadł na stole laboratoryjnym.

— Wystarczająco prywatnie dla pana? — zagadnął.

Logan rozejrzał się.

— Ujdzie. — Milczał przez chwilę. — Słyszałem, co się stało. Jak ludzie to przyjmują?

— Nie najlepiej. Wszyscy się boją. Widziałem kilka osób, którym mało brakuje do załamania. Jedna z charakteryzatorek wpadła w histerię i musiała dostać środek uspokajający. Jeśli burza szybko nie minie... — Pokręcił

247

głową. — Ludzie nie mają pojęcia, w co wierzyć, nie mają pojęcia, co się dzieje... i to chyba jest najgorsze.

— Chcę wiedzieć, w co wierzycie wy, naukowcy. Mam przeczucie, że na coś wpadliście... i muszę wiedzieć, co to jest.

Marshall przez chwilę przyglądał mu się z namysłem.

— Powiem panu, w co nie wierzę. Nie wierzę, że człowiek mógł tak rozszarpać Petersa. I nie wierzę, że niedźwiedź polarny mógł zawiesić Toussainta na haku.

Logan założył nogę na nogę.

— To nam nie pozostawia wiele możliwości.

Marshall zawahał się. Przypomniawszy sobie, że Logan już obdarzył go zaufaniem, wyjaśnił, dlaczego tu przyjechał, opowiedział o tamtym pechowym zespole naukowców.

— Faraday ma teorię — zaczął po chwili.

Pokrótce streścił to, co mu opowiedział Faraday: o unikatowych właściwościach lodu — piętności, której topnieje w niskiej temperaturze; o możliwości, że stwór został błyskawicznie zamrożony; o szansie — nikłej, ale dopuszczalnej — że nie zginął, tylko jakby zapadł w kriogeniczny sen.

Logan słuchał uważnie i ani razu nie zrobił sceptycznej miny. Kiedy opowieść dobiegła końca, kiwnął głową.

— To bardzo interesujące — stwierdził. — Ale nie udziela odpowiedzi na najważniejsze pytanie.

— Czyli jakie?

Logan odchylił się do tyłu w krześle.

— Czym jest ten stwór?

248

— O tym też rozmawialiśmy. Słyszał pan o tak zwanym efekcie Kallisto?

Historyk pokręcił głową.

— To biologiczna teoria ewolucyjnej turbulencji. Zgodnie z tą teorią, kiedy gatunek czuje się zbyt wygodnie w swojej niszy... kiedy przestaje ewoluować albo za bardzo przeciąża ekosferę... pojawia się nowe stworzenie, maszyna do zabijania, żeby przetrzebić populację i ponownie uruchomić proces ewolucyjny. Mówiąc ekologicznie, broń doskonała.

— Następną fascynująca teoria. Chociaż trudno sobie wyobrazić, żeby miejscowa populacja wymagała przetrzebienia.

— Proszę nie zapominać, że mówimy o miejscowej ekologii, jaka istniała przed tysiącami lat... kiedy zamarzło to stworzenie. I nawet wtedy, biorąc pod uwagę klimat, wystarczyłaby niezbyt duża populacja, żeby wyczerpać zasoby tak ubożego środowiska. W każdym razie jednak teoria głosi, że efekt Kallisto stanowi w zasadzie ewolucyjną aberrację.

Ponieważ taka maszyna do zabijania wydaje się aż nazbyt skuteczna. W rezultacie staje się swoim najgorszym wrogiem. Zabija wszystko... i niszczy własne źródło pożywienia.

Logan znowu kiwnął głową, jeszcze wolniej, jakby dopasowywał fragment myślowej układanki, którą konstruował.

— Nazwał to pan „broń doskonała”. Ciekawe, że użył pan tych słów, ponieważ niedawno sam na nie natrafiłem.

249

Widzi pan, dzisiaj rano znalazłem notes jednego z dawnych naukowców. Ukrył go w swojej kwaterze. — Z uśmiechem poklepał się po kieszeni koszuli.

— Dzisiaj rano? I dopiero teraz pan mi mówi?

— Nie wiedziałem, że mam obowiązek coś panu mówić.

Marshall machnął ręką, uznając argument.

— Prawda jest taka, że zwlekałem z powiadomieniem pana, ponieważ tekst równie trudno odczytać jak pismo linearne A z Hagia Triada. Jest napisany szyfrem.

Marshall zmarszczył brwi.

— Po co ten naukowiec go zastosował?

— Niewątpliwie uważał, że nie wystarczy ukryć notatki. Niech pan pamięta, że to były lata pięćdziesiąte... zimna wojna w rozkwicie. Ludzie traktowali poważnie problem bezpieczeństwa; ten facet pewnie nie chciał odsiedzieć dwudziestu lat w Leavenworth. W każdym razie przez cały dzień pracowałem nad rozszyfrowaniem.

— Jest pan również kryptologiem?

Logan znowu się uśmiechnął.

— W mojej pracy to się bardzo przydaje.

— Gdzie pan się tego nauczył?

— Kiedyś zatrudniałem się w... jak to określić?... w służbach bezpieczeństwa. Tak czy owak do tej chwili odniosłem tylko połowiczny sukces... pojedyncze słowa, oderwane zwroty. To szyfr polialfabetyczny, wariant szyfru Vigenc-re'a, ale podstępnie zmieniony. Myślę, że połączył go z książką szyfrów, ale oczywiście zabrali wszystkie książki, kiedy sprząтали jego kwaterę.

250

Sięgnął do kieszeni, wyjął malutki notesik — zniszczony i zakurzony, napęczniały od wilgoci — i położył go na stole obok Marshalla. Otworzył, wyjął złożoną kartkę.

— Tyle udało mi się dotąd rozszyfrować. — Logan rozłożył kartkę i spojrzał na nią. — Kilka wpisów dotyczy życia codziennego, narzekania na nędzne jedzenie, spartańskie zakwaterowanie i warunki pracy dalekie od ideału... pominię to. Na przykład: „Musieliśmy pracować bardzo szybko. Nierozpakowane części sonaru walają się pod nogami”. I tutaj: „Tajność bardzo wszystko utrudnia. Tylko Rose dostał instrukcje”.

— Rose? — powtórzył Marshall.

— Był wtedy oficerem dowodzącym w bazie Fear, pamięta pan? — Logan znowu zerknął na kartkę. — Tu się zaczyna: „Jest przerażające. Cudowne, ale przerażające. To naprawdę broń doskonała, pod warunkiem, że ujarzmimy jego moc. To będzie”... dwa słowa, których jeszcze nie rozszyfrowałem... „wyzwanie”. Pod koniec pismo staje się urywane, drżące: „Zabiło Blayne'a. Boże, to było okropne, tyle krwi...”. I jeszcze jedno, którego nie rozszyfrowałem do końca: „Tunici znają odpowiedź”. „Tunici” to widocznie jakieś przekręcone słowo, muszę jeszcze nad tym popracować.

— Wcale nie przekręcone. Tunici to miejscowi rdzenni Amerykanie.

Logan szybko podniósł wzrok znad kartki.

— Jest pan pewien?

251

— Absolutnie. Przyszli do nas, jak tylko dokonaliśmy tego odkrycia w lodowej jaskini. Ostrzegli nas jasno i wyraźnie, żebyśmy stąd odeszli.

Oczy Logana się zwięziły.

— Nigdy nie słyszałem o Tunitach, chociaż znam wiele alaskańskich plemion. Inuici, Aleuci, Ahtena, In-galik...

— Prawie ich wytępiono tysiąc lat temu, kiedy odebrano im ziemię i wypędzono na pustkowie. Nieliczni, którzy pozostali, z biegiem czasu albo wymarli, albo wchłonęła ich dominująca ludność. Podobno przetrwał tylko ten jeden obóz.

Logan zachichotał.

— Wiedziałem, że słusznie zrobiłem, przychodząc do pana. Rozumie pan, co to znaczy?

— Trzepnął ręką w kartkę. — To może być odpowiedź, której szukamy.

— Myśli pan, że istnieje związek pomiędzy zmarłymi naukowcami a tym, co atakuje naszą bazę? Niemożliwe. Stworzenie, które odkryliśmy, spoczywało pod lodem, zamrożone od ponad tysiąca lat. Świadczą o tym absolutnie niepodważalne dowody.

— Rozumiem. Ale nie wierzę w zbieg okoliczności. — Logan zrobił przerwę. — Jest

tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Przez długą chwilę Marshall nie odpowiadał. W końcu powoli skinął głową.

— Wezmę Śnieżnego Kota — oświadczył. — Tylko w ten sposób możemy tam dotrzeć podczas śnieżycy.

252

— Umie pan go prowadzić?

— Jasne.

— Wie pan, gdzie jest obóz Tunitów?

— Znam z grubsza położenie. To niedaleko, jakieś pięćdziesiąt kilometrów na północ.

Logan złożył kartkę, wsunął z powrotem do notesu i schował go do kieszeni.

— Jadę z panem.

Marshall pokręcił głową.

— Lepiej pojedę sam. Tubylcy są przeciwni naszej obecności. Podejrzliwi. Im mniej osób pojedzie, tym lepiej.

— To niebezpieczne. Jeśli zostanie pan ranny, nikt panu nie pomoże.

— W pojeździe na pewno jest radio. Będę ostrożny. Przynajmniej Tunici już mnie widzieli. Pana nie znają. Lepiej niech pan wykorzysta ten czas, żeby poinformować moich kolegów.

— Mogą się krzywić, że pan samowolnie zabiera Śnieżnego Kota.

— Dlatego im nie powiemy. Będę się spieszył. W tych okolicznościach wątpię, czy w ogóle zauważą.

Logan zmarszczył brwi.

— Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że Tunici mogą być odpowiedzialni za to wszystko. Sam pan powiedział; nie chcą nas tutaj. Może pan wejść prosto w pułapkę.

— To prawda. Ale jeśli mogą rzucić trochę światła na tę sytuację... chociaż trochę... warto zaryzykować.

253

Logan wzruszył ramionami.

— Chyba skończyły mi się argumenty. Marshall wstał.

— Więc niech pan mnie odprowadzi. Ruszyli do drzwi.

32

Wydawało się, że Conti powiedział: „Proszę”, zanim jeszcze Fortnum zapukał.

Operator wszedł do środka i cicho zamknął drzwi za sobą. Conti siedział w głębi pokoju, w zaimprovizowanej sali projekcyjnej, pochłonięty filmem wyświetlanym na ogromnym ekranie LCD. Obraz skakał i śnieżył, ale Fortnum natychmiast go rozpoznał: płonący sterowiec „Hin-denburg” walił się na ziemię w bazie lotnictwa marynarki wojennej w Lakehurst.

— Ach, Allan — odezwał się reżyser. — Siadaj.

Fortnum podszedł i zajął jeden z wygodnych foteli przed ekranem.

— Jak tam Ken?

Conti złożył palce w wieżyczkę, nie odrywając wzroku od ekranu.

— Z pewnością nic mu nie będzie.

— Słyszałem co innego. Postradał zmysły.

255

— Przejściowo. Doznał ciężkiego szoku. I o tym właśnie chciałem z tobą pomówić. —

Conti oderwał się od kroniki filmowej na tyle, żeby zerknąć na Allana. — Jak ci idzie?

Fortnum zakładał, że Conti wezwał go, żeby omówić stan Toussainta. Zamiast tego reżyser chciał rozmawiać o sprawach zawodowych. Fortnum powiedział sobie, że właściwie nie powinien się dziwić: ekspansywni reżyserzy w rodzaju Contiego zawsze stawiali pracę na pierwszym miejscu.

— Mam kilka przyzwoitych ujęć reakcji na śmierć Petersa. Teraz je renderuję.

— Dobrze, świetnie. To doskonały początek.

Początek? Fortnum miał wrażenie, że to ostatnie zdjęcia:

dość niesmaczne zakończenie filmu dokumentalnego o filmie dokumentalnym — studium projektu, który poniósł tragiczną klęskę.

Obraz na ekranie ściemniał do czerni. Conti wziął pilota, nacisnął guzik i kronika zaczęła się od nowa: „Hindenburg” sunął gładko w stronę kotwiczowiska, ogromne srebrne cygare płyнуło nad zielonymi łąkami New Jersey. Nagle ze spodu wytrysnął płomień. Ciemne kłęby dymu uniosły się w niebo. Zeppelin zwolnił, zawisł w powietrzu na okropną chwilę, a potem zaczął spadać. Ogień pożerał poszycie, odsłaniając szerokie czarne żebra jedno po drugim.

Conti wskazał ekran.

— Popatrz tylko. Kadrowanie fatalne, ruchy kamery szarpane. Kompletnie brakuje

inscenizacji. A jednak to

256

bodajże najbardziej pamiętny obraz uwieczniony na celulooidzie. Czy to sprawiedliwe?

— Nie bardzo rozumiem — odparł Fortnum.

Conti machnął ręką.

— Wychodzimy ze skóry, rok po roku udoskonalamy technikę, tworzymy coraz piękniejsze i subtelniejsze ujęcia, zamartwiamy się o trójpunktowe oświetlenie, wstawki spoza narracji i kierunek spojrzenia aktora. I z jakim skutkiem? Ktoś z amatorską kamerą przypadkiem znajdzie się w odpowiednim miejscu i czasie... i przez pięć minut nakręci coś bardziej sławnego niż wszystkie nasze starannie opracowane filmy razem wzięte.

Fortnum wzruszył ramionami.

— Tak już jest.

— Niekoniecznie. — Conti manipulował pilotem.

— Dalej nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Po prostu może ten jeden raz los sprawił, że ktoś z odpowiednimi umiejętnościami i sprzętem znalazł się we właściwym miejscu.

Fortnum zmarszczył brwi.

— Mówisz o tym, co rozszarpało Josha Petersa? O stworze z majaczeń Kena?

Conti powoli skinął głową.

— Kupiłeś to? Już nie myślisz, że to sabotaż?

— Powiedzmy, że dopuszczam taką opcję. A jeśli trafia się okazja, zamierzam z niej skorzystać. Tylko głupiec marnuje szansę.

257

Fortnum zamilkł. On chyba nie mówi o... Nie, skąd. Nawet Conti nie jest takim zimnym draniem.

Film się skończył i Conti naciśnięciem pilota puścił go od początku.

— Allan, zadam ci jedno pytanie. Jak myślisz, dlaczego kronika z „Hindenburgiem” jest taka sławna?

Fortnum zastanowił się.

— To była wielka tragedia. Rzadko się coś takiego widuje.

— Dokładnie. Doskonale to wyraziłeś: rzadko się widuje coś takiego. Czy ktokolwiek zarejestrował na taśmie masakrę w dniu świętego Walentego? Nie. Pożar w fabryce

Triangle? Nie. Gdyby ktoś to nakręcił, czy film stałby się ikoną podobnie jak dzisiaj „Hindenburg”? Prawdopodobnie. — Conti odwrócił się do Fortnuma, który spostrzegł z narastającą konsternacją, że oczy reżysera błyszczą podnieceniem. — A prawdziwa tragedia polega na tym, że te nieliczne filmy o katastrofach są prymitywne i nieudolne. Dano nam szansę, żeby to zmienić. Teraz rozumiesz?

Fortnum nie wierzył własnym uszom. Najgorsze obawy co do motywów i zamiarów Contiego okazały się prawdziwe.

— Oczekujesz ode mnie, żebym sfilmował tego stwora... czymkolwiek jest... kiedy kogoś morduje? Zarejestrował to na filmie? O to ci chodzi?

Zamiast odpowiedzieć wprost, Conti znowu spojrział na ekran.

— Wiesz, jakie filmiki są najpopularniejsze na YouTu-be? Z maltretowaniem zwierząt. A film dokumentalny

258

o największej oglądalności w zeszłym roku? Kiedy rekiny atakują. Ludzie odczuwają prymitywną potrzebę patrzenia na cudzą śmierć. Nie potrafię tego wyjaśnić. Może to jakaś odruchowa forma Schadenfreude. Może to pierwotny instynkt „walcz albo uciekaj”, zakodowany w naszej amygdali. Ale otrzymaliśmy właśnie szansę, jaką filmowcy rzadko dostają: obecność w chwili prawdziwego kryzysu. Czy po to tutaj przyjechaliśmy? Nie. Czy to zaplanowaliśmy? Oczywiście, że nie. Ale mamy obowiązek wobec siebie samych, wobec sieci... wobec potomności... żeby to sfilmować.

Fortnum wstał.

— Więc chcesz, żebym nie tylko naraził się na ogromne ryzyko, ale dosłownie filmował stwora podczas zabijania naszej ekipy. Filmował to, zamiast robić wszystko dla ratowania tych ludzi.

— Kto wie? Może nie będzie więcej ataków. Może w ogóle nie ma żadnego stwora. Może burza ucichnie wcześniej i jutro stąd wyjedziemy. Ale musimy się przygotować, Allan... na wszelki wypadek.

Szok i niedowierzanie Fortnuma przerodziły się w gniew.

— Dlaczego kamerę Kena Toussainta znaleziono w szpitalu, niecałe dziesięć metrów od zwłok Petersa? Ty mu przydzieliłeś to zadanie, wtedy w holu wejściowym: sfilmowanie rozszarpanego ciała Josha.

— Szkoda, że wideo zostało zniszczone. — Conti wrócił spojrzeniem do ekranu, gdzie

jeszcze raz gigantyczny sterowiec opadał na ziemię powolnym, dziwnie formalnym

259

ruchem, spowity w dym i płomienie. — Prymitywne — mruknął. — Amatorskie. Ale nie tym razem. Wezmę ten dokument... tę autobiografię... i unieśmiertelnię na filmie rozgrywającą się tragedię. Kryzys na swój sposób równie pamiętny jak katastrofa „Hindenburga”... tylko że tym razem to będzie sztuka.

— Wystarczająco złe było eksploatowanie śmierci Petersa dla paru ujęć. Ale to... — Fortnum zeszytniał. — Nie przyłożę do tego ręki. A ty jesteś potworem, jeśli proponujesz coś tak podłego.

Conti dopiero po chwili oderwał oczy od ekranu i spojrzał na Fortnuma.

— Pracujesz dla mnie — oświadczył. — Skoro sobie nie radzisz, to nie nadajesz się na operatora. Dopilnuję, żebyś nigdzie nie znalazł pracy. Będziesz skończony w tej branży.

— Coś mi się zdaje — odparował Fortnum — że jeden z nas już jest skończony.

Obrócił się na pięcie i wymaszerował z pokoju.

33

Starszy szeregowiec Donovan Fluke człapał ponuro poprzecznym korytarzem w południowym skrzydle poziomu B, dźwigając aż trzy ciężkie brezentowe torby. Kiedy wyznaczono go do eskortowania Ashleigh Davis do jej nowej tymczasowej kwatery, na początku nie wierzył we własne szczęście. Owszem, była wredną suką ale wystrzałową — zdecydowanie najładniejszą kobietą, jaką widział od czterech miesięcy. Właściwie, jeśli nie liczyć reszty ekipy filmowej, prawie jedyną kobietą, jaką widział od czterech miesięcy. Zanim Fluke wstąpił do korpusu inżynierskiego, był po trosze kobieciarzem. Zresztą zaciągnął się głównie po to, żeby uniknąć kłopotów z rozwścieczonym mężem i wiedział, jak wrywać laski. A osobista asystentka Davis leżała w swojej tymczasowej kwaterze z poważnym wstrząśnieniem mózgu. Kolejny uśmiech losu, bo teraz miał Davis tylko dla siebie. Poprosiła, żeby ze względów bezpieczeństwa umieszczono ją w pobliżu żołnierskich kwater. Więc zaplanował sobie, że po drodze

261

włączy swój wdzięk, błysnie patentowym chłopięcym uśmiechem. A jeśli to nie podziała, postraszy ją trochę, rozdmucha krążące po bazie plotki, że groźny niedźwiedź polarny wpadł w amok. W ten czy inny sposób — romantyczny albo dramatyczny — spróbuje się dostać do jej pokoju, spędzić tam trochę czasu. Może więcej niż trochę.

Nic z tego nie wyszło.

Davis okazała się odporna na jego uwodzicielską strategię. Zachowała milczenie, puszczała mimo uszu jego zaczepki, nie reagowała na aluzje czy podchwytliwe pytania. Najpierw poszli do jej przyczepy, gdzie musiał czekać pod drzwiami — prawie piętnaście minut na zimnie — zanim spakowała parę rzeczy potrzebnych na jeden nocleg. Stał na stopniach przyczepy, z bronią boczną w ręku, myśląc o zakrwawionym, okropnie zmasakrowanym ciele Josha Petersa, które po raz pierwszy zobaczył niecałe sto metrów od tego miejsca, i to znacznie ostudziło jego zapał. Potem na domiar wszystkiego musiał sam taszczyć z powrotem do bazy, do południowego skrzydła te „parę rzeczy” — trzy pełne torby. Dotarli do skrzyżowania i Fluke upuścił torby na podłogę.

— O co chodzi? — zapytała natychmiast Davis.

— Muszę trochę odsapnąć, pszepani — odpowiedział.

Davis prychnęła pogardliwie.

— Daleko jeszcze?

— Parę minut.

Jedyny odpowiedni pokój, który zdążyli przygotować w tak krótkim terminie, kwatery oficera dyżurnego, znaj-

262

dował się na drugim końcu korytarza zajmowanego przez żołnierzy. Fluke początkowo cieszył się na ten długi spacer — więcej czasu na rozmowę. Teraz droga wlokła się niemiłosiernie.

Radio zaćwierkało, więc odczepił je od nylonowego pasa.

— Fluke.

— Fluke, tu Gonzalez. Podaj swoją pozycję.

Fluke rozejrzał się.

— Jesteśmy przed centrum nasłuchu.

— Zgłoś się, kiedy odstawisz bezpiecznie pannę Davis.

— Roger. — Wyłączył radio, zawiesił je z powrotem na pasie, dźwignął torby. — Teraz w lewo.

Poprowadził Davis przez sekcję bazy mieszczącą zaplecze socjalne dla personelu wojskowego: bibliotekę i salę gimnastyczną, gabinet lekarski i dentystyczny. Wojskowi dawno wyjechali i puste, nieużywane pomieszczenia sprawiały niemiłe wrażenie. Minęli

otwarte drzwi do biblioteki — czarne rzędy regałów pozbawionych książek majaczyły ponuro w półmroku. Fluke sądził, że już się przyzwyczył do tej ciszy. Dzisiaj jednak wydawała mu się jeszcze bardziej przytłaczająca niż zwykle, niemal namacalna. Spróbował zagwizdać, ale zabrzmiało to fałszywie i natychmiast przestał.

Idąca pół kroku za nim Davis zadrżała.

— Tak ciemno.

Więc ona też to czuła. Fluke postanowił, że spróbuje jeszcze raz.

— Tam przed nami to szpital — powiedział. — Niesa-

263

mowite, jak ciało tego gościa, Petersa, zniknęło, co? Człowiek się zastanawia, kto je zabrał... i po co?

W odpowiedzi Davis ciaśniej otuliła futrem wąskie ramiona. Fluke otworzył usta, żeby wystrzelić następną mrozącą krew w żyłach salwę, ale się rozmyślił. Jeśli za bardzo ją nastraszy, gotowa zażądać powrotu, zamiast go zaprosić do siebie... a on bynajmniej nie miał ochoty taszczyć znowu tych ciężarów aż do centrum operacyjnego.

Kiedy mijali drzwi szpitala, wciąż rozmyślał o Petersie, martwym asystencie produkcji. Rozłupana czaszka, mózg obnażony, gałka oczna dyndająca śmiesznie na nerwie wzrokowym, eksplozja krwi na wiecznej zmarzlinie... pomimo jurnych zalotów do Davis te obrazy nadal go prześladowały.

Zerknął na drzwi. Gdzie teraz było ciało Petersa, do cholery?

Za szpitalem, jedynym miejscem w tej sekcji niedawno używanym, korytarz wydawał się jeszcze ciemniejszy. Zrobiło się dziwnie chłodno, zwłaszcza w porównaniu ze zwykłą cieplarnianą atmosferę w bazie. Fluke przystanął, żeby zapiąć górny guzik munduru.

— Już niedaleko — oznajmił, siląc się na życzliwy ton. — Prosto i w dół po schodach. Przyniosę pani koce i prześcieradła, a potem spróbuję coś zrobić z tymi zepsutymi świetlówkami.

Davis odpowiedziała mrukliwą monosylabą.

Schody na końcu korytarza tonęły w kałuży bladego

264

światła. Żeby zapomnieć o obolałych ramionach, Fluke wyliczał w myślach, co musi później zrobić: sprawdzić, czy pokój jest przewietrzony i prezentuje się znośnie, przynieść pościel i żarówki z magazynu kwatermistrza, obejrzeć plan piętra, żeby...

Nagle stanął jak wryty.

Davis spojrzała na niego zaskoczona.

— Co jest?

— Coś nie tak. — Fluke wskazał przed siebie i na lewo, gdzie ciężkie metalowe drzwi wisiały uchylone na zawiasach. — Te drzwi... powinny być zawsze zamknięte na klucz.

— No to je zamknij i chodźmy — rzuciła nerwowo.

Fluke położył torby, zdjął radio z paska.

— Fluke do Gonzaleza.

Radio zatrzeszczało i rozległ się głos sierżanta:

— Tu Gonzalez.

— Drzwi do stacji transformatorów są otwarte.

— Więc je zabezpiecz. Melduj o każdej podejrzanej rzeczy.

— Tak jest. — Fluke zerknął na Davis. — Ktoś z waszych ludzi kręcił się w tej okolicy?

— Skąd mam wiedzieć? Przeszukiwali różne miejsca. Szybciej, zrób, co ci kazał, i chodźmy stąd.

Fluke podszedł do drzwi. Wisiały na zawiasach w jakiś dziwny sposób. Wyjął z kieszeni latarkę, zapalił i przesunął promieniem światła po framudze. Potem szybko znowu sięgnął po radio.

265

— Sierżancie? — powiedział do mikrofonu. — Sierżant Gonzalez?

— Mów, Fluke.

— Drzwi... wyglądają na wyłamane. Zamek jest pęknięty.

— Jesteście pewni, szeregowy?

— Tak jest. Nie tylko to... chyba zostały wykopane od środka.

— Idziemy.

— Roger, koniec.

Fluke powoli podszedł bliżej, promień jego latarki polizał linoleum na podłodze, wspiął się po zniszczonych drzwiach i zniknął w wąskim czarnym klinie pomieszczenia w głębi.

— Możemy już iść? — zapytała Davis. — Proszę.

— Chwileczkę.

Zimno, na które wcześniej zwrócił uwagę, płynęło stamtąd. Czuł, jak się przesącza przez szczelinę, zupełnie jakby pokój oddychał.

Lekkim kopniakiem poszerzył szparę w drzwiach. Uchyliły się opornie, z jękiem nadwreżonych zawiasów. Pomacał ścianę w środku, znalazł przełącznik, zapalił światło. Fluorescencyjna lampa na suficie zamigotała i oświetliła pomieszczenie nikłym blaskiem. Był to duży, metalowy, spartański sześcian, zawierający zebrane kable elektryczne przyśrubowane do metalowych osłon, które prowadziły na zewnątrz do elektrowni z transformatorami obniżającymi napięcie prądu docierającego do bazy. Pomieszczenie tętniło od elektryczności; Fluke niemal czuł łaskotanie na

266

skórze. Rozejrzył się, marszcząc brwi. Od razu znalazł źródło zimnego powietrza.

— Co, do cholery? — mruknął.

Na ścianie naprzeciwko, tuż nad podłogą, znajdował się panel dostępu. Miał około półtora metra kwadratowego powierzchni i zapewniał dojście do tuneli naprawczych i konserwacyjnych na odcinku kanału kablowego pomiędzy samym pomieszczeniem a zewnętrzną osłoną bazy. Zwykle był dokładnie zamknięty. Teraz jednak panel zwisał luźno na wygiętych bolcach. Z otworu napływało arktyczne powietrze.

— Moje uszy — jęknęła Davis. — Bola.

Fluke szybko przeszedł przez pokój i przykleknął przed wyrwanym panelem. Chwycił za krawędź i próbował go dopchnąć na miejsce, ale płyta wygięła się do tyłu i nie chciała ustąpić. Pchnął jeszcze raz, z całej siły. Bez skutku. Zrobił przerwę, żeby ogrzać palce i złapać oddech. Wtedy jego wzrok powędrował w głąb tunelu naprawczego, zaczynającego się za framugą panelu.

Czarny otwór miał jakieś trzy metry głębokości. Na drugim końcu panel zewnętrzny też został wyrwany i Fluke widział świat na zewnątrz: zarysy szopy ze sprzętem, wstążki śniegu wirujące niczym miniaturowe trąby powietrzne w podmuchach wiatru. Zorientował się, że uszy również go bola. Ale nie tak jak przedtem — bardziej czuł, niż słyszał dziwaczne, głębokie dzwonienie, któremu towarzyszyło nieprzyjemne wrażenie ucisku, jakby ucho wewnętrzne nabrzmiewało w czaszce...

267

A potem — kiedy patrzył, siedząc w kucki — coś nagle zasłoniło wirujący śnieg na drugim końcu tunelu konserwacyjnego.

Zbity z tropu zajrzał do tunelu, przypuszczając, że ktoś zamknął od zewnątrz drugi panel. Wtedy jednak ciemność się poruszyła — i uświadomił sobie, że coś, co przesłoniło mu

widok, coś wielkiego, pełnie ukradkiem w jego stronę, wypełniając sobą tunel.

Z kwikiem przerażenia upadł na podłogę. Wyciągnął broń z kabury, ale wysliznęła mu się z palców, które zrobiły się nagle grube i niezdarne. Próbował zebrać myśli, podnieść się i uciekać, ale sparaliżował go szok i niedowierzanie. Stwór się zbliżał, wypełniając tunel swoim cielskiem, i ból w głowie Fluke'a narastał nie do zniesienia. Po udach spłynęła mu fala ciepła, kiedy przestał panować nad pęcherzem.

A potem stwór znalazł się w pokoju.

Davis wrzasnęła — ostry, przeszywający dźwięk — i stwór odwrócił się do niej. Fluke tylko patrzył. Absolutnie nic z jego przeżyć czy doświadczeń, żaden koszmar senny, żaden gorączkowy majak, żadne dzieło Wszechmocnego ani Księcia Ciemności nie mogło się równać z tym, co weszło do pokoju.

Davis znowu wrzasnęła dziko, okropnie, rozdzierająco, a stwór w jednej chwili skoczył na nią. Wrzask jeszcze bardziej przybrał na sile, po czym zmienił się w rozpaczliwe, bulgoczące charkotanie. Ciepły, lepki deszcz opryskał żołnierza. Niespodziewanie Fluke poczuł, że może się

268

ruszać. Wstał chwiejnie i rzucił się do drzwi, zapomniawszy o broni. Zdawało mu się, że słyszy głosy, dochodzące jakby z bardzo daleka: ostrzegawcze okrzyki. A potem stwór go dopadł i nagle w całym jego wszechświecie nie zostało nic prócz bólu.

34

Śnieżny Kot 1643RE miał ogromne przednie szyby — zajmowały cały przód kabiny — i z fotela kierowcy roztaczał się panoramiczny widok na burzę. Chociaż grube szkło i metal osłaniały przed najgorszą furią żywiołów, Marshall aż nazbyt wyraźnie czuł, jak wielki pojazd chwieje się pod uderzeniami wichury. Drobinki lodu nieustannie bębniły o dach i boki. Wiatr wył i zawodził donośnie, jakby rozczarowany, że nie może rozerwać stali i dostać się do kierowcy.

Marshall oderwał oczy od wirującej bieli, żeby spojrzeć na zegarek. Jechał już prawie czterdzieści minut. Jak tylko zostawił za sobą najbliższe otoczenie obozu z labiryntem szczelin lawowych, rozwinął dobre tempo. Wieczna zmarzlina tworzyła dość równe podłoże i mógł utrzymywać stałą prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę; nie znał maksymalnej bezpiecznej szybkości, wołał więc nie ryzykować. Okłamał Logana co do swoich umiejętności. Nigdy w życiu nie prowadził Śnieżnego Kota, ale pojazd okazał

się miłosiernie łatwy w obsłudze, deska rozdzielcza prawie jak w ciężarówce czy traktorze z dodatkowymi przełącznikami dla pługa, wciągarki, światła błyskowego i ogrzewania skrzyni biegów. Najtrudniej było ustawić cztery niezależnie napędzane stalowe gaśnice, hydraulicznie kierowane przez przednie i tylne osie, co w połączeniu z nadmiernie przeszkloną kabiną wywoływało zawrotne wrażenie, jakby kierowca siedział o wiele za wysoko nad ziemią.

Sześć halogenowych przednich świateł Kota z trudem przenikało mrok. Marshall wbił spojrzenie w szalejącą burzę. Potem zerknął na GPS wmontowany w tablicę rozdzielczą. Wiedział, że obóz Tunitów znajduje się w pobliżu zamrożonego jeziora, bo Gonzalez o tym wspomniał. W bazie danych GPS znalazł tylko jedno takie jezioro położone pięćdziesiąt kilometrów dalej na północ, ale całkiem spore. Dlatego najbardziej martwił się o paliwo. Kot miał połowę baku. To oznaczało niecałe sto litrów, żeby dojechać do jeziora, znaleźć obóz i wrócić do bazy. A Marshall nie miał pojęcia, ile pali ta ogromna maszyna. Wycieraczki młóciły wirujący śnieg, igły lodu siekły w przednią szybę. Marshall pokręcił głową, walcząc z sennością. Żałował, że nie wziął termosu z kawą. Czy naprawdę upłynęło dopiero trzydzieści sześć godzin, odkąd odkrył zniknięcie stwora?

Znowu zaczął się zastanawiać, po co w ogóle wyruszył na tę wyprawę, która w najlepszym razie może się okazać daremna, a w najgorszym — zgubna. Gdyby coś się zepsuło

tutaj w Strefie, gdyby zabrakło mu paliwa, z pewnością nie znaleźliby go na czas.

„Tunici znają odpowiedź”. Jakiś naukowiec napisał te słowa pięćdziesiąt lat wcześniej. Uznał je za dostatecznie ważne, żeby przelać je na papier, zaszyfrować, ukryć w swojej kwaterze. A teraz, dzisiaj, ktoś został brutalnie zabity. A ktoś inny napadnięty i zmalretowany w dziwaczny sposób. Prawie czterdzieści osób znalazło się w niebezpieczeństwie. Jeśli istniała choćby najmniejsza szansa, że Tunici coś wiedzą — mają stary mit, ustną tradycję, jakiś przekaz, który mógł rzucić odrobinę światła na zagrożenie nękające bazę — warto było zaryzykować.

I miał jeszcze jeden, bardziej osobisty powód. Przez ostatnie siedem dni ani przez chwilę nie czuł się sam. Nieważne, co robił i dokąd poszedł, zawsze towarzyszyła mu czyjaś obecność, zawsze go obserwowała: dwoje żółtych oczu, wielkich jak pięści, ze źrenicami jak bezdenne czarne studnie. Te oczy prześladowały go, odkąd po raz pierwszy napotkał ich

spojrzenie spod lodu. Paleoekolog w nim chciał — musiał — zrozumieć lepiej tego stwora. Nawet jeśli Faraday miał rację, nawet jeśli stwór jakimś cudem przeżył i popełnił te okropności, Marshall pragnął rozgryźć jego tajemnicę. I w tym celu gotów był jechać znacznie dalej niż pięćdziesiąt kilometrów w srogiej śnieżycy.

Kabina zatrzęsała się gwałtownie raz i drugi — grunt stał się nierówny. Marshall zredukował szybkość. GPS wskazywał teraz jezioro prosto przed maską: rozległa plama błękitu zajmowała cały mały ekranik. A potem zo-

272

baczył je przez okno: niewyraźną linię w kipiących ciemnościach, zasypaną dryfującym śniegiem, rozpoznawalną jako zbiornik wodny tylko ze względu na równą, poziomą płaszczyznę.

Jeszcze bardziej zwolnił. Obrócił kierownicę i ruszył brzegiem jeziora, uważnie wypatrując śladów osiedla. Zużył już prawie czterdzieści litrów benzyny; to znaczyło, że na poszukiwania mógł poświęcić jeszcze najwyżej dziesięć. Zamarznięte podłoże opadało stromo w stronę jeziora, musiał więc mocno trzymać kierownicę i stale naciskać na gaz, żeby nie stracić przyczepności.

Nagle Kot skręcił ostro w bok. Widząc przed sobą ziejącą szczelinę, Marshall gwałtownie obrócił kierownicę w przeciwną stronę i nadepnął na gaz. Kabina zadygotała, kiedy metalowe gaśienice przeszorowały bokiem po śliskiej tafli lodu. Evan lekko naciskał gaz, próbował znaleźć równowagę pomiędzy przyczepnością a ruchem do przodu, walczył, żeby gaśienice nie zsunęły się bokiem do coraz szerszej rozpadliny. Wielki pojazd kołysał się w przód i w tył, wreszcie przewalił się przez krawędź lodowej tafli i opadł ciężko na płaski grunt.

Marshall wrzucił luz i pozwolił, żeby Śnieżny Kot się zatrzymał. Siedział i czekał, aż serce przestanie mu łomotać. Potem znowu dodał gazu i powoli odjechał od stromego brzegu.

Nagle zobaczył coś przez wirujący śnieg — albo zdawało mu się, że zobaczył: szare kształty w dziwnym zmierzchu późnego lata. Zatrzymał pojazd i wyteżył wzrok.

273

Znajdowały się z boku, oddalone od jeziora. Obrócił kierownicę i podjechał bliżej w ślimaczym tempie. Rozmazane kształty zestaliły się w dwa prymitywne igloo, załóżnie małe i pokierszowane lodem, otoczone kłębami wirującego śniegu.

Marshall zatrzymał pojazd, zgasił silnik, zapiął parkę pod szyję. Potem wysiadł z kabiny i

złazł po trapezowatych schodkach. Odwracając twarz od kąsającego wiatru, podszedł do pierwszego igloo. Ciemne i zimne, tunel wejściowy jak czarna jama. Pokuśtykał do drugiego, ukląkł przed wejściem. Okazało się również niezamieszkane, skóry i futra w środku zimne i sztywne.

Za nimi dostrzegł teraz jeszcze trzy igloo oraz większy śniegowy dom. Nie widział w pobliżu żadnych innych budowli. Ze zdziwieniem uzmysłowił sobie, jak nieliczna jest ostatnia społeczność Tunitów.

Trzy igloo okazały się równie puste jak dwa pierwsze. Jednak na lodowych ścianach śniegowego domu tańczył słaby, migotliwy, pomarańczowy odbłask. W środku płonął ogień.

Na chwilę wiatr przycichł, jakby chciał odsapnąć po tym całym szaleństwie. Kiedy tumany śniegu opadły, Marshall ponownie ujrzał nisko na niebie dziwną krwawoczer-woną zorzę polarną. Rzuciła upiorny szkarłatny blask na maleńką lodową wioskę.

Odetchnąwszy głęboko, podszedł do śniegowego domu, odsunął na bok skórę karibu służącą za zasłonę w drzwiach i ostrożnie wszedł do środka. W mrocznym wnętrzu pod

274 niskim sufitem kłębił się dym. Skóry i koce grubo zaścielały podłogę. Marshall strzepnął śnieg z twarzy i rozejrzał się dookoła. Kiedy oczy mu się przyzwyczaiły, spostrzegł, że w chacie znajduje się tylko jeden mieszkaniec: postać w ciężkiej parce ze skóry karibu, klęcząca przed małym ogniskiem.

Marshall jeszcze raz głęboko zaczerpnął powietrza. Potem odchrząknął.

— Przepraszam — powiedział.

Przez długą chwilę postać trwała w bezruchu. Potem odwróciła się powoli. Twarz tonęła w cieniu kaptura z futrzanym obszyciem. Postać uniosła rękę do kaptura, zsunęła go do tyłu niespiesznym ruchem. Marshall ujrzał pomarszczone oblicze, pokryte zawiłymi tatuażami. To był stary szaman, który wcześniej przyszedł do bazy ostrzec naukowców, żeby wyjechali. W jednym ręku trzymał róg renifera, ozdobiony fantastycznymi zygzakami i zawijasami, a w drugim misternie rzeźbioną kość. Przed nim na reniferowej skórze leżało kilka małych przedmiotów: wypolerowane kamyki, maleńkie futrzane fetysze, zwierzęce zęby.

— Usuguk — powiedział Marshall.

Starzec lekko skinął głową. Nie wydawał się zdziwiony wizytą.

— Gdzie są inni?

— Odeszli — odparł starzec.

Teraz Marshall przypomniał sobie ten głos: spokojny, bez akcentu.

275

— Odeszli? — powtórzył.

— Uciekli.

— Dlaczego?

— Przez was. I przez to, co obudziliście.

— Co obudziliśmy? — zapytał Marshall.

— Już wam mówiłem. Akayarga okdaniyartok. Gniew najstarszych. I kurrshua.

Nastąpiła chwila milczenia, kiedy dwaj mężczyźni przyglądali się sobie nawzajem w migotliwym blasku ognia. Poprzednim razem, kiedy się spotkali, starzec wydawał się wzburzony, przerażony. Teraz był tylko zrezygnowany.

— Dlaczego zostałeś? — zapytał w końcu Marshall.

Szaman wciąż patrzył na niego czarnymi oczami, lśniącymi w odblaskach ognia.

— Bo wiedziałem, że przyjdiesz.

35

Płacz nie był szczególnie głośny, ale nie chciał ucichnąć: ciągły, monotony dźwięk na dalszym planie, zlewający się z postukiwaniem kaloryferów i odległym szumem generatorów. Kiedy Wolff zamknął drzwi mesy oficerskiej, dźwięk ucichł. Ale pozostał w umyśle Kari Ekberg; obecność równie realna jak strach, który nękał ją nieprzerwanie.

Rozejrzała się po ludziach zgromadzonych w mesie: Wolff; Gonzalez i kapral nazwiskiem Marcelin; Conti; akademik Logan; klimatolog Sully; kilku członków ekipy filmowej. Na pozór wszyscy wydawali się spokojni. A jednak pewne niuanse — ukradkowe spojrzenia, wzdrygnięcie się na każdy niespodziewany odgłos — świadczyły o kontrolowanej panice.

Gonzalez zwrócił się do Wolffa:

— Wziął pan wszystkich pod klucz?

Wolff kiwnął głową.

— Wszyscy w swoich kwaterach i mają tam pozostać aż do odwołania. Pana szeregowy Phillips stoi na warcie.

277

Ekberg odzyskała głos.

— Oni na pewno nie żyją? — zapytała. — Oboje?

Gonzalez spojrział na nią.

— Panno Ekberg, bardziej martwi już być nie mogą.

Zadrżała.

— Widział pan to? — zapytał Conti zniżonym głosem.

— Słyszałem tylko krzyki panny Davis — odparł Gonzalez. — Ale Marcelin widział.

Wszyscy bez słowa odwrócili się do kaprala, który siedział samotnie przy stole, z M16 przewieszonym przez ramię, bezmyślnie mieszając kawę, chociaż chyba o niej zapomniał.

— No więc? — ponaglił go Conti.

Młodzieńcza, różowa twarz Marcelina miała zszokowany wyraz, jakby ktoś właśnie wypruł mu wnętrzności. Kapral otworzył usta, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku.

— Mów, synu — zachęcił go Gonzalez.

— Nie widziałem wiele — zaczął kapral. — To skręcało za róg, kiedy ja...

Znowu zamilkł. W pokoju zapadła wyczekująca cisza.

— Było wielkie — podjął na nowo Marcelin. — I miało głowę z...

— Dalej — ponaglił Wolff.

— Miało głowę z... z... nie każcie mi tego mówić! — wrzasnął nagle piskliwym głosem.

— Spokojnie, kapralu — rzucił szorstko Gonzalez.

Marcelin chwycił ustami powietrze, ręka trzymająca plastikowe mieszadełko zeszywniała. Po chwili odzyskał

278

panowanie nad sobą. Pokręcił głową na znak, że nie powie nic więcej.

Na długi czas w pokoju zapadło milczenie. Potem odezwał się Wolff:

— I co teraz zrobimy?

Gonzalez zmarszczył brwi.

— Chyba nie mamy dużego wyboru. Czekamy, aż pogoda się poprawi. Przedtem nie możemy się ewakuować... ani wezwać posiłków.

— Mamy czekać, aż nas wymorduje jednego po drugim? — obruszył się Hulce, jeden z techników filmowych.

— Nikt nikogo nie wymorduje — warknął Wolff. Odwrócił się do Gonzaleza. — Jaka jest sytuacja z bronią?

— Sporo małokalibrowej — odparł sierżant. — Tuzin M16, kilka wielkokalibrowych

karabinków automatycznych, około dwudziestu regulaminowych pistoletów, pięć tysięcy sztuk amunicji.

— Zespół naukowy przywiózł trzy mocne karabiny — odezwał się jakiś głos.

Ekberg obejrzała się i zobaczyła Gerarda Sully'ego, klimatologa. Opierał się o ścianę w głębi, obok pojemników gastronomicznych, jedną ręką nerwowo bębniąc po stalowej poręczy. Wyglądał bardzo blado.

Wolff rozejrzał się po pokoju.

— Musimy dopilnować, żeby wszyscy poruszali się tylko w uzbrojonych grupach. Gonzalez chrząknął.

— Nawet to może nie wystarczyć.

279

— Więc co jeszcze możemy zrobić? — skontrował Wolff. — Mamy się chować za zamkniętymi drzwiami?

— Możecie wykorzystać moją ciężarówkę — powiedział inny głos.

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Na plastikowym krześle, przechylonym na tylnych nogach, siedział Carradine. Ekberg nie zauważyła go wcześniej; nie wiedziała, czy był tu przez cały czas i słuchał, czy wszedł w trakcie rozmowy.

— To samo, co wcześniej proponowałem — ciągnął. — Tylko moja maszyna może stąd wywieźć ludzi w taką burzę.

Wolff westchnął z irytacją.

— Już to przerabialiśmy. To niebezpieczne.

— Och? — odparł Carradine. — A zostać tu jest bezpiecznie?

— Wszyscy się nie zmieszczą.

— Zmieszczą się do przyczepy panny Davis. — Kierowca zniżył głos. — Ona już chyba jej nie potrzebuje.

— On ma rację — oświadczył Gonzalez. — Ma pan w ekipie... ile, trzydzieści trzy, trzydzieści cztery osoby? Razem z zespołem naukowym to mniej niż czterdzieści. Wszyscy się zmieszczą w przyczepie.

— A jeśli zabłądzą? — spytał Wolff.

— Nie ma takiej opcji — odparł Carradine. — GPS, skarbie.

— A jeśli wóz się zepsuje? Albo złapią gumę?

— Zimowi kierowcy zawsze wożą zapasowe opony

i części na wymianę. A nawet jeśli nie dam rady sam naprawić... no, po to Bóg wymyślił radio CB.

— To po prostu zbyt niebezpieczne — upierał się Wolff. — Przedtem mówiłem „nie” i teraz powtarzam: nie.

— Sytuacja się zmieniła — warknął Gonzalez.

Wolff odwrócił się do niego.

— Jak to?

— Ponieważ tym razem uchylam pana decyzję.

Twarz Wolffa pociemniała.

— Pan...

— To, z czym mamy do czynienia, wykracza poza wszelkie ustalone warunki waszego pobytu. Film nie wypalił. Trzy osoby nie żyją. Nie ma powodu, żeby zwiększać ryzyko. — Odwrócił się do Carradine'a. — Ile czasu zajmie panu przygotowanie maszyny?

Kierowca wstał.

— Pół godziny, najwyżej.

Gonzalez zerknął na Marcelina.

— Odprowadzisz obecnego tu pana Carradine'a do ciężarówki. Nie ryzykujcie, wracajcie przy najmniejszej zapowiedzi kłopotów.

Marcelin kiwnął głową.

— Potem chcę, żebyście razem z Phillipsem zaczęli ewakuować ekipę filmową. Wykorzystamy tę mesę jako punkt zbiórki. Przyprawdzajcie ich po sześć osób. Ostrożnie, zgodnie z przepisami.

— Tak jest.

Marcelin zdjął z ramienia M16, skinął na Carradine'a.

Kierowca wstał, wyciągając zza pasa wielki rewolwer. Marcelin podszedł do drzwi, otworzył je, szybko zbadał wzrokiem korytarz i wysliznął się za próg. Carradine wyszedł za nim i starannie zamknął drzwi.

Gonzalez sięgnął do jednej z głębokich kieszeni swojego kombinezonu i wyjął dwa radia. Jedno rzucił Wolffowi, drugie Sully'emu.

— Możecie się ze mną kontaktować przez to. Nastawiłem częstotliwość alarmową. —

Wstał, chwycił własny M16. — Zamknijcie za mną na klucz. Wracam za pięć minut.

— Dokąd pan idzie? — zapytał Wolff.

— Do zbrojowni. Potrzebuję większej siły ognia.

— Czemu?

— Bo wybieram się na polowanie.

Kiedy drzwi zamknęły się za Gonzalezem, Wolff podszedł i przekręcił klucz. Przez chwilę stał w milczeniu przed zamkniętymi drzwiami. Potem nagle odwrócił się i przeszedł na środek pokoju.

— No więc? — rzucił w przestrzeń.

— Nie mogę wyjechać. — Znowu odezwał się Sully, klimatolog. Głos mu lekko drżał.

— Jestem kierownikiem ekspedycji. Nie mogę zostawić wszystkich naszych eksperymentów. Poza tym... brakuje Evana.

Ekberg wytrzeszczyła na niego oczy.

— Brakuje? Ależ niedawno z nim rozmawiałam, niecałe dwie godziny temu.

Sully przytaknął ponuro.

282

— Od tamtej pory zniknął. Nie ma go w laboratorium. Ani na kwaterze.

— Wróci — powiedział Logan. Wszyscy obejrżeli się na akademika.

— Przepraszam? — powiedział Sully.

— Pożyczył Śnieżnego Kota.

— Podczas zamieci?! — zawołała Ekberg. — Dokąd pojechał?

— Do wioski Tunitów, na północ.

— Po co? — chciał wiedzieć Sully. Logan popatrzył na swoich inkwizytorów.

— Po odpowiedzi. Słuchajcie, znajdziemy Faradaya i pogadajmy o tym. W waszym laboratorium.

Sully westchnął, pokręcił głową.

— Dobrze. Jak tylko Gonzalez wróci z bronią.

— A kiedy wróci, będzie miał coś do powiedzenia na temat waszych planów. — Wolff rozejrzał się. — Pozostali?

— Żartujesz? — prychnął Hulce. — Zmywam się stąd. W pokoju rozległ się stłumiony chór potakiwań. Wolff spojrzął na Contiego.

— Emilio?

Reżyser nie odpowiedział. Od chwili gdy wypytywał o stwora, milczał z nieobecnym wyrazem twarzy.

— Emilio? — powtórzył Wolff.

Conti powoli zdał sobie sprawę, że ktoś do niego mówi.

— Słucham?

— Będziesz gotowy do wyjazdu za pół godziny? Conti zamrugał, zmarszczył brwi.

283

— Nigdzie nie jadę.

— Nie słyszałeś Gonzáleza? Kazał wszystkim jechać na południe ciężarówką Carradine'a.

Reżyser lekkim, ptasim ruchem pokręcił głową.

— Muszę skończyć film.

Oczy Wolffa zwęziły się z niedowierzaniem.

— Słucham? Nie ma już żadnego filmu.

— I tu się mylisz. — Conti uśmiechnął się lekko, jakby z jakiegoś prywatnego żartu.

— Emilio, Ashleigh nie żyje. I za pół godziny cała twoja ekipa ruszy w stronę Fairbanks.

— Tak — mruknął Conti. — Teraz wszystko zależy ode mnie.

Wolff podniósł rękę w geście rozpaczy.

— Nie słyszałeś? Nie masz ekipy!

— Zrobię to sam. Starym, klasycznym sposobem. Jak Georges Melics, Edwin Porter, Alice Guy Blachę. Fortnum wyjedzie z tamtymi, wiem, że wyjedzie. — I spojrzał w stronę Ekberg.

Ekberg zrozumiała wymowę tego spojrzenia; zrozumiała, o co ją prosił. Pomimo tego, co powiedziała Marshallowi w centrum operacyjnym, pomimo zobowiązań wobec Contiego i bezwzględnego podporządkowania własnej karierze, na samą myśl poczuła zimne ukłucie strachu. Niemiej wytrzymała jego spojrzenie i powoli skinęła głową.

36

Stary szaman wskazał stos skór karibu po drugiej stronie ognia.

— Siadaj — powiedział.

Marshall, boleśnie świadomy, że czas nagli, rozumiał również, że tej rozmowy — cokolwiek miała przynieść — nie wolno przyspieszać. Usiadł.

— Skąd wiedziałeś, że przyjadę? — zapytał.

— Tak samo, jak wiedziałem, że rozgniewaliście najstarszych. Mój duch przewodnik mi powiedział.

Szaman zgarnął rozrzucone przedmioty, schował je do skórzanego woreczka, mocno ściągnął sznurek.

— Inni... dokąd poszli?

Usuguk wyciągnął rękę na północ.

— Do naszych braci nad morzem.

— Inny tunicki obóz? — zapytał Marshall.

Usuguk pokręcił głową.

— Inuicki. Jesteśmy ostatni z tego plemienia.

— Nie ma innych Tunitów?

285

— Nie.

Marshall spojrzał ponad płomieniami na starego szamana. Więc to prawda, pomyślał.

— Kiedy oni wrócą?

— Może nigdy. Nad morzem żyje się o wiele łatwiej. Trudno było ich tutaj utrzymać, odkąd ich ojcowie i matki pomarli.

Marshall siedział przez chwilę, zbierając myśli. Ledwie mógł uwierzyć, że ten smutny mały obóz to wszystko, co zostało z całego plemienia rdzennych Amerykanów. Irytowała go świadomość, że sam częściowo ponosi winę za ich ucieczkę, że odeszli, ponieważ przybył na lodowiec.

— Te znaki, które zrobiliście przed bazą — powiedział wreszcie. — Do czego służą?

— Do ochrony. Żeby kurrshua was oszczędził. — Szaman odwzajemnił spojrzenie Marshalla. — Twoja obecność tutaj oznacza, że ochrona nie zadziałała.

Marshall znowu się zawahał. Przyjechał aż tutaj, a jednak sam nie wiedział, od czego zacząć... ani o co pytać. Wziął głęboki oddech.

— Posłuchaj, Usuguku. Wiem, że już przysporzyliśmy wam trudności i niepokojów, i bardzo nad tym ubolewam. Nie chcieliśmy tego.

Tunita milczał.

— Teraz mamy kłopoty. Bardzo poważne kłopoty. I przyjechałem tu z nadzieją, że nam pomożesz.

Usuguk wciąż nie odpowiadał. Twarz miał nieruchomą, niemal obojętną.

286

— Ta góra — ciągnął Marshall. — Powiedziałeś nam, że jest zła. Znaleźliśmy tam coś, kiedy prowadziliśmy eksperymenty. Stworzenie większe od niedźwiedzia polarnego, uwięzione w lodzie. My... wycięliśmy je z lodu. Teraz zniknęło.

Wyraz twarzy szamana się zmienił. Na zniszczonym obliczu malował się teraz niemal szok.

— Nie wiemy dokładnie, co to jest. Mogę tylko powiedzieć, że zadaje rany. Zadaje śmierć.

Shok zniknął, zastąpiony przez tę samą mieszaninę strachu i żalu, którą Marshall zapamiętał z pierwszego spotkania.

— Dlaczego przyszedłeś do mnie? — zapytał Tunita.

— W bazie była ekspedycja naukowa, pięćdziesiąt lat temu. Zdarzyła się tragedia. Większość naukowców zginęła. Ale odzyskaliśmy jeden z ich dzienników. Zawierał następujące słowa: „Tunici znają odpowiedź”.

Usuguk siedział nieruchomo, wpatrzony w ogień. Marshall czekał, niepewny, czy powinien mówić, czy zachować milczenie. Po minucie szaman wyciągnął rękę, powoli przegarnął rytualne przedmioty i chwycił kościaną rączkę czegoś, co wyglądało jak bębenek: wąska obręcz o średnicy około trzydziestu centymetrów, ciasno obciągnięta skórą. Powoli zaczął uderzać nią o wnętrze drugiej dłoni, podrzucając instrument przy każdym uderzeniu, w przód i w tył, w przód i w tył. Wybijanemu rytmowi towarzyszył śpiew, początkowo cichy, potem głośniejszy, wypełniający śniegowy dom niczym dym z ogniska. Wreszcie po kilku

287

minutach pieśń ucichła. Na twarz szamana wrócił spokój. Odłożywszy bębenek, Usuguk rozwiązał skórzany woreczek, zanurzył w nim rękę i wyjął dwie kulki miękkiej, tłustej substancji, jedną niebieską, drugą czerwoną. Ostrożnie wrzucił je do ognia, jedną po drugiej. Dwukolorowy dym wzbił się w górę, po brzegach zlewając się w fiolet.

— Tashayat kompok — mruknął szaman, wpatrując się w dym. — Jak sobie życzysz. Marshall nie przypuszczał, żeby szaman mówił do niego. Stłumił odruch, żeby spojrzeć na zegarek.

— Czy wiesz, co znaczą słowa tego naukowca? — zapytał. — Że Tunici znają odpowiedź?

Usuguk nie odpowiedział. Dalej wpatrywał się w ogień.

— Wiem, że widziałeś trochę świata — ciągnął Marshall. — Twoja znajomość angielskiego o tym świadczy. Jeśli możesz pomóc, jeśli coś o tym wiesz, proszę, powiedz mi.

— To nie moje miejsce. Sami ściągnęliście na siebie tę ciemność. Zrobiłem już, co mogłem. Odbylem długą podróż... słońce, księżyc i słońce... żeby was ostrzec. Nie słuchaliście.

— Jeśli to prawda, przepraszam. Ale uważam, że śmierć to zbyt wysoka cena za naszą ignorancję.

Usuguk zamknął oczy.

— Krąg, który rozpoczęliście, sami musicie zamknąć. Nawet Krąg Śmierci może być piękny.

— W śmierci Josha Petersa nie było niczego pięknego. Jeśli coś wiesz, nawet jeśli wydaje się mało ważne czy

288

nieistotne... powinieneś nam pomóc jako innym istotom ludzkim.

— Ty jesteś ze świata — powiedział powoli Usuguk. — Ja jestem z ducha. Porzuciłem takie życie dawno temu. Nie mogę wrócić.

Marshall siedział i zastanawiał się, co jeszcze zostało do powiedzenia. W końcu odchrząknął.

— Opowiem ci coś. Ja też kiedyś zostawiłem za sobą życie. Życie mojego najlepszego przyjaciela.

Usuguk powoli otworzył oczy.

— To było dwanaście lat temu. Byłem komandosem, stacjonowaliśmy w Somalii. Przez trzy dni moja jednostka znajdowała się pod ostrzałem rebeliantów. Walczyliśmy o każdy dom, każdy pokój. Mój przyjaciel zakładał wysunięty posterunek. Dostaliśmy przekrecone rozkazy; nie czekał na wyjaśnienie szczegółów. Zobaczyłem, jak idzie przez plac. Było ciemno. Myślałem, że to snajper wroga. Strzeliłem. — Marshall wzruszył ramionami. — Potem przysiągłem, że nigdy więcej nie wezmę broni do ręki.

Usuguk powoli kiwnął głową. W śniegowym domu znowu zapadła cisza, tylko ogień potrzaskiwał i wiatr wył żałośnie za ścianą.

— To nie było zabójstwo — powiedział szaman. — To była pomyłka.

— Moja jednostka nigdy nie straciła żołnierza od bratobójczego ognia. Kazano mi

skłamać, żeby to zatuszować. Kiedy odmówiłem, oficer dowodzący załatwił mi karne
289

zwolnienie. Musiałem... zawiadomić żonę przyjaciela o jego śmierci.

Usuguk chrząknął cicho. Sięgnął do woreczka z lekami i wydobył kilka małych przedmiotów. Wyglądził przed sobą skórę, rzucił na nią przedmioty i uważnie patrzył, jak upadną.

— Mówiłeś, że przysiągłeś nigdy więcej nie brać broni do ręki. Takiej przysięgi nie wolno lekko traktować. A teraz? Co zrobisz teraz?

Marshall odetchnął głęboko.

— Jeśli tam coś jest... coś, co chce nas pozabijać... zrobię wszystko, żeby zabić to pierwsze.

Usuguk spojrział w ogień. Potem zwrócił pobrużdżoną, nieprzeniknioną twarz w stronę Marshalla.

— Pójdę z tobą — oświadczył. — Ale teraz odbieram życie tylko dla podtrzymania własnego życia. Moje dni polowań minęły.

Marshall kiwnął głową.

— Więc zapoluję za nas obu.

37

Penny Barbour chciała zabrać wszystkie ważne dla ekspedycji informacje: obraz sieci; historię dostępów i bazę danych próbek; elektroniczne dzienniki laboratoryjne kolegów naukowców. W końcu nie zabrała niczego. Dwaj żołnierze, Marcelin i Phillips — nerwowie pomimo swoich M16 — nie dali jej czasu. Barbour, Chenowi i czwórce innych przypisanych do ich grupy kazano szybko się przebrać w najcieplejsze rzeczy i wziąć ze sobą jakiś dowód tożsamości. Zebrano ich w mesie oficerskiej, odfajkowano nazwiska na głównej liście mieszkańców bazy, po czym odprowadzono ich do przedsionka. Phillips szedł na szpic, Marcelin zamykał tyły. Szybko i w kompletnym milczeniu szli przez korytarze, zatrzymując się przed każdym skrzyżowaniem, żeby Phillips mógł przeprowadzić rekonesans. Dotarli do centralnej klatki schodowej, po cichu weszli na górę i przez hol wejściowy — upiorny w słabym nocnym oświetleniu — przeszli do szatni. Pomieszczenie było

291

równie zatłoczone jak reszta bazy pusta: kiedy otwarli drzwi, zwróciło się ku nim morze napiętych twarzy.

Gonzalez stał na czele grupy. Miał wózek ręczny pełen broni i amunicji — wystarczającej na małą armię — i metodycznie sprawdzał jedną sztukę po drugiej. Kiwnął głową żołnierzom, potem odciągnął zamek pistoletu, który trzymał w ręku, wsunął go do kabury.

— To są ostatni? — zapytał.

— Tak jest — Odpowiedział Marcelin.

Podał listę nazwisk sierżantowi. Ten przejrzał ją, chrząknął z aprobatą i odłożył kartkę.

Gonzalez spojrział na zegarek.

— Carradine będzie gotowy do załadunku za pięć minut. — Odwrócił się do grupy. —

Dobra, słuchajcie wszyscy. Nałóżcie teraz ciepłe ubrania. Zapewniamy dodatkowe rękawice, szaliki i kominiarki... znajdziecie je w tym pudle. Kiedy dam sygnał, wychodzimy na zewnątrz. Idziecie za mną prosto do przyczepy. Przez cały czas macie zachować ciszę.

Jakieś pytania?

Nikt się nie odezwał.

— Więc do roboty.

Rozległ się pisk metalu trącego o metal, kiedy niemal jednocześnie otwarto drzwiczki trzech szafek. Otworzywszy swoją, Barbour narzuciła parkę, owinęła szyję szalikiem, potem chwyciła kominiarkę z pudła i naciągnęła ją na uszy. Do jednej kieszeni włożyła zapasowy szalik, do drugiej rękawiczki.

— Mam pytanie — odezwał się szorstki głos.

292

Mówił brygadzysta robotników, Creel. On jeden nie nałożył parki, tylko stał pod ścianą, ze skrzyżowanymi krzepkimi ramionami.

Gonzalez spojrział na niego, kiwnął głową.

— Co takiego planujecie po odjeździe ciężarówki?

— Planujemy skończyć z tym zabijaniem.

— To znaczy chcecie na niego zapolować.

— Czymkolwiek jest ten stwór, miał już swoje polowanie. Teraz nasza kolej.

— Tylko was trzech — stwierdził Creel.

Gonzalez popatrzył na skrzynię z bronią i uśmiechnął się bezlitośnie.

— A co? Pan uważa, że za mało?

— Biorąc pod uwagę stan waszego wywiadu, chyba im liczniejszy oddział, tym lepiej.

Teraz Gonzalez uważniej przyjrzał się rozmówcy.

- Służył pan w armii? Creel wypiął pierś.
- Trzecia Dywizja Pancerna, Pustynna burza. Gonzalez pogładził się po podbródku.
- Pan nie należy do tej grupki, prawda? Pan jest miejscowym brygadziwą.

Mężczyzna przytaknął.

- George Creel. Z Fairbanks.
- Polował pan kiedyś? Brygadziwa uśmiechnął się krzywo.
- Tylko na ludzi w mundurach.
- Wystarczy. Chce pan się przyłączyć, panie Creel?

293

Uśmiech Creela się poszerzył.

- I pozwolicie mi to zrobić za darmo? Pan żartuje.
- Doskonale.

Barbour usłyszała własny głos, niemal zanim sobie uświadomiła, że coś mówi.

- Uważam, że to błąd.

Gonzalez odwrócił się do niej.

- Jaki konkretnie?
- Zamierzacie na to polować, nie mając prawie żadnych informacji. Sully i Faraday są w laboratorium, analizują jego krew, próbują się dowiedzieć jak najwięcej. Im więcej będziecie wiedzieć, tym lepiej będziecie przygotowani do konfrontacji z tym czymś.

Oczy Gonzaleza się zwięzły.

- Czego oni mogą się dowiedzieć, co by nam pomogło?
- Mogą odkryć słabości. Znaleźć wrażliwe punkty. Wykonać badania.
- Niech sobie wykonują tyle badań, ile chcą... na jego ścierwie. — Gonzalez rozejrzał się po szatni. — No dobra, ludzie. Za mną.

Przeszli do przedsiönka, gdzie Gonzalez ustawił ich trójkami. Potem otwarto drzwi zewnętrzne i nierówna procesja wymaszerowała na śnieg. Ludzie kulili się i przywierali do siebie, brnąc przez zaspy, które sięgały im do kostek. Gonzalez prowadził z M16 w pogotowiu, natomiast kapral Marcelin zamykał tyły, ciągnąc zaimprovizowane sanie wyładowane skrzynkami z wodą i żelaznymi racjami.

Barbour usłyszała osiemnastokołowiec, zanim go zoba-

294

czyła: warkot diesla na jałowym biegu, przefiltrowany przez śnieżycę. Chwiejnie brnęła

dalej pod wiatr, z opuszczoną głową, aż wpadła ciężko na kogoś z przodu. Podniosła wzrok i zorientowała się, że procesja stanęła. Przed nimi wznosiła się ciężarówka, obwieszona małymi żółtymi światełkami niczym ogromna choinka, przebijająca reflektorami roziskrzony śnieg. Carradine przymocował już przyczepę Davis i stał w otwartych drzwiach. Pospiesznie wyrzucał z przyczepy różne przedmioty: pudła na kapelusze, wieszaki z kosztownymi sukniami od znanych projektantów, toaletkę. Na oczach Barbour z otwartych drzwi wyfrunęła, koziołkując, skórzana walizeczka. Uderzyła o ziemię, wieko odskoczyło i ze środka wysypała się fontanna kosmetyków. Cieniutki negliż porwany wiatrem wzbił się wysoko, trzepocząc i furkocząc jak jedwabny latawiec. Na chwilę zaczepił się o antenę przyczepy, zanim odfrunął i zniknął w ciemnym niebie.

Carradine z satysfakcją zatarł ręce.

— Tak lepiej! — zawołał, przekrzykując hałas silnika. — Okay. Dawajcie ich tu.

Gonzalez po raz ostatni przeliczył obecnych.

— Wchodźcie do środka — zwrócił się do pierwszego rzędu ludzi. — Znajdźcie sobie wygodne miejsca.

— Nie skupiajcie się blisko siebie — dodał Carradine. — Rozłóżcie obciążenie możliwie równomiernie. — Zeskoczył na śnieg. — Zostawiłem w środku zapasowe radio CB na baterie, żebyście mieli łączność z kabiną. Ktoś musi je obsługiwać.

295

Czyjaś ręka uniosła się nieśmiało.

— Ja się tym zajmę — zgłosił się Fortnum.

Barbour patrzyła, jak ładowano do przyczepy dwójkę rannych: Toussainta, który zataczał się i mamrotał cicho do siebie, wyraźnie pod działaniem silnych środków uspokajających, i Brianę z zabandażowaną głową, milczącą i wystraszoną. Kolejka posuwała się powoli i Barbour czuła już ciepło promieniujące z otwartych drzwi. Widocznie Carradine podkręcił ogrzewanie na maksa, żeby nagrzać przyczepę na zapas.

— Potrzebuję kogoś z przodu — powiedział. — Żeby przekazywał mi poprawki kursu, jeśli zrobi się gorąco.

— Ja to zrobię — zaofiarowała się Barbour.

Carradine spojrział na nią.

— Umie pani zaprogramować jednostkę GPS?

— Jestem informatykiem.

— Mnie to wystarczy. Sprawdzę plandekę na spodzie i parownik alkoholowy, i możemy jechać.

Barbour wyszła z kolejki i stanęła w trochę bardziej osłoniętym miejscu obok kabiny. Kiedy ostatni z grupy wdrapali się do przyczepy, Marcelin podał im skrzynki z wodą i żelaznymi racjami. Carradine po raz ostatni sprawdził pojazd. Potem wszedł do przyczepy, przeprowadził szybką inspekcję wnętrza, pokazał Fortnumowi radio CB i zamknął drzwi. Przeszedł do tyłu i odłączył kabel elektryczny. Natychmiast światła w przyczepie zgasły, z wyjątkiem świateł pozycyjnych z tyłu.

— Gotowy? — zapytał Gonzalez.

296

Kierowca dał mu sygnał podniesionym kciukiem.

— Więc powodzenia i z Bogiem!

Carradine pomógł Barbour wejść do kabiny, potem obiegił ciężarówkę od frontu i wgramolił się na siedzenie kierowcy. Szybko sprawdził sprzęt i wskaźniki według listy zawieszanej na ścianie za jego plecami, zapiął pas, po czym odczepił mikrofon CB od deski rozdzielczej.

— Słyszycie mnie tam? — zapytał.

— Słyszemy — padła odpowiedź.

— Dziesiąta cztery. — Odłożył radio, obejrzał się na Barbour. — Gotowa?

Kiwnęła głową.

— Więc ruszamy.

Zwolnił hamulec pneumatyczny, wrzucił bieg, popuścił sprzęgło. Ciężarówka zadygotała i powoli potoczyła się do przodu.

Barbour wyjrzała przez okno, w zacinający śnieg. Ostatnie, co zobaczyła w bazie Fear, odjeżdżając w ciemną pustkę, to trzech żołnierze — Gonzalez, Marcelin i Phillips — stojący obok pustych sań, z bronią w pogotowiu, odprowadzający wzrokiem ciężarówkę.

38

Przez ostatnią godzinę mesa oficerska stanowiła ośrodek gorączkowej krzątaniny. Zbierano grupy jedna za drugą, sprawdzano ich przygotowanie, po czym żołnierze eskortowali je do przedsiönka. W którymś momencie Gonzalez wywołał przez radio Contiego i po raz ostatni próbował przemówić mu do rozsądku, nakłonić, żeby wyjechał z pozostałymi. Conti, zajęty oglądaniem surowych zdjęć z cyfrowej kamery wideo, którą zostawił Fortnum, prawie nie

słuchał. W końcu Gonzalez mruknął coś, że nie warto tracić czasu na wpychanie Contiego do ciężarówki, i ostrzegł go, żeby nie ruszał się z miejsca.

— Chce pan coś filmować? Niech pan sfilmuje mesę, kiedy go zabijemy.

Marcelin i Phillips poszli odprowadzić do przedsionka ostatnią sześciuosobową grupę.

Zostali w mesie we troje.

298

Kari Ekberg zerknęła na dwóch mężczyzn. Conti, skończywszy oglądanie surowych zdjęć, teraz gorączkowo gryz-molił jakieś notatki na podkładce, z którą chyba nigdy się nie rozstawał. Wolff bawił się dwoma ciężkimi pistoletami wyciągniętymi z wojskowego składu. Sposób, w jaki wpychał kciukiem naboje do zapasowych magazynków, sugerował obeznanie z tego rodzaju bronią.

Ekberg bynajmniej to nie pocieszyło. Coraz bardziej żałowała swojej decyzji. Lojalność wobec projektu to jedno, ambicja to drugie; ale teraz utknęła tu razem z jakąś maszyną do zabijania, co nie wydawało się najlepszym sposobem na zrobienie kariery.

Próbowała odegnąć od siebie wątpliwości. Przecież dwóch naukowców postanowiło tu zostać ze swoimi danymi i próbkami. Logan też do nich dołączył. I Marshall... Marshall wyruszył gdzieś pomimo burzy. On także wróci. Poza tym nie wolno zapominać o wojskowym kontyngencie — wyszkolonym do walki, mogącym się poszczycić imponującym arsenałem i gotowym zapolować na stwora zaraz po odjeździe ciężarówki. Przekonywała samą siebie, że większe szanse ma tutaj, w ciepłym budynku, niż w osiemnastokołowcu na lodzie.

Conti odłożył długopis, przejrzał sporządzone notatki, podniósł wzrok na zegar ścienny.

— Ciężarówka na pewno odjechała — powiedział. — Już czas.

Wolff odłożył pistolety.

— Czas na co?

299

— Oczywiście na sfilmowanie polowania. Zacznie się lada chwila. Nie zamierzam ryzykować, że coś stracę.

Wolff zmarszczył brwi.

— Emilio, chyba nie mówisz poważnie.

Conti podniósł kamerę wideo, sprawdził ustawienia.

— Chciałem sfilmować odjazd ciężarówki, ale nie mogłem ryzykować... Gonzalez mógł

mnie siłą wsadzić do środka. Ale to zawsze możemy później zainscenizować. — Odłożył kamerę. — Polowania jednak nie można zainscenizować. To chwila, na którą czekaliśmy, do której wszystko zmierzało.

— Ależ to szaleństwo — wyrwało się Ekberg, zanim zdążyła się ugryźć w język. Reżyser odwrócił się do niej.

— O co ci chodzi? Zachowam odpowiednią odległość od żołnierzy. Pójdę za nimi po cichu, na słuch... nawet się nie zorientują że ich śledzę, dopóki akcja się nie zacznie, a wtedy już nie każą mi wracać.

— Ale to niebezpieczne...

— Myślisz, że tutaj jestem bezpieczniejszy? Wolę być bliżej karabinów maszynowych.

— Ale Kari ma rację — wtrącił Wolff. — Żołnierze dobrowolnie wystawiają się na niebezpieczeństwo. To znaczy, że ty również się narażasz.

— Więc chodź ze mną. — Conti wskazał pistolety. — Zabierz je. Razem lepiej sobie poradzimy.

Wolff nie odpowiedział.

— Posłuchajcie — zaczął Conti. — Przyjechaliśmy tu,

300

żeby sfilmować to zwierzę. Nie rozumiecie, jaką szansę dostaliśmy? To nowy temat i znacznie lepszy, niż się spodziewaliśmy. Naprawdę myślicie, że zostanę w tym pokoju i będę siedział beczynn timer, podczas gdy scena życia... może scena wszech czasów... rozgrywa się o rzut kamieniem stąd?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, wstał i zaczął krążyć po pokoju.

— Oczywiście istnieje pewne ryzyko. Dlatego to będzie najbardziej fascynujący film dokumentalny w historii. Przeżywamy prawdziwe wydarzenia; zewsząd otacza nas surowy materiał. Ten dokument to my troje: reżyser, producent terenowy, przedstawiciel sieci. Nikt jeszcze nie stworzył takiego eksperymentu. Nie rozumiecie? Jesteśmy świadkami powstania całkowicie nowego gatunku filmu!

Twarz reżysera się zarumieniła, oczy zabłyśły. Głos drżał od niemal mesjanistycznego zapалу. Pomimo strachu Ekberg poczuła dreszcz podniecenia. Wolff słuchał w milczeniu, wodząc oczami za spacerującym reżyserem.

— I jest coś jeszcze — ciągnął Conti. — Ashleigh nie żyje. Oddała życie za ten projekt. Powinniśmy to zrobić dla niej. Teraz ja sam poprowadzę narrację.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem Wolff zapytał:

— Naprawdę myślisz, że ci się uda?

— Zaczynałem jako operator, prawda? Nakręcę takie ujęcia, że Fortnum ze wstydem odda kamerę. — Conti

301

odwrócił się do Ekberg. — Ja filmuję, ale sekwencja będzie gładsza, jeśli ty zajmiesz się dźwiękiem. Ekberg odetchnęła głęboko.

— Podłączę przenośny mikser. Conti kiwnął głową.

— Przygotuję resztę. Kari, ty weź radio. Ruszamy za pięć minut.

39

Marshall manewrował Śnieżnym Kotem przez lód i śnieg najszybciej, jak się odważył. Śnieżyca trochę zelżała, ale wiatr dał jeszcze mocniej, ryczał pny drzwiach i oknach wielkiego pojazdu. Zbliżał się przedświt, ale czas wydawał się dziwnie bez znaczenia w tej krainie monochromatycznej szarości. Chwilami Marshall czuł się jak pod wodą, jakby na skutek furii burzy ziemia i niebo stopiły się w dziwny nowy żywioł, jakąś chemiczną zawiesinę, przez którą przebijał się Kot.

Zerknął w lusterko wsteczne. Usuguk siedział ze skrzyżowanymi nogami z tyłu kabiny, z woreczkiem leków na kolanach. Zostawił w igloo swój poobijany karabinek i był nieuzbrojony. Zsunięty kaptur odsłaniał pobrużdżoną twarz, obszerna parka jakby pomniejszała wychudzone ciało starca. Marshall kilkakrotnie próbował go wciągnąć w rozmowę, ale Tunita prawie się nie odzywał podczas jazdy na południe, tylko kołysał się lekko — ruchem niemającym nic wspólnego z podrzutami Śnieżnego Kota — i chwilami cicho podśpiewywał.

303

Marshall spróbował jeszcze raz.

— W wiosce powiedziałeś mi, że twoje dni polowań minęły. Byłeś myśliwym?

Usuguk wyprostował się.

— Byłem. Byłem wielkim łowcą. Ale wiele lat temu, jeszcze jako mały człowiek.

Mały człowiek?

— Czegoś tu nie rozumiem. Dlaczego mieszkacie w głębi lądu, tak daleko od morza?

Nie można niczego uprawiać w tym klimacie. Nie ma nic do jedzenia, chyba że trafi się niedźwiedź polarny. Sam mówiłeś, że na wybrzeżu żyje się znacznie łatwiej.

Usuguk znowu odpowiedział dopiero po chwili.

— Nie interesuje mnie łatwiejsze życie.

— Czy to znaczy, że jeśli inni nie wrócą, zamieszkasz tam samotnie na pustkowiu?

Długie milczenie.

— To mój roktalyik.

Marshall znowu spojrział w lusterko wsteczne. Ten starzec coś wiedział — z pewnością — ale czy to się przyda? Czy też okaże się splotem mitów i rytuałów, interesującym, lecz kompletnie nieprzydatnym? Miał nadzieję, że nie.

Jechali dalej na południe w milczeniu. Marshall jednym okiem zerkał na GPS, a drugim na wirujący śnieg. Zbliżali się już do Mount Fear, zwolnił więc i wyteżył wzrok, wypatrując tuneli lawowych i pęknięć magmy, które mogły ukrywać się zdradziecko pod warstwą śniegu. Po dziesięciu minutach z lewej strony w ciemności zamrugał punkcik

304

światła, potem drugi, potem kilka. Marshall skorygował kurs i po chwili pojawiło się ogrodzenie, szkieletowe w świetle reflektorów. Zamiast stanąć na parkingu, przejechał przez bramę i pomiędzy budynkami aż do głównego wejścia. Ku swojemu wielkiemu zdumieniu zobaczył, że zarówno ciężarówka Carradine'a, jak i przyczepa panny Davis zniknęły. Zostało po nich tylko duże puste miejsce tuż za ogrodzeniem; wiatr zasypał ślady stóp i odciski opon.

Marshall zaparkował jak najbliżej podwójnych drzwi, potem zgasił silnik i skinął głową do Usuguka. Tunita podniósł się i razem wysiedli z kabiny w lodową zawieruchę. Marshall otworzył drzwi i wszedł do bazy. Po chwili Usuguk ruszył za nim.

Szatnia wyglądała jak strefa wojenna: tuzin otwartych szafek, zimowe ubrania i racje żywnościowe rozrzucone na podłodze. W kącie stała duża gablota z bronią i amunicją. Marshall podszedł do niej i pokonując wewnętrzny opór, wziął M16 oraz kilka magazynków po trzydzieści naboji. Poupychał magazynki po kieszeniach parki, a półautomat przewiesił przez ramię.

Główny hol wejściowy był ciemny i pusty. Marshall przystanął na chwilę i wyteżył słuch. W bazie panowała niemal nadnaturalna cisza: żadnego echa odległych kroków, żadnego stłumionego pomruku rozmów. Ruszył przodem do głównej klatki schodowej, w stronę kwater mieszkalnych na poziomie B. Usuguk szedł za nim w pewnej odległości, nie patrząc ani na lewo, ani na prawo. Wydawał się nie interesować otoczeniem. Więcej, wydawał się

świadomie

305

odwracać wzrok. Jego twarz przybrała nieobecny, niemal bolesny wyraz, jakby toczył jakąś wewnętrzną walkę.

Poziom B również sprawiał wrażenie opustoszałego. Kiedy mijali pomieszczenia, które w poprzednich dniach tętniły życiem — centrum operacyjne, biura i kwatery mieszkalne — zdziwienie Marshalla narastało. Co się stało? Gdzie się wszyscy podziali? Czy ukryli się głęboko w sercu bazy, w jakimś bezpiecznym schronieniu — albo ostatejniej reducie?

Co do jednego miejsca miał pewność, że kogoś tam spotka: laboratorium nauk przyrodniczych. I rzeczywiście kiedy się zbliżał, usłyszał w środku głosy. Otworzył drzwi i zobaczył nie tylko Faradaya, lecz także Sully'ego i Lo-gana. Wszyscy trzej podskoczyli, kiedy wszedł. Logan wstał szybko, patrząc z zaciekawieniem na Usuguka. Sully, który siedział przy dostawionym stole, tylko kiwnął głową, wybijając palcami nerwowy rytm na blacie. Obok niego leżał jeden z karabinów o dużym zasięgu, przeznaczony do obrony przed atakami niedźwiedzi polarnych. Faraday przeniósł wzrok z Marshalla na Usuguka i z powrotem.

— Zrobiłeś to — stwierdził Logan. — Dobra robota.

— Gdzie są wszyscy? — zapytał Marshall.

— Wyjechali — odparł Logan. — Przyczepą.

— Stwór dopadł Ashleigh Davis i jednego z żołnierzy — oznajmił Sully. — Zamordował oboje.

Zimny dreszcz przeszedł Marshalla.

— Mój Boże. To już troje zabitych.

306

— Gonzalez i jego chłopcy teraz na niego polują — dodał Sully.

Logan machnął ręką w stronę Sully'ego i Faradaya.

— Powiedziałem im o dzienniku. Dlaczego pojechałeś do wioski.

— Co z dziennikiem? — zapytał Marshall.

— Rozszyfrowałem jeszcze kilka fragmentów. Nic pożytecznego.

Marshall odwrócił się do szamana.

— Wiemy, że pięćdziesiąt lat temu przebywał tu zespół naukowców. Osiem osób.

Siedem zmarło nagłą i chyba gwałtowną śmiercią. Mówiłem ci, co jeden z nich napisał:

„Tunici znają odpowiedź”. Na co, jeszcze nie wiemy. Pomożesz nam?

Kiedy mówił, w Usuguku zaszła zmiana. Bolesny wyraz stopniowo odpłynął z jego twarzy, zastąpiony czymś przypominającym rezygnację. Przez kilka chwil starzec milczał. Potem powoli skinął głową.

— Pomożesz? — podchwycił gorliwie Logan. — Wiesz, co się wtedy stało?

— Tak. — Usuguk ponownie kiwnął głową. — To ja wtedy uciekłem.

40

Kiedy Gonzalez zaciągnął się na służbę do bazy Fear w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku, jeszcze jako nieopierzony szeregowiec, kilka razy brał udział w ćwiczeniach z infiltracji. Powiedziano im — było ich wtedy sześciu — że rosyjska jednostka sabotażowa przeniknęła do bazy, i wyznaczono zadanie powstrzymania wroga. Oczywiście traktowano to wyłącznie jako grę wojenną, ponieważ już wtedy baza była zamknięta prawie od dwudziestu lat. Uważano to jednak za dobry trening, zwłaszcza dla żołnierzy przeniesionych z korpusu inżynieryjnego do regularnej armii. I to zostawało w człowieku: Gonzalez wciąż żywo pamiętał szeptane rozkazy, broń w pogotowiu, drzwi otwierane kopniakami.

Teraz czuł się prawie tak samo.

Po odjeździe ciężarówki z przyczepą drużyna przygotowała broń i — po krótkiej odprawie oraz kilku słowach ostrzeżenia ze strony Gonzalez — wkroczyła do południowego skrzydła. Posuwali się korytarzami w niemal

308

całkowitej ciszy, dowódca wydawał polecenia gestem lub pojedynczym słowem. Minęli szpital i zbliżali się do miejsca, gdzie stwór zaatakował Fluke'a i Davis. Po raz drugi w ciągu godziny Gonzalez przemierzał tę trasę. Ostatnim razem spóźnił się o sekundy. Fluke nie żył, dosłownie rozdarty na strzępy, Davis zaś jeszcze dogorywała. Nie był to przyjemny widok. Teraz oba ciała leżały w sali zabiegowej, zawinięte w plastikowe płachty, zamiast ciała Petersa.

— Okay — mruknął. — Zajmiemy pozycje przed trafo. Phillips, zrób szybkie rozpoznanie. Phillips, który szedł na szpicy, dał sygnał podniesionym kciukiem. Gonzalez obejrzał się na Marcelina, który kiwnął głową na znak, że zrozumiał.

Prywatnie Gonzalez czuł ulgę, że Marcelin jakoś się trzyma. Tylko on przez chwilę widział stwora i od tego mało nie postradał zmysłów. Widocznie albo mu się polepszyło, albo

udawał twardziela. Przydział na takim zadupiu zwykle nie przyciągał wojskowej śmietanki, niemniej Gonzalez był całkiem zadowolony ze swojej obecnej ekipy. To prawda, byli dekownikami, inżynierami bez doświadczenia bojowego. Ale żaden nie narzekał i nie zgrywał primadon-ny. Rozumieli, że w bazie Fear każdy kolejny dzień wygląda tak samo. To znaczy do tej pory.

Gonzalez spojrzął ponad ramieniem Marcelina na Creela. Krzepki brygadzysta szczerzył się jak idiota, z dwoma pistoletami zatknętymi za pas, wymachując wyposażonym

309

w granatnik karabinkiem M4 niczym jakiś cholerny Rambo. Creel stanowił niewiadomą: Gonzalez trochę sceptycznie przyjął przechwałki o Trzeciej Pancерnej, ale przynajmniej facet potrafił się obchodzić z bronią. I chociaż trzy karabiny maszynowe to sporo, sierżant Gonzalez był konserwatystą. W razie czego zawsze się przyda dodatkowy palec na spuście. Zastanawiał się, czy nie zgłosić tego wyżej i nie poczekać na rozkazy. Ale zanim odpowiedź przewędruje przez kolejne stopnie hierarchii dowodzenia, upłyną godziny, jeśli nie więcej, a Gonzalez nie był w nastroju do czekania. Poza tym nie palił się specjalnie do wyjaśniania, na co właściwie polują. Podczas jego służby zginęły już trzy osoby, a władze nadały mu szerokie uprawnienia na tym odległym posterunku. Niech ścierwo nafaszerowane kulami mówi samo za siebie.

Stacja transformatorowa znajdowała się tuż przed nimi. W słabym świetle Gonzalez widział szeroko otwarte drzwi wiszące pod dziwacznym kątem na wykrzywionych zawiasach.

— Pamiętaj — szepnął do Phillipsa. — Cicho i powoli.

— Tak jest.

Szeregowy zdjął z ramienia M16. Z bronią w pogotowiu przysunął się do framugi, zniknął w otworze. Po dziesięciu sekundach dał sygnał: czysto.

Gonzalez gestem skierował pozostałych do środka i wszedł za nimi. Pokój wyglądał tak, jak go zostawili: wszędzie rozbryzgi krwi pokrywające fantastycznym spi-

310

ralno-łukowym deseniem podłogę i podstawy transformatorów. Udało im się zamknąć panel dostępu do tunelu naprawczego, ale w pokoju wciąż panował nieprzyjemny chłód.

Gonzalez spojrzął na Marcelina. Kaprał odwracał oczy od krwawych plam. Lekko pozieleniał na twarzy.

— Kapralu? — Głos Gonzalez'a przebił się przez szum transformatorów.

Marcelin szybko się obejrzał.

— Słucham?

— W porządku?

— Tak jest.

Gonzalez kiwnął głową i znowu przeniósł spojrzenie na rozlewisko krwi. Niezliczone krwawe ślady stóp wyznaczały trasy rozpaczki, stanowiły świadectwo gorączkowych zmagania, które miały tu miejsce jeszcze niedawno. Niektóre prowadziły na korytarz i z powrotem do szpitala. Ale jeden trop —jeśli można tak go nazwać — biegł w drugą stronę, w głąb bazy. Gonzalez wyciągnął latarkę zza wojskowego pasa i zaczął oglądać ślady. Przypominały wielkie, zniekształcone rozety. Z przodu każdej wyrastały zakrzywione haki, potężne i okrutne.

Patrzył przez długi czas.

Gonzalez uważał się za prostego człowieka, o skromnych potrzebach i jeszcze skromniejszych ambicjach. Nie przepadał za towarzystwem i nie znał żadnych innych powodów do dumy poza dobrze wykonaną pracą. Dlatego nigdy nie dążył do awansu; dlatego nigdy nie pragnął wspiąć się

311

wyżej niż do stopnia sierżanta, który stanowił dla niego idealną niszę: dostatecznie wysoko, żeby narzucić własną wizję porządku rzeczy, ale nie tak wysoko, żeby dźwigać niepożądaną odpowiedzialność. Dlatego również jako jedyny żołnierz spędził w bazie Fear więcej niż osiemnaście miesięcy. Prawdę mówiąc, mieszkał tu już prawie trzydzieści lat. Nigdy nie zapomniał wyrazu twarzy majora w Fort McNair, kiedy wróciwszy z przepustki po pierwszej turze w bazie Fear, poprosił, żeby znowu go tam przydzielono. Mógł odejść na emeryturę przed wielu laty, ale nie wyobrażał sobie innego życia niż pilnowanie tego obiektu, nieczynnego i zapomnianego. Nie miał żadnej rodziny i niewiele rzeczy oprócz Biblii oraz stosu powieści kryminalnych, które czytał na okrągło wieczorami, alfabetycznie według tytułów. Spędził tyle czasu z własnymi myślami, że ich towarzystwo najbardziej sobie teraz cenił. Wiódł egzystencję prostą, lecz uporządkowaną, racjonalną, przewidywalną — dokładnie tak, jak lubił.

I dlatego krwawy ślad, oświetlony teraz latarką, budził w nim przykre uczucie niepokoju.

Te myśli przerwał mu Creel, wsuwając granat w pod-lufową wyrzutnię na swoim M4.

— Wie pan, mój wujek wygrał kiedyś udział w afrykańskim safari — oznajmił. —

Poważnie. Pierwsza nagroda na loterii Bractwa Łosi. Położył tam bawołu przyłaskowego. Rany, przechwalał się tym cholernym polowaniem przez lata.

O tym polowaniu nie pozwolą ci pisać ani słówka,

312

pomyślał Gonzalez. Spojrzał na swoich ludzi. Phillips oświetlał latarką podłogę i ściany, rozbryzgi krwi pojawiały się i znikały, kiedy snop światła przesuwiał się dalej. Marcelin stał w drzwiach i wyglądał na korytarz, z głową przechyloną na bok, jakby nasłuchiwał.

— Gotowi? — zapytał cicho Gonzalez.

— Cholera, jasne, że tak — odpowiedział Creel. — Chodźmy załatwić tego bydlaka. Przegrupowali się tuż przed drzwiami, zanim wyszli na korytarz. Phillips znowu szedł na szpicy i wspomagał słabe światło latarką, powoli sunąc jej promieniem po krwawych, niepokojąco dużych śladach. Tu i tam na podłodze pojawiały się też oddzielne krople krwi. Czyżby stwór został ranny?

— Jezu — usłyszeli głos Phillipsa. — Co to za pieprzone ślady?

Korytarz kończył się na skrzyżowaniu. Po lewej znajdował się szereg pustych, nieużywanych biur; po prawej — pomieszczenia zaplecza radaru. Zatrzymali się i Phillips dokładnie oświetlił otoczenie latarką. Ślady robiły się coraz mniej wyraźne, kropelki krwi rzadsze, ale zdecydowanie prowadziły w prawo.

Gonzalez poczuł, że duch w nim upada. Pomieszczenia zaplecza radaru stanowiły labirynt małych, napakowanych sprzętem galeryjek i schowków. Jeśli stwór tam wlaźł, niełatwo będzie go wykurzyć.

— Idziemy — zarządził. — Broń w pogotowiu. Nie odzywać się, chyba że w razie absolutnej konieczności.

313

Przyjrzał im się po kolei, zatrzymując wzrok nieco dłużej na Marcelinie. Zielonkawy odcień znikł z twarzy kaprała, zastąpiony przez blady strach.

Kiedy znowu ruszyli naprzód, Gonzalez sporządził w myślach szybki bilans swoich emocji. Uświadomił sobie, że też się boi. Nie śmierci czy okaleczenia — przed tym go uchroni przeważająca siła ognia — ale nieznanego, które reprezentował ścigany przez nich stwór. Przypomniał sobie fotografa Toussainta: jak bełkotał głośno i piskliwie, niemal na jednym oddechu, dopóki nie dostał środków uspokajających. Przypomniał sobie panikę w głosie Marcelina w mesie. „Nie każcie mi tego mówić...!”. Gonzalez był zwyczajnie za stary, zbyt

mocno zaskorupiały w rutynie, żeby mierzyć się z czymś, co brutalnie wywraca do góry nogami jego wiedzę o świecie.

Korytarz wyglądał jak zwięzający się prostokąt czerni, punktowany kałużami żółtego światła. Phillips oświetlał latarką ślady, natomiast pozostali wymachiwali swoimi na prawo i lewo w chaotycznym, nieskoordynowanym tańcu. Minęli schody prowadzące na poziom C i kwatery szeregowców, potem ciąg pokoi używanych do gromadzenia i identyfikacji danych. Na żadnych z czworga zamkniętych drzwi nie zauważyli śladów włamania, zakratowane okienka pozostały nietknięte.

— W co mamy celować? — odezwał się z tyłu podekscytowany Creel. — W głowę? W serce? W brzuch?

— Po prostu strzelajcie, dopóki bydlak nie padnie — odparł Gonzalez.

314

Dalej wąskie przejście prowadziło na zaplecze techniczne radarów. W środku było ciemno jak w grobie. Phillips wszedł pierwszy i zaraz za drzwiami skoczył w lewo. Gonzalez wszedł za nim, namacał przełącznik i zapalił światło.

Zaplecze techniczne radarów stanowiły trzy duże pomieszczenia. W każdym stały monolityczne metalowe regały, uszeregowane równolegle jeden za drugim — biblioteka przestarzałej myśli technicznej. Pierwszy regał wznosił się przed nimi jak ściana, wysokie półki wypełnione archaicznym sprzętem do radarowego skanowania, wykrywania i interpretacji: ciemne monitory kineskopowe, płyty główne obwieszane festonami lamp próżniowych, wielobarwne kłębowiska splątanych kabli.

— Dokąd to prowadzi? — szepnął Creel.

— Donikąd — odparł Gonzalez. — To ślepy zaułek.

— Super. Więc jeśli stwór jest tutaj, przyparliśmy go do muru.

Nikt nie odpowiedział.

Gonzalez zajrzał pomiędzy wysokie metalowe stojaki, popatrzył w lewo i w prawo. Potem odwrócił się do Phillipsa i Marcelina.

— Wy dwaj bierzecie prawą stronę — rozkazał. — I uważajcie na godzinę szóstą. Żołnierze kiwnęli głowami i ruszyli wąskim przejściem pomiędzy ścianą a pierwszym regałem, z bronią w pogotowiu.

Gonzalez kiwnął na Creela.

315

— My pójdziemy od lewej. Spotykamy się przy tylnych drzwiach. Jeśli coś zobaczycie, cokolwiek, wołajcie.

— Jasne.

Gonzalez przeszedł wzdłuż regału aż do lewej ściany pomieszczenia. Potem szybko skręcił za róg i omiótł wzrokiem przestrzeń przed sobą. Boczne ścianki pozostałych regałów ciągnęły się w głąb pomieszczenia, wąskie odstępki pomiędzy nimi wypełniała ciemność. Po lewej stronie w ścianie znajdowały się głębokie nisze do przechowywania dodatkowego sprzętu. Gonzalez odetchnął powoli i ruszył dalej, zaglądając za każdy regał. Po drugiej stronie widział sylwetki Phillipa i Marcelina, którzy robili to samo pod prawą ścianą. Wystarczyła minuta, żeby dotarł do końca pomieszczenia. Skręcił i przeszedł pod tylną ścianą do pozostałych, czekających przy drzwiach do drugiego magazynu.

— Macie coś? — zapytał.

Phillips zaprzeczył.

Gonzalez kiwnął głową. Pokój nie tylko wyglądał na pusty, ale wręcz tchnął atmosferą pustki. Przeszukiwanie zaplecza technicznego radaru wydawało się stratą czasu. Stwór pewnie wycofał się schodami na poziom C. Co miałby tu robić, w tym ślepym zaułku?

— Bierzemy następny — oznajmił Gonzalez, sięgnął za drzwi i zapalił światło w drugim pomieszczeniu. — Ta sama procedura.

Drugi pokój wyglądał identycznie jak pierwszy: wysokie półki pełne dawno zapomnianego sprzętu. Sprawiał wrażenie równie wymarłego jak pierwszy, jeśli nie liczyć

316

cichutkiego szumu, ledwie dosłyszalnego, niemal bardziej wyczuwanego — nadmiar powietrza w systemie ogrzewania, bez wątplenia. Znowu Gonzalez i Creel skręcili w lewo i cicho, powoli przeszli wzdłuż regałów, a pozostała dwójka sprawdziła prawą stronę. Dotarli do tylnej ściany, gdzie z powodu przepalonej żarówki panował półmrok, i jeszcze raz spotkali się z Phillipsem i Marcelinem przy drzwiach do trzeciego pokoju.

Gonzalez zajrzał w czarny otwór.

— Sprawdzimy dla porządku. Potem wrócimy na klatkę schodową dwanaście i spróbujemy na poziomie C. Idziemy, ta sama procedura.

— Czujecie ten zapach? — zapytał Creel.

— Jaki zapach? — zdziwił się Phillips.

— Nie wiem. Hamburger czy coś.

Gonzalez sięgnął ręką i po raz kolejny zapalił światło. Kilka fluorescencyjnych świetlówek zamrugało i zbudziło się do życia. Potem, dosłownie po kilku sekundach, najbliższa zgasła z cichym sykiem.

Gonzalez zmarszczył brwi. Cholera. Akurat nie w porę. Teraz w głębi pokoju paliło się słabe światło, natomiast obszar tuż przed nimi tonął w mroku.

Phillips prychnął.

— Już nie masz kiedy być głodny — rzucił pod adresem Creela.

Gonzalez przekroczył próg, inni ruszyli za nim.

— Nie, człowieku. Nie mówiłem o smażonym hamburgerze.

317

Gonzalez skręcił w lewo, żeby jeszcze raz przejść obok regałów, z Creelem za plecami.

Potem przystanął.

Przed sobą w załomie ścian, widział pierwszą niszę na sprzęt. Tylko że ta nisza nie zawierała metalowych części radarowych, które wcześniej oglądał. Zamiast tego coś leżało na dnie; coś, co błyszczało lekko w nikłym świetle.

— Głowa mnie boli — oznajmił Marcelin.

Gonzalez sięgnął po latarkę, przesunął promień w stronę niszy. Latarka oświetliła kłęb czystego plastiku, a w środku coś oblepionego zakrzepłą krwią.

Peters.

Dokładnie w tej samej chwili Marcelin zaczął skomleć.

Gonzalez obrócił się gwałtownie. Coś patrzyło na nich zza rogu regału. Gonzalez widział to tylko przez krótką chwilę, ale zdążył zarejestrować gęste, kudłate, czarne futro; wielkie ucho w kształcie serca, jak ucho nietoperza, osadzone z boku głowy; i jedno żółte oko.

I coś jeszcze. Głowa znajdowała się za wysoko, za daleko od podłogi...

Uszy wypełnił mu ryk, kiedy granatnik Creela wystrzelił. Pocisk przemknął wzdłuż regału i wybuchł na półce, jakiś metr przed głową. Pokój się zatrzęsł. Czerwonożółty dym popłynął w ich stronę, obsypał ich deszcz odłamków metalu i szkła z lamp próżniowych.

— Cofnąć się! — wrzasnął Gonzalez.

Przepychając się, wrócili do drugiego pokoju.

— Zająć pozycje w kątach! — rozkazał Gonzalez. —

318

Phillips, Marcelin, kryjcie drzwi! Uważać na krzyżowy ogień!

Wycofał się do lewego narożnika w drugim pomieszczeniu i przykucnął, wykorzystując jako osłonę róg ostatniego regału. Wycelował swój M16 w ciemny otwór drzwi. Serce mu biło szybko jak nigdy w życiu.

Creel bełkotał obok niego:

— O Boże, o Boże...

— Stań za mną — rozkazał Gonzalez. — Jeśli nas zaatakuje, celuj w drzwi. W drzwi, słyszysz? Jeśli przypadkiem trafisz kogoś z moich ludzi, sam cię zastrzelę.

Ale Creel jakby nie słyszał.

— O Boże...

— Przygotować się! — zawołał Gonzalez do żołnierzy.

Z drugiej strony pokoju nie dobiegła żadna odpowiedź

oprócz cichego skomlenia zapewne Marcelina.

Gonzalez spojrział wzdłuż lufy swojego M16, usiłując opanować nagłą, niezrozumiałą panikę, która w pierwszej chwili niemal go pokonała. Minęła okropna minuta, potem druga.

Mruganiem próbował strącić z rzes pot, spływający mu po czole. Niski dźwięk, który słyszał wcześniej, teraz spotężniał, wypełniał mu uszy i całą głowę tępym bólem...

Ból głowy. Marcelin o tym też wspominał...

Gonzalez zeszywniał. W ciemnym otworze drzwi coś się poruszyło.

Znowu mrugnął, szybko przetarł oczy. W słabym świetle wzrok go zawodził. Ale nie: w cieniu naprawdę coś się poruszyło, szarość na tle szarości. Na chwilę zamarło.

319

Potem znowu ruszyło i — powoli, powoli — wysunęła się głowa. Z gardła Creela wydobył się cichy bulgot, jak u tonącego. Gonzalez patrzył, sparaliżowany jak pozostali. Chryste, wysuwała się coraz dalej, ciemna i obła, z masywnym kostnym grzebieniem z tyłu, przechodzącym w niewiarygodnie potężne, wysoko osadzone łopatki. Gonzalez nigdy nie widział niczego podobnego. To było niesamowite. Przerażające.

Głowa wysunęła się teraz całkowicie za drzwi, skierowana w stronę Marcelina i Phillipsa. Gonzalez patrzył, jak znowu się poruszyła i — dręcząco, wyzywająco powoli — obróciła się, żeby na niego spojrzeć. Żółte ślepia jakby pochwyciły jego oczy w niewolę. Potem paszcza się rozwarła i Gonzalez spuścił wzrok, i... słodki Jezu, co to takiego...

Nagle poczuł, że traci zmysły. Jego palec drgnął spazmatycznie na osłonie spustu.

Bulgot w gardle Creela przerodził się w cichy lament, po czym nagle wzniósł się do chrapliwego krzyku.

A potem stwór skoczył na nich.

Wszystko stało się w jednej chwili. Creel wrzasnął coś niezrozumiałego i cofnął się instynktownie, jednocześnie unosząc broń. Phillips i Marcelin otworzyli ogień z drugiego kąta, kule z ostrym gwizdem przeorały ścianę i zrykoszetowały nad głową Gonzaleza. Został brutalnie odepchnięty na bok, kiedy stwór rzucił się na Creela; rozległ się cichy chrzęst, jakby ktoś odrywał udko kurczaka, i brygadzysta wydał następny przeraźliwy wrzask — tym razem bólu.

320

Gonzalez zerwał się na nogi, zatoczył się, chwycił broń i wycelował. Od razu zobaczył, że dla Creela jest już za późno. Potwór rozszarpywał go jak szmacianą lalkę, w aureoli krwawych rozbryzgów tworzących czerwoną mgiełkę. Tamci przestali strzelać. Stwór spojrzał na Gonzaleza, jego oblicze przypominało czerwoną maskę. W słabym świetle sierżantowi zdawało się, że kąciki ust stwora unoszą się jakby w uśmiechu. A potem uciekał, uciekał, obok regałów ze sprzętem, przez drzwi za Phillipsem i Marcelinem, przez pierwszy pokój na korytarz i dalej, uciekał, uciekał...

41

Powietrze w laboratorium jakby zastygło. Przez długą chwilę wszyscy tylko wpatrywali się w Usuguka. Tunita stał nieruchomo przy drzwiach, jego buty z foczej skóry, parka ze skóry karibu i koc ostro kontrastowały z szarymi metalowymi ścianami i prozaicznymi instrumentami.

— Ty — powiedział Marshall głosem zgrubiałym ze zdumienia. — Ty jesteś ósmym naukowcem.

— Tak mnie nazywali — przyznał Usuguk.

Po drugiej stronie pokoju Logan zmarszczył brwi.

— Co to znaczy?

Usuguk milczał przez długą chwilę. Spoglądał ciemnymi oczami na każdego po kolei.

Potem skupił spojrzenie na jakimś punkcie poza tym miejscem, punkcie, który wydawał się bardzo odległy.

— Jestem starym człowiekiem — powiedział. — Czy mogę usiąść?

— Oczywiście.

Marshall pospiesznie podsunął mu krzesło. Szaman usiadł i położył sobie na kolanach węzełek z lekami.

— Byłem specjalistą — zaczął swoją bezbłędną angielszczyzną. — Wojskowym specjalistą. Dorastałem ze dwieście kilometrów stąd. W dawnych czasach mój lud żył w osadzie niedaleko Kaktovik. Mieszkałem z rodziną kuzyna. Matka zmarła przy porodzie, a ojciec umarł z głodu, kiedy miałem sześć lat, na lodowcu, szukając karibu. Wyrosłem głupi, pełen quiniq. Siedzenie godzinami przy przerębli i czekanie, aż foka się wynurzy, żeby ją zakłuć włócznią... to mi nie wystarczało. Nie szanowałem dawnych obyczajów. Nie rozumiałem kręgu piękna, splendoru śniegu. Raz w roku przez Kaktovik przejeżdżał wojskowy werbownik, opowiadający o dalekich krajach. Nauczyłem się waszego języka; moje ramię było silne. Więc się zaciągnąłem. — Powoli pokręcił głową. — Ale znałem inuicki, znałem tunicki. Więc po sześciu miesiącach w Fort Bliss odesłali mnie z powrotem tutaj, do tej bazy.

— Czy baza była czynna? — zapytał Marshall.

— Ahylah — przytaknął Tunita. — Cała oprócz północnego skrzydła. Dopiero je wykańczali. Musieli je zbudować poniżej poziomu śniegu.

— Dlaczego? — zapytał Logan.

— Nie wiem. To była tajemnica. Do testów. Jakieś eksperymenty z sonarem. — Usuguk przerwał. — Wojsko zatrudniło kilku z nas, Tunitów, do wykopywania lodu pod północne skrzydło i stawiania podpór. Wszyscy Tunici wiedzieli, że góra to przeklęte miejsce, gdzie mieszkają

bogowie zła. Ale było nas niewielu i byliśmy biedni, i nie mogliśmy się oprzeć pieniądзом kidlatet... białego człowieka. Mój wuj był jednym z robotników. On to znalazł.

— Co znalazł? — zapytał Marshall.

— Kurrshuą — odparł Usuguk. — Kieł Bogów. Pożeracz Dusz.

Pozostali wymienili spojrzenia.

— Właściwie co to jest kurrshuą? — zapytał Logan.

— To, co obudziliście.

— Co? — odezwał się Sully. — Ten sam stwór? To niemożliwe.

Tunita pokręcił głową.

— Nie ten sam. Inny.

Marshall czuł coraz większe, palące zdumienie. Czy to możliwe?

Zapadła krótka cisza.

— Mów dalej — poprosił wreszcie Sully.

— Był uwięziony w lodzie w małej szczelinie przy fundamentach skrzydła — podjął Usuguk.

— Prawdopodobnie zamarzył wskutek tego samego zjawiska — mruknął Faraday.

— Wuj bardzo się przestraszył. Przyszedł do mnie. A ja poszedłem do pułkownika Rose'a.

— Dowódcy bazy — dodał Logan.

Usuguk kiwnął głową.

— Nikt inny nie miał wiedzieć. Wuj kazał mi ostrzec pułkownika, że wojsko musi natychmiast opuścić ten teren. To zakazana ziemia. A kurrshuą jest jej strażnikiem. —

324

Zrobił przerwę. — Ale nie odjechali. Zamiast tego pułkownik zapieczętował szczelinę i wezwał ich.

— Ich? — powtórzył Marshall.

— Specjalnych naukowców. Tajnych naukowców. Przybyli przed nowym księżycem. Dwa samoloty transportowe z brzuchami pełnymi dziwnych instrumentów. Wszystkie umieścili w północnym skrzydle, pod osłoną ciemności.

— Więc zmieniono przeznaczenie północnego skrzydła — odezwał się Logan. — Porzucono pierwotny cel, żeby badać nowe odkrycie.

— Tak.

— A twój wuj? — ciągnął Logan. — Pozostali Tunici?

— Natychmiast odeszli.

— Ale ty zostałeś.

Usuguk skłonił głowę.

— Tak. Ku mojej wiecznej hańbie. Mówiłem wam, że nie przestrzegałem zwyczajów plemienia. A naukowcy potrzebowali pomocnika, kogoś obeznanego z działalnością bazy. Kogoś, kto mógł również zapewnić... ochronę. Wybrano mnie, ponieważ już wiedziałem o kurrshuą. Traktowali mnie dobrze, włączyli mnie do swojej pracy. Nazywali mnie „małym uczonym”. Jeden z nich, kidlatet nazwiskiem Williamson, interesował się... — przerwał i

przez chwilę szukał właściwego słowa — socjologią. Opowiedziałem mu o legendach naszego ludu, o naszej historii i wierzeniach.

— A ten... stwór? — zapytał Marshall.

— Wycięli go bardzo starannie z lodu, wyciągnęli ze

325

szczeliny, włożyli do zamrażarki w północnym skrzydle. Naukowcy mieli go badać, mierzyć, potem rozmrozić. Ale wkrótce sam się rozmroził.

— Sam się rozmroził? — powtórzył Sully.

— Oczywiście. — Usuguk wzruszył ramionami, jakby zdziwiony niedowierzaniem Sully'ego.

Marshall i Faraday wymienili spojrzenia.

— On żył? — zapytał Marshall.

— Tak. *

— I był wrogo nastawiony?

— Nie... nie na początku. Kurrshuą to przebiegły demon. Bawi się z wami, jak lisiątko bawi się z myszą. Naukowcy byli zaintrygowani. Jak już otrząsnęli się ze strachu, byli zaintrygowani.

— Ze strachu? — powtórzył Marshall.

— Kurrshuą wygląda przerażająco.

Logan wyciągnął notes w skórzanej oprawie.

— Opisz go?

— Nie.

Następne krótkie milczenie.

— Opowiedz nam, co się stało — odezwał się Marshall. — Z naukowcami.

— Jak już mówiłem, stwór udawał, żeby uspić naszą czujność. Udawał życzliwość.

Naukowcy dalej prowadzili obserwacje i badania- Badali jego szybkość i siłę. Coraz bardziej ich fascynował... zwłaszcza jego zdolność do samoobrony. Mówili o badaniu jego inteligencji, znalezieniu sposobu, żeby... jak to określali?... użyć go jako broni.

326

Ale trzeciego dnia postanowił spełnić wolę złych bogów. Znudziła mu się zabawa z nami. Jeden z naukowców, kidlatet nazwiskiem Blayne, badał jego... jego instynkt myśliwski. Na co kurrshug miał dla nich polować, tego mi nie powiedzieli. Kiedy Blayne puścił taśmy z

nagranymi głosami cierpiących zwierząt... świstaków, zajęcy... rozdrażnił stwora, który rozszarpał go na strzępy. Usłyszeliśmy krzyki i przybiegliśmy. Kiedy weszliśmy do laboratorium audio, ciało Blayne'a było wszędzie. A kurrshua spał na podłodze, z głową ofiary między przednimi łapami. Zjadł jej duszę.

Marshall spojrział na Logana. Historyk otworzył notesik w skórzanej oprawie i gryzmołił zaciekle.

— Naukowcy wyszli, nie tykając ciała, i wrócili do swoich kwater, żeby porozmawiać. Jedni uważali, że stwora trzeba natychmiast zabić. Inni mówili: to zbyt cenne znalezisko. Może śmierć Blayne'a to przypadek, powtarzali. Stwór się spłoszył, działał w samoobronie. Zgodzili się prowadzić dalej badania.

— Williamson, ten, który się interesował socjologią — wtrącił Logan, podnosząc wzrok znad notesu. — Czy rozmawiał o tym z tobą?

Usuguk przytaknął.

— Zadawał mi wiele pytań. Co moi ludzie wiedzą o kurrshua, skąd on się wziął, czego chce.

— I co mu powiedziałaś?

— Powiedziałem mu prawdę. Że on jest strażnikiem zakazanej góry. Że Pożeracza Dusz nie można zabić.

327

— Jak zareagował?

— Dużo pisał w małej książeczce.

Logan poszperał w kieszeniach, wyciągnął zniszczony notesik, podał Usugukowi. Tunita otworzył go ostrożnie, przekartkował pożółkłe stroniczki, zwrócił, kiwając głową.

— „Tunici znają odpowiedź”? — zacytował Logan. — Może to było pytanie, nie stwierdzenie.

— Co się stało potem? — zapytał Sully.

— Następnego dnia, kiedy wróciliśmy, byłem uzbrojony. On się zachowywał... inaczej. Był oporny, wrogi. Kiedy naukowcy go naciskali, zaatakował.

— Zabił ich wszystkich? — ciągnął Sully.

— Nie. Nie... nie od razu.

— Więc jak?

Podczas rozmowy Tunita stopniowo spuszczał głowę. Teraz nagle podniósł wzrok i

spoglądał na nich po kolei. W jego oczach malowała się udreka.

— Nie pytajcie mnie — poprosił drżącym głosem. — Nie chcę tego pamiętać.

W pokoju zapadło milczenie. Powoli Usuguk znowu przeniósł spojrzenie na jakiś odległy punkt. Odprężył się, na jego twarz powróciła rezygnacja.

— Zastrzeleś go? — zapytał Marshall najłagodniej, jak potrafił.

Usuguk przytaknął, nie patrząc na niego.

— Co się stało?

— Kule go rozdrażniły.

328

Teraz Logan zabrał głos.

— Jak ci się udało uciec?

— On... polował na nas. Ci, którzy przeżyli, próbowali uciec z północnego skrzydła. On odcinał nam drogę, raz i drugi. W końcu zostałem tylko ja i Williamson. Ukrywaliśmy się w rozdzielni elektrycznej, niedaleko od śluzy wyjściowej. — Mówił coraz wolniej, zacinał się. — On wyszedł z cienia... Williamson krzyknął... on skoczył na niego... Williamson zatoczył się do tyłu na złącze elektryczne... wielki błysk i dym... uciekłem jak najszybciej z północnego skrzydła.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał.

— Pułkownik Rose wezwał oddział specjalny — podjął w końcu Usuguk. — Kiedy wróciliśmy do północnego skrzydła, znaleźliśmy kurrshuą wciąż leżącego na zwłokach Williamsona. Już się nie ruszał.

— Martwy — szepnął Sully.

Usuguk pokręcił głową.

— Postanowił się przenieść. Opuścić swoje wcielenie.

— Co zrobili z ciałem? — zapytał Marshall.

— Ciało zniknęło.

— Co? — wykrzyknął Sully.

— Później wrócili z workiem na ciało. Ale wtedy już go nie było. — Tunita popatrzył na nich po kolei. — Tak, jak mówiłem. Postanowił wrócić do swojej duchowej postaci.

Sully pokręcił głową.

— Pewnie gdzieś odpętnął, żeby zdechnąć. Spieszyli

329

się, żeby zamknąć bazę, zatuszować cały incydent... założę się, że nie szukali zbyt dokładnie.

Marshall popatrzył na szamana.

— A ty? Co zrobiłeś?

— Odszedłem z wojska. Zabrałem kilka osób z mojej wioski, które chciały słuchać, i założyłem nową osadę na lodzie. Wróciliśmy do starych, prawdziwych zwyczajów mojego ludu, staraliśmy się żyć tak jak dawniej, zanim przybyli kidlatet. Porzuciłem sprawy materialnego świata.

Sully nie słuchał.

— Nie rozumiecie?! — zawołał. — On jest wrażliwy na elektryczność. To jego pięta achillesowa. Musimy zawiadomić Gonzaleza.

Tunita szybko podniósł wzrok.

— Nie słyszeliście niczego, co wam powiedziałem? To nie jest zwierzę. On należy do świata ducha. Nie możecie go zabić. Dlatego wróciłem... żeby to wam powiedzieć. Nie posłuchaliście mnie za pierwszym razem. Teraz musicie posłuchać. Ponieważ mówię prawdę. Tylko ja jeden przeżyłem.

Sully nie odpowiedział. Przeszedł przez pokój, sięgnął po radio, które dostał od Gonzaleza.

— Wróciłem z jeszcze jednego powodu — ciągnął Usuguk, zwracając się do Marshalla.

— Ten stwór, którego znaleźliście. Mówiłeś, że jest większy od niedźwiedzia polarnego, tak?

Marshall przytaknął.

— Zgadza się.

330

— Stworzenie, które naukowcy wycięli z lodu pięćdziesiąt lat temu, było wielkości polarnego lisa. .

Na chwilę wszyscy zamarli, zaszokowani. Potem Sully podniósł radio, włączył nadawanie.

— Doktor Sully do sierżanta Gonzaleza. Słyszycie mnie? Odbiór.

Z radia rozległy się trzaski zakłóceń.

Sully spróbował jeszcze raz.

— Sully do Gonzaleza. Słyszycie mnie? Odbiór.

Więcej zakłóceń.

Usuguk wstał z krzesła i podszedł do miejsca, gdzie stali Marshall z Faradayem.

— Kiedy tu przybyliście... kiedy niebo spłynęło krwią... bałem się, że zbudziliście następnego — powiedział. — Dlatego was ostrzegłem, żebyście odeszli. Jestem szamanem. Stoję jedną nogą w świecie fizycznym, a drugą w świecie ducha. Musicie uwierzyć, że rozumiem te rzeczy.

— Następnego — powtórzył Marshall. Wciąż nie mógł w to uwierzyć.

— Może nie powinniśmy się dziwić — odezwał się Faraday. — Teoria gier przewiduje, że najmniej optymalny wynik pojawia się z największym prawdopodobieństwem.

— Wielkości lisa — powiedział Marshall. — I zabił siedmiu ludzi.

Usuguk przytaknął.

— Teraz mi wierzycie? Ten kurrshua jest jeszcze ważniejszym duchem. Nie odejdzie jak poprzedni. Nie mo-

331

żecie go zabić. Nie możecie go pokonać. Możecie tylko odejść. Macie jeszcze szansę, że wam pozwoli.

— Ale nie możemy odejść — zaprotestował Marshall. — Jest nas za dużo, nie zmieścimy się w Śnieżnym Kocie. Musimy przeczekać burzę.

Tunita spojrzał na niego błyszczącymi oczami.

— Więc bardzo was żałuję.

42

— Lubisz ostrą jazdę? — zapytała Barbour przez zaciśnięte zęby. — Chodzi mi o to, czy musi tak trząść.

— Nie. Normalnie zimowe drogi pokrywają się warstwą lodu. Ale my jedziemy po bezdrożach. Złap się uchwyty „o w mordę”.

— Czego?

— Drażka statecznika nad twoimi drzwiami.

Barbour sięgnęła w górę i chwyciła poziomy metalowy pręt. Potem spojrzała na Carradine'a. Kabina wielkiej ciężarówki była tak obszerna, że dzieliła ich spora odległość. Barbour miała wrażenie, że ręce kierowcy nieustannie się poruszają i przesuwają — po kierownicy, na dźwignię zmiany biegów, do jednego z niezliczonych przycisków na tablicy rozdzielczej. Nigdy przedtem nie jechała ciężarówką i dziwiła się, jak wysoko nad ziemią siedzieli i jaka to ciężka robota.

— Nie mogę przekraczać pięćdziesiątki — powiedział kierowca; jak zwykle kula gumy

wypychała mu poli-

333

czek. — Nie chcę uszkodzić połączenia z przyczepą. Będziemy musieli jeszcze bardziej zwolnić, kiedy dojedziemy do jeziora, ale przynajmniej przestanie trząść. — Zachichotał. Barbour nie podobał się ten chichot.

— Do jakiego jeziora?

— Musimy przeciąć jedno jezioro po drodze do Wioski Arktycznej. Jezioro Straconych Nadziei. Jest za szerokie, żeby je ominąć. Ale było ładnie i zimno, nie powinniśmy mieć żadnych problemów.

— Żartujesz, prawda?

— Myślisz, że dlaczego nazywają to lodowym transportem? Na zwykłych zimowych trasach osiemdziesiąt procent to lód. Utwardzone drogi to tylko dwadzieścia procent. Barbour nie odpowiedziała. Jezioro Straconych Nadziei, pomyślała. Miejmy nadzieję, że nie zasłuży na swoją nazwę.

— Mamy szczęście z tym wiatrem — ciągnął Carradine. — Nie pozwala, żeby śnieg się gromadził, pomaga mi znaleźć najbardziej równą trasę na wiecznej zmarzlinie. Musimy jechać wyjątkowo ostrożnie... nie możemy ryzykować, że złapiemy gumę, z tymi ludźmi z tyłu, bez ogrzewania.

Barbour spojrzała w lusterko wsteczne. Odblask świateł pozycyjnych wydobywał z mroku niewyraźny srebrny kadłub przyczepy. Dwadzieścia pięć osób w środku. Wyobraziła sobie, jak tam siedzą i pewnie nawet nie roz-

334

mawiają, przyświecając sobie tylko latarką. Ciepło pewnie już ucieka.

Carradine pokazał jej, jak się posługiwać radiem CB, żeby komunikować się z Fortnumem. Wyciągnęła słuchawkę z uchwytu, sprawdziła, czy nastawiła właściwą częstotliwość, nacisnęła guzik połączenia.

— Fortnum, jesteś tam?

Coś zatrzeszczało.

— Tak.

— Jak tam wygląda?

— Na razie w porządku.

— Robi się zimno?

— Jeszcze nie.

— Będę was informować na bieżąco, jak daleko dojechalіśmy na południe. Daj mi znać, gdybyście czegoś potrzebowali.

— Dobra.

Barbour nie znała odpowiednich zwrotów kończących rozmowę, więc po prostu odłożyła mikrofon na nadajnik. Ostatnie zdanie dodała tylko dla poprawy morale — oczywiście nie mogła nic zrobić, żeby im pomóc. Spojrzała na Carradine'a.

— Daleko jeszcze?

— Do Wioski Arktycznej? Trzysta czterdzieści kilometrów od bazy do północnego posterunku. Tam właśnie jedziemy.

Trzysta czterdzieści kilometrów. Jechali już prawie od godziny. Barbour przeprowadziła w myślach niewielkie obliczenie. Zostało im jeszcze sześć godzin jazdy.

335

Za szeroką przednią szybą burza wyglądała jak zawierucha białych płatków na tle czarnej zasłony. Wiatr podrywał wielkie tumany śniegu, odsłaniając szary, monotony, księżycowy krajobraz wiecznej zmarzliny. Carradine włączył wszystkie światła przeciwmgielne i reflektory. Zauważyła, że pomimo żartów i lekkiego tonu uważnie obserwuje teren przed sobą i łagodnie skręca na długo przedtem, zanim zbliżą się do potencjalnej przeszkody.

Kabina podskakiwała i zarzucała, aż zęby dzwoniły. Barbour zastanawiała się, jak Sully i Faraday radzą sobie w bazie, czy Marshall już wrócił. Chyba niepotrzebnie dała się Sully'emu namówić na wyjazd. Uczestniczyła w tej ekspedycji na takich samych prawach jak inni; nie była zwykłym informatykiem, prowadziła ważne badania, których nie powinna porzucać tylko z powodu...

Coś się zmieniło. Spojrzała na Carradine'a.

— Zwalniamy?

— Aha.

— Czemu?

— Zbliżamy się do Jeziora Straconych Nadziei. Maksymalnie dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę na lodzie.

— Ale w przyczepie nie ma ogrzewania. Nie możemy zwlekać.

— Zaraz ci wytłumaczę, paniusiu. Jazda po zamrzniętym jeziorze wytwarza falę pod lodem. Ta fala płynie za nami. Jeśli pojedziemy za szybko, fala urośnie tak, że przebije się

przez lód. Wtedy pójdziemy na dno. Lód

336

zamarznie z powrotem w ciągu kilku minut i presto, mamy zbiorowy grób, który...

— Dobra, już rozumiem.

Teraz w mroku przed nimi coś mętnie zaślniło. Barbour wyprostowała się nerwowo, wyteżyła wzrok. Lód, który ciągnął się w dal i ginął w ciemności.

Carradine zwolnił jeszcze bardziej, przerzucając biegi, po czym zahamował z sapnięciem hamulców pneumatycznych. Sięgnął za siebie, do kabiny sypialnej, i wydobył długi przyrząd, przypominający cienką wiertarkę udarową.

— Zaraz wracam — oznajmił, otwierając drzwi.

— Ale... — zaczęła protestować.

Kierowca wysiadł i zamknął drzwi za sobą, więc zamilkła. Po chwili zobaczyła go znowu: wybiegł truchtem przed maskę ciężarówkę, balansując przyrządem na ramieniu. W tropikalnej koszuli wyglądał rażąco niestosownie. Wiatr przycichł i niemal pieszczotliwie obsypywał go płatkami śniegu. Carradine wszedł na lód, przeszedł jakieś pięćdziesiąt metrów. Potem zdjął przyrząd z ramienia, uruchomił i przyłożył do lodu. Teraz zobaczyła, że to elektryczny świder. Po trzydziestu sekundach Carradine przebił się na wylot i truchcikiem zawrócił do kabiny. Otworzył drzwi i wspiał się do środka, szeroko uśmiechnięty. Cienka warstewka lodu pokrywała jego włosy i ramiona.

— Jesteś cholernie głupi, wiesz? — ofuknęła go Barbour. — Żeby wychodzić na mróz w takim ubraniu.

— Zimno to stan umysłu. — Carradine rzucił świder

337

do tyłu i zatarł ręce, z zimna albo z zadowolenia. — Lód ma pięćdziesiąt pięć centymetrów grubości.

— Czy to źle?

— To dobrze. Minimum to czterdzieści pięć centymetrów. Sezon się jeszcze nie zaczął. To tutaj utrzyma dwadzieścia pięć, może trzydzieści ton. — Zachichotał, pokazując palcem na świder. — Wiem, że podróżujemy w trochę prymitywnych warunkach. Bez stałego namierzania, bez lodowego radaru, jaki mają na prawdziwych zimowych drogach. Ale, hej, nie mamy też żadnych ograniczeń ładunku ani upierdliwych dyspozytorów.

Patrzył na nią przez chwilę.

— Okay. Lepiej cię uprzedzę na wszelki wypadek. Jazda po lodzie nie jest jak jazda po normalnej drodze. Łód się ugina pod ciężarówką. I robi dużo hałasu.

— Co?

— Sama usłyszysz. — Zwolnił hamulec, wrzucił bieg. — Teraz wprowadzę nas powolutku na jezioro. Nie za szybko, bo nie chcemy przeciążyć lodu.

— Przeciążyć? Nie, nie, na pewno nie chcemy. — Barbour popatrzyła na lodowy przestwór, który wydawał się ciągnąć bez końca. Naprawdę mieli na to wjechać osiemnastokołową ciężarówką?

— No dobra. — Carradine ruszył ciężarówką w stronę brzegu, potem znowu na nią spojrzął i mrugnął. — Teraz trzymaj kciuki, paniusiu.

Wpełzli na łód z prędkością nie większą niż piętnaście kilometrów na godzinę. Barbour napięła mięśnie, kiedy

338

wstrząsy i podskoki na wiecznej zmarzlinie przerodziły się w znacznie bardziej niepokojące wrażenie, że łód się pod nimi ugina. Carradine w skupieniu marszczył brwi, z jedną ręką na kierownicy, drugą na drążku zmiany biegów. Silnik wył, kiedy toczyli się do przodu.

— Muszę utrzymywać wysokie obroty — mruknął Carradine. — Żeby nie wpaść w poślizg.

Kiedy wjechali dalej na łód, Barbour usłyszała nowy dźwięk: słabe trzaski, dochodzące ze wszystkich stron, jakby zrywano celofan ze świątecznych prezentów. Przełknęła z trudem. Wiedziała, co to za dźwięk: łód protestował przeciwko ciężarowi ogromnego pojazdu.

— Ile do drugiego brzegu? — zapytała trochę zachrypłym głosem.

— Sześć kilometrów — odparł Carradine, nie odrywając wzroku od lodu.

Pełzli dalej w ślimaczym tempie, wśród coraz głośniejszych trzasków. Śnieg kłębił się nad lodową taflą, tworząc wiry, cyklony i dziwaczne widmowe kształty w światłach reflektorów.

Od czasu do czasu Barbour słyszała z dołu ostre zgrzyty i stukania. Przygryzła wargę i w duchu odliczała minuty. Nagle ciężarówka zboczyła z kursu, ześliznęła się w prawo.

Barbour rzuciła szybkie spojrzenie na kierowcę.

— Poryw wiatru — wyjaśnił, delikatnie obracając kierownicę, żeby wyrównać kurs. — Tutaj nie ma przyczepności.

Radio CB zaświergotało. Barbour sięgnęła po mikrofon.

339

— Fortnum?

— Tak. Co to za hałas na zewnątrz? Ludzie trochę się denerwują.
Myślała przez chwilę, zanim odpowiedziała.

— Przejeżdżamy przez pole lodowe. Potrwa jeszcze parę minut.

— Zrozumiałem. Przekażę.

Odłożyła mikrofon, wymieniła spojrzenia z Carradine'em.

Powoli minęło pięć minut, potem dziesięć. Barbour uświadomiła sobie, że prawa ręka jej zdrętwiała od ściskania drążka statecznika. Lekkie ugięcia lodu, nieustanne trzaski i hałasy tak ją denerwowały, że myślała, iż zwariuje z tego napięcia. Wiatr jęczał i zawodził. Co jakiś czas silniejszy podmuch spychał ciężarówkę w bok i Carradine musiał kompensować odchylenie z największą ostrożnością.

Wbijała wzrok w ciemność. Czy tam daleko majaczy drugi brzeg? Nie — tylko czarna ściana drobinek lodu unoszących się w powietrzu, miotana wiatrem niczym falująca zasłona.

— Lodowa mgła — wyjaśnił Carradine. — Powietrze nie może już wchłonąć więcej wilgoci.

Dziwna mgła otoczyła ciężarówkę niczym czarna wata. Widzialność, dotąd słaba, nagle spadła do zera.

— Ni cholery nie widzę — poskarżyła się Barbour. — Zwolnij.

— Nie mogę — odparł kierowca. — Nie mogę stracić rozpędu.

340

Ta nowa ślepotą, połączona z okropnym trzeszczeniem i uginaniem się lodu, to już było za wiele. Barbour zaczęła hiperwentylować, półprzytomna ze strachu. Wytrzymaj, skarbie, powiedziała sobie. Wytrzymaj. Jeszcze tylko minuta czy dwie.

A potem wyjechali z chmury lodu — i zobaczyła skały na drugim brzegu, na samej granicy zasięgu reflektorów. Ogarnęła ją ulga. Dzięki Bogu.

Carradine na mgnienie oderwał wzrok od lodu, żeby na nią zerknąć.

— Nie było tak źle, co?

Nagle ciężarówka gwałtownie skoczyła do przodu. Jednocześnie tuż za nimi rozległ się donośny huk, niczym wystrzał z broni palnej.

— Słabsze miejsce — oznajmił Carradine i mocno przydeptał pedał gazu. — Cienki lód. Jechali teraz szybciej, z wyciem wielkiego diesla. Następny huk, głośniejszy, rozległ się

dokładnie pod nimi. Barbour zobaczyła, że na lodzie powstało pęknięcie i teraz wybiega przed nich coraz szybciej, rozdzielając podłoże na dwie części. Carradine natychmiast skręcił, manewrując ciężarówką w taki sposób, żeby szczelina biegła pomiędzy przednimi kołami. Ale pęknięcie już się rozwidłało, raz, drugi, rozszerzało się po lodzie pod szaleńczymi kątami, niczym letnia błyskawica. Carradine ostro zakręcił kierownicą i przejechał na skos po siatce pęknięć. Trzaski i huk przybrały na sile. W tej samej chwili podmuch wiatru brutalnie uderzył w bok ciężarówki. Barbour krzyknęła,

341

czując, jak tył pojazdu zarzuca i przechyla się alarmująco, grożąc wywrotką na pękający lód.

— Poślizg! — krzyknął Carradine. — Trzymaj się!

Barbour rozpaczliwie uczepiła się drążka, podczas gdy kierowca walczył o wyprostowanie wielkiego pojazdu. Powoli boczne kołysanie ustało. Drugi brzeg znajdował się teraz tuż przed nimi, w odległości niecałych pięćdziesięciu metrów. Ale ciężarówka wciąż się ślizgała. Uderzyła z impetem o przybrzeżną skałę, zatrzęsała się, cofnęła i znieruchomiała. Carradine znowu zwiększył obroty i ciężarówka z rykiem wjechała z lodu na pofałdowaną jak tara powierzchnię wiecznej zmarzliny. Barbour wypuściła powietrze w długim, drżącym westchnieniu. Potem sięgnęła po mikrofon radia CB.

— Fortnum, tu Penny Barbour. U was wszystko w porządku?

Po chwili odezwał się trzeszczący głos Fortnuma.

— Trochę nami potrząsnęło, ale poza tym okay. Co się stało?

— Uderzył w nas boczny podmuch. Ale już zjechaliśmy z lodu i do końca powinno iść gładko.

Odkładając mikrofon, zawadziła spojrzeniem o Carradine[^]. Patrzył w lusterko wsteczne. Na widok jego twarzy znowu poczuła niepokój.

— O co chodzi? — zapytała.

— Ta skała, w która walnęliśmy — powiedział. — Chyba nam przedziurawiła lewy bak.

— Bak z benzyną? Ale przecież masz dwa?

342

— Lewy był pełny. Prawy nie. Tylko w jednej trzeciej Uczucie niepokoju nasiliło się gwałtownie.

— Ale wystarczy, żeby dojechać do Arktycznej Wioski.. prawda?

Carradine nie patrzył na nią.

— Nie, pszepani. Raczej nie wystarczy.

43

Pracowali szybko, używając jak najmniej światła. Gonzalez nie wiedział, w jakim stopniu bestia polega na wzroku, ale nie zamierzał jej niczego ułatwiać.

Poklepał Phillipsa po ramieniu, potem wskazał słabo oświetlone skrzyżowanie.

— Ubezpieczaj ten róg — szepnął. — Podłączę ostatnie kable.

— Tak jest.

— Sygnalizuj, jak tylko coś usłyszysz.

— Tak jest.

Patrzył, jak Phillips idzie korytarzem — cień pośród cieni — i zajmuje pozycję w pobliżu skrzyżowania. Potem przeniósł wzrok na pospiesznie skonstruowaną pułapkę: pół tuzina grubych miedzianych kabli, zwisających z sufitu na wysokości trzydziestu centymetrów nad płytką kałużą wody. Prymitywne, ale dostatecznie zabójcze. Potem wśliznął się z powrotem w drzwi z napisem: ELEKTRYCZNA STACJA ROZRZĄDOWA.

344

Przystanął zaraz za progiem i rozejrzał się po skomplikowanej płataninie trybów, przekładni, wałów korbowych, rotorów i hydrauliki. Podstacja mieściła gigantyczną maszynę, niegdyś służącą do obracania czasz radarów. Wybrał to pomieszczenie z trzech powodów: było pod ręką, miało dostateczne zasilanie i znajdowało się przy jedynym korytarzu, który prowadził z tej sekcji poziomemu B. Prędzej czy później stwór musiał tędy przechodzić.

Przeniósł spojrzenie w róg pokoju, gdzie stał kapral Marcelin z bronią przy nodze, drżący, ze spuszczonej oczami. Potem, podniósłszy luźne końcówki miedzianych kabli — razem z Phillipsem przerzucili je przez rury na suficie korytarza i przez nadświetle nad drzwiami — ruszył w stronę głównego panelu elektrycznego. Chociaż czasze radaru nie obracały się od prawie pół wieku, zasilające je kable elektryczne wciąż działały. Przed chwilą sam je sprawdził: bezpieczniki trochę się kruszyły, złącza zardzewiały, ale nadal mogły przewodzić silny prąd. Poza tym nie musiał uruchamiać czaszy radaru — wystarczyło doprowadzić do nich elektryczność.

W jaki sposób Sully oraz pozostali naukowcy odkryli, że elektryczność to słaby punkt

bestii, Gonzalez nie wiedział i mało go to obchodziło. Przede wszystkim ucieszył się — jak cholera — że stwór w ogóle ma jakiś słaby punkt. Opracowanie planu i wprowadzenie go w życie trwało piętnaście minut. I w ciągu tych piętnastu minut na szczęście był zbyt zajęty, żeby myśleć.

Główna skrzynka elektryczna była osadzona w ścianie

345

obok wejścia, przymocowana do metalu czterema ceramicznymi izolatorami. Gonzalez otworzył pokrywę i zaświecił do środka. W promieniu światła załśniły cztery rzędy masywnych bezpieczników. Upewnił się, że prąd jest odcięty, po czym scyzorykiem zdarł grubą izolację z końcówek ośmiożyłowych kabli. Jak najszybciej przymocował kable bezpośrednio do szyny. Obrzucił spojrzeniem panel, sprawdzając, czy wszystkie bezpieczniki są wykręcone. Potem chwycił dźwignię obok panelu i przesunął na pozycję „włączone”. Rozległ się słaby szum, kiedy prąd popłynął przez przewody.

Teraz kable przewodziły sześć tysięcy woltów i dwadzieścia amperów. Takie napięcie — trzy razy większe niż na krześle elektrycznym — zatrzyma serce każdego zwierzęcia, nawet największego. Zresztą Gonzalez nie ryzykował: dwadzieścia amperów upiecze go na skwarę.

Przerzucił dźwignię z powrotem na pozycję „wyłączone” i odwrócił się do Marcelina.

— Podejdźcie tu, kapralu.

Przez chwilę Marcelin sprawiał wrażenie, że nie słyszał. Potem podniósł swój M16 i podszedł na drewnianych nogach.

— Czekał tutaj. Kiedy powiem, pchnij tę dźwignię. Zrób to szybko. Jasne?

Kapral kiwnął głową.

— Zajmij pozycję przy drzwiach. Zaczekaj, aż stwór wdepnie w wodę i dotknie drutów. Potem zacznij strzelać... i nie przestawaj.

346

Marcelin stanął obok skrzynki elektrycznej. Gonzalez po raz ostatni spojrzął na prowizoryczne złącze, po czym wyszedł na korytarz i zajął stanowisko w bezpiecznej odległości od kabli. Sprawdzał broń, wysunął magazynek, stuknął nim delikatnie o podłogę, wepchnął go z powrotem. Teraz pozostało tylko czekanie.

W myślach szybko przebiegł kolejne punkty planu. Upłynęło ponad trzydzieści lat, odkąd uczył się inżynierii, ale dobrze pamiętał podstawy. Woda jest dobrym przewodnikiem

elektryczności. Organizmy żywe składają się głównie z wody, dlatego dobrze przewodzą prąd. Więc: powiesić w korytarzu tyle przewodów pod napięciem, żeby bestia musiała dotknąć przynajmniej jednego, i opuścić je tak nisko, żeby nie mogła pod nimi przepelznąć. Rozlać wodę na podłodze, żeby utworzyła kałużę sięgającą od ściany do ściany. Umieścić kable nad wodą i puścić przez nie prąd dodatni. Kiedy bestia wejdzie w wodę, zamknie obwód — i do widzenia.

Plan wydawał się niezawodny. Teraz bestia musiała tylko się pojawić.

Gonzalez skulił się, żeby być jak najmniej widoczny. Przed sobą, na skrzyżowaniu, widział niewyraźną sylwetkę Phillipsa. Phillips stanowił przynętę. Szeregowiec miał dobry widok na korytarz w obie strony; zobaczy bestię z daleka. Pokaże jej się, po czym wycofa się korytarzem, obok kabli i przez wodę, do miejsca, gdzie czekał Gonzalez. Kiedy bestia się zbliży, dadzą sygnał Marcelinowi, żeby pchnął dźwignię — i przeklęty stwór się usmaży.

347

Gonzalez przytulił do policzka kolbę swojego M16, spojrzał wzdłuż lufy. Podczas sprawdzania skrzynki elektrycznej i przeciągania kabli aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że stwór może ich zaskoczyć w każdej chwili. Teraz, gdy wszystko przygotował, miał czas pomyśleć. Ale nie chciał myśleć. Ponieważ wiedział, dokąd pobiegną jego myśli: do tamtej szaleńczej, bezrozumnej, panicznej ucieczki z magazynu części zapasowych, kiedy nie wiedział, czy lada moment stwór nie zatopi kłów w jego karku, nie wyszarpie mu pazurami wnętrzości...

Zmienił pozycję. Nie trzeba już zachowywać ciszy, skoro pułapka jest zastawiona.

— Phillips! — zawołał. — Widzisz coś?

W kręgu światła przy zbiegu korytarzy Phillips pokręcił głową, krzyżując przedramiona. Gonzalez znowu poruszył się niespokojnie w ciemności. Rakieta Creela haniebnie chybiła; nic dziwnego, że nie powstrzymała stwora. Ale ten grad kul później: czy to możliwe, że wszystkie chybiły? Bo jeśli nie, to znaczyło...

Gonzalez nie chciał myśleć, co to znaczyło.

Może bestia nie żyła. Może została śmiertelnie ranna i jej ścierwo leży gdzieś w ciemnych korytarzach. Albo może przeszła na poziom C. Może będą tu siedzieć godzinami w ciemnościach i czekać...

Gonzalez gwałtownie pokręcił głową, żeby odpędzić te myśli. Zajrzał do podstacji, zatrzymał wzrok na nieruchomej postaci Marcelina. Kapral był w złym stanie. Gonzalez

chciał wierzyć, że kapral pociągnie za dźwignię, że można

348

na nim polegać. Sam nie mógł być w dwóch miejscach naraz, a Phillips potrzebował go, żeby...

Ruch na krawędzi pola widzenia kazał mu spojrzeć znowu w głąb korytarza. Phillips gestykulował gorączkowo, z przerażoną miną.

— Idzie?! — zawołał Gonzalez. — Widzisz go?

Phillips jedną ręką gmerał przy broni, upuścił ją podniósł z pośpiechem. Drugą ręką przez cały czas wymachiwał nad głową, całkiem jak kowboj kręcący lassem.

— Wracaj tutaj! — wrzasnął Gonzalez. — Marcelin, przygotuj się z tą wajchą! Ale Phillips nie ruszył się z miejsca. Stał, bezgłośnie poruszając ustami, jakby strach odebrał mu mowę.

Gonzalez wpatrzył się w ciemność, mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć Phillipsa. Skupił wzrok na jego uniesionej ręce i teraz zobaczył, że ręka wcale nie machała. Wskazywała. Wskazywała coś za plecami Gonzalez.

Z wnętrzościami ściśniętymi strachem sierżant szybko obejrzał się przez ramię. Był tam: czerń na tle czerni, w odległości około piętnastu metrów, skradał się ze zręcznością niewiarygodną u tak wielkiego stworzenia. Gonzalez skamieniał ze zgrozy. Serce na chwilę zamarło mu w piersi, potem znowu ożyło i dziko załomotało o żebra. Zatoczył się do tyłu, rozchlapując wodę i wprawiając kable elektryczne w szaleńczy taniec. Potykając się, runął w stronę Phillipsa. To niemożliwe, mówił jakiś głos w odległej części jego umysłu. Ten korytarz to jedyne wyjście. On nie mógł nas ominąć. A jednak jakoś

349

ominał. Zdyszany, dotarł do Phillipsa i zobaczył, że stwór zatrzymuje się na chwilę i patrzy na nich żółtymi, zimnymi, nieruchomymi oczami, zanim znowu ruszył do przodu.

— Marcelin! — krzyknął Gonzalez. — Marcelin, teraz!

Z podstacji nie dobiegła żadna odpowiedź.

— Marcelin, przerzuć tę cholerną wajchę!

Czy to cicho zaszumiał transformator przekazujący ładunek? Gonzalez słyszał tylko własny urywany oddech. Nagle znowu poczuł bolesny ucisk w głowie. Stwór dalej się do nich podkradał. Jeszcze kilka sekund i minie drzwi podstacji... i dojdzie do przewodów.

Gonzalez padł płasko na podłogę, przytulił do policzka kolbę M16. Próbował wycelować, lecz lufa wciąż wznosiła się i opadała w rytmie bicia jego serca. Bestia przyspieszyła, jakby przestała wreszcie udawać, że się skrada.

— O mój Boże :— powtarzał Phillips, ni to skowytał, ni to się modlił. — O Boże. O Boże...

Następny krok. I następny. Stwór ani na chwilę nie odrywał od nich wzroku, szedł bez mrugnienia, bez wahania. W jego oczach było coś tak okropnego, że Gonzalez zmartwił ze zgrozy. Resztkami sił ścisnął karabin, żeby go nie upuścić na podłogę.

A potem stwór dotarł do kałuży. Zawahał się na chwilę, po czym wsunął się pomiędzy dwa dyndające kable.

Przez chwilę nic się nie działo. Potem rozległ się donośny, przeraźliwy trzask. Sina błyskawica przeskoczyła pomiędzy kablami, wygięła się w łuk nad masywnym zadem stwora, wypluła w stronę sufitu setkę rozwidlonych języ-

350

ków. W powietrzu rozszedł się zapach ozonu. Gonzalez poczuł, że włosy na karku stają mu dęba. Falujące gniewnie kłęby szarego dymu wypełniły korytarz i zasłoniły stwora.

Narastający jęk świadczył, że transformator usiłuje wyciągnąć więcej prądu. Światła zamigotały raz i drugi, a potem przeciążony transformator wysiadł z głuchym hukiem.

Korytarz pograżył się w kompletnych ciemnościach.

— O Boże — powtarzał wciąż Phillips monotonicznie jak mantrę. — O Boże.

Światła znowu się zapaliły, kiedy dodatkowy transformator przejął ładunek. Kable drgały i podskakiwały, sypiąc fontannami iskier. Gonzalez wyteżył wzrok, rozpaczliwie wypatrując stwora za falującą zasłoną dymu. Na pewno zdechł. Na pewno. Nic nie mogło przeżyć...

Łeb bestii wychynął z gęstych oparów. Gonzalez zachłysnął się i mocniej ścisnął broń. Dym powoli się rozplątał i odsłaniał potężne cielsko. Na sierści widniały czarne ślady spalenizny. Przez chwilę stwór trwał w bezruchu, jak martwy.

A potem rozdziawił paszczę.

W podstacji Marcelin zaczął wrzeszczeć.

Stwór odwrócił się w stronę hałasu. Przysiadł na potężnym zadzie. Potem podniósł się i powoli, niespiesznie wszedł do środka. Gonzalez patrzył jak skamieniały, niezdolny do ruchu, niezdolny do działania, i tylko coraz szybsze łomotanie jego serca akompaniowało wrzaskom Marcelina.

— Co to było? — Conti odwrócił się nagle, kamera przechyliła mu się niebezpiecznie na ramieniu.

Jeszcze raz wszyscy troje przystanęli i wyteżyli słuch.

Wolff przechylił głowę na bok.

— Nic nie słyszę — oświadczył. — Już trzeci raz to robisz.

— Mówię ci, że coś słyszałem. Chyba krzyk. Albo płacz. — Conti wskazał w głąb korytarza. — Dochodził stamtąd.

Kari Ekberg powiodła wzrokiem za wyciągniętym palcem reżysera. Korytarz prowadził w ciemność. Ciemność tak głęboką, że nie widać było końca. Zupełnie jakby ciągnął się w nieskończoność, w lodowe pustkowie i ark-tyczną noc. Kari zadrżała pomimo wilgotnego ciepła.

Od pół godziny bez powodzenia szukali oddziału Gonzaleza. Najpierw próbowali w przedsionku, ale nie znaleźli tam nic oprócz sporego arsenału. Potem sprawdzali środkowe skrzydło, zataczając coraz szersze kręgi. W miarę, jak mijały minuty, Conti coraz bardziej się denerwował:

352

robił im gorzkie wymówki, że zmarnował tyle czasu na przekonanie ich, żeby mu pomogli, narzekał nieustannie, że straci swoje „okno możliwości”. Kiedy poszukiwania przeniosły się do południowego skrzydła, Ekberg poczuła się wyraźnie nieswojo. Obawiała się, że zamiast oddziału Gonzaleza równie dobrze mogą znaleźć stwora.

— Chodźmy dalej — ponaglał Conti. — Szpital jest tuż przed nami.

— Wiem — odparł Wolff. — Też tam byłem, pamiętasz? Dlaczego uważasz, że sierżant poszedł tędy?

— Słyszałem, jak mówili, że Ashleigh i ten żołnierz zginęli niedaleko stąd — wyjaśnił reżyser.

— Dla mnie to raczej powód, żeby trzymać się z daleka — oświadczyła Ekberg.

Conti nie raczył odpowiedzieć. Zamiast tego włączył dodatkowe oświetlenie kamery. Żółte światło wypełniło korytarz, zmieniając w ostry relief sterty przestarzałego sprzętu pod ścianami.

— Skoro koniecznie chcesz ich znaleźć — powiedział Wolff — czemu nie użyjesz radia?

— Nie mogę — odparł Conti. — Ten sierżant nie wierzy w moją pracę. Żaden z nich nie wierzy. Pewnie skierują nas w odwrotną stronę, żeby się nas pozbyć. Albo skonfiskują kamerę. Nie możemy ryzykować.

Poprowadził ich korytarzem. Mijali szeregi drzwi, w większości zamkniętych; te otwarte ukazywały mroczne wnętrza pełne nieznanymi przyrządów. Zeszli po schodach, skręcili za róg.

353

— To tutaj, prawda? — powiedział Conti. — Te drzwi na lewo?

Wolff przytaknął.

Ekberg weszła za nimi do małej poczekalni. Nigdy jeszcze nie była w tej części bazy i pomimo niepokoju z ciekawością oglądała zakurzony sprzęt medyczny oraz wyblakłe etykiety na buteleczkach ustawionych za szklanymi drzwiczkami. Conti wszedł już do drugiego pokoju i kiedy usłyszała, jak gwałtownie wciągnął powietrze, zrozumiała, że coś znalazł. Zajrzała tam i zobaczyła dwa nakryte ciała leżące na stole zabiegowym. Jedno wydawało się nienormalnie krótkie, jakby poskładane z oddzielnych kawałków. Plastikowe worki były tak grubo wysmarowane krwią i płynami ustrojowymi, że nie dało się zobaczyć zawartości. Ekberg szybko odwróciła wzrok.

— Kari — powiedział Conti.

Nie mogła odpowiedzieć, przytłoczona zgrozą.

— Kari — powtórzył. — Włącz zestaw dźwiękowy.

Ledwie zdołała włączyć mikser i wetknąć kabel mikrofonu. Conti pochylił się nad ciałami, bezlitośnie omiatając je światłem kamery.

— Są tutaj — powiedział do mikrofonu zawieszzonego na szyi, głosem pełnym napięcia, stosownie do powagi sytuacji. — Ostatnie ofiary. Jeden był zwykłym żołnierzem, odbywającym służbę dla kraju. Oddał życie, próbując bronić innych. Druga ofiara, Ashleigh Davis, była jedną z nas i również odbywała służbę... służbę na swój sposób nie mniej ważną. Przybyła do tego miejsca zapomnianego

354

przez Boga i ludzi, żeby rozwiązać wielką tajemnicę. Była nieustraszoną dziennikarką, która nigdy nie cofała się przed niebezpieczeństwem, nigdy nie wahała się ryzykować życia dla innych, czy chodziło o rozrywkę, czy oświatę. Stwór, który ich zabił, nadal tu jest... ścigany przez oddział żołnierzy, którzy zamierzają go zniszczyć.

Zamilkł, ale kamera zatrzymała się na zakrytych ciałach, przesuwała się tam i z powrotem, robiła zbliżenia i panoramę.

— Nigdy ci nie pozwolą tego puścić — oświadczył Wolff-

— Myślałem o DVD w późniejszym terminie — wyjaśnił Conti. — Wersja reżyserska.

— Opuścił kamerę- — Mieliśmy szczęście.

— Szczęście? — powtórzyła Ekberg. — O czym ty mówisz?

— Że ich tu znaleźliśmy. Bałem się, że już są w chłodni.

Oni raczej nie mieli szczęścia, pomyślała Ekberg. Chciała zaprotestować, ale ugryzła się w język. To by nic nie dało.

Wrócili na korytarz i poszli dalej. Ich kroki budziły echo wśród pustych ścian. Co jakiś czas Conti ich zatrzymywał i nadsłuchiwał uważnie, stojąc bez ruchu. Na jego twarzy malowało się dziwne, skrywane podniecenie. Oczy mu błyszczały. Ekberg jeszcze nie widziała, żeby tak się zachowywał. Obejrzała się niespokojnie na Wolffa. W odbłaskach reflektora kamery jego twarz przypominała maskę zwątpienia.

Następne skrzyżowanie, następny korytarz bez końca. Conti jeszcze raz przystanął.

355

— Patrzcie — powiedział, wskazując w głąb korytarza kamerą niczym ponadwymiarową latarką. — Czy to krew na podłodze?

Ekberg podążyła wzrokiem za promieniem światła. Miał rację: jakieś dwadzieścia metrów przed nimi podłogę pokrywały rozbryzgi czegoś, co mogło być tylko krwią. Zdawało się, że wyleciały z otwartych drzwi z tabliczką: STACJA TRAF0. Przed drzwiami krzyżowały się liczne krwawe ślady stóp, prowadzące do pokoju, z pokoju i na koniec korytarza. Ekberg poczuła ukłucie strachu.

Conti podbiegł truchcikiem, unosząc wizjer kamery do oka. Kari patrzyła, jak wycelowuje obiektyw na krew i przejeżdża z lewej na prawą w długim, niespiesznym, panoramicznym ujęciu. Potem podszedł do drzwi — brudząc krwią buty — i zaczął filmować wnętrze pokoju. Kiwnął na Ekberg, żeby znowu włączyła dźwięk.

— Tutaj odbyła się masakra — zaintonował. — Tutaj napotkali niepojętą ostateczność śmierci. Śmierci z rąk istoty określanej mianem potwora... potwora, którego sekrety musimy teraz odkryć... by położyć im kres.

Skinął na Ekberg, żeby wyłączyła dźwięk. Opuściwszy kamerę, wskazał z podnieceniem na podłogę przed sobą.

— Patrzcie. Te ślady... co najmniej trzy zestawy! To na pewno Gonzalez i jego ludzie.

— Zamilkł i uważniej przyjrzał się podłodze. — Mój Boże. Czy to trop potwora?

Znowu podniósł kamerę i skierował ją w głąb korytarza.

Ekberg podeszła bliżej, ale nie zajrzała do pokoju, gdzie zginęli Ashleigh i żołnierz nazwiskiem Fluke, tylko skupiła

356

wzrok na krwawej plamie, w którą wpatrywał się Conti. To nie mógł być ślad stwora — niemożliwe. Za duży; zbyt nienaturalny kształt. Coś w tym kształcie nagle ją przeraziło i szybko odwróciła wzrok.

— Pięknie — mamrotał Conti, filmując. — Po prostu pięknie. Lepsze byłoby tylko...

Opamiętał się i urwał. Opuścił kamerę i rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę Wolffa i Ekberg.

Słabe oświetlenie w korytarzu przygasło, pojaśniało, znowu przygasło. Potem całkiem zgasło. Ekberg znalazła się w kompletnych ciemnościach. Usłyszała, jak Wolff syknął zaskoczony. Po kilku sekundach światło znowu się zapaliło, trochę słabsze niż przedtem.

Conti oparł kamerę na ramieniu.

— Gotowi?

— Nie wiem, czy to dobry pomysł — zaproponował Wolff.

— Co ty wygadujesz? Przecież teraz wiemy, dokąd poszli. Właśnie o to nam chodziło... musimy się pospieszyć.

Pobiegł truchtem. Po chwili Wolff ruszył za nim. Ekberg niechętnie wlokła się z tyłu.

Korytarz skończył się na skrzyżowaniu, skąd krwawe ślady skręcały wyraźnie w prawo.

Minęli kilkoro drzwi i schody prowadzące na poziom C, zanim trop się urwał. Przystanęli w miejscu, gdzie na podłodze widniała ostatnia plamka krwi.

— No i? — zapytał Wolff.

Conti wskazał przed siebie.

357

— Korytarz kończy się ślepo tam, przy tym pokoju.

Znowu przyłożył kamerę do oka i ruszył dalej.

Ekberg stała i patrzyła, jak reżyser idzie w stronę

podwójnych drzwi z napisem: ZAPLECZE TECHNICZNE RADARU. Drzwi były otwarte i

— co dziwne — w środku paliło się światło. Conti wszedł do środka. Spojrzał najpierw w

lewo, potem w prawo. I zamarł. Przez długą chwilę trwał w bezruchu. Wreszcie włączył kamerę i filmował przez jakieś piętnaście sekund. Potem wyrztał na korytarz.

— Kari? — odezwał się dziwnie grubym głosem. — Możesz tu przyjść na chwilę?

Ekberg przeszła korytarzem, przekroczyła próg. Naprzeciwko drzwi zobaczyła wielki metalowy regał, wypełniony przestarzałym, zakurczonym sprzętem. Spojrzała pytająco na Contiego, który ruchem głowy wskazał coś za jej ramieniem. Odwróciła się w tamtą stronę. W pierwszej chwili nic nie zauważyła. Potem jednak spuściła wzrok niżej, na podłogę w kącie. Leżała tam głowa, przewrócona, spoglądająca na nią niemal z wyrzutem. Ekberg zatoczyła się do tyłu w podwójnym szoku: zaskoczenia i zgrozy. Częścią świadomości zarejestrowała, że głowa należała do Creela, brygadzysty ekipy robotników, których zatrudnili w Anchorage. Głowa została brutalnie oderwana od ramion, krew z arterii rozprysła się dookoła, tworząc szeroką koronę. Trochę dalej dwie obute stopy wyglądały niemal figlarnie zza krawędzi metalowego regału.

358

Ekberg jęknęła i cofnęła się szybko, o coś przy tym uderzając. Odwróciła się i spojrzała prosto w szerokokątny obiektyw kamery Contiego. Filmował ją. Widziała w szkle pomniejszone odbicie swojej twarzy — bladej, bezbronnej, przestraszonej.

— Przestań! — usłyszała własny krzyk. — Cholera jasna, przestań, przestań!

45

— Skończyłem analizę krwi na odłamkach ze skarbca — oznajmił cicho Faraday. Marshall obejrzał się na niego. Biolog podniósł wzrok znad laboratoryjnej wirówki. Przez ostatnie kilka minut biegał od mikroskopu stereoskopowego do wirówki i z powrotem. Ze śladami odcisniętymi przez okular mikroskopu wyglądał jak szop prac.

— I? — ponaglił go Marshall.

— Nie przypomina niczego, z czym się dotąd zetknąłem.

Sully westchnął niecierpliwie. Gonzalez się nie zgłaszał, a klimatolog nie lubił czekać.

— Może jakieś konkrety, Wright.

Faraday włożył z powrotem okulary i zamrugał.

— To dotyczy białych krwinek. Głównie.

Sully machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „Czekamy”.

— Wiecie, że białe krwinki zwalczają infekcje, zapalenia i tak dalej. Limfocyty,

neutrofile, bazofile... wszystkie

360

pełnią funkcje obronne, leczą rany. No więc ten organizm ma nadzwyczaj rozwiniętą produkcję białych krwinek. To jak lecznicza maszyna na sterydach. Wykryłem niezwykle wysokie stężenie monocytów. I wcale nie są typowe: są ogromne. Najwyraźniej potrafią zmienić się w makrofagi i władować do krwiobiegu tonę cytokinów oraz innych chemikaliów, powodując niemal natychmiastowe wyleczenie.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Faraday kontynuował:

— Jest coś jeszcze. Testy wykazują w krwi i tkankach obecność składnika chemicznego bardzo podobnego do arylcykloheksylaminy.

— Że co? — zapytał Marshall.

— To czynnik aktywny w PCP*. Występuje we krwi stwora w niesłychanie wysokim stężeniu: ponad sto nano-gramów na mililitr. Przypuszczam, że to antagonist receptoru NMDA, działający jednocześnie jako stymulator i środek znieczulający. Nie rozumiem tylko, jak stwór może wytwarzać tę substancję... nigdy nie widziałem niczego takiego w naturze, z pewnością nie w takich stężeniach. Zakładając, że nie jest egzogeniczna, może przysadka mózgowa uwalnia ją do krwiobiegu w reakcji na stres. W każdym razie taka ilość egzotycznych chemikaliów we krwi tłumaczy, dlaczego stwór wydaje się niewrażliwy na kule i inną broń. On po prostu nie czuje ran...

* PCP, fencyklidyna — substancja psychoaktywna, dawniej używana do znieczulania przedoperacyjnego, wycofana ze spisu leków ze względu na psychoaktywne działanie i neurotoksyczność.

361

— To bardzo interesujące — przerwał mu Sully. — Ale nie przybliżyła nas do prawdziwego celu: znaleźć piętę achillesową tego cholerstwa.

— On ma rację — przyświadczył Logan. — Najważniejsze to dowiedzieć się, jak go załatwić.

— Może już go załatwili — powiedział Marshall. Rozejrzał się po laboratorium oczami przekrwionymi po długiej jeździe w śnieżycy. — Może on już nie żyje. Ostatnim razem elektryczność poskutkowała.

— Ostatnim razem bestia, z którą mieli do czynienia, była znacznie mniejsza — wytknął mu Sully. — Nawet nie wiemy, czy to ten sam gatunek.

— Ten sam — odezwał się Usuguk. — Kurrshuą to kurrshuą. Różni je tylko wielkość, siła, zdolność czynienia zła.

Marshall obejrzał się na Tunitę, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na podłodze laboratorium. Starzec wyjął z woreczka z lekami kilka przedmiotów przypominających fetysze i rozłożył je przed sobą. Podnosił każdy po kolei i przemawiał do niego cichym, śpiewnym głosem, błagalnym i nagłym. Potem starannie odkładał przedmiot, obracał go z czułością i podnosił następny.

— Co robisz? — zapytał Marshall.

— Odprawiam ceremonię — brzmiała odpowiedź.

— Tyle zrozumiałem. Jaką ceremonię?

— To miejsce stało się niespokojne. Pełne zła. Proszę moje duchy przewodnie o pomoc.

— Czemu ich nie poprosisz przy okazji, żeby przysłały

362

jedną czy dwie bazooki? — zagadnął Sully. — Najchętniej M20.

Na korytarzu za drzwiami rozległ się hałas. Szybkość, z jaką wszyscy oprócz Usuguka odwrócili się w tamtą stronę, uświadomiła Marshallowi napięcie wiszące w powietrzu. Klamka się obróciła, drzwi się otwały. W progu stanęli sierżant Gonzalez i szeregowiec nazwiskiem Phillips. Weszli powoli i zniknęli drzwi za sobą.

— No i co? — zapytał Sully.

Gonzalez sztywno przeszedł na środek pokoju. Zdjął z ramienia M16 i upuścił na podłogę. Phillips po prostu stał w miejscu, z poszarzałą twarzą.

— Zabiliście go? — zapytał Marshall.

Gonzalez ze znużeniem pokręcił głową.

— A pułapka? — ponaglił Logan. — Elektryczność?

— Elektryczność go rozwścieczyła — odparł Gonzalez.

— Więc co się stało? — zapytał cicho Marshall.

Sierżant wbił wzrok w podłogę. Prawie przez minutę milczał. W końcu głęboko zaczerpnął powietrza.

— Zastawiliśmy pułapkę tak, jak mówiliście. Kałuża wody na podłodze, na metalowej płycie. Zasłona gołych drutów zwisających z sufitu, podłączonych do źródła wysokiego napięcia. W korytarzu, przez który ten stwór musiał przejść, jeśli chciał dotrzeć do pozostałej części bazy.

— No i? — ponaglił go Marshall.

— W jakiś sposób nas przechytrzył. Zaszedł nas od tyłu. Nie wiem, jak ominął nasze pozycje. Wycofaliśmy

363

się. Poszedł za nami, wlaźł na druty. Dostał pełny ładunek. — Pokręcił głową na to wspomnienie.

— Jakiej mocy? — zapytał Logan.

— Sześć tysięcy woltów.

— To niemożliwe — oświadczył Faraday. — Na pewno coś źle podłączyliście. Żadne zwierzę nie mogło przeżyć takiego ładunku.

— Wszystko dobrze podłączyłem. Strzeliło jak z armaty.

— A stwór? — zapytał Marshall.

— Osmaliło mu sierść w paru miejscach. I tyle.

Zapadła krótka cisza.

— Jak wróciliście? — zapytał Sully.

— Marcelin został w podstacji, żeby włączyć prąd. Zaczął krzyczeć. Stwór poszedł po niego. Przebiegliśmy obok, kiedy... — nie musiał kończyć zdania.

Znowu zapadła cisza, tym razem dłuższa. Marshall rozejrzał się po przygnębionych twarzach. Dopiero teraz, w obliczu klęski, zrozumiał, jak bardzo liczył na sukces oddziału Gonzaleza. Pokładał zbyt wiele wiary w opowieść Tunity, że stwora można pokonać elektrycznością, więc nie mógł się pogodzić z przegraną. A jednak coś w słowach Gonzaleza zabrzmiało znajomo. Poszukał w pamięci związku.

A potem nagle znalazł.

— Chwileczkę — powiedział głośno.

Wszyscy odwrócili się do niego.

— Może to nie elektryczność go rozwścieczyła.

— Co sugerujesz? — zapytał Logan.

— Ten stwór jest dla nas kompletną zagadką, prawda?

364

To wybryk natury, genetyczna aberracja. Ma niezwykłą krew. Wydaje się odporny na broń konwencjonalną. Więc dlaczego zakładamy, że rozumiemy jego motywacje albo emocje... albo cokolwiek z nim związanego?

— Do czego zmierzasz? — zapytał Sully.

— Do tego: przez cały czas zakładamy, że stwór chce tylko nas wymordować. A jeśli wcale nie o to chodzi? Pamiętajcie, co mówił Toussaint? Że on się z nami bawi. Może on właśnie to robi: bawi się.

— Usuguk mówił to samo — podsunął Logan. — O tamtym pierwszym. Bawił się, jak lisiątko bawi się z myszą.

— Bawił się? — powtórzył Sully. — Czy on się bawił, kiedy zabił tego asystenta produkcji, Petersa?

— Może on nie wiedział, co robi. Albo się tym nie przejmował. Dla niego to było częścią zabawy... kot nie współczuje cierpieniom myszy. Rzecz w tym, że może stwór wcale nie zamierzał zabijać. Przynajmniej na początku. Kiedy ciało Petersa umieszczono w szpitalu, wrócił i zabrał je... jak zabawkę. I spójrzcie na Toussainta: powieszono go jakby dla żartu. I coś jeszcze. Stwór zabijał, rozdzierał na strzępy... ale nie pożarł żadnej ofiary. Ani jednej.

— W jakiś sposób go rozgniewaliśmy — zakonkludował Logan.
Marshall przytaknął.

— I chyba wiem czym. Co mieli ze sobą wspólnego wszyscy, którzy dotąd zostali zabici? Wszyscy krzyczeli.

— Całkiem normalna reakcja, kiedy widzisz przed sobą krwiożerczego potwora — zauważył Sully.

365

— Marcelin krzyczał — ciągnął Marshall. — Czy sierżant Gonzalez nie sugerował, że dlatego stwór nie rzucił się na niego, tylko na Marcelina?

— I Ashleigh Davis — dodał Logan. — Żołnierze słyszeli jej krzyk.

— Creel też krzyczał — odezwał się Gonzalez. — Stwór mnie odepchnął, żeby go dopaść.

Marshall odwrócił się do Usuguka.

— A ty mówiłeś, że pierwsza bestia, mniejsza, wpadła we wściekłość dopiero wtedy, kiedy puszczono jej taśmy z głosami przerażonych zwierząt. Piskami królików. Ale Toussaint nie krzyczał. Słyszeliśmy go na ścieżce audio. On tylko mamrotał: nie, nie, nie.

— To wyłącznie jałowe spekulacje — stwierdził Sully.

— To nie spekulacje, kiedy każdy przypadek pasuje do schematu — odparł Logan.

- O ile wiemy, krzyki po prostu przyciągają jego uwagę — ciągnął Sully.
- On ma wszystkie zmysły niezwykle wyczulone — odparł Marshall. — Nie musi się kierować dźwiękiem, żeby coś zauważyć.

W pokoju zapadło milczenie. Marshall widział, że oczy wszystkich skierowane są na niego. Nawet Usuguk odłożył swój totem i wpatrywał się w niego z napięciem.

- Myślę, że hałas sprawia mu ból, nawet wielki — podjął Marshall. — Zwłaszcza dźwięki o określonej częstotliwości i amplitudzie... jak krzyk. Spójrzcie na jego uszy, jak bardzo przypominają uszy nietoperza. On może zupełnie

366

inaczej reagować na dźwięki niż my. Myślę, że ten stwór odbiera krzyk jako zagrożenie, agresję... i odpowiednio reaguje.

- A skoro tyle razy na niego krzyczeliśmy — podchwycił Logan — uznał nas za wrogów... i wpadł w złość.

Marshall kiwnął głową.

- Zamiast nas zabijać niechący przy zabawie, zaczął mordować na serio. W samoobronie.

- Tego już za wiele — prychnął Sully. — Co proponujesz: żebyśmy go zabili dźwiękiem?

- Tak, proponuję, żebyśmy rozpatrzyli tę możliwość — potwierdził Marshall. — Przynajmniej dali mu się we znaki na tyle, żeby go przepędzić.

- Nawet jeśli to możliwe, jak mamy to zrobić? — nie ustępował Sully. — To jest stacja radarowa. Radar wykorzystuje fale elektromagnetyczne, nie fale dźwiękowe.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał. W końcu Logan znowu zabrał głos:

- Jest skrzydło naukowe.

- I co z tego? — zapytał Sully.

- Wiem z tego starego dziennika, że jego pierwotne przeznaczenie miało coś wspólnego z technologią sonarową. Nie wiem co, a Usuguk nie może nic o tym powiedzieć, najwyżej potwierdzić. Może chodziło o nowe wyposażenie łodzi podwodnych i potrzebowali odległego miejsca, żeby bez przeszkód prowadzić badania. Może to miało jakoś wspomagać radiolokatory z fazowym szykiem antenowym

367

w bazie. Ale pamiętajcie: te badania przerwano, kiedy znaleziono stwora, i północne

skrzydło przeprofilowano.

— Jednak o ile wiemy, oryginalne wyposażenie już zainstalowano, zanim znaleziono stwora. — Marshall odwrócił się do Usuguka. — Pamiętasz, że widziałeś w północnym skrzydle jakieś przyrządy, instrumenty?

Tunita kiwnął głową.

— Wiele było nakrytych plandeką albo brezentem. Inne były jeszcze w skrzyniach. I był pokój, duży, okrągły, ze ścianami obitymi czymś, co wyglądało jak sierść karibu.

— Pewnie jakaś komora echa — stwierdził Faraday.

— Ale nawet jeśli tam zmagazynowano instrumenty, kto ma akustyczne doświadczenie, żeby je uruchomić? — zapytał Logan.

— To nie problem — odparł Sully. — Każdy z nas ukończył obowiązkowe kursy elektrotechniczne na studiach podyplomowych.

— Widziałeś mój keyboard — powiedział Marshall. — Na studiach skonstruowałem syntetyzator analogowy.

— Byłem radioamatorem — dodał Faraday. — Jeszcze mam licencję.

Logan odwrócił się do Gonzaleza.

— No więc jak? Teraz pan nas wpuści?

— Nikt nie wchodził do północnego skrzydła od pięćdziesięciu lat — odparł sierżant.

— To nie jest odpowiedź — oświadczył Logan.

Gonzalez przez chwilę milczał. Potem krótko kiwnął głową.

368

— A co z Kari Ekberg i resztą? — zapytał Marshall.

Gonzalez wyciągnął radio.

— Gonzalez do Contiego. Powtarzam, Gonzalez do Contiego. Zgłoś się.

Tylko szum zakłóceń.

— Zaraz, chwileczkę — odezwał się Sully. — Nie wiemy na pewno, ile w tym prawdy. To tylko teoria.

— Wolisz tu czekać, aż ten stwór nas wszystkich pozabija? — warknął Marshall. — Nie mamy innych opcji. — Wstał. — Chodźmy. Czas ucieka.

46

Stali w mrocznym korytarzu przed magazynem części zapasowych do radaru. Ekberg miała

głowę odwróconą, ręce zaciśnięte i splecione palce. Drżała pomimo ciepła. Wolff spojrzął na nią i odwrócił wzrok. Conti stał trochę dalej i przeglądał materiał, który właśnie nakręcił, na małym ekranie kamery.

— Dlaczego nie pozwoliłeś mi odpowiedzieć na wezwanie Gonzaleza? — zapytała.

— On pewnie tylko próbuje wycząić, gdzie jesteśmy — mruknął reżyser. — Widocznie wycofał się po tym ataku i teraz chce nas też ściągnąć z powrotem.

— Na pewno wrócił do laboratorium — oświadczył Wolff. — Dołączył do pozostałych. Jeśli ma rozum, powinien tak zrobić.

— Wątpię. Gonzalez to żołnierz; nie powstrzyma go takie niepowodzenie.

— Tak to nazywasz? — zripostował Wolff. — Niepowodzenie? Ten stwór właśnie zabił następnego z jego ludzi.

370

Conti pstryknął przełącznikiem na kamerze i ekran pociemniał.

— Gonzalez nie pogodzi się z tym tak łatwo. Pewnie z początku działał pochopnie. Teraz zrozumiał swój błąd... przekonał się, że polowanie na bestię to zły pomysł. Lepiej zastawić pułapkę na własnym terenie. Zaczekać, aż wróg sam do ciebie przyjdzie.

Wolff popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Emilio, co ty sobie wyobrażasz? Że to jakiś scenariusz filmowy, który możesz zmieniać?

Conti jakby go nie słyszał.

— Sprawdźmy tę klatkę schodową, którą minęliśmy. Mógł tam sprowadzić swój oddział, urządzić pole śmierci.

Dźwignął kamerę z powrotem na ramię i ruszył korytarzem. Wolff poszedł za nim, wciąż protestując.

Ekberg odprowadzała ich wzrokiem. Splątane cienie wypełniające korytarz z każdą chwilą wydawały jej się groźniejsze. Nie mogła wyrzucić z myśli widoku Creela: oderwana głowa z wytrzeszczonymi oczami, rozbryźnięta krew, okaleczony korpus. Na drewnianych nogach powlokła się za mężczyznami.

— Albo wywołamy przez radio Gonzaleza, albo wracamy do laboratorium — mówił Wolff. — To szaleństwo, żeby urządzać sobie spacer pod nosem tej maszyny do zabijania.

— Nie powiesz tak, kiedy będziesz odbierał Oscara za najlepszy film dokumentalny.

Poza tym masz broń.

— Creel też miał broń. Porządną broń. I popatrz, co się stało.

371

— Nie wiemy, co się stało. Różnie mogło się zdarzyć. Mógł się odłączyć od innych. Mógł spanikować i uciec... prosto w paszczę bestii.

Zbliżali się do klatki schodowej. Szyb o metalowych ścianach wyglądał jak czarna otchłań, tylko nikłe światelko z dołu wysrebrzało krawędzie stopni. Dalej korytarz biegł prosto do skrzyżowania, skąd jedna odnoga prowadziła do szpitala. Conti przystanął na szczycie schodów, żeby nastawić obiektyw kamery i włączyć dodatkowe oświetlenie.

— Nie pozwolę ci tam zejść — oświadczył Wolff.

Conti dalej majstrował przy kamerze.

— Czy nic do ciebie nie dotarło? To jest po prostu zbyt ważne. Jeśli oni są tam na dole, muszę ich sfilmować.

— W ogóle nie powinniśmy wychodzić z mesy. — Wolff obejrzał się na Ekberg, jakby szukając w niej poparcia.

Milczała, bo szok i zgroza odebrały jej głos. Tamten moment w mesie oficerskiej, kiedy zgodziła się nagrywać dźwięk dla Contiego, wydawał się odległym wspomnieniem.

Argument, że dla dobra filmu należy pominąć inne względy, teraz wzbudzał w niej odrazę.

— Tylko sprawdzę i zaraz wracam — zapewnił Conti. Znowu oparł kamerę na ramieniu.

— Zaczekaj tutaj, jeśli chcesz. Kari, potrzebuję twojej pomocy.

Ekberg pokręciła głową.

— Przepraszam, Emilio. Ja nie idę.

Wolff położył rękę na kamerze.

— Wracasz z nami. Zaraz.

372

— Nie masz prawa mi rozkazywać — zaprotestował Conti podniesionym głosem. — To mój film.

— Jestem przedstawicielem Blackpoola...

Nagle Wolff umilkł. Jęknął cicho z bólu i zakrył uszy rękami. Po chwili Ekberg też to poczuła: bolesny ucisk, który zdawał się emanować z wnętrza czaszki.

— Coś się dzieje — powiedziała.

— Musimy się stąd wynosić — odparł Wolff. — I to szybko, zanim...

Zastygł z otwartymi ustami, ze wzrokiem utkwionym w głębi korytarza. Ekberg odwróciła

się, pokonując wewnętrzny opór. Kolana uginały się pod nią ze strachu; bała się patrzeć, ale jeszcze bardziej bała się nie patrzeć.

Przed nimi, na skrzyżowaniu korytarzy, gęsta ciemność zaczęła się poruszać.

47

W niemal w całkowitym milczeniu schodzili na coraz niższe poziomy. Gonzalez prowadził, z M16 przewieszonym przez ramię, silną latarką oświetlając drogę wśród śmieci. Ciężki klucz nastawny zwisał z parcianej pętli przyszytej do jego kombinezonu. Za nim szedł Logan i naukowcy: Sully z bronią w obu rękach, Marshall i Faraday dźwigając brezentowe worki wypełnione spieszenie zebranymi narzędziami i sprzętem, które mogły się przydać. Dalej szedł Usuguk z wytatuowaną twarzą bez wyrazu. Pochód zamykał Phillips, który często rzucał przez ramię niespokojne spojrzenia.

Minęli magazyny na poziomie D. Regały z wiekowymi instrumentami i przestarzałymi zestawami czujników wyglądały w nikłym świetle jak uważni strażnicy. Latarka Gonzaleza zataczała łuki, chwytając w snop światła nowe przedmioty i płosząc szybkie cienie, które wyskakiwały z otwartych drzwi i wnęk magazynowych.

Cisza i ciemność zaczynały działać Marshallowi na

374

nerwy. Nie chciał zostawiać Ekberg, Contiego i Wolffa, ale perspektywa stworzenia skutecznej broni przeciwko potworowi warta była ryzyka. Zwolnił kroku, aż zrównał się z Tunitą.

— Usuguku — powiedział, pragnąc zająć czymś myśli. — Dlaczego nazywacie tę górę miejscem zła?

Tunita odpowiedział dopiero po chwili.

— To bardzo stara historia. Przekazywano ją z ojca na syna, z pokolenia na pokolenie, dłużej, niż sięga pamięć ludzka.

— Chciałbym ją usłyszeć.

Usuguk znowu zrobił przerwę.

— Mój lud wierzy w dwa rodzaje bogów, bogów światła i ciemności. Podobnie jak wszystko ma swoje przeciwieństwo... jest szczęście i smutek, dzień i noc... potrzebne były oba rodzaje bogów, żeby stworzyć nasz świat. Bogowie światła są najwyżsi i najstarsi: to bogowie dobra i mądrości. Oni dają pomyślne łowy, napełniają morze rybami. Pilnują naturalnego porządku. Bogowie ciemności są inni. Władają chorobami i śmiercią, ludzkimi

namiętnościami. Mieszkają w snach i koszmarach. Z czasem własna ciemność zaczęła ich zatruwać. Zrobili się zazdrośni o bogów światła. Uwiodło ich zło, które było ich narzędziem, źródłem mocy. I sami stali się źli.

Skęcili za róg, minęli szereg warsztatów naprawczych.

— Bogowie ciemności próbowali osłabić bogów światła, zmienić ich czyny w zło, zanieczyścić ziemię, zaćmić uzdrawiające słońce. Kiedy ponieśli porażkę, próbowali

375

użyć zła, żeby zdeprawować bogów światła, zwrócić ich przeciwko sobie. Choć bogowie światła są łaskawi, to ich zmartwiło i rozgniewało. I wtedy przemówił Anataą.

— Anataą?

— Bóg oszust. On nie należy ani do światła, ani do ciemności, tylko utrzymuje równowagę pomiędzy nimi. Widział postęпки ciemnych bogów i wiedział, że oni są niszczycielską siłą, zagrożeniem dla porządku rzeczy. Więc ofiarował pomoc. Poszedł do bogów ciemności i opowiedział im o sekretnej jaskini Tunitów: miejscu, gdzie trzymano pięćdziesiąt najpiękniejszych i najcnotliwszych kobiet plemienia. Ich piękność, mówił, była tak wyjątkowa, że mężczyźni nigdy nie mieli ich posiadać, tylko podziwiać je i czcić. Jaskinia leżała głęboko we wnętrzu góry. Opowieść wzbudziła pożądanie ciemnych bogów i rozpalila w nich krew.

W ślad za Gonzalezem zeszli po schodach na poziom E, najniższy w środkowym skrzydle. Metalowe stopnie dźwięczały cicho pod ich stopami.

— Bogowie ciemności zapytali Anataaa, gdzie jest ta góra. Ale bóg oszust nie chciał im powiedzieć. Powiedział tylko, że odwiedza górę raz w roku, w wigilię letniego przesilenia, kiedy strażnicy kobiet odchodzą na ceremonię oczyszczenia. Przed następnym letnim przesileniem udał się do wydrążonej góry. Bogowie ciemności podążyli za nim, jak się spodziewał. A kiedy znaleźli się w najgłębszej komnacie, Anataą zalał ich płynnym ogniem i uwięził w środku.

376

— Lawa — mruknął Marshall.

— Bogowie ciemności wpadli w straszliwy gniew. Ryczeli i grzmieli, a wtedy góra plula ogniem. Ich furia rozdarła niebiosa, które spłynęły krwią. Szaleli z wściekłości przez tysiąc lat. Ale Anataą dobrze ich zamknął i w końcu się zmęczyli. Góra już nie wypływała czerwonego ognia. Niebiosa już nie krwawiły.

Aż do teraz, pomyślał Marshall. Nic dziwnego, że Usuguk przestraszył się na widok dziwnej, szkarłatnej zorzy polarnej, skoro do jego systemu wierzeń należała taka legenda. Niesamowite, że ten człowiek w ogóle mógł pracować w bazie — zwłaszcza z takim przerażającym i niebezpiecznym stworem. No, ale wtedy był młody i nie szanował tradycji swojego ludu. Szkoda, że trzeba było takich wstrząsających wypadków, żeby się zmienił.

— A kurrshuał } — zapytał. — Nazwałeś go strażnikiem zakazanej góry.

— Uwięziwszy bogów ciemności we wnętrzu góry, Anataą wezwał kurrshua, żeby jej pilnowały, nie dopuszczając do ich ucieczki. Kurrshua to istoty ze świata ducha, nie bogowie, ale potężne byty, które nie zniżają się do ingerowania w sprawy i życie ludu. Przez wiele lat grupa tych istot strzegła góry. Ale powoli, bardzo powoli ciemność uwieczonych bogów zdeprawowała również kurrshua. I stały się złe.

— Zjadacze dusz — dodał Marshall.

Tunita spojrzał na niego przelotnie i znowu odwrócił wzrok.

377

Poziom E okazał się jeszcze bardziej zaśmiecony przestarzałym sprzętem niż wyższe poziomy i kompletnie pozbawiony światła. Teraz szli znacznie wolniej. Gonzalez prowadził ich obok pomieszczeń technicznych i pomocniczej stacji kontrolnej, potem przystanął przed rozdzielnią elektryczną tuż obok. Gestem kazał pozostałym poczekać i wszedł do środka.

Marshall patrzył, jak sierżant otwiera skrzynkę elektryczną, wkręca kilka ciężkich bezpieczników, zamyka skrzynkę i przekręca wyłącznik.

Gonzalez chrząknął z zadowoleniem i wyszedł na korytarz.

— Północne skrzydło powinno teraz mieć prąd — oznajmił.

Minęli kilka mniejszych pomieszczeń i na skrzyżowaniu skręcili w prawo. Dalej korytarz się kończył, zamknięty ciężką klapą zabezpieczoną klódkami. Marshall popatrzył z pewnym niepokojem na zgaszoną czerwoną żarówkę nad klapą oraz tablicę ostrzegawczą, zezwalającą na wstęp tylko osobom upoważnionym.

Gonzalez obejrzał się na Phillipa.

— Pilnuj tyłów, a ja spróbuję to otworzyć.

Kluczem nastawnym zaczął odkręcać po kolei ciężkie zaciski, które skrzypiały w proteście po pół wieku nieużywania. Odkręciwszy ostatni, wyjął z kieszeni ogromne kółko z kluczami. Próbował kilka razy, zanim znalazł właściwy klucz. Otworzył zamek, potem złapał okrągły uchwyt i pociągnął klapę do siebie. Ustąpiła z

cichym pyknięciem. Sproszkowana guma posypała się z niemal

378

zmumifikowanej uszczelki, z wnętrza buchnęło zastałe, suche powietrze, przesycone zapachem stęchlizny. Za progiem gęstniała nieprzenikniona ciemność. — To jak grobowiec Tutenhamona — mruknął Logan. Marshall rozumiał, o co mu chodzi: nikt nie otwierał tej klapy od pięćdziesięciu lat.

Gonzalez pomacał ścianę od środka i przekręcił przełącznik. Rozległy się następne pyknięcia, kiedy niektóre żarówki się przepaliły. Ale zachowało się ich dostatecznie dużo, żeby oświetlić wąski metalowy korytarz ginący w oddali. Wszyscy przeszli przez śluzę i Gonzalez zamknął za nimi klapę.

— Wygląda na całkiem porządne zabezpieczenie — stwierdził Sully z aprobatą, wskazując za siebie.

Gonzalez pokręcił głową.

— Ten stwór już raz się przekradł obok nas, chociaż ciągle nie rozumiem, jak to zrobił. A w tym skrzydle są kanały wentylacyjne i ciągi konserwacyjne tak jak w innych.

Powoli podszli w stronę szeregu otwartych drzwi. Powietrze miało smak kurzu z jakimś miedzianym, metalicznym akcentem.

Gonzalez przystanął w najbliższych drzwiach, poświecił latarką do środka. Promień wydobył z mroku dwa drewniane biurka ze staroświeckimi maszynami do pisania: jakieś biuro. Niedokończona notatka służbowa wciąż tkwiła w jednej maszynie, pożółkły papier zwinął się wokół wałka. Gonzalez przeszedł do następnych drzwi, zajrzał do środka i gwałtownie wciągnął powietrze.

379

Marshall podszedł, żeby zobaczyć, co tak poruszyło sierżanta. Obfite rozbryzgi jakiejś ciemnej, zaschniętej cieczy pokrywały podłogę i rysowały szaleńcze trajektorie na obudowach ustawionych rzędami urządzeń elektrycznych. W jednym kącie stała mufa, przepalona i na wpół stopiona.

— Rozdzielnia elektryczna — oznajmił Usuguk monotonnym głosem.

— Nawet nie sprzątnęli plam krwi — zauważył Sully.

Sierżant zgasił latarkę.

— Trudno im się dziwić.

Ruszyli dalej wąskim korytarzem, zapalając po drodze światła. Mijali laboratoria pełne

oscyloskopów i czarnych pudełkowatych urządzeń, niektórych umieszczonych na stołach i stojakach, innych wciąż spoczywających w drewnianych skrzynkach.

— To na pewno sprzęt dźwiękowy — mruknął Faraday.

Zatrzymali się przed jakimś pomieszczeniem kontrolnym, z konsolą mikserską i różnymi wzmacniaczami. Latarka Gonzaleza pokazała, że ściana w głębi jest ze szkła i wychodzi na małe dźwiękoszczelne studio.

Dalej korytarz rozgałęział się na lewo i prawo, a za skrzyżowaniem główny hol kończył się następną masywną klapą. Gonzalez otworzył ją, poświecił do środka latarką i parsknął zaskoczony. Zgasił latarkę. Marshall wszedł za innymi, i natychmiast się zatrzymał. Stali na wąskim pomoście, właściwie na kładce, który przebiegał przez środek dużego, kulistego pomieszczenia.

380

Na drugim końcu pomostu znajdował się podest o wymiarach jakieś trzy na trzy metry, obudowany szklanymi ścianami. Cała wewnętrzna powierzchnia sfery została wyłożona ciemną, miękką wyściółką. Tu i tam ze ścian sterczały niewielkie szpikulce.

— Mój Boże — westchnął Faraday. — To naprawdę komora ech. Z pewnością używana do testowania sonaru.

— Jeśli posunęli się tak daleko — skorygował Sully.

— Słusznie. Pewnie eksperymenty prowadzono gdzie indziej, odkąd zamknięto tę stację.

Logan nachylił się do Marshalla.

— Tylko jedno wejście.

Marshall rozejrzał się po komorze.

— Racja.

— Komora echa. Z tym się panu kojarzy?

— Tak. — Marshall obejrzał się na historyka. — Czemu? Pan tak nie uważa?

Logan milczał przez chwilę.

— Prawdę mówiąc, nie. Mnie to przypomina ostatnią placówkę Custer.

48

Bardzo powoli stwór wyłonił się z ciemności. Pasiaste cienie przesuwaly się płynnie po jego muskularnych bokach. Ekberg patrzyła ze zgrozą, jak centymetr po centymetrze, ukazują się szokujące i przerażające szczegóły. Ogromny, spłaszczony łeb porośnięty krótką czarną

sierścią, szorstką i błyszczącą. Wysunięta górna szczęka, uzbrojona w rząd wielkich zębów oraz dwa kły po bokach, za którymi — okropność! — wisały setki cienkich, ostrych jak brzytwa wąsów, niczym wibrysy u morsa. Szeroka zuchwa, mniejsza i nieco cofnięta, lecz połączona z czaszką masywnym kostnym zawiasem. I — najbardziej uderzające, ponieważ widziała je już przedtem, w innym życiu, zatopione w lodzie — nieruchome oczy, które wpatrywały się w nich z mieszaniną pożądania i złościwości.

— Chryste — mruknął Conti. — Chryste. Jest wspaniały.

Powoli, bardzo powoli wycelował kamerę, uruchomił nagrywanie i zaczął filmować.

382

Wolff stał tuż za nim. Z wolna unosił broń, ale tak się trząsał, że Ekberg słyszała szczekanie jego zębów.

— Emilio — wykrztusił zdławionym głosem. — Na miłość boską...

— Szybko, Kari — przerwał mu szeptem reżyser. — Dźwięk.

Ale Ekberg nie mogła się ruszyć. Mogła tylko patrzeć.

Tak powoli, że prawie niezauważalnie stwór zaczął się zbliżać w smugach światłocienia. Potężne przednie kończyny, lekko wygięte jak u buldoga, przechodziły w wypukłe, okrągłe łapy, podobne do kopyt, najeżone okrutnymi szponami. Teraz stwór ukazał się w całości, wielki jak koń. Linia grzbietu zwężała się od szerokich, wysokich łopatek do mocnego, kwadratowego zadu, pokrytego zmierzwioną sierścią. Ekberg patrzyła z otwartymi ustami. Potem niemal bezwiednie powróciła spojrzeniem do paszczy: wygięte kły, a za nimi niezliczone, nieopisanie ohydne czułki, które nie tylko kołysały się lekko w rytm kroków stwora, lecz także poruszały się jakby niezależnie, wiły się i skręcały...

Głowa jej pękała z bólu, serce tłukło się w piersi. A jednak nie mogła się cofnąć, nie mogła nawet drgnąć. Strach ją sparaliżował. Teraz potwór znowu się zatrzymał, przywaro wał w odległości jakichś dziesięciu metrów. Ani razu nie mrugnął, ani na chwilę nie odwrócił wzroku. Jego oczy, twarde jak topazy, zdawały się płonąć dzikim wewnętrznym ogniem. Trwał w bezruchu przez mniej więcej minutę. Ekberg słyszała tylko cichy warkot kamery Contiego i własny

383

wysilony oddech. A potem stwór znowu zaczął się do nich podkradać.

Tego już Wolff nie wytrzymał. Z cichym jękiem obrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki, upuściwszy broń, która ze szczękiem upadła na podłogę.

Stwór znowu się zatrzymał, tym razem na krócej. Wąski język, różowy i rozdwojony, wysunął się spod wibrysów. Wyciągnął się dalej — jeszcze dalej — polizał najpierw jeden kiel, potem drugi.

W tamtej chwili Conti najwyraźniej doznał lekkiego pomieszania zmysłów. Zaczął się śmiać, najpierw cicho, potem głośniej. Przynajmniej Ekberg, półprzytomna ze strachu i niedowierzania, uznała to za śmiech: dziwaczny, wysoki dźwięk.

— Iiiiiiii — piszczał Conti coraz głośniej, ramiona mu drgały i kamera wyraźnie się przechylała: — Hiiii-iiiiiiiiiii...

— Emilio — szepnęła.

— Mam go! — wykrzyknął Conti niemal histerycznie. — Koniec zdjęć! Koniec zdjęć!!!

Iiiiiii-hiiiiiii...

W dwóch skokach stwór go dopadł i brutalnie cisnął nim w powietrze. Kamera poszybowała przez korytarz, uderzyła o ścianę, spadła na podłogę i roztrzaskała się w kawałki. Stwór złapał spadającego Contiego w mocarne przednie łapy i zaczął go obracać, jak tokarz obraca walec na tokarce. Trzymał go blisko i ruchliwymi, ostrymi czułkami zwisającymi z górnej szczęki przesuwiał po jego ciele, od stóp do głów, tam i z powrotem, jakby obierał kolbę kukurydzy. Krople krwi leciały na wszystkie strony, pstrzyły

384

sufit i ściany, spadały na żarówki, które syczały i strzelały. Upiorny śmiech Contiego przeszedł w ostry wrzask, wznoszący się gwałtownie. Stwór nagle wepchnął sobie głowę reżysera do paszczy i ugryzł. Rozległ się cichy chrzęst i wrzask ucichł. Bestia otworzyła paszczę i Conti upadł bezwładnie na podłogę. Wtedy wreszcie Ekberg odzyskała władzę w nogach i zaczęła uciekać, jak najdalej od Contiego i koszmarnej bestii, nie zważając na ciemność, nie zważając na żadne przeszkody. A kiedy pędziła na łeb, na szyję korytarzem nawiedzonym przez cienie, byle ratować się przed tym szaleństwem, Conti znowu zaczął wydawać dźwięki — tym razem nie śmiech ani krzyk, tylko suche trzaskanie kości: trzask, trzask, trzask...

49

Kiedy Marshall z czarną metalową skrzynką w ręku wszedł do stacji kontrolnej, zobaczył w studiu za szklanym przepierzeniem Sully'ego i Logana, schylonych nad wózkiem na kółkach z nierdzewnej stali. Spojrzał na wózek i duch w nim upadł. Urządzenie spoczywające na wózku wyglądało raczej jak „Mały konstruktor” dla dzieci niż broń, z

której można zabić dwutonowego potwora. Na górnym blacie wyrastał las analogowego i prymitywnego cyfrowego sprzętu: potencjometry, filtry dolnoprzepustowe, oscylatory niskiej częstotliwości, wszystkie połączone płataniną różnobarwnych kabli. Na dolnej półce stał stary wzmacniacz lampowy, połączony cienkimi czerwonymi drutami z wooferskim i wysokotonowym głośnikiem.

Przez ostatnie pół godziny grupa rozbijała skrzynki i plądrowała stosy nieużywanego sprzętu, gorączkowo usiłując sklecić maszynę zdolną do wygenerowania szerokiego zakresu fal dźwiękowych o wysokiej częstotliwości i możliwie największej amplitudzie. Ostatecznie zastosowali głośnik wysokotonowy ze znacznie większego urzą-

386

dzenia niż wofer, zakładając, że wysokie częstotliwości okażą się najbardziej szkodliwe dla stwora. Chociaż to Marshall zaproponował ten plan — bo w gruncie rzeczy nie potrafił wymyślić nic lepszego — doskonale zdawał sobie sprawę z ryzyka: nie wiedzieli, czy urządzenie w ogóle zadziała ani czy rzeczywiście odstraszy bestię. Zamontowali je na ruchomym wózku, który mogli umieścić wszędzie — najchętniej daleko od skrzydła naukowego — żeby w razie porażki zostawić sobie jakąś furtkę.

Marshall podał Sully'emu metalową skrzynkę.

— To modulator pierścieniowy. Faraday wymontował go z aktywnego emitera sonarowego.

Sully postawił skrzynkę na górnym blacie, podłączył do niej dwa kable, chrząknął z satysfakcją. W miarę, jak broń soniczna nabierała kształtu, klimatolog zaczynał wierzyć w jej możliwości i coraz bardziej się zapalał do tego pomysłu.

— Najpierw spróbujemy nadać biały szum. Sygnał jednakowej mocy w stałym paśmie przenoszenia, żeby uzyskać najbardziej efektywny wybuch ciśnienia akustycznego. —

Podniósł wzrok na Marshalla. — Gdzie jest teraz Faraday?

— Wrócił do magazynu, zbiera części zapasowe.

— No, zostały tylko suche baterie. Przypadkiem ich nie widziałeś?

— Nie. Ale nawet nie szukałem. Próbowałem wymontować ten układ przetworników.

— Więc pójdę poszukać.

Klimatolog wyprostował się, i wyszedł na korytarz. Zerknął najpierw przez prawe ramię, zanim skręcił w lewo.

387

Marshall wiedział, dlaczego Sully spojrział w prawo. Sam też się oglądał w tamtą stronę, zanim wszedł do stacji kontrolnej. Tam znajdowało się główne wejście do skrzydła naukowego. Gonzalez i Phillips z karabinami maszynowymi pełnili przy nim wartę, wypatrując stwora.

Poczuł na sobie wzrok Logana.

— Nie wiesz przypadkiem, jakie tajne badania mieli tu prowadzić? — zapytał historyk. Marshall wzruszył ramionami.

— Tak mało sprzętu rozpakowano i zmontowano, że trudno powiedzieć. Ale z liczby pasywnych urządzeń hyd-rolokacyjnych... widziałem tu niewiele aktywnych sonarów... wnioskuję, że zamierzali zastosować wspomaganie radaru wczesnego ostrzegania przez niewykrywalny emiter sonarowy.

— Czyli znacznie bliżej Rosji.

Marshall przytaknął.

— Może nawet w jej granicach. Aktywny sonar podaje dokładne położenie obiektu. Ale w takiej jednostce jak baza Fear nie potrzebowali tych danych... przynajmniej nie od razu. Bardziej ich interesowało, czy obiekt zmierza w ich kierunku... a pasywny sonar mógł to sprawdzić po cichu, używając TMA*, żeby określić trajektorię pocisku.

— TMA?

* TMA (Target Motion Analysis) — wykorzystanie pasywnego sonaru do namierzania pocisku poprzez porównywanie dźwięków nadchodzących z danego kierunku w określonych odstępach czasu; w rezultacie uzyskuje się dane o odległości, prędkości i kursie namierzanego obiektu.

388

— Analiza ruchu celu. Poda ci odległość, szybkość, nawet kurs obiektu... znacznie wcześniej, zanim tutejszy radar namierzy jego pozycję.

— A wszystko w małym pudełku, dostatecznie cichym, żeby nie dało się wykryć. Ciekawe. — Logan milczał przez chwilę. — Prawdziwe pytanie polega na tym, czy to uratuje nasze tyłki.

Marshall spojrział na aparaturę szalonego naukowca, stojącą pomiędzy nimi.

— Myślę, że mamy spore szanse. Spośród pięciu zmysłów tylko słuch opiera się na całkowicie mechanicznym procesie. Fala dźwiękowa zmienia ciśnienie powietrza, wzbudza wibracje. Ekstremalnie niskie tony mogą wywołać u ludzi brak tchu, depresję, nawet strach.

Wysokie częstotliwości podobno zakłócają normalny rytm serca czy nawet powodują raka. Słyszy się rozmaite plotki o infradźwiękowej czy ultradźwiękowej broni, która może ranić, paraliżować, nawet zabijać. — Wzruszył ramionami. — Kto wie? Może w tej jednostce prowadzono właśnie takie badania.

— Co za ironia. — Logan poklepał bok wózka. — To już gotowe?

— Tak, oprócz baterii. Sully po nie poszedł.

— Więc mamy naszą broń. Teraz potrzebujemy tylko celu.

— Nie ma gwarancji, że on tutaj przyjdzie... może będziemy musieli go zwabić.

— Innymi słowy, potrzebujemy przynęty. — Logan

389

znowu zrobił przerwę. — Myślałem jeszcze o czymś. Te dwa stwory... ten, którego znaleźliście, i tamten, którego znaleźli pięćdziesiąt lat temu... myślisz, że mają wspólne pochodzenie?

— Dobre pytanie. Widziałem go tylko niewyraźnie, przez blok zokludowanego lodu. Ale opis Gonzaleza pasuje do opisu Usuguka i...

— Nie o to mi chodziło. Pytałem, czy są spokrewnione.

Marshall popatrzył na niego.

— To znaczy... jak ojciec i syn?

Logan przytaknął.

— Albo matka i młode. Rozdzielone, a potem błyskawicznie zamrożone wskutek tej samej anomalii klimatycznej.

— Jezu. — Marshall przełknął ślinę. — Jeśli tak jest, mam nadzieję, że tatuś się nie dowie, co się stało z juniorem.

Logan potarł ręką podbródek.

— Skoro mowa o juniorze... nie zastanawiałaś się, co go wtedy zabiło?

— To znaczy jeśli nie elektryczność?

— Właśnie.

— Nie mam żadnych pomysłów. A ty?

— Nie. Ale bardzo mnie zainteresowało, że żaden ze stworów nie zjadł ludzi, których zabił.

— Mówiłem wam. On nie umarł. Postanowił opuścić świat materialny.

Te słowa wypowiedział Usuguk. Siedział ze skrzyżowanymi nogami w kącie studia,

oparłszy dłonie na kolanach

390

wnętrzem do góry, tak milczący i nieruchomy, że Marshall całkiem o nim zapomniał. Spokojna, opanowana twarz Tunity i cichy głos, wyrażający niezłomne przekonanie, zrobiły na Marshallu takie wrażenie, że sam prawie w to uwierzył.

— Ta legenda, którą mi opowiedziałeś — zwrócił się do szamana. — O Anataąu i bogach ciemności. Brzmiała niepokojąco nawet dla mnie, obcego. Muszę cię zapytać: jeśli naprawdę wierzysz, że mamy do czynienia z kurrshuą, pożeraczem dusz, dlaczego zgodziłeś się ze mną wrócić?

Usuguk podniósł na niego wzrok.

— Mój lud wierzy, że nic się nie dzieje bez przyczyny. Bogowie pokierowali moim przeznaczeniem, przesądzonym od dnia narodzin. Kiedy byłem młody, odłączyli mnie od mojego ludu i przyprowadzili do tego miejsca, wiedząc, że w końcu przyciągnie mnie z powrotem, silniej i bliżej niż przedtem. Sam się na to skazałem, kiedy odwróciłem się plecami do świata ducha.

Marshall w zamyśleniu spoglądał na starca. A potem zrozumiał. Przez te wszystkie lata, prowadząc — nawet według najbardziej tradycyjnych tunickich wartości — ascetyczne, mnisie, duchowe życie, Usuguk pokutował za chwilowe odstępstwo od wiary. A powrót tutaj, do miejsca odstępstwa, stanowił ostateczną pokutę.

— Przykro mi, że do tego doszło — powiedział Marshall. — Nie chciałem cię narażać na tak wielkie niebezpieczeństwo.

391

Tunita pokręcił głową.

— Pozwól, że coś ci powiem. Kiedy byłem małym dzieckiem, w dawnych czasach polowań, mój dziadek zawsze wracał z największym morsem. Ludzie chcieli poznać sekret dziadka, ale nigdy go nie zdradził. Potem, kiedy już bardzo się zestarzał, pewnego dnia mi się zwierzył. Wyjaśnił, że wypływał kajakiem poza cieśninę, na prądy otwartego oceanu, tak daleko, jak nikt się nie odważył. Zapytałem, dlaczego to robił... narażał się na wielkie niebezpieczeństwo, jak mówiłeś... tylko dla największej zdobyczy. Powiedział mi, że samo polowanie jest niebezpieczne. Skoro chcesz chodzić po cienkim lodzie, rzekł, równie dobrze możesz na nim tańczyć.

Za szklaną ścianką rozległ się hałas i po chwili wszedł Faraday, obładowany elektrycznym i

mechanicznym sprzętem.

— To są zapasowe oscylatory i potencjometry — oznajmił. Obejrzał aparat na wózku.

— Gdzie baterie?

— Sully poszedł ich szukać — wyjaśnił Marshall.

— Dobrze. Jak je przyniesie, możemy zacząć testy i...

W tej samej chwili z pomieszczenia kontrolnego dobiegł ostry trzask. Marshall obejrzał się. Trzeszczało radio, które zostawił im Gonzalez, postawione na gómej krawędzi stołu mikserskiego.

— Halo? — rozległ się głos Ekberg. — Halo?

Marshall przeszedł ze studia do pomieszczenia kontrolnego. Chwycił radio, włączył nadawanie.

— Kari? Tu Marshall. Mów.

392

— O Boże. Ratunku! — Głos jej się załamywał, wznosząc się do granicy hysterii. — Pomóż mi, proszę! Ten stwór... dopadł Emilia. Podniósł go, podniósł go i...

— Kari. Uspokój się. — Marshall próbował modulować głos, silił się na rozsądny ton.

— Chcę, żebyś mi powiedziała, gdzie jesteś.

Usłyszał kilka panicznych oddechów.

— Jestem... o Boże... jestem w holu wejściowym. Obok, obok budki strażnika.

Logan i Faraday wyszli ze studia i stanęli przy radiu.

— Okay. Masz latarkę? — zapytał Marshall.

— Nie — odparła.

— Więc zejdź po schodach do mesy oficerskiej. Szybko i jak najciszej. Znajdziesz tam zapasowe latarki. Broń też. Potrafisz obchodzić się z bronią?

— Nie.

— Nie szkodzi. Idź tam zaraz. Jak będziesz na miejscu, zgłoś się przez radio.

— On po mnie przyjdzie, wiem, że przyjdzie. Kiedy skończy z Emiliem. Przyjdzie i...

— Kari. Idę po ciebie. Naprowadzę cię na moją pozycję. Tylko nie trać głowy. I nie zgub radia.

Rozległ się następny trzask i radio zamilkło.

Marshall odwrócił się do Faradaya.

— Znajdź Sully'ego. Pomóż mu z bateriami. Potem zabierzcie stąd akustyczną broń na

korytarze poziomemu E. Jeśli nie zadziała, wykorzystamy skrzydło naukowe do odwrotu.

393

Faraday kiwnął głową i szybko wyszedł z pomieszczenia kontrolnego. Marshall spojrzał na Logana.

— Pamiętasz, co mówiłeś o przynęcie? Zdaje się, że padło na mnie.

Bez dalszych dyskusji wsunął radio do kieszeni i wybiegł z pokoju, kierując się do centralnego skrzydła.

50

Kari Ekberg, potykając się, szła korytarzem na poziomie C. W rękę ścisnęła latarkę śliską od potu. Bolały ją kostki poobijane o wystające rury i kanty skrzyń; kolana miała obtarte po kilku upadkach na bezlitosną stal i linoleum. Dzięki Bogu, że światło i radio działały. Po raz kolejny odepchnęła od siebie okropny obraz: wrzeszczący Conti i krew tryskająca na wszystkie strony jak woda z obrotowego zraszacza. Po raz kolejny powtórzyła w duchu jak mantrę: Nie myśl o tym. Nie myśl o tym.

Zejście z mesy oficerskiej dwa poziomy niżej zabrało jej piętnaście minut: piętnaście minut czystej grozy. Teraz minęła pralnię, gdzie archaiczne pralki i suszarki stały w milczących szeregach pod zwijającymi się plakatami nawołującymi do czystości. Obok znajdowała się szwalnia: mała klitka, z trudem mieszcząca biurko, maszynę do szycia i manekin krawiecki. Dalej korytarz się rozgałęział. Przystanąła i zaczęła gmerać przy radiu. Ręce tak jej się trzęsły, że dopiero przy trzeciej próbie wcisnęła nadawanie.

395

— Jestem na rozgałęzieniu korytarzy obok szwalni — oznajmiła drżącym głosem.

W odpowiedzi zatrzeszczał głos Marshalla:

— Właśnie zszedłem na poziom D. Zaczekaj, spytam Gonzaleza o wskazówki.

Stała, łapiąc oddech, otoczona ciemnością. To były najgorsze chwile: czekanie na instrukcje... i czekanie na to dziwne uczucie pełności w uszach, na ten skradający się krok, zwiastujący zbliżanie się koszmaru...

— Skręć w lewo — odezwał się trzeszczący głos Marshalla. — Na końcu korytarza znowu w lewo. Zobaczysz schody; zejź na dół. Powinienem tam czekać. Jeśli nie, wywołaj mnie przez radio.

Ekberg wepchnęła radio z powrotem do kieszeni dzinsów. Skręciła w lewo, poświeciła dookoła w poszukiwaniu przeszkód, po czym puściła się biegiem. Minęła zaplecze

gastronomiczne: puste kuchnie, ogromne porcelanowe zlewy, lśniące i upiorne. Otwarte drzwi przemykały obok, odsłaniając mroczne, tajemnicze wnętrza. Kolana i golenie pulsowały, ale zepchnęła ból na dno świadomości. Przed sobą w blasku pojedynczej żarówki widziała następne skrzyżowanie. Skręć w lewo, powiedział. Skręć w lewo i zobaczysz...

Nagle zaczęła o coś stopą i upadła jak długa. Radio z grzechotem szurnęło po podłodze, latarka potoczyła się pod ścianę i zgasła. Boże, nie, nie...

Pełzając na łokciach i obolałych kolanach, gorączkowo, po omacku szukała latarki. Jedną dłoń zamknęła się na

396

znajomym kształcie. Z sercem w gardle Ekberg nacisnęła przełącznik. Latarka zamigotała, zgasła i znowu zapłonęła. Dziękuję. Dziękuję. Ekberg podniosła się i poświeciła dookoła, szukając radia. Tam — na podłodze, trzy metry dalej. Podbiegła, uklękła, podniosła je.

— Halo! — zawołała, manipulując przyciskiem nadawania. — Halo, Evan, jesteś tam? Nic. Nawet trzasków zakłóceń.

— Evan, halo! — Głos jej się załamał piskliwie ze strachu. — Halo...!

Nagle urwała. Coś obudziło jej instynkt przetrwania, zaalarmowało wszystkie pięć zmysłów. Czy z ciemności za jej plecami dochodzą stąpnięcia łap, ciężkie, a jednak ohydnie ukradkowe? Czy to krew jej szumi w uszach, czy słyhać jakiś słaby, odległy, niemal nieziemski śpiew? Groza ogarnęła ją na nowo. Szlochając z rozpaczy, Ekberg wcisnęła zepsute radio z powrotem do kieszeni i znowu zaczęła biec. Światło na końcu korytarza się zbliżyło. A potem wpadła na skrzyżowanie i ostro skręciła w lewo, szaleńczo wymachując latarką wypatrując klatki schodowej.

Tam — studnia ciemności. Skoczyła na schody i zaczęła zbiegać, łomocząc latarką o metalową poręcz. Nie próbowała już ukrywać swojej panicznej ucieczki.

Zatrzymała się na najniższym stopniu, rozejrzała dookoła. Przed nią ciągnął się następny mroczny korytarz. Pod ścianami piętrzyły się stare biurka i narzędzia.

Zamrugła mocno, przetarła oczy wierzchem dłoni, spojrzała jeszcze raz. Nikogo.

397

— Evan? — rzuciła w pustkę.

Poczuła, że jej oddech przyspiesza. Nie, nie, nie...

I znowu to usłyszała: cichy, śpiewny dźwięk, niemal jak szept w uszach. Z jękiem zrobiła

krok do przodu, zeszła ze stopnia na podłogę korytarza. Walczyła z przemożnym impulsem, żeby obejrzeć się za siebie, na klatkę schodową. Latarka skakała jej w rękę...

— Kari!

Znowu spojrzała w korytarz. Na drugim końcu pojawiła się postać, ciemna sylwetka w nikłym świetle. Z okrzykiem pobiegła w tamtą stronę. Z bliska rozpoznała Marshalla, z zatroskaną miną, z karabinem automatycznym przewieszonym przez ramię.

— Kari — powiedział, podchodząc do niej. — Dzięki Bogu. Nic ci nie jest?

— Nie. On mnie ściga, ten potwór, dopiero co go słyszałam...

— Szybko. — Chwycił ją za rękę i pociągnął w głąb korytarza.

Pomimo narastającego wyczerpania Ekberg nie zostawała w tyle za Marshalllem, który prowadził ją okrężną trasą obok magazynów i warsztatów naprawczych. Raz zatrzymali się na skrzyżowaniu, kiedy próbował sobie przypomnieć właściwy kierunek. Innym razem wywołał przez radio Gonzaleza, żeby zapytać o drogę przez ten labirynt.

— Dokąd idziemy? — wysapała.

— Do skrzydła naukowego. To jeden poziom niżej. Mieści się za stalowymi drzwiami.

Tam jest znacznie

398

bezpieczniej niż na wyższych poziomach. I zbudowaliśmy broń, broń akustyczną, którą zamierzamy wypróbować na bestii. Ale najpierw najważniejsze: odprowadzę cię bezpiecznie na miejsce.

Dotarli do następnej klatki schodowej i Marshall dosłownie sfrunął w dół, biorąc po trzy stopnie naraz. Ekberg jak najszybciej zeszła za nim. Poziom E przypominał grobowiec. Po niskich sufitach biegły grube szeregi przewodów i kabli. Pędem minęli kilka pomieszczeń, latarka Marshalla wskazywała drogę. Skręcili w prawo na końcu korytarza. A potem Marshall zatrzymał się tak nagle, że Ekberg mało na niego nie wpadła.

Korytarz kończył się masywną klapą, szeroko otwartą, rzęście oświetloną od środka. Tuż za klapą stała dziwaczna konstrukcja zamontowana na wózku — same kable, anteny i elementy elektryczne — przypominająca rekwizyt z filmu fantastycznaukowego z lat pięćdziesiątych. Nad nią pochylali się dwaj naukowcy, Faraday i Sully. Za nim stał sierżant Gonzalez z karabinem maszynowym w pogotowiu.

— Co się stało? — zapytał Marshall. — Dlaczego nie wytoczyliście broni dalej, za klapę?

— Nie ma baterii — wyjaśnił Faraday. — Musieliśmy ją podłączyć do źródła zasilania w środku. Kable nie sięgają dalej.

— No więc, na litość boską — zawołał Marshall — znajdźcie gdzieś kontakt!

— Nie ma czasu — odparł Sully.

399

— Cholerna racja, że nie ma czasu! Ten stwór depta nam po piętach i nie możemy narażać bezpieczeństwa skrzydła naukowego z otwartą...

Marshall urwał w połowie zdania. Potem Ekberg również to poczuła: pełzające przecucie — jakby zadziałał szósty zmysł — które podniosło jej włosy na karku i wlało w żyły nową falę strachu. Znowu wszystko w niej krzyczało, żeby się obejrzała. Tym razem posłuchała instynktu i zerknęła przez ramię.

Za rogiem, tuż na krawędzi pola widzenia, czarny kształt skradał się po schodach w ich stronę.

51

— Szybciej, szybciej!

Marshall dosłownie powlókł Ekberg korytarzem i wepchnął za klapę. Mł 6 obijał mu plecy nieznanym, a jednak aż nazbyt znajomym ciężarem. Tuż za klapą Sully — blady, lecz zdeterminowany — manipulował pokrętłami broni akustycznej. Długie kable biegingy od wózka do rozdzielni elektrycznej, napięte, rozciągnięte do granic możliwości. Wielkie głośniki spoczywające na dolnym blacie potrzaskiwały i szumiały utajoną mocą, woofery drżały leciutko. Za wózkiem stali Faraday i Logan, nerwowo wytyężając wzrok. Gonzalez i Phillips klęczeli po obu stronach, celując z automatów w głąb korytarza. Za nim stał Usuguk. W obu rękach trzymał woreczek z lekami i śpiewał cichą monodię.

Marshall rozejrzał się szybko. Dokładnie takiej sytuacji chciał uniknąć: kłapa szeroko otwarta; broń wewnątrz skrzydła naukowego, nieznaną i niesprawdzoną; wszyscy całkowicie odsłonięci i narażeni na atak.

401

— Powinniśmy zaniknąć klapę—powiedział. — Zamknijcie, teraz.

— Mamy czas — odparł Sully. — Jeśli broń nie zadziała, jeśli nie powstrzyma stwora, zdążymy zamknąć klapę.

Marshall otworzył usta, żeby zaprotestować, ale w tej samej chwili u zbiegu korytarza coś się poruszyło. Wszystkie oczy zwróciły się w tamtą stronę. Powoli ukazał się wielki kształt.

Marshall z niedowierzaniem patrzył na szczegóły: szeroki, spłaszczony łeb, groźnie błyskające zęby, dziesiątki ostrych macek dyndających poniżej. To był stwór z jego koszmaru, tylko gorszy: przez lód widział wierzch głowy, ale zanieczyszczenia miłosiernie zakryły przed jego wzrokiem ohydą dolną połowę. Chociaż może jednak nie miłosiernie, bo gdyby wtedy zobaczyli przez lód te straszne zęby i te wibrysy, które wiły się jak kłębowisko węży, nigdy, nigdy by nie pozwolili na rozmrożenie takiej bestii. Przez chwilę tylko gapił się ze zdumieniem i zgrozą. Potem zdjął z ramienia karabin i przyciągnął Ekberg do Faradaya.

— Zabierz ją do skrzydła naukowego — rozkazał. — Znajdź możliwie najbezpieczniejsze miejsce. I zamknijcie się tam.

— Ale... — zaczął Faraday.

— Zrób to, Wright. Proszę.

Biolog wahał się przez chwilę. Potem kiwnął głową, wziął Ekberg za łokieć i razem odeszli w głąb korytarza, minęli żołnierzy i śpiewającego Usuguka, znikli za rogiem.

Marshall odwrócił się z powrotem do koszmaru, który

402

teraz czaił się u zbiegu korytarzy, widoczny w całej okazałości. Słyszał, jak za jego plecami ktoś dyszy chrapliwie.

— Nie — odezwał się Phillips cienkim, rozpaczliwym głosem. — Boże, proszę, nie. Nie znowu.

— Spokój, żołnierzu — warknął Gonzalez.

Sully, również ciężko oddychając, wytarł ręce o koszulę i znowu położył je na potencjometrze i pokrętłach oscylatora. Marshall wysunął się kilka kroków w przód, do wewnętrznej uszczelki klapy, kucnął za metalową krawędzią. Klepięciem sprawdził, czy magazynek jest załadowany jak należy, odciągnął zamek, żeby wprowadzić do komory pierwszy nabój, po omacku odbezpieczył broń.

Stwór zrobił krok do przodu, przyglądając im się po kolei nieruchomymi oczami.

— W każdej chwili, kiedy pan będzie gotowy, doktorze — powiedział Gonzalez.

Stwór zrobił następny ukradkowy, celowy krok. W zmierzwionej sierści porastającej jego potężne łopatki, tu i tam widniały pasy golizny — ślady po pociskach — i w tych miejscach połyskiwało mętnie coś, co przypominało węzową łuskę.

Sully'emu fatalnie trzęsły się ręce.

— Najpierw... najpierw spróbuję puścić biały szum.

Przez chwilę Marshall słyszał tylko wysilony oddech

Phillipsa i szczęk bezpiecznika drugiej broni. Potem z głośników wydobył się pisk zakłóceń.

Stwór zrobił następny krok.

403

Sully odezwał się wysokim, napiętym głosem:

— Zwiększę natężenie dźwięku do sześćdziesięciu decybeli, dodam filtr dolnoprzepustowy.

Pisk nagle się nasilił, wypełnił wąski korytarz. Stwór nadal szedł.

— Bez skutku — oświadczył Sully, przekrzykując hałas. — Spróbuję zamiast tego zwykłego kształtu fali. Piło-kształtna, podstawowa częstotliwość sto herców.

Zakłócenia zastąpił niski szum, szybko przybierający na sile.

W korytarzu stwór przystanął.

— Następnie fala kwadratowa — oznajmił Sully. — Zwiększam częstotliwość do trzystu dziewięćdziesięciu herców przy stu decybelach.

Dźwięk się pogłębił, stał się bardziej złożony. I wtedy Marshall usłyszał — albo zdawało mu się, że słyszy — dziwny, cichy śpiew, przypominający złowieszcze tony jakichś odległych organów, niesione wiatrem; tajemniczy, egzotyczny, skomplikowany dźwięk, który nie miał nic wspólnego z falami akustycznymi generowanymi przez Sully'ego. Głowa Marshalla zrobiła się dziwnie pełna, jakby od wewnętrznego ciśnienia.

Stwór zawahał się, z jedną masywną łapą podniesioną w pół kroku.

— Teraz dodaję oscylator sinusoidalny — odezwał się głos Sully'ego. — Zwiększam częstotliwość na osiemset osiemdziesiąt herców.

— Podkreć decybele! — zawołał Marshall przez ramię.

404

Hałas jeszcze bardziej spotężniał, aż metalowe ściany korytarza zaczęły wibrować.

— Przekroczony próg bólu! — krzyknął Sully. — Przy stu dwudziestu decybelach!

Nawała dźwięków, połączona z wrażeniem pełności w głowie, doprowadzała Marshalla do szaleństwa. Stwór zrobił krok w tył. Zad lekko mu drgał, jakby mimowolnie. Kudłata głowa zakołysała się na boki raz i drugi gwałtownym ruchem świadczącym o bólu.

— Teraz tylko fala sinusoidalna! — krzyczał Sully. — To działa!

A potem, nagle, stwór zebrał się w sobie, gotując się do skoku.

Kilka rzeczy stało się jednocześnie. Phillips i Sully krzyknęli ze strachu. Poziom dźwięku ciągle wzrastał. Gonzalez wydał niemal niedosłyszalny rozkaz: „Ognia!”. Potem kule zaświstały wokół uszu Marshalla, wzbijały obłoczki szarego dymu, z jękiem odbijały się od ścian korytarza i przewracały sterty zapasowego sprzętu. Marshall podniósł broń i nacisnął spust. Widział, że kule ścigają celu; widział, jak trafiają w stwora i rykoszetują; widział, jak na bokach i kłębie bestii pojawiają się świeże pasy obsydianowej chityny, kiedy pociski odsłaniają coraz więcej egzoszkieletu. W tej chwili kryzysu, ekstremalnego zagrożenia, czas jakby zwolnił i rzeczywistość zbladła; Marshall niemal widział każdy pojedynczy pocisk pędzący korytarzem w gwałtownej, daremnej podróży.

A potem bestia zaatakowała. Marshall natychmiast rzucił

405

się do kłapy i rozpaczliwie usiłował ją zamknąć, nie zważając na ogień prowadzony przez Gonzaleza i Phillipsa. Ale stwór poruszał się z nieprawdopodobną szybkością. W mgnieniu oka wpadł przez kłapę, odepchnął Marshalla, z przerażającą siłą cisnął go na ścianę, przeskoczył przez akustyczną broń, przewrócił wózek i — z dziką determinacją — chwycił Sully'ego przednimi łapami, po czym z dwoma brutalnymi szarpnięciami głową wyrwał mu ramiona ze stawów.

52

Marshall dźwignął się na łokciu, chwilowo ogłuszony po upadku. Główny korytarz skrzydła naukowego zmienił się w piekło hałasu i przemocy: bestia rozszarpała wrzeszczącego Sully'ego; krew tryskała z oderwanych kończyn klimatologa, ochlapała ściany i podłogę szkarłatnymi arabeskami; Gonzalez i Phillips cofali się i szukali czystego pola do strzału; wózek z bronią akustyczną leżał na boku, kółka jeszcze się kręciły; Usuguk wyszedł przed żołnierzy, trzymając przed sobą szamańskie leki, jego głos wznosił się coraz wyżej, brzmiał coraz głośniej.

Marshall czuł mdłości, w uszach mu dzwoniło. Widział, jak bestia jednym zamachem potężnej przedniej łapy podrzuca w górę Sully'ego, który wciąż wrzeszczał. Drugi cios posłał go przez otwarte drzwi do biura. Stwór skoczył za nim i zniknął z widoku. Ze środka dobiegł straszliwy hałas — trzask mebli, łomot ciała uderzającego o ściany. Sully wrzeszczał, lecz jego głos rwał się coraz bardziej.

Marshall spróbował się podnieść na nogi, zatoczył się,

podźwignął. Za późno — Sully umrze. Wszyscy umrą. Przez sekundę zastanawiał się, czy zdąży wyprowadzić pozostałych ze skrzydła naukowego i zamknąć tu potwora, ale szybko odrzucił ten pomysł. Nie zdąży. Skończone, stwór zabije Sully'ego, a potem ich wykończy jednego po drugim i...

Jego spojrzenie padło na części broni akustycznej, rozrzucone po podłodze korytarza. A jednak broń się sprawdziła. Ostatnia fala dźwiękowa wypróbowana przez Sul-ly'ego — sinusoida — wyraźnie podziałała na stwora. Marshall usiłował nie zwracać uwagi na dziki harmider, krzyki żołnierzy, bolesny ucisk w głowie. Usiłował myśleć, usiłował się skupić w ostatnich sekundach, jakie mu zostały. Dlaczego fala sinusoidalna poskutkowała, podczas gdy fala kwadratowa ani piłokształtna nie wywołały żadnych efektów?

Zamarł. Może wcale nie chodziło o kształt fali. Może chodziło o coś całkiem innego...

Dopadł do wózka, postawił go i zaczął gorączkowo zbierać porozrzucone części elektroniczne, podłączać je z powrotem.

— Co ty robisz?! — zawołał Logan.

Wrzaski Sully'ego ucichły, ale z biura wciąż dochodziły przeraźliwe huki i łomoty.

— Próbuję jeszcze raz. — Marshall sprawdził połączenie wzmacniacza z głośnikami, wepchnął z powrotem obluzowany potencjometr. — To musi być harmoniczna; na pewno. To jedyna odpowiedź. Ale potrzebujemy odpowied-

niej akustyki, jeśli chcemy zmaksymalizować... — Rozejrzył się nieprzytomnie. — Chodź, pomóż mi. Ten stwór wróci lada chwila. Musimy to zanieść do komory echa.

— Nie mamy czasu na takie bzdety! — warknął Gonzalez. — Po co to przenosić?

— To jak posmarowanie grota strzały trucizną. Maksymalizujemy efekt.

Z pomocą Logana Marshall przepchnął wózek korytarzem, ślizgając się na podłodze zachlapanej krwią Sul-ly'ego. Usuguk szedł za nimi, wciąż śpiewając, z szamańską grzechotką w jednej ręce i kościanym fetyszem w drugiej. Dwaj mężczyźni z trudem przetoczyli wózek obok pomieszczenia kontrolnego, przez skrzyżowanie i tylną klapę aż do samej komory echa.

— Gonzalez! — krzyknął Marshall. — Liczę na ciebie, że go zatrzymasz przez jakiś czas!

Gonzalez kiwnął na Phillipa, zajął pozycję tuż przed komorą i przybrał strzelecką postawę.

Trzaski i łomoty w biurze ucichły.

— Musimy to ustawić na środku, żeby osiągnąć maksymalny efekt — powiedział Marshall do Logana.

Razem przepchnęli wózek na środek pomostu. Kable elektryczne napięły się i przez okropną chwilę Marshall myślał, że nie osiągną. Ale wystarczyło, żeby ustawić broń dokładnie na środku komory, w punkcie oznaczonym na podłodze pomostu tabliczką z napisem: „0 dB”.

Marshall spojrzał na Usuguka.

— Będiesz bezpieczniejszy w tamtej kabinie nasłu-
409

chu — oznajmił, wskazując oszklony podest na końcu pomostu.

Tunita przerwał cichą pieśń, pokręcił głową.

— Już zapomniałeś, czego cię nauczyłem? Skoro chcesz chodzić po cienkim lodzie, równie dobrze możesz na nim tańczyć.

— Twoja sprawa.

Marshall obrócił wózek tak, żeby skierować głośniki w stronę korytarza, sprawdził połączenia, włączył prąd. Brak reakcji. Gorączkowo dokręcił lampy, wcisnął mocniej kable i spróbował jeszcze raz. Tym razem z masywnego woofera wydobył się cichy szum.

Marshall sprawdził wskaźniki, przypomniał sobie podstawy generowania dźwięku na syntetyzatorze, znalazł pokrętła amplitudy, częstotliwości, oscylator fal, obwiednię filtra.

Chwycił gałkę amplitudy, przekręcił do oporu w prawo. Wózek zaczął dygotać.

Spostrzegł, że Logan na niego patrzy.

— Oceniam, że zostały mi jakieś trzy minuty życia — powiedział historyk. — Jeśli będę miał szczęście, to się stanie szybko. Wtedy mam tylko dwie minuty. Wolałbym umrzeć wiedząc, co próbujesz zrobić.

— Ta ostatnia fala dźwiękowa, którą wypróbował Sully — odparł Marshall, znowu patrząc na wskaźniki. — Ta, która wywołała reakcję stwora. To była fala sinusoidalna. Najczystszy możliwy dźwięk. Żadnych harmoniczných, żadnych rezonansów. Więc zamierzam kontynuować od miejsca, gdzie on skończył... zastosuję szereg Fouriera,
410

żeby skomplikować wzór. Może dam się we znaki stworowi na tyle, żeby go przepędzić.

Jeśli dostatecznie długo utrzymamy go z daleka, może zbudujemy bardziej przenośne...

Zamilkł. Stwór wyłonił się z biura. Powoli odwrócił się w ich stronę. Przednie łapy ociekały krwią, na kłach i wib-rysach osiadły czerwone kropelki.

Marshall odetchnął głęboko, spróbował zapanować nad drżeniem rąk.

Stwór zrobił krok w ich stronę. Marshall szybko ustawił na pierwszym oscylatorze falę piłokształtną, częstotliwość trzydzieści herców, sprawdził, że amplituda na głównym wyjściu wynosi sto decybeli. Nacisnął guzik dźwięku. Pomieszczenie zadrzało od niskich tonów, tuż nad progiem słyszalności.

Stwór skoczył do przodu.

Marshall przeprowadzał w pamięci gorączkowe obliczenia. Drugi ton, bez harmoniczych, kilka oktaw wyżej...

Tymczasem stwór przyspieszył, pędził do nich korytarzem, sadząc ogromne susy. Marshall nastawił drugi oscylator na falę piłokształtną, częstotliwość na osiemset herców.

— Chryste! — krzyknął Logan.

Gonzalez i Phillips zaczęli strzelać. Ponad wyciem głośnika Marshall słyszał chrapliwy krzyk Phillipsa, który strzelał jak szalony, w górę i w dół, na lewo i prawo, nie panując nad nerwami. Stwór dotarł do żołnierzy i znowu się zatrzymał, żeby gwałtownie pokręcić głową, aż wibrasy

411

zatańczyły na wszystkie strony. Phillips rzucił broń, z jękiem zerwał się na nogi i pobiegł korytarzem. Stwór pochylił głowę, znowu podniósł i straszliwym ciosem przedniej łapy cisnął Gonzaleza, który wciąż strzelał z bliska, w głąb komory echa. Sierżant przeleciał nad głowami Marshalla i Logana, z hukiem rąbnął w tylną ścianę komory i ześliznął się po krzywiźnie sześć metrów niżej na podłogę, gdzie leżał ogłuszony w kłębach wyściółki i pianki dźwiękochłonnej.

Ręce latały Marshallowi jak szalone, kiedy niezdarnie manipulował przy trzecim i ostatnim oscylatorze: znowu fala sinusoidalna, tym razem bardzo wysokiej częstotliwości:

sześćdziesiąt tysięcy herców. Szybkim rzutem oka upewnił się, że obwiednią amplitudy jest z góry zaprogramowana. Potem chwycił główny fader i przesunął na sam dół. Upiorne „kriiiiiiii” fali sinusoidalnej przycichło i całkiem umilkło.

— Co ty wyprawiasz? — rzucił Logan przez zaciśnięte zęby. — Wyłączyłeś to... i teraz jesteśmy w pułapce!

— Chcę go zwabić do środka komory — odparł Marshall. — Mamy tylko jedną szansę.

Musi się udać.

Precyzyjnym, niemal delikatnym ruchem, który wydawał się rażąco nie pasować do tak potężnej bestii, stwór przełożył jedną łapę przez krawędź włazu. Druga łapa dołączyła do pierwszej. Żółte oczy spojrzały najpierw w lewo, potem w prawo, badając wnętrze komory. Dziwny, cichy śpiew w uszach Logana przybrał na sile, ból głowy stał się nie do wytrzymania. Teraz stwór znalazł się cały w komorze,

412

wszedł na pomost, który jęknął pod jego ciężarem. Jeden krok, drugi... stwór przysiadł na zadzie, prężąc się do następnego — ostatniego — skoku.

Równie dobrze możesz tańczyć. Szybkim ruchem Marshall przekręcił gałkę amplitudy na sto dwadzieścia decybeli i pchnął fader do góry.

Komora echa natychmiast ożyła dźwiękiem. Zupełnie jakby milion os wypełniło sferę jednoczesnym bzyczeniem, wzmacnianym po wielekroć. Stwór, który już wybił się do skoku, drgnął konwulsyjnie. Marshall przekręcił gałkę, zwiększając głośność do stu czterdziestu decybeli. Stworem znowu szarpnęły konwulsje, tym razem bardziej gwałtowne, aż zwinął się w powietrzu; to zakłóciło dynamikę skoku i bestia opadła ciężko na pomost, który zatrzęsł się alarmująco. Cały wszechświat Marshalla wypełniało teraz natrętne, przenikliwe bzyczenie, które odbijało się echem w komorze, wzbudzało się nawzajem, budowało niezależne crescendo mocy i intensywności, przenikało nawet przez skórę. Stwór podciągnął się do przodu, wysuwając najpierw jedną łapę, potem drugą, wbijając zakrwawione pazury w metalowe płyty. Marshall dyszał płytko i szybko, ściskając pokrętło. Uzbroił się wewnętrznie i przekręcił gałkę do samego końca: sto sześćdziesiąt pięć decybeli, poziom głośności silnika odrzutowca. Za nim Logan zakrył uszy rękami i otworzył usta, ale jego krzyk całkowicie utonął w przeraźliwym hałasie — riiiiiiii — który teraz zdawał się wypełniać całe ciało Marshalla. On też instynktownie poderwał ręce do uszu, ale to go nie mogło obronić przed

413

potworną siłą dźwięku. Mroczki zatańczyły mu przed oczami i poczuł, że zaraz zemdleje. Stwór zeszywniał. Kolejne konwulsje wstrząsnęły nim od łba do zadu. Podniósł głowę, szeroko rozwarł straszliwą paszczę; kły wciąż ociekały krwią Sully'ego, wibrysy falowały gwałtownie. Obrócił się bokiem, z przerażającą siłą uderzył pyskiem o pomost, raz i drugi. Podkulił łapy, zebrał się do skoku. A potem na oczach Marshalla głowa stwora pękła w

eksplozji krwi i materii, ochlapując ich obficie. Masywne cielsko upadło dosłownie u ich stóp. Oblana posoką broń akustyczna zasyczała, zatrzeszczała i ucichła, sypiąc iskrami. Przez długą chwilę Marshall po prostu stał i dygotał. Potem spojrzał na Logana. Historyk odwzajemnił spojrzenie, krew ciekła mu z uszu. Mówił coś, ale Marshall go nie słyszał — właściwie nic nie słyszał. Odwrócił się, przestąpił nad nieruchomym stworem — czarna krew wciąż płynęła z pękniętej czaszki — i na ołowianych nogach ruszył w stronę wyjścia ze skrzydła naukowego. Nagle zapragnął się wydostać z tego ciemnego, okropnego miejsca, odetchnąć świeżym powietrzem. Bardziej wyczuł, niż usłyszał, że Logan i Usuguk idą za nim.

Powoli, mozolnie wspinali się na powierzchnię: na poziom D, na lepiej znane korytarze poziomu B i wreszcie do holu wejściowego, ziejącego pustką i mrokiem. Wciąż głuchy, przesiąknięty krwią stwora, Marshall wszedł do przedsionka. Nie pofatygował się, żeby włożyć parkę, tylko pchnął podwójne drzwi prowadzące na betonową płytę.

414

Było ciemno, ale różowa smużka na linii horyzontu wskazywała bliskość świtu. Burza ucichła i na niebo wyszły gwiazdy, malując upiorną jasnością ubity śnieg. Jakaś odległą częścią umysłu Marshall przypomniał sobie inuic-kie powiedzenie: To nie gwiazdy, tylko otwory, przez które nasi ukochani uśmiechają się do nas, żeby pokazać, że są szczęśliwi. Zastanowił się, czy Usuguk też w to wierzy.

Jakby w odpowiedzi poczuł, że Tunita dotyka jego rękawa. Kiedy się obejrzał, Usuguk bez słowa wskazał jednym palcem na niebo.

Marshall podniósł wzrok. Głęboki, nieziemski szkarłat zorzy polarnej — zorzy, która ich prześladowała, odkąd zaczął się ten koszmar — szybko bladł. Na jego oczach zgasł całkowicie, bez śladu, jakby nigdy nie istniał, i została tylko czarna, usiana gwiazdami kopuła.

53

— Panie Fortnum? Tu Penny. Jak tam u was?

Tym razem odpowiedź nadeszła z opóźnieniem.

— Zimno nam. Bardzo zimno.

— Wytrzymajcie — powiedziała do mikrofonu. — Zostało nam tylko... — Zerknęła na Carradine'a.

— Trzydzieści kilometrów — mruknął kierowca. — Jeśli dojedziemy.

— Trzydzieści kilometrów — powtórzyła i odłożyła mikrofon na radio CB. — Musimy dojechać. Jak benzyna?

— Lewy zbiornik wysechł strasznie szybko. — Carradine postukał w deskę rozdzielczą. — Powiedzmy, że wystarczy nam jeszcze na piętnaście kilometrów.

— Nawet jeśli paliwo się skończy, możemy przejść ostatnie piętnaście kilometrów na piechotę.

— W tym? — Wskazał ponad kierownicą na pustkowie Strefy. — Z całym szacunkiem, paniusiu, ale tamci z tyłu już są przemarznięci i nie wytrzymają nawet dwustu metrów.

416

Barbour wyjrzała przez przednią szybę. Czerwona smuga świtu zabarwiła linię horyzontu.

Burza szybko przycichła, wiatr prawie całkiem zamarł i krajobraz okrył się płaszczem świeżego, sypkiego śniegu. Ale kiedy burza minęła, temperatura gwałtownie spadła.

Termometr na tablicy rozdzielczej wskazywał minus trzydzieści stopni.

Ciężarówka zatrzęsała się mocno i Barbour chwyciła drążek stabilizatora. Trzydzieści kilometrów. Przy obecnej szybkości oznaczało to ponad pół godziny.

Spojrzała na GPS wbudowany w tablicę rozdzielczą. Przyzwyczyła się do widoku tego urządzenia w swoim samochodzie, zawsze pokazującego ulice, place i punkty orientacyjne, kiedy jeździła po Lexington, Woburn i okolicach Bostonu. Ale GPS w ciężarówce

Carradine'a nie pokazywał nic: ekran równie biały i pusty jak śnieżna równina na zewnątrz.

Tylko kurs wyznaczany według kompasu i odczyt szerokości i długości geograficznej świadczyły, że w ogóle się poruszają.

— Wyglądasz na zmęczoną — powiedział Carradine. — Czemu nie odpoczniesz?

— Chyba żartujesz.

A jednak to pełne napięcia, niekończące się czuwanie, po tylu nieprzespanych godzinach w bazie Fear, podkopało jej siły. Zamknęła oczy, żeby odpocząć, tylko na chwilę. A kiedy znowu je otworzyła, wszystko się zmieniło. Niebo pojaśniało, śnieg wokół nich błyszczał w słońcu. Dźwięk silnika też się zmienił: obroty spadły, szybkość wyraźnie się zmniejszyła.

417

— Jak długo spałam? — zapytała Barbour.

— Piętnaście minut.

— Jak paliwo?

Carradine zerknął na wskaźnik.

— Jedziemy na oparach.

Cieżarówka jeszcze bardziej zwolniła. Teraz Barbour zauważyła, że GPS jednak coś pokazuje: pas jednolitego błękitu, wypełniający górną połowę ekranu.

— To chyba nie następne... — zaczęła, po czym urwała.

— Aha. Jezioro Gunner.

Strach — który zmalał do tępego niepokoju — powrócił świeżą falą.

— Przecież mówiłeś, że przecinamy tylko jedno jezioro!

— Zgadza się. Ale nie mamy już benzyny, żeby objechać to drugie.

Barbour nie odpowiedziała. Przełknęła ślinę, oblizała wargi. Zaschło jej w ustach.

— Nie martw się. Jezioro Gunner jest rozległe, ale nie szerokie.

Popatrzyła na niego.

— Więc dlaczego zamierzałeś je objechać?

Carradine zawahał się przełomie.

— Jezioro ma tylko około metra dwudziestu głębokości. Pełno w nim wielkich głazów, eratyków lodowcowych i tym podobnych. W tym warunkach czasami trudno je zobaczyć pod pokrywą śnieżną. Jeśli przypadkiem w któryś uderzymy...

Nie dokończył. Nie musiał.

418

Wyjrzała przez przednią szybę. Jezioro leżało przed nimi, wyraźnie widoczne. Carradine zmieniał biegi, kiedy zbliżali się do brzegu.

— Nie zatrzymasz się? — zapytała. — Nie sprawdzisz grubości lodu elektrycznym świdrem?

— Nie ma czasu — odparł kierowca. — Nie ma benzyny.

Wpełzli na lód. Barbour znowu ścisnęła z całej siły drążek stabilizatora, kiedy poczuła, jak lód ugina się pod ich ciężarem; znowu ogarnęło ją narastające napięcie, gdy rozległo się znajome, okropne trzeszczenie, rozchodzące się spod kół we wszystkich kierunkach. Kilka wyraźnie widocznych skał wystawało ze śniegu jak kły, ich czarne wierzchołki błyszczały w porannym słońcu. Inne kryły się w zaspach. Cichnący wiatr spiętrzył i wyrzeźbił śnieg w fantastyczne kształty: wzgórza, doliny i miniaturowe łańcuchy górskie. Carradine ostrożnie prowadził ciężarówkę pomiędzy głazami i formacjami śnieżnymi. Barbour nieustannie przenosiła wzrok z GPS na zamrożone jezioro i z powrotem, modląc się, żeby display się zaktualizował, żeby znowu pokazał biel.

Minęły trzy minuty, potem pięć. Trzeszczenie przybrało na sile, pęknięcia rozwidlały się przed nimi łamanymi liniami. Silnik dostał czkawki; Carradine leciutko nacisnął gaz i wyrównał obroty. Barbour domyślała się, co by się stało, gdyby zabrakło im benzyny na lodzie.

— Prawie koniec — powiedział kierowca, jakby czytał w jej myślach.

419

Przed nimi wyrosła niska hałda śniegu, szeroka na jakieś czterdzieści metrów, uformowana przez wiatr tak, że przypominała grzywiastą falę.

— To na pewno czysty śnieg — powiedział Carradine. — Nie mogę ryzykować objazdu, możemy znowu wpaść w poślizg. Przebijemy się przez niego, oczyścimy drogę dla przyczepy. Trzymaj się.

Barbour ścisnęła już drążek tak mocno, że bardziej nie mogła. Wstrzymała oddech, kiedy Carradine skierował ciężarówkę prosto w śnieżny wał. Pojazd zadrżał od uderzenia i Carradine dodał gazu, żeby nie stracić szybkości.

Nagle przód ciężarówki wyskoczył w powietrze. Barbour poleciała do przodu i pomimo zapiętego pasa mało nie uderzyła głową w deskę rozdzielczą.

— Chryste! — zawołał Carradine, obracając kierownicę w lewo. — Widocznie pod śniegiem był głaz!

Nastąpił drugi wstrząs, kiedy tylne koła przejechały po głazie. Ciężarówka uniosła się i opadła ciężko na lód. Huknęło jak z armaty i wielki pojazd nagle zwolnił. Impet wcisnął Barbour w oparcie fotela.

— Tył idzie pod wodę! — wrzasnął kierowca. — Łap radio... powiedz wszystkim w przyczepie, żeby przeszli do przodu, szybko!

Barbour namacała mikrofon, upuściła, znowu podniosła.

— Fortnum, rozbiliśmy lód. Zabierz wszystkich na przód przyczepy. Szybko.

420

Carradine rozpaczliwie dusił pedał gazu. Ciężarówka parła do przodu, przechylona niebezpiecznie, rozbijając zamarznąłą powierzchnię jeziora. Tył dosłownie przeorywał się przez rozstępujący się lód. Barbour poczuła, że przechylają się jeszcze bardziej, pod większym kątem.

— Nie! — usłyszała swój krzyk. — Boże, nie!

Carradine przerzucił bieg i wcisnął gaz do dechy. Rozległ

się następny huk, niemal tak głośny jak poprzedni. Rzężąc z wysiłku, ciężarówka wyrwała się z dziury w lodzie i skoczyła do przodu. Carradine natychmiast zwolnił, żeby nie stracić przyczepności na śliskiej powierzchni. Barbour opadła na fotel, niemal osłabła z ulgi.

— Bliżej już nie będzie — rzucił Carradine. Zerknął na wskaźnik paliwa. — Baki suchutkie. Nie mam pojęcia, na czym jedziemy.

Barbour spojrzała na display GPS. I teraz wreszcie zobaczyła w odległości pół kilometra białą linię stałego lądu.

Ominawszy ostatnią grupę skał, ciężarówka z rykiem wspięła się na brzeg i przyspieszyła. Carradine wypuścił z płuc głęboki, drżący oddech, odkleił kwiecistą koszulę od chudej klatki piersiowej i powachlował się nią. Potem wyprostował się i wskazał przed siebie.

— Patrz!

Barbour wyteżyła wzrok. W oddali, tam, gdzie niebo stykało się z horyzontem, dostrzegła niewielkie skupisko ciemnych kształtów, mrugające czerwone światło.

— Czy to... — zaczęła.

421

Kierowca przytaknął, szczerząc zęby.

— Wioska Arktyczna.

Barbour szybko podniosła mikrofon CB.

— Barbour do Fortnuma. Dojechaliśmy. Przed nami Wioska Arktyczna.

A kiedy odkładała mikrofon, zdawało jej się, że usłyszała — zagłuszony warkotem diesla — odgłos wiwatów.

Epilog

Dzień był czysty i jasny jak kryształ, zupełnie jakby żywioły — zawstydzone własną furią — pragnęły wynagrodzić wcześniejszą burzę. Powietrze trwało w absolutnym bezruchu, bez jednego powiewu wiatru. Kiedy Marshall odwracał wzrok od bazy — w stronę rozległego śnieżnego krajobrazu nakrytego idealną kopułą nieba — prawie mógł sobie wyobrazić, że w tym odludnym i dzikim miejscu natura znała tylko dwa kolory: błękit i biel.

Poranek wypełniła długa procesja przylotów i odlotów: helikoptery medyczne i z kostnicy, mnóstwo wojskowych śmigłowców i jeden mały samolot wypełniony mężczyznami w ciemnych garniturach, przy których Marshall z niewiadomego powodu poczuł się bardzo nieswojo. Teraz stał z Loganem, Faradayem i Ekberg na płycie przed wejściem do bazy.

Zebrali się, żeby pożegnać Usuguka, który wybierał się w drogę powrotną do swojej opustoszałej wioski.

— Na pewno nie chcesz, żeby cię podwieźć? — powtórzył Marshall.

423

Tunita pokręcił głową.

— Mój lud ma powiedzenie: podróż sama w sobie jest celem.

— Pewien japoński poeta napisał coś podobnego — odezwał się Logan.

— Dziękuję ci jeszcze raz — powiedział Marshall. — Dziękuję, że zgodziłeś się przyjechać mimo wszystko. Że pomogłeś nam swoją wiedzą i intuicją.

Wyciągnął rękę, ale Usuguk, zamiast uścisnąć mu dłoń, chwycił go za ramiona.

— Obyś znalazł spokój, którego szukasz — powiedział.

Potem kiwnął głową pozostałym, podniósł mały worek

z wodą i zapasami, który dla niego przygotowali, i zanim się odwrócił, naciągnął na głowę kaptur obszyty futrem.

Patrzyli bez słowa, jak starzec odchodzi na północ po ubitym śniegu. Marshall zastanawiał się, czy kobiety wrócą do wioski, czy też Usuguk spędzi resztę życia samotnie, w mnisim odosobnieniu. Wiedział, że starzec przyjmie każdą z tych ewentualności z jednakowym stoicyzmem.

— Szukasz spokoju? — zapytała go Ekberg.

Marshall myślał przez chwilę.

— Tak, chyba tak.

— Jak my wszyscy — mruknęła. Zawahała się. — No, chyba już pójdę. Przedstawiciel Blackpoola i ludzie z ubezpieczeń przylecą po lunchu. Przedtem mam dużo roboty.

— Znajdę cię później — obiecał Marshall.

Uśmiechnęła się do niego.

— Znajdź.

424

Potem odwróciła się i zniknęła w drzwiach do przedsionka.

Logan obejrzał się za nią.

— Zamierzasz pogłębić tę znajomość?

— Jeśli znajdę pretekst — odpowiedział pogodnie Marshall.

— Zawsze jest jakiś pretekst. — Logan spojrział na zegarek. — No, teraz ja muszę się

zbierać. Lada chwila przyleci mój helikopter.

— My wyjeżdżamy jutro — oznajmił Marshall. — Mogłeś zaczekać jeden dzień, oszczędzić trochę pieniędzy.

— Dostałem telefon z biura. Znowu coś wyskoczyło.

— Następne polowanie na duchy?

— Coś w tym rodzaju. Poza tym typki w czarnych gamiakach, którzy nas rano przesłuchiwali, znają mój adres. Podejrzewam, że jeszcze o nich usłyszę. — Zrobił przerwę.

— Co im powiedziałaś?

— Dokładnie to, co się wydarzyło, tak jak zapamiętałem — odparł Marshall. — Ale każda odpowiedź tylko wywoływała coraz więcej pytań, więc w końcu po prostu się zamknąłem.

— Uwierzyli ci?

— Chyba tak. Przy tylu świadkach naocznych nie mieli powodu, żeby nie wierzyć. — Spojrzał na Logana. — A ty jak myślisz?

— Myślę, że pomogłoby, gdyby znaleźli padlinę.

— Tak, to dziwne. Z pewnością zostało mnóstwo krwi. Przysięgłbym, że był martwy jak glaz, z tak rozwaloną czaszką.

425

— Widocznie odczołgał się gdzieś, żeby zdechnąć — stwierdził Faraday. — Jak tamten pierwszy.

— Wiesz, co by powiedział Usuguk — odparł Marshall.

Spojrzał w stronę horyzontu, gdzie sylwetka Tunity zmniejszyła się już do rozmiarów brązowej plamki pomiędzy szerokimi smugami błękitu i bieli.

— Cholernie się cieszę, że on zdechł — wyznał Logan — ale wciąż nie rozumiem mechaniki. To znaczy w jaki sposób dźwięk go zabił.

— Bez trupa nie mamy pewności — odparł Marshall. — Ale wiem, że wysokie częstotliwości go drażniły. Czysto sinusoidalna fala, bez żadnych harmoniczných, sprawiała mu chyba jeszcze większy ból.

— Ale przecież większość dźwięków zawiera składowe harmoniczne.

— Zgadza się —: przyświadczył Faraday. — Mają je wszystkie tak zwane niedoskonałe instrumenty, jak skrzypce albo obój... albo ludzki głos. Paradoksalnie właśnie te składowe

nadają dźwiękom bogactwo i barwę.

— Ale niektóre fale sinusoidalne ich nie mają— oświadczył Marshall. — Nastawiłem urządzenie tak, żeby wygenerowało serię fal wzmacniających podstawowy ton. Miałem nadzieję, że jeśli stworzymy dźwięk dostatecznie bolesny, wypłoszymy stwora z bazy.

— Podziałało znacznie bardziej radykalnie — zauważył Logan.

Marshall przytaknął.

— To interesujące. Ryby i wieloryby mają pęcherze

426

pławne, które można rozerwać sonarem. Niektórzy naukowcy uważają, że dinozaury miały w mózgach narządy służące do wydawania niezwykle głośnych dźwięków, trąbienia słyszalnego na wiele kilometrów dookoła. Nie zdziwiłbym się, gdyby ten stwór miał w czaszce podobny organ czy jamę... do parzenia się czy porozumiewania, czy do czegoś innego. Przypuszczam, że wysokie częstotliwości wzbudziły rezonans sympatyczny w tym organie i w rezultacie spowodowały jego pęknięcie.

— Jestem historykiem, nie fizykiem — odparł Logan. — Nigdy nie słyszałem o rezonansie sympatycznym.

— Przypomnij sobie pękającą szklankę, kiedy sopranistka weźmie wysoki ton. Szklanka wibruje przy określonej naturalnej częstotliwości. Jeśli śpiewaczka powtarza ciągle tę samą nutę, szklanka otrzymuje coraz więcej energii. W którymś momencie szkło nie może już dostatecznie szybko rozpraszać energii i pęka. — Marshall obejrzał się na bazę. — W tym przypadku chyba nigdy się nie dowiemy.

— Szkoda. — Logan odwrócił się do Faradaya. — A co ty powiedziałaś naszym umundurowanym przesłuchującym?

Faraday odważemnił spojrzenie ze zwykłą spłoszoną miną.

— Próbowałem to wyjaśnić z czysto biologicznej perspektywy. Jak dwa stworzenia zostały oddzielnie zamrożone na skutek jednego zjawiska: inwersji atmosferycznej, która spowodowała prąd zstępujący superzimnego powietrza. Zwierzęta zamarły błyskawicznie, zanim w ich krwi

427

zdażył się utworzyć lód, co wywołało stan śmierci pozornej. Wyjaśniłem, jak stopniał lód: unikatowa struktura, lód--piętnaście, który topi się w temperaturze kilku stopni poniżej zera. Opisałem drugi czynnik sprawczy: fenomen odwrotny do terminalnego mrozu, prąd

zstępujący niezwykle ciepłego powietrza, które pomogło ożywić stwora... i jak oba wydarzenia mogły wywołać dziwną szkarłatną zorzę polarną, która zaniepokoiła Usuguka. Podałem im przykład mamuta znad Bieriezowki jako precedens.

— Co mówiłeś o samym stworze? — chciał wiedzieć Logan.

— Opowiedziałem im o efekcie Kallisto. Że stwór mógł stanowić mutację genetyczną albo po prostu należał do nieznanego gatunku. I opowiedziałem o nadzwyczajnie rozwiniętej produkcji białych krwinek, co powoduje błyskawiczne gojenie ran. Że pod sierścią miał chitynowy egzoszkielet, ale łuskowaty jak skóra węża, umożliwiający szybkie i płynne ruchy... i odbijający kule. I o unikatowej konstytucji neurologicznej: nawet wysokie napięcie nie zniszczyło jego systemu nerwowego ani nie zatrzymało pracy serca. Jednak, jak na ironię, dźwięk o określonej amplitudzie i częstotliwości okazał się zabójczy: może w połączeniu z osłabieniem spowodowanym głodówką.

— Więc to wszystko wyjaśnia — podsumował Logan.

— Wszystko... i nic — dodał Faraday.

Logan zmarszczył brwi.

— Jak to?

— Ponieważ wszystko, co wam właśnie powiedziałem...

428

z wyjątkiem analizy krwi... to same teorie i spekulacje. Faktem jest, że specyficzne rodzaje lodu, jak lód-piętnaście, powstają tylko w warunkach wysokiego ciśnienia. Faktem jest, że stwór przeżył zamrożony w lodzie... nieważne, w jakim lodzie... przez tysiące lat. Był niesamowicie silny. Odporny na porażenie prądem... — Faraday wzruszył ramionami. Marshall przyjrzał mu się z namysłem. Biolog właśnie wygłosił przekonujące wyjaśnienie wszystkiego — po czym natychmiast sam je podważył.

— Może jednak Usuguk miał rację — mruknął.

Dwaj mężczyźni popatrzyli na niego.

— Mówisz poważnie? — zapytał Faraday.

— Oczywiście... przynajmniej częściowo. Jestem naukowcem, ale pierwszy przyznam, że nauka nie wyjaśnia wszystkiego. Znajdujemy się daleko od cywilizacji. Na końcu świata. Tutaj rządzą inne prawa, o których nie mamy pojęcia. To nie jest naturalne środowisko człowieka... ale ludzie, którzy tutaj mieszkają, widzieli o wiele więcej od nas i powinniśmy ich wysłuchać. Jeśli jakąś krainę można nazwać krainą ducha, to właśnie tę: odległą, obcą,

uświęconą. Naprawdę myślicie, że zorza polarna tylko przypadkiem zgasła akurat po śmierci stwora?

Pytanie zawisło w mroźnym powietrzu, nie doczekawszy się odpowiedzi. W ciszy Marshall usłyszał odległe tlap-tlap śmigieł helikoptera.

— To pewnie mój transport — mruknął Logan. Podniósł brezentowy worek leżący u jego stóp.

429

— A ty? — zapytał Marshall.

— Co ja? — Logan zarzucił laptopa na ramię. — Jeśli któryś z was odwiedzi New Haven, znajdźcie mnie.

— To nie jest odpowiedź. Pod jaką teorią się podpisujesz: naukową czy mistyczną? Logan przyglądał mu się przez chwilę lekko zmrużonymi oczami. Zamiast odpowiedzieć, zadał własne pytanie:

— Gdzie pan dorastał, doktorze Marshall?

Czego jak czego, ale tego się Marshall nie spodziewał.

— W Rapid City w Dakocie Południowej.

— Mieliście jakieś zwierzaki?

— Jasne. Trzy jamniki.

— W dzieciństwie jeździłeś na długie wycieczki samochodowe?

Marshall przytaknął zdumiony.

— Praktycznie każdego lata.

— Zgubiliście kiedyś któregoś z tych jamników na postoju przy drodze?

— Nie.

— Ja zgubiłem — oznajmił Logan. — Barkleya, mojego setera irlandzkiego. Kochałem tego psa najbardziej na świecie. Uciekł na terenach piknikowych w samym środku Oklahomy. Moja rodzina szukała przez trzy godziny. Nigdy go nie znaleźliśmy. Byłem niepocieszony.

Helikopter lądował za ogrodzeniem, wzbijając przejrzyste tumany sypkiego śniegu.

Marshall spojrzał na Logana, marszcząc brwi.

— Nie rozumiem, co zgubienie psa ma wspólnego...

430

Nagle dotarła do niego sugestia Logana. Zamrugał ze zdumieniem.

— Tylko że podróżni, o których mówisz, przyjechali ze znacznie bardziej oddalonych miejsc niż Rapid City w Dakocie Południowej.

— Znacznie bardziej oddalonych — przytaknął Logan.

Marshall pokręcił głową.

— Więc w to wierzysz?

— Jestem enigmologiem. Mój zawód to wyteżanie wyobraźni. Jak powiedział twój przyjaciel Faraday: same teorie i spekulacje.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, uściśnął im obu ręce i poszedł do helikoptera. Kiedy pilot otworzył drzwi po stronie pasażera, historyk się odwrócił.

— Ale niezła teoria, co?! — zawołał, przekrzykując wycie silnika.

Potem wdrapał się do kabiny i zamknął drzwi. Helikopter wzbił się w powietrze, zatoczył krąg nad lodowcem Fear — błękitnym na tle błękitu nieba — i skręcił ostro na południe, w stronę cywilizacji, zostawiając za sobą krainę duchów.

Polecamy thrillery Lincolna Childa

GŁĘBIA

W czasie rutynowego odwiertu pracownicy położonej nieopodal Grenlandii platformy wiertniczej rejestrują niezwykle sygnał pochodzący spod ziemskiej skorupy. Z inicjatywy USA na dnie oceanu powstaje pilnie strzeżona naukowa stacja badawcza Głęboki Sztorm. Czy w głębinie znajdują się ruiny starożytnej Atlantydy? A może pozostały tam ślady pozaziemskiej cywilizacji - źródło ogromnej energii, nadające się do wojskowego wykorzystania? Kiedy mieszkańcy stacji zaczynają zapadać na niewytłumaczalną chorobę, admiralicja sprowadza na pomoc doktora Petera Crane'a. Już po krótkim pobycie na dole Crane zaczyna podejrzewać, że ma do czynienia z czymś znacznie poważniejszym i bardziej zabójczym, niż typową epidemią. Nie wie jeszcze, że cztery kilometry morskiej toni kryją tajemnicę tak przerażającą, że wykracza ona poza wszelkie ludzkie wyobrażenia...

UTOPIA

Utopia jest najbardziej nowoczesnym, najbardziej niezwykłym ze światowych parków rozrywki. Gigantyczny kompleks wybudowany na pustyni Mojave na północ od Las Vegas, przykryty złotą kopułą, wyposażony w niezliczoną ilość robotów sterowanych samodoskonalącymi się programami „sztucznej inteligencji” oraz technologie holograficzne, ma docelowo odwiedzać 65,000 osób dziennie. Ale kiedy na terenie parku dochodzi do poważnego wypadku, dyrekcja Utopii wzywa na pomoc Andrew Warne'a,

wybitnego specjalistę z dziedziny robotyki, twórcę nowatorskiego programu metasieci neuronowej zarządzającej całym systemem. W dniu przyjazdu Warne'a w kompleksie pojawiają się terroryści, żądając wydania wartych dziesiątki milionów dolarów nowatorskich technologii. Zaczyna się śmiertelna gra, w której stawką jest życie tysięcy ludzi. Terroryści opanowali system Utopi i grożą wysadzeniem kopuły. Wybudowany kosztem miliardów dolarów kompleks stał się wielką szklaną pułapką. Tylko Warne może zapobiec niewyobrażalnej tragedii, której ofiarą padnie także jego nastoletnia córka...